

**Erika Holzer**

**Okno za okno**

*(Eye for an eye)*

*Przełożył Wojciech Niemczak*

*Ofiarom zbrodni,  
żywym i zmarłym*

## **Podziękowania**

Dziękuję:

Pani profesor Dianie de Armas Wilson za wpływ Dantego na powstanie niniejszej powieści.  
Oraz mojej matce, założycielce „Klubu Dantego” (1928);

Clytii Chambers, której doświadczenie w dziedzinie public relations dostarczyło mi niezbędnych materiałów;

Mojemu wydawcy, Bobowi Gleasonowi, który skłonił mnie do wykorzystania jego własnego przekładu „Piekle” Dantego, zmuszając do stworzenia o wiele lepszej książki;

Tomowi i Ralphowi, którzy wierzą we mnie i dbając o stronę finansową, sprawiają, że pisanie powieści staje się prawdziwą przyjemnością;

Maggie Solomon oraz Stanleyowi i Marie Gray za ich lojalność, szczerość i bezustanny entuzjizm;

Profesorowi Stephenowi Coxowi, którego literackie wskazówki – subtelne, prowokujące i mądre – wzbogaciły wielce moją powieść;

Moim inspirującym kotem, Marco i Poli;

Oraz memu pierwszemu krytykowi i jednocześnie najlepszemu przyjacielowi, Hankowi Holzerowi.

# **Część 1**

## **Gwałt**

## Prolog

Świetlne refleksy. Wiszący na jej szyi brylant rzuca pomarańczowe błyski. Kryształowy żyrandol znajdował się z dala od żaru ognia, lecz połyskiwał w blasku świec.

Ściskała w dłoni słuchawkę telefonu. Ogarnął ją żal, gdy wspomniała świąteczny nastrój.

– Karen, na miłość boską! – krzyknęła do słuchawki. – Co robisz? Chcesz mnie przestraszyć? Właśnie dzisiaj. – Pragnęłaby jej głos brzmiał spokojnie.

– Całkowita samotność to średnia przyjemność, zgadza się?

– Ależ ja to uwielbiam – skłamała. – Po trzech latach nawet mieszczuch przyzwyczai się do życia w lasach Westchester. – A jednak nie zdołała przywyknąć.

– Tyle przestępstw na każdym kroku. To mnie przeraża. Czytałam...

– Być może na zachodnich krańcach Manhattanu – przerwała – ale nie tutaj. – W rzeczywistości ona także o tym czytała. Włamywacze z Nowego Jorku i New Jersey przenoszą się na przedmieścia w poszukiwaniu większych łupów. Mają samochody; może także pistolety albo noże?

– Sarah, twój system alarmowy...

– Zwany przez ciebie straszakiem na złodziei – wtrąciła z ironią. – Jednak podczas twojej nieobecności unowocześniliśmy go nieco. Teraz automatycznie zawiadamia policję. Przyjeżdżają w ciągu pięciu minut. Poczekaj chwilę, muszę zobaczyć, co z pieczenia.

Idąc do kuchni, zerknęła w lustro. Przynajmniej jestem zadbana, pomyślała zadowolona ze swojego wyglądu. Czarna atlasowa pidżamka. Pantofelki na cieniutkich podszewkach. Długie, gładkie włosy – skromnie i sexy, tak jak lubi Mark.

Kolacja zapowiada się wspaniale, doszła do wniosku po sprawdzeniu pieczeni, i różnym krokiem wróciła do pokoju.

– Słuchaj, marudo – powiedziała, przykładając do ucha słuchawkę – przestań psuć mi humor... Powinnaś raczej...

– Złożyć ci życzenia z okazji rocznicy ślubu, wiem. Nie przejmuj się mną. Dzisiejszy wieczór będzie szczególny.

– Począwszy od nakrycia stołu. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć!

– Aż tak będzie ślicznie? Opisz mi to.

– Moja ikebana rzuciłaby cię na kolana. Mam nadzieję, że podobnie zadziała na Marka. Mnóstwo lwich paszczy, najwspanialszy odcień koloru pomarańczowego.

– Naturalnie w czarnym wazoniku. Co jeszcze?

– Świece, kryształy, zastawa z chińskiej porcelany. – Uśmiechnęła się. – Zgrabnie rozmieszczone na koronkowym obrusie. Tym srebrzystym, pamiętasz? Pasuje do kieliszków. – Dotknęła delikatnego brzegu matowego kieliszka na wysokiej nóżce. Przesunęła palcem po

ornamencie zdobiącym srebrny nóż. Uniosła go, by poczuć w dłoni jego ciężar.

– Dziś rano odebrałam nawet kilka kompletów sztuczków z bankowego schowka. – Powinna była ugryźć się w język.

– Od kiedy to trzymacie w banku zastawę? Były jakieś włamania w waszym sąsiedztwie? Sarah?

– Nie żartuj. Po prostu w tej okolicy dmucha się na zimne. – Tutejsi mieszkańcy nie chcieliby srebrne zastawy stołowe, nie wspominając już o biżuterii, wywędrowały z domu podczas ich nieobecności. – Czemu tak wzdychasz?

– Chciałabym, żeby Mark nie brał tych wieczornych lekcji.

– Mark ich nie bierze. Są mu przydzielane. Poza tym nigdy mi to nie przeszkadzało. – Kolejne kłamstwo. – Karen, nie zaczynaj od nowa. Niepotrzebnie mnie tylko denerwujesz.

– Kiedy przychodzi Halloween, zawsze jesteś podenerwowana.

– A ty w tym jeszcze pomagasz. Poczekaj chwilkę, dobrze? Miałam kłopoty z rozpaleniem ognia, a teraz chyba znowu przygasł. – Kłamstwo numer trzy. Miała raczej trudności z utrzymaniem nerwów na wodzy.

Zniecierpliwienie wyładowała na niepotrzebnie dołożonej szczapie drewna; chwiejąc się na piekielnie wysokich obcasach, nie mogła uporać się jednocześnie z żelaznymi szczypcami oraz opadającymi na ramiona włosami. Niczym płynne złoto, powiedziała by Mark. Odłożyła szczypce i rozgłośniła radio.

– Nastrojowa muzyka – powiedziała do słuchawki.

– Nawet tutaj z łatwością rozróżniam słowa. Słyszeliby je także sąsiedzi, gdybyś ich miała.

– Mądrała. Nie martw się, jak tylko wejdzie Mark, przełączę na Brahmsa.

– A kiedy ma wrócić?

Westchnęła.

– Najdalej za pół godziny. Może w tym czasie nadrobimy zaległości? Powiedz, jak wypadła twoja prezentacja? Założę się, że załatwiłaś ich błyskawicznie.

– Nie zdążyłam nawet zdjąć płaszcza.

– Oni za mało ci płacą, wiesz? Kiedy pomyślę...

– Uuuu, mamó! Uuuu!

Odwróciła się, rzucając słuchawkę. Na widok stojącej w drzwiach malutkiej osóбки w masce roześmiała się.

– Tylko duchy mówią „uuuu”, kochanie.

– Kwi, kwi.

– Właśnie, jak świneczka. A teraz razem z Miss Piggy szybciućko do łóżeczka.

– Rymowanka taka, wisisz mi dziesiątaka!

– Susie, przestań się ociągać. Wiesz co, dostaniesz trzy dziesięciocentówki za trzy rymy. Rano pod poduszką, jeśli znajdziesz się w łóżku, zanim doliczę do pięciu. Gotowa? Raz, dwa, trzy.

Ponownie podniosła słuchawkę.

– Susie jest wciąż podekscytowana. Mnóstwo brzdąców odwiedziło nas dziś w poszukiwaniu cukierków.

– Czas duchów i chochlików. Jakże dobrze to pamiętam.

– Jesteś nie na czasie, kochana. Dziś liczą się tylko bohaterowie *Gwiezdných wojen*; Muppety. Ja też wolałam chochliki.

– Czy to nie dzwonek słyszę?

– Co ty masz w tej swojej słuchawce, jakiś wzmacniacz?

– Dlaczego Mark miałby dzwonić? Czyżby zapomniał wziąć klucze?

– Nie sędzę. Zapewne jacyś spóźnieni łowcy cukierków. Na przedmieściach nie wszyscy muszą być w domu przed ósmą. Zaraz wracam.

Przysunęła twarz do matowej szybki w drzwiach i uśmiechnęła się na widok lekko zniekształconych postaci, czując się znowu jak brzdąc. Dzieciaki poprzebierane w prześcieradła, tłoczące się wokół jednego ubranego na zielono Muppeta; każde z nich dźwigało torbę pełną łupów.

– Wyobraź sobie, że przed drzwiami stoją duchy. – Zachichotała do słuchawki. – To przypomina mi dzieciństwo.

– Sarah, może lepiej...

– Zaledwie odrobina współczesności – powiedziała. – Cudowna żabka z Muppetów. Zaczekajcie chwilkę, już niosę wasz łup. W tym roku kandyzowane jabłuszka domowej roboty, proszę bardzo.

Trzymając srebrną tacę z jabłkami w jednej ręce, drugą przekreśliła mały kluczyk. Znajdująca się przy klamce czerwona lampka zaświeciła na jaskrawożółto. Otworzyła drzwi.

Naparli na nią tak, że straciła równowagę i omal nie upuściła tacy.

– Hej, małe łobuziaki – zawołała – przecież właśnie chciałam was poczęstować.

Spostrzegła, że w rzeczywistości wcale nie byli tacy mali; tylko żaba. Było ich siedmiu. Rozbiegli się po holu, jadalni i salonie. Otworzyła usta, by na nich wrzasnąć.

Przerwało jej wycie. Wyli i ryczeli! Jakaś smągła dłoń jeszcze bardziej rozgłośniła radio.

Na widok zbliżającej się zjawy cofnęła się odruchowo. Spod prześcieradła wysunął się dżinsowy rękaw koszuli, z jej dłoni wyrwano tacę, rozrzucając kandyzowane jabłka.

– Co ty sobie wyobrażasz! – zawołała, kiedy zobaczyła, dokąd zmierza. Właśnie zbierał ze stołu srebrne sztucce! – Nie ruszaj tego. Odłóż to na miejsce, do cholery!

Nie odłożył. Po chwili jeden z nich, straszdyło podobnie jak inni, tyle że w czarnym kapturze na głowie, gestem odesłał swego poprzednika i podszedł do wytwornie nakrytego stołu. Nie próbowała go zatrzymać, ponieważ wziął do ręki nóż.

Gwałtowne zerwanie obrusu posłało wszystkie kryształły oraz chińską porcelanę wprost na kamienną podłogę jadalni. Rozległ się huk tłuczonych naczyń. Woda z przewróconego wazonu zalała świece.

Czarny Kaptur ruszył w jej kierunku.

Przystanął na widok błysku flesza. To Kermit zrobił jej zdjęcie. Czarny Kaptur odwrócił się w stronę żaby. Wyczuwa, że napastnik uśmiecha się – pozuje do zdjęcia. Trzymając w ręku nóż, zaczekał, aż zdjęcie się wywoła! Natychmiastowy efekt z polaroidu.

Szaleństwo. Jej głowa obracała się w zawrotnym tempie. Duchy noszące tenisówki, adidasy i dzinsy. Dłonie, które chwytały, wrywały, zbierały, rozdzierały, rozbijały i zatrzymywały się na moment, podczas gdy Kermit robił zdjęcia.

Wzdrygnęła się i wyrwała z transu. Centymetr po centymetrze, ostrożnie ruszyła w kierunku drzwi frontowych. Dotarła już niemal do celu, gdy nagle Czarny Kaptur krzyknął na nią. Rzuciła się, wyciągając rękę w kierunku guzika alarmowego, lecz chybiła, zawadziwszy obcasem o wycieraczkę.

Upadła.

Jeden z nich zaciągnął ją do jadalni.

Czarny atlas łatwo nasiąkał wodą. Materiał rozdarł się. Okruchy szkła skaleczyły jej udo.

Ponownie rozległo się wycie, stopniowo przeszło w rozdzierający ryk, który poderwał ją na nogi. Susie! Był to raczej cichy okrzyk paniki niż tylko myśl. Jej wzrok podążył w kierunku trzech schodków i drzwi po lewej stronie.

Czyżby zauważył, do licha? Zbliżał się!

– Klejnoty – odezwała się do przywódcy noszącego czarny kaptur. – Na górze, sypialnia po lewej stronie. Moja biżuteria... męża. Wystarczy otworzyć.

Przerwał jej władczy gestem. Dwóch z nich udało się na górę nie czekając, aż powie im, gdzie szukać. Ale przestali wyć. I poszli w przeciwnym kierunku niż sypialnia Susie.

Przysłuchiwała się odgłosom bezsensownego wandalizmu. Przeszukuj i niszczy. Podobne dźwięki dobiegały zza jej pleców, z kuchni. Jeden z nich wyszedł z sypialni, niosąc poszewkę ściągniętą z jej łóżka. Odwróciła się. Inny wyłonił się z kuchni, ogryzając kurczaka. Nogi się pod nią ugięły, gdy zorientowała się, że pokazał jej swoją twarz.

Kiedy powoli cofała się, podszedł do niej Czarny Kaptur. Wiedziała, co zauważył tym razem – brylantowy wisior, który dostała zamiast pierścionka zaręczynowego. Wznosił się i opadał w rytm przyspieszonego oddechu. Za duży, żeby go bezpiecznie nosić, pomyślała gorzko. Sięgnęła w stronę zapięcia i zawołała: – Weź go. Jest wiele wart. Zabierzcie swój łup i wynoście się z mojego domu, do cholery.

Jej palce wciąż walczyły z zapięciem łańcuszka, gdy rozerwał jej bluzkę do samej talii.

Rzucili się na nią niczym stado wilków. Jej jedyną bronią była cicha litania: Susie, Susie, dobry Boże, dopomóż mi być cicho dla Susie. Chwycili ją z tyłu za ramiona. Susie. Unieśli do góry nogi, rozebrali i rozsunęli szeroko. Susie, Susie. Upadła na mokrą kamienną podłogę. Czarny kaptur zsunął się z głowy.

Patrzyła w próżnię. Drgnęła na widok wąskich ust wiedząc, że nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Z oczu jej popłynęły łzy, lecz nie odważyła się głośno zapłakać.



Usta wykrzywiły się. Uderzenie ją oszołomiło.

Nie całkowicie. Poczła rozdzierający ból towarzyszący wymuszonej penetracji.

Poczła go ponownie. I znowu. Ile jeszcze będzie musiała wytrzymać?

– Ej, patrzcie, prawdziwa blondynka!

Gapili się, wyli i krzyczeli nad nią. Ktoś protestował, wołał, żeby przestali – żaba?

Uniosła lekko głowę, w chwili gdy błysnął flesz aparatu.

Błyski i wycie. Ona sama też chciała wyć! Zaczęła tracić świadomość.

Ocknęła się, słysząc wybuch śmiechu i „kwi, kwi”.

– Kermit! To Kermit Żaba! – po chwili – Mamo, Mamo! – Jej płacz rozległ się niczym opóźniona syrena alarmowa.

Kiedy usłyszała płacz, słuchawka wypadła jej z rąk. Rozległo się przytłumione uderzenie o dywan. Podniosła ją.

– Sarah, na miłość boską, powiedz mi, co się dzieje!

Nikt jej nie odpowiedział, jedynie rycząca muzyka disco oraz to dziwne, powtarzające się wycie. Ale słyszała głos Susie, mamroczący coś o jakiejś żabie i... termicie? Wykrzyknęła imię Susie do słuchawki. Zawołała Sarah.

Słyszała głos córki. Słyszała jej wściekłość.

– Nie! Proszę. Nie w rocznicę mojego ślubu! Dostałeś brylant, do cholery! Czego jeszcze chcesz...?

Wrzask – powoli słabnący.

Kiedy kolejny raz upuściła słuchawkę, usłyszała własny płacz. Rozłącz się, powiedziała do siebie. Wezwij pomoc. Ale jak ponownie połączy się z Sarah? Słyszała płacz dziecka, tuż przy telefonie.

– Niech ktoś uciszy tego pieprzonego bachora! Pochlipywanie – niższy głos. Sarah? Boże, proszę! Sarah?

– Lepiej się stąd zmywajmy!

– Zamknij mordę i rób te cholerne zdjęcia.

– Hej, czy ktoś ma ochotę na pieczoną świnkę?

– Odłóż te szczypce! Nie róbcie krzywdy mojemu dziecku!

– Zostawcie je obie w spokoju! Nie róbcie im krzywdy!

– Zamknij ryj, już ci mówiłem! Zetrzyj te odciski, kretynie.

– Mamo, mammo, mammo!

– Wszystko w porządku, córeczko. Mama już idzie. Już dobrze. Sarah. Tak blisko, że niemal mogłaby sięgnąć przez kabel i dotknąć jej. – Sarah.

Wydobyła z siebie tylko szept.

– Sarahhhhhhhhhhh!

– Zobacz, co z tym telefonem! Hej chłopaki, ktoś nas podsłuchuje!

– Skurwysyn!

– ...bój się, Susie, kochanie, wszystko będzie...

Głos dochodzący ze słuchawki urwał się w pół słowa. Suchy zgrzyt. Spojrzała zdumiona na słuchawkę. Co to było?

– Słyszysz to, pieprzony frajerze? Nasłuchaj się do woli. Następnie do jej uszu doleciały ostre, powtarzające się okrzyki, wycie, jakie wydają Indianie wstępujący na wojenną ścieżkę. Połączenie zostało przerwane.

Kiedy dodzwoniła się na posterunek policji w Bedford, była spokojna. Zachowałaby pewnie spokój, gdyby nie marnowali cennego czasu, obsypując ją pytaniami – kto dzwoni? skąd dzwoni? – w kółko to samo, aż musiała wydrzeć się na nich, żeby zamilkli, i nie mogła już powstrzymać się od płaczu.

– Jestem jej matką!

## Rozdział 1

Właściwie nigdy nie przepadałam za policją. Zbyt beztrosko obchodzą się z noszoną przy pasku bronią. Każdy napotkany mundurowy to zazwyczaj typowy wieśniak.

Podobnie oceniałam policjantów z Bedford, wieśniacy. Zbyt długo trzymali Sarah u siebie. Zanim nam ją wydano, było już prawie ciemno. Tyle zmarnowanego czasu. Chciałam ją zawieźć na Manhattan, pragnęłam zostać z nią sama. Oczywiście Sarah nie miałaby zapewne nic przeciwko obecności swojego męża czy ojca, po prostu chciałam być sama.

To samo czułam przez cały następny ranek – traktowałam ich jak intruzów. Zagubiony Mark snuł się po domu z przygnębioną miną. Allan, z zaciśniętymi ustami i bez jednej zmarszczki na czole, starał się zachować spokój. Gdybym tylko została z nią sama. Sam na sam z moją piękną Sarah.

– Karen, już czas.

Zerknęłam na Allana – dostojnego i zniecierpliwionego.

– Zobacz, co zrobiłam z jej sukienką – odezwałam się bez sensu, sięgając ręką, próbując wygładzić materiał. Sztuczny gest pobożnie złożonych rąk napawał odrazą.

Allan chwycił mnie i odciągnął.

– Nie możemy kazać gościom czekać – rzekł zdenerwowany. Pragnęłam go uderzyć. Chciałam zerwać mu krawat i zburzyć starannie ułożoną fryzurę. Pozwoliłam poprowadzić się do drzwi.

Moja przyjaciółka Claudia podeszła pierwsza; zawsze jest pierwsza, gdy jej potrzebuje.

– Taka strata – wykrztusiła, a w ciemnych oczach krył się gniew; przed chwilą płakała. – Boże, cóż jeszcze mogę powiedzieć?

– Nie mów nic.

Stała przy mnie niczym wartownik, podczas gdy ja ścisnęłam dłonie i dziękowałam skinieniem głowy za mamrotane pod nosem kondolencje. Czułam się jak osierocona hostessa na balu dobroczynnym. Przez moment nienawidziłam tych ludzi, przyciszonych głosów, opuszczonych oczu.

Obserwowałam ich, gdy podchodzili do Sarah. Przyglądali się jej nie tylko z żalem i smutkiem. Wiedziałam, co czuli. Byli zażenowani, lecz odczuwali ulgę – ich rodziny nie doznały uszczerbku. Widziałam też strach – przemoc otarła się o ich domy.

Zauważyłam ukradkowe spojrzenia rzucone w stronę Claudii. Jej sztywna postawa zdradzała, że nie umknęły one także jej uwadze.

Matka Marka rozpaczała. Przez zapuchnięte powieki rzucała nerwowe spojrzenia na syna, który krążył dookoła niczym samotny rozbitek i nie tyle witał, ile raczej wpadał na przybyłych.

Jego matka ubrana była całkowicie na czarno – żadnej biżuterii, nie założyła nawet złotego

łańcuszka, którego właściwie nigdy nie zdejmowała.

– W centrum to co innego – powiedziała cicho do mężczyzny o twarzy przypominającej sowę – ale żeby na przedmieściach? – Mężczyzna, ciągnąc się za ucho niczym za sznur na dzwonnicy, mruknął coś o tracących na wartości złocie i srebrze.

Srebrna zastawa.

– Zamierzasz mi tu zemdleć? – Claudia wydawała się zaniepokojona.

– Czuję się dobrze – skłamałam. – Po prostu coś mi się przypomniało. Przez myśl przemknęły mi słowa detektywa z wydziału zabójstw, skierowane do mnie i Allana. „Wasza córka otrzymała cios z tyłu. Nożem kuchennym. Miałyby szansę przeżycia, gdyby napastnik uderzył w plecy albo w łopatkę, wtedy ostrze mogłoby ześlizgnąć się po kości. Zabójca zadał głęboki cios z prawej strony, nieco poniżej żeber”.

– Nie wiem, kto wygląda gorzej, ty czy Mark.

Przyglądałyśmy się Markowi próbującemu zrzucić z siebie ten ogromny ciężar.

– Zbyt długo był kawalerem – powiedziałam cicho. – Całe jego życie obracało się wokół Sarah. – Skrzywiłam się. Lepiej by było, gdyby nie zdejmował okularów i przestał pocierać nasadę nosa. Gest ten zdradzał brak odporności na stres.

Claudia zmarszczyła brwi.

– A oto najnowsza zdobycz Allana.

Wyciągnęłam dłoń w stronę blondynki ubranej w czarną suknię wieczorową.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani moja obecność – odezwała się, podając mi rękę.

Rozwiodłam się z mężem przed sześciu laty. Dlaczego miałyby przeszkadzać mi jej obecność? – przemknęło mi przez myśl.

Ruszyłam się z miejsca. Podeszłam do znajomych, których nie widziałam od czasu rozvodu, do tych, z którymi spotkałam się przed trzema dniami, do ludzi, których nazwisk nigdy nie udało mi się zapamiętać. Dotarły do mnie ciche głosy składające kondolencje – miałam już tego dość.

Uciekłam w stronę kolegów z pracy. Szukałam zwykłej, bezosobowej grzeczności, nie mogąc już znieść nadmiernej troski przyjaciół. Przy każdej innej okazji obecność znajomych z pracy obraziłaby wszystkich innych – szczególnie Claudię. Pracownicy agencji public relations są „cholernymi obłudnikami”, łątającymi nadszarpniętą reputację klientów lub naciągającymi ludzi na kupno rzeczy, których ci wcale nie potrzebują. Jednak nie dzisiaj.

Zauważyłam jej spojrzenie. Zrozumiała moje intencje, jakby czytała w myślach, i ruszyła pomiędzy gości, powoli kierując ich w stronę wyjścia.

Bolało mnie, że czynność ta wymagała od niej takiego wysiłku – nieśmiałe ruchy równie niezdarne jak nietypowe. Bez przerwy przeczesywała czarne włosy swymi długimi palcami, jak gdyby zapomniała grzebienia. To nie była okazja, przy której Claudia pragnęłaby się wyróżnić.

Po raz ostatni zatrzymałam się przy trumnie. Piękna, powiedział do mnie czyjś głos. Pełna spokoju. Istota leżąca tak nieruchomo emanuje spokojem.

Claudia pojawiła się przy mnie i położyła nasze dłonie na splecionych dłoniach Sarah.

– Pożegnamy się wspólnie – powiedziała.

Dotknięcie poruszyło skrzyżowane na piersi ręce Sarah. Jej prawa dłoń nie była już ułożona na lewej w pobożnym geście, lewa nie była już przykryta. Za moimi plecami ostrzegawczy okrzyk Allana złał się w jedno z krzykiem Sarah.

„Nie! Proszę. Nie w rocznicę mojego ślubu! Dostałeś brylant, do cholery!”

Odcięli jej palec. Próbowwała ocalić złotą obrączkę ślubną ozdobioną maleńkimi brylantami, a oni dla kawałka złota odcięli jej palec.

Allan wziął mnie pod rękę i wyprowadził z kaplicy domu pogrzebowego. Bez przeszkód dotarliśmy do holu, poczułam świeże powietrze, słońce... błysnęły flesze. Zobaczyłam mnóstwo twarzy przyglądających mi się z uwagą.

– Oni... oni okaleczyli moją córkę – odezwałam się.

Opuszczone aparaty. Milczenie. Zrobiło się tak cicho, że ponownie usłyszałam agonię Sarah. I coś jeszcze, o wiele gorszego. Cóż takiego jeszcze słyszałam wtedy przez telefon? „Słyszysz to, pieprzony frajerze? Nasłuchaj się do woli”.

– Potwory – powiedziałam wzdrygając się, po raz pierwszy wyrzuciłam to z siebie. – Pozwolili mi wsłuchiwać się w ostatnie tchnienia córki.

Widziałam rząd ramion zeszywniałych w szoku. Z moich spadł ogromny ciężar.

Allan pomógł mi włożyć płaszcz. Jego błękitne oczy wypełniał nieukojonny ból. Mark sprawiał wrażenie, jakby jakiegokolwiek słowa całkowicie straciły na znaczeniu.

Ktoś spytał o formalności pogrzebowe.

– Queens – wydusiłam z siebie i rozplakałam się. – Pochowamy córkę w Queens.

Allan poprowadził mnie do czekającej limuzyny. Moje spojrzenie napotkało dziwnie zatroskany wzrok kierowcy.

Usiadłam pomiędzy Allanem i Markiem, walcząc z klaustrofobią oraz dziwnym wrażeniem, iż mężczyzna w czapce szofera ma oczy z tyłu głowy i wpatruje się we mnie.

Cokolwiek zaprzętało jego myśli, w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało w prowadzeniu samochodu – z dużą prędkością, lecz ostrożnie. W gęstym ruchu szybko zgubiliśmy kondukt żałobny. Gdy tylko limuzyna zatrzymała się, wysiadłam, by samotnie poczekać na zewnątrz.

Chciałam popatrzeć na drwiący błękit nieba – oczy Sarah, zamknąć swoje przed promieniami słońca... i zobaczyć złote włosy córki.

– Ujdzie im to na sucho.

Odwrociłam się. Kierowca trzymał w ręku swoją czapkę szofera, jak gdyby należała do kogoś innego.

– Nazwała ich pani potworami – powiedział. – My mamy inne określenie – Barbarzyńcy.

Trochę czasu zajęło mi odzyskanie panowania nad sobą. Przez moment byłam przerażona.

– My? – spytałam nieśmiało, nie odrywając wzroku od czapki.

– Ujdzie im na sucho rabunek oraz zbiorowy gwałt. Okaleczenie. Nawet morderstwo. Chyba że...?

– Chyba że co?

– Może się pani odegrać. Pomścić swoją córkę. Wszystko zależy od pani.

Był wysokim, szczupłym i właściwie niepozornym mężczyzną o oczach, w których nie można było nic wyczytać. Miał opaloną twarz jak człowiek często przebywający na powietrzu, a jego przygładzone, spalone słońcem włosy były niemal białe.

– A więc wciela pan w życie zalecenia *Księgi Wyjścia*? – zakpiłam. – Oko za oko, ząb za ząb.

– Również Dantego. „Wodzu, myśl moja zaniepokojona, że jego gwałtem z żył wypruta dusza, od uczestników hańby niepomszczona, wzgardą się na mnie należną obrusza”.\* [Cytaty z *Boskiej Komedii* Dantego w przekładzie E. Porębowicza.] Nie mszcząc się na mordercy, pani Newman, zdradzamy zamordowanych. Proszę to wziąć – powiedział, podając mi małą karteczkę.

Był na niej numer telefonu.

– To śmieszne! – odrzekłam.

– Naprawdę? – Zmierzył mnie wzrokiem. – Ciekawe, co zwycięży, pani poczucie humoru... czy poczucie sprawiedliwości?

Zawołałabym policjanta, gdyby jakiś znajdował się akurat w pobliżu.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i odszedł.

Ruszyłam w poszukiwaniu Claudii. Stała u mego boku już nie jak wartownik, lecz raczej jako ktoś, na kim mogłam się wesprzeć. Zrobiłam to.

Znów zeszywniała, zaciskała szczęki, jak gdyby zamierzała odpierać ciosy. Detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Sarah powiedział: – „To zapewne dzieciaki”. Moja czarnoskóra przyjaciółka Claudia myśli teraz pewnie, że prawdopodobnie czarne. A ilu innych czarnych, biorących udział w pogrzebie, też się nad tym zastanawia?

Kiedy zaczęli opuszczać trumnę, utkwiałam wzrok w Allanie. Pragnęłam, by odwrócił to, co nieodwracalne, by chwycił mocno naszą córkę i wydobył ją z grobu. Żeby ich zatrzymał!

W końcu dojrzałam w oczach Claudii przyjaźń, miłość oraz żal po stracie, uczucia te wyryte były w jej twarzy.

Łopaty pełne ziemi. Dźwięk, jego bezwzględna ostateczność była nawet gorsza niż widok piasku uderzającego w trumnę. Zaciśnęłam pięści w geście protestu. Kiedy je otworzyłam, upuściłam pogniecioną karteczkę... spojrzałam w dół i zobaczyłam, jak spadając zabiera swój sekret do grobu.

Zamiast limuzyną wolałam wracać razem z Claudią. W drodze do samochodu przechodziłyśmy obok bandy młodzików ubranych w dżinsy i skórzane kurtki – niezmordowanych, z dumą kroczących dzieciaków o niezamykających się ustach oraz twarzach pozbawionych wszelkiego wyrazu. Po prostu dzieci, nie ma się czego bać, powiedziałam sobie, skupiając wzrok na potężnie zbudowanym chłopcu z czystymi paznokciami i brązowymi lokami.

Jednak przez moment znowu poczułam przerażenie.

Patrzyłam przez okno, właściwie nie zauważając przemykających drzew i domów,

zadowolona z braku bólu i napięcia. Pozostało tylko ściskanie i rozluźnianie pięści. Wetknęłam dłoń do kieszeni.

Wewnątrz wymacałam przedmiot, którego nie powinno tam być. Oprócz paru krakersów przeznaczonych dla bezdomnych kotów, które często spotykam, wyczułam coś małego, prostokątnego. Wizytówkę?

Claudia oderwała wzrok od autostrady.

– O co chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia – skłamałam i wsunęłam kartonik z powrotem do kieszeni, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego jej nie powiedziałam.

Nie powiedziałam czego? Że jakiś wieśniak przypominający kowboja i mówiący jak prostak wetknął mi swój... bilet wizytowy?

Jakaż to wizytówka. Bez nazwiska. (Moje znał!) Bez telefonu. Tylko trzy słowa wydrukowane ozdobną gotycką czcionką. STOWARZYSZENIE ANONIMOWYCH OFIAR.

Brzmiało całkiem niezłe.

## Rozdział 2

Manhattan pełen jest syren, prawdziwej inwazji dźwięków, przenikających się ponad horyzontem niczym krzyżujące się światła reflektorów. Człowiek powoli przestaje na nie zwracać uwagę.

Chyba że chodzi o śpiące dziecko. Wstałam, żeby sprawdzić. Nie poruszyła się, ramiona szeroko rozpostarte, jedwabiste włosy rozrzucone na poduszce o kształcie gigantycznego strąka z wyhaftowanym na różowo imieniem „Susie”. Moje dłonie zaczęły wykonywać automatyczne ruchy – nakryłam dziecko kołdrą, wygładziłam, poprawiłam poduszkę, nagle cofnęłam się ogarnięta wspomnieniami z odległej przeszłości. To dziecko Sarah, nie twoje. Nie można wrócić do tamtych czasów.

Kiedy znalazłam się w salonie, co chwila zerkałam na zegar. Mark i te jego wieczorne zajęcia. Cieszyłam się jednak, że po wystawieniu na sprzedaż wiejskiego domu, powrócił do nauczania i zamieszkał w Nowym Jorku. Mieszkanie jego matki znajdowało się daleko i jej nieobecność pozwalała mi spędzać czas z wnuczką.

Dzięki temu to przetrwałam ostatnie dwa tygodnie.

Sięgnęłam po gazety, których widoku unikałam przez cały wieczór. Oderwałam wzrok od lektury z powodu silnie pulsującej krwi w skroniach, miałam wrażenie, że czytane słowa wyciskane były z mojego mózgu.

Widok wiszących na całej ścianie zdjęć zmusił mnie do wstania – rodzinna galeria. Przez ostatnie dwa tygodnie ściana ta przyciągała mnie niczym magnes. Usłyszałam kroki Marka w holu, spojrzałam na ulubioną fotografię. Aparat uchwycił charakterystyczny dla jego twarzy wyraz niewinności, zafascynowane spojrzenie tak rzadkie u mężczyzn po trzydziestce.

Człowiek, który wszedł, był kimś innym. Przygarbione plecy, pod oczami przypominające sińce ciemne łuki, powiększone przez okulary w metalowych oprawkach; wyglądał jeszcze gorzej, gdy je zdjął.

– Rozmyślałem o wrogach – powiedział, wchodząc do salonu i siadając naprzeciwko mnie. – Moich, mojej małej córeczki, Sarah. – Jego wzrok przebiegł po pokoju, prześlizgując się po znajomych przedmiotach – kanapie, obrazie, lampce nocnej – jak gdyby nic nie było w stanie zatrzymać go choćby na kilka sekund. – Karen, nie potrafię znaleźć sobie wroga, kogoś, na kogo mógłbym rzucić winę. Nie mogę nawet znaleźć powodu. Czuję tylko strach.

– Ja jestem przerażona bez przerwy od czasu pogrzebu.

– Czym?

Nie umiałam mu odpowiedzieć.

– Boję się o Susie. Jestem za nią odpowiedzialny. – Zdjął okulary. – Cóż ja jej powiem o tym świecie? – Bezskutecznie próbował wytrzymać moje spojrzenie. – Cóż mogę jej zagwarantować?



Jego udręka przypomniła mi o własnej.

– Musisz zrozumieć jedno – powiedziałam, odwracając wzrok. – W chwili gdy wydajesz na świat dziecko, obiecujesz mu dwie sprzeczne rzeczy: dać w posiadanie cały świat i jednocześnie chronić je przed nim. W wypadku Sarah, Mark, moja odpowiedzialność zawiodła. Zmuszona byłam złamać daną obietnicę. Ty nie będziesz.

Przeszedł przez pokój i objął mnie płacząc.

– Nowy Jork to agresywne miasto, moje panie. Ponad dwieście szczególnie bestialskich aktów przemocy każdego dnia. Wystarczy zaledwie parę sekund, by stracić życie.

Witamy w Szkole Samoobrony Angeli Russo, pomyślałam ponuro, marszcząc brwi na widok naszej instruktorki – emerytowanej policjantki o kształtach godnych Amazonki. Podczas gdy ona zagłębiała się w szczegóły dotyczące „twardych” i „miękkich” sztuk walki, moja uwaga powędrowała w kierunku rzędu przedmiotów przypominających worki z cementem. Worki treningowe?

Obejrzałam w lustrze swoje przesiąknięte potem body – strój treningowy tancerki. Doszłam do wniosku, że powinnam raczej włożyć wojskowe moro, o wiele lepsze do kopania, bicia i miażdżenia przeciwnika. Zerknęłam na stojącą po drugiej stronie Claudię. Doskonałe ćwiczenia, zapewniała mnie, niektóre z nas bardzo tego potrzebują. Wysoka, giętka była tancerka zadała niski cios, jakby nie wiedziała, że niektóre z nas mają zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu i przez całe życie walczą z nadwagą.

Instruktorka zakończyła demonstrowanie „ataku” i pokazała nam, w jaki sposób wrzaskiem wytrącić napastnika z równowagi. (Nazywa się to krzyk ducha.)

Postanowiłam przyjrzeć się rzędowi ciężkich worków. Niesamowicie szczupła kobieta okrążała jeden z nich, jak gdyby był człowiekiem. Kiedy rzuciła się nań z krzykiem, spytałam ćwiczącej naprzeciwko mnie dziewczyny:

– Co jej się stało?

– Została zgwałcona – szepnęła.

Waląc w stukilogramowy worek, wydała z siebie głośne: „Kiaiiiiiiiiii!” Krzyk ducha?

Worek wciąż jeszcze się kołysał. Podeszłam do niego z zaciśniętymi pięściami. Próbowałam unieść je do góry, lecz zdawały się przykute do mych boków. Zauważyłam, że instruktorka mnie obserwuje. Także Claudia. Dałam jej znak, że chcę wyjść.

Na zewnątrz opowiedziałam przyjaciółce, że nie mogłam się poruszyć. Bez żadnej przyczyny!

– Może powinnaś pójść do psychoanalityka – powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Może mam alergię na worki treningowe.

– Zabawne. Co powiesz na wspólny lunch? U mnie czy u ciebie?

– U Marka? W soboty jest w domu, przy dziecku.

Wstąpiłyśmy do baru po kanapki, a potem wzięłyśmy taksówkę. Ponieważ Mark nie

otworzył, mimo że dzwoniłam, skorzystałam z własnego klucza.

– Lubi uciąć sobie drzemkę razem z małą – wyjaśniałam, podczas gdy Claudia ruszyła z zakupami w stronę kuchni.

Uśmiechnęłam się na widok znajomej scenki. Mark spał mocno, trzymając w ramionach córeczkę. Podniosłam koc, by przykryć ich oboje, i pochyliłam się, żeby dać Susie buziaka – delikatnego, bo nie chciałam zbudzić śpiącej królowny.

Jej policzek był zimny.

Sięgnęłam, by dotknąć policzka Marka, lecz moja dłoń zatrzymała się na jego ustach. Zawołałam Claudię.

– Mark nie oddycha – wychrypiałam, kiedy nadbiegła.

Podeszła do niego.

– Susie jest zimna – dodałam, wyciągając rękę w stronę dziecka. Odtrąciła moją dłoń.

Osunęłam się na podłogę i obserwowałam, jak Claudia sprawdza najpierw puls Susie, a potem Markowi. Spojrzała na mnie i pokręciła głową.

Mark nie żyje?

– Susie – wyszeptałam – tylko nie Susie. Nie zrobiłby... Wciąż kręciła głową.

Zostałam na podłodze, nie pozwalając posadzić się na krześle ani wynieść z pokoju. Słyszałam każde słowo wypowiedane przez Claudię, kiedy z telefonu w sypialni dzwoniła na policję. Przyglądałam się jej, jak podnosi jakieś płożożółte koperty leżące na biurku zięcia. Podała mi jedną z nich.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Poderwałam się z krzykiem.

– Nie otwieraj!

Claudia ubiegła mnie i wpuściła umundurowanych policjantów.

– Nie pozwól im zabrać Susie! – wrzeszczałam na nią.

– Tego użył? – spytał jakiś głos – policjant trzymający buteleczkę po pastylkach.

Claudia skinęła głową i policjant zniknął w drzwiach sypialni. Próbowałam pójść za nim, zatrzymać go, lecz Claudia nie pozwoliła. Przypomniałam sobie o płożo-żółtej kopercie trzymanej w dłoni. Widniało na niej moje imię. List pożegnalny Marka? Porwałam ją. Przyjaciółka posadziła mnie. Płakała cicho.

– Karen, oni nie żyją. Susie umarła.

Spojrzałam na nią. W moich oczach nie było łez.

– Ja też.

## Rozdział 3

Teraz są już trzy nagrobki. Wyglądałam przez okno jednego z nowojorskich drapaczy chmur, czując się, jakbym wciąż była w Queens, jak gdybym ciągle widziała trumnę Marka opuszczaną do grobu. I Susie... taka potwornie mała trumienka.

– Już po wszystkim – odezwał się stojący za mną Larry, mój szef. Odwróciłam się. Jego widoczne zza rogowych oprawek oczy miały mój ulubiony brązowy kolor. Były błyszczące i ciepłe, szeroko otwarte, wyrażające troskę.

Delikatnie ujął mnie za ramię.

– Może chciałabyś wziąć trochę wolnego?

Zadziwiająca propozycja w ustach zwolennika dwunastogodzinnego dnia pracy. Zapewne słyszał o mojej hysterii, domyślał się walki, jaką toczyłam z ogarniającą mnie depresją. Pokręciłam głową i trochę się cofnęłam. – Dlaczego nie wypędzisz stąd tych wszystkich ludzi? – sprawiał wrażenie urażonego. – Przepraszam, Larry – dodałam. To było naprawdę miłe z jego strony, że zgodził się przemienić dla mnie swoje mieszkanie w miejsce azylu po pogrzebie. W żadnym wypadku nie zniosłabym powrotu do domu.

Rozejrzałam się i zauważyłam jedyną prócz Claudii osobę, z którą w danej chwili mogłam porozmawiać – naszego przyjaciela Rogera. Na jego twarzy malowała się troska, ale widać było, że nie chce się narzucać, pocałowałam go w porośnięty gęstą brodą policzek. Pierwsze dotknięcie innej osoby, na jakie pozwoliłam sobie tego dnia.

– Straciłaś na wadze – powiedział z przyganą w głosie. – Popatrz no tylko na te sińce pod oczami. Czy ty w ogóle sypiasz?

– To wina ciemnej karnacji – odcięłam się.

Jego marynarka rozchyliła się, ukazując przypięty do paska rewolwer. – Widać pańską broń, doktorze Stern.

– Dzięki – odrzekł z zawstydzeniem.

Zapinał właśnie marynarkę, kiedy przyłączyła się do nas Claudia.

– Nie mogłeś zostawić tego w samochodzie? – mruknęła.

– Żeby mi ukradli? W czwartki chodzę do klubu strzeleckiego – zwrócił się do mnie przeproszającym tonem.

– Może powinnam się tam kiedyś wybrać z tobą – zażartowałam.

– Nie do mojego klubu. Nie ma tam kącików dla zakochanych ani pluszowych dywaników.

– Żadnego *haute decor*? – spytała uszczypliwie Claudia.

Skrzywił się.

– Opiszę go wam. Strzelnica mieści się w zaadaptowanej piwnicy przepełnionej smrodem śmieci. Przychodzi tam grupka twardzieli lubiących się wyróżniać i porównywać swoje

osiągnięcia. – Zmarszczył czoło. – Karen, nie zamierzasz chyba zacząć nosić broni?

– Groziła ostatnio, że kupi sobie strzelbę. – Claudia zaśmiała się.

– Każda niezamężna kobieta, jaką znam, trzyma tasak w szafeczce nocnej lub gaz łzawiący w torebce – warknęłam. – Nieprawdaż, Claudio?

Łaskawie przytaknęła mrugnięciem powiek.

– Uległyśmy zbiorowej psychozie i zdaje się, że ty też, Rog – powiedziała. – Ginekolog noszący rewolwer?

– Mam zezwolenie. Do licha, przecież w gabinecie przechowuję narkotyki. Wiesz, jak w tym mieście rozpanoszyło się bezprawie – odparł, wykrzywiając usta.

– A ty wiesz, że nie lubię broni – odrzekłam. – Tak sobie tylko czasem myślę, że powinnam nauczyć się strzelać.

– Lepiej kup sobie zatyczki do uszu – ostrzegł. – To hałaśliwa zabawa.

– Niezwykle hałaśliwa – odezwał się beznamiętny głos, który natychmiast rozpoznałam.

– Nie sądziłem, że będzie mnie pani pamiętać – powiedział, gdy się odwróciłam.

– Czemu nie? – spytałam, przyglądając mu się dokładniej. – Minęło zaledwie dziesięć lat. – Ubrany był w ciemny garnitur okryty szarym płaszczem, spod którego wystawał ciemnozielony krawat. Przez moją pamięć przemknął cały szereg krzykliwych krawatów. – M. McCann, agent FBI – przedstawiłam przybysza. – Proszę poznać Claudię Cole i doktora Rogera Sterna.

Na prezentację odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Zastanawia się pani pewnie, po co przyszedłem. – Ujął moją dłoń.

Zdziwiłam się, że to zrobił.

– Kiedy przeczytałem o pani córce, zadzwoniłem do Larry’ego – powiedział. – Straciła ją pani w taki sposób. A potem jeszcze wnuczkę.

Był na tyle delikatny, że nie wspomniał o zięciu, który ją zabił.

– Dziękuję za odwiedziny, panie McCann.

Claudia wyczuła, iż jestem bliska płaczu.

– A więc twierdzi pan, że kluby strzeleckie są hałaśliwe – zwróciła się do niego, próbując skierować rozmowę na mniej bolesne tematy. – Czy są również niebezpieczne?

– W żadnym wypadku. Początkujący otrzymują regulamin strzelnicy oraz szczegółowe instrukcje. Wygłupy i nieostrożne obchodzenie się z bronią są niemile widziane. Doktor Stern ma rację, jeśli chodzi o zatyczki do uszu.

– Ja wolę raczej gaz łzawiący w sprayu – zażartowała Claudia. Razem z McCannem wymienili uśmiechy. Odwracając się do Rogera tyłem, rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie. „Interesujący mężczyzna!”

Nie mogłam się z tym całkowicie zgodzić, lecz skoro poruszyła już tę kwestię, poświęciłam trochę czasu, by obejrzeć sobie, co ostatnie dziesięć lat zrobiło z moim dawnym przeciwnikiem. Patrząc od dołu niewiele, musiałam mu to przyznać. Wysoki, dobrze zbudowany, brak typowych dla średniego wieku wypukłości. Proste, płowe włosy osłaniały część szerokiego czoła; czy

wciąż odgarniał grzywkę podczas zacieklej dyskusji? Jego przymrużone niebieskie oczy lekko zezowały, jak gdyby koncentrowały się na jakiejś odległej prerii zamiast na gęsto upakowanych, pograżonych w smogu drapaczach chmur. Nie jest w twoim typie, Claudio. Czy przypadkiem nie pochodzi z Kokomo, Sioux City albo jakiejś podobnej dziury?

– Jeśli poważnie myśli pani o nauce strzelania – powiedział McCann – z przyjemnością zostanę nauczycielem. Proponuję pnie drzew zamiast papierowych tarcz na mechanicznych przewodnicach. Mój przyjaciel ma kawałek ziemi.

– Myślę, że nie skorzystam. Czy nie musi pan wracać do Waszyngtonu?

– Jutro jest sobota. W weekendy jestem panem własnej duszy.

– Nie wiem, czy powinnam się obrazić, czy ma mi pan imponować – odparłam, niemalże uśmiechając się. – Jakżeż można pamiętać obelgę sprzed dziesięciu lat?

Uśmiechnął się pogodnie.

– Powiedziała mi pani: „FBI zniewoliło pańską duszę”.

– Jest pan wciąż żonaty, McCann? – spytałam, próbując sobie przypomnieć, czy nosił obrączkę. Jego dłonie schowane były w kieszeniach płaszcza.

– Straciłem żonę cztery lata temu.

– Rozwiodłam się z mężem przed sześciu laty – wyrwało mi się.

Obejrzał się na Allana.

– Tak też powiedział mi Larry. Wygląda pani na osobę potrzebującą krótkiego wyjazdu na wieś. Zobaczmy. – Podeszedł do okna, wychylił się i zaczerpnął głęboko oddech manhattańskiego powietrza. – W hrabstwie Rockland jest lepiej. Zaadaptowana piwnica przepelniona smrodem śmieci też się nie umywa.

– Zwyciężył pan – odparłam, pozwalając sobie na uśmiech. – Dać panu swój adres?

– Nie, chyba że przeprowadziła się pani w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. W południe. Wygodne ciuchy. Pusty żołądek. Zwięzłość – powiedział, udając powagę – to cechy dobrego agenta FBI.

Jeszcze raz uściskał moją rękę. Pomachał Larry’emu na do widzenia.

Podeszedł Allan. Krępy, palący fajkę mężczyzna u jego boku wydawał się znajomy. Kiedy wyciągnął do mnie swoją wielką łapę, przed oczyma błysnęła mi scena powitania w biurze oraz jego nazwisko. Donahue. Zastępca prokuratora okręgowego, stary przyjaciel Allana.

– Potwierdziły się, hm, nasze podejrzenia, iż mordercami waszej córki nie był nikt z miejscowych – odezwał się Donahue. – Wygląda na to, że przyjechali do Westchester z Bronksu – ponownie zajął się swoją fajką.

– Policja odnalazła srebra Sarah oraz nieco biżuterii – poinformował mnie Allan, jego zazwyczaj blada twarz pokryła się rumieńcem.

– Zajęło wam dwa tygodnie, żeby odnaleźć nóż, którym zabito moją córkę? – zawołałam, przekraczając jego słowa. – A co z ludźmi, którzy użyli go przeciwko niej, panie Donahue? Czy macie chociaż jakiś ślad?

– Wiem, co pani czuje – odrzekł niezbyt przekonująco.

– Nic pan nie wie, do cholery.

– Karen, proszę. – Allan zacisnął usta, jego wzrok przeskakiwał to na mnie, to na prokuratora.

Donahue zauważył jego spojrzenie i odchrząknął.

– Allan powiedział mi, że nie zgodziła się pani na wizytę u mojego kolegi psychoanalityka – odezwał się, patrząc cały czas przed siebie.

– Allan jest radcą prawnym, a niepraktykującym lekarzem.

– Mój przyjaciel ma duże doświadczenie w leczeniu podobnych lęków.

– Chorzy, panie Donahue, są ci, którzy zabili moją córkę. A jeśli chodzi o moją psychikę...

– To oczywiście pani sprawa – odparł, błyskawicznie domyślając się, co chciałam powiedzieć.

– Pańskim zadaniem jest doprowadzić morderców Sarah przed oblicze sprawiedliwości.

Fajka prokuratora zapewne zgasła; stuknął nią teraz o wewnętrzną część dłoni. Odwróciłam się do nich plecami, musiałam. Allan nie potrafił czytać w myślach, ale Donahue, kto wie? Nie chciałam, żeby zorientował się, o czym myślę.

Jeśli wy nie załatwicie sprawy, poznałam kogoś, kto twierdzi, że potrafi.

## Rozdział 4

– Coli?

McCann podał mi puszkę, żebym popiła jajko na twardo.

Ubrany był jak na piknik: w dżinsy, koszulę w kratę, błękitną wiatrówkę z widocznymi z przodu załamaniem, jak gdyby przed chwilą wyjął ją z pudełka. Nie włożył kowbojskiego kapelusza, czoło okrywały mu jedynie włosy. – Claudia byłaby zawiedziona. Przyglądał się moim czarnym spodniom i garsonce w taki sposób, jakby chciał zakomunikować, że chyba nie usłyszałam jego wzmianki o wygodnych ciuchach. Do licha, przecież włożyłam czerwoną bluzkę z dekoltem, może nie?

– Opowiadałam mojej przyjaciółce Claudii, w jaki sposób się poznaliśmy – odezwał się. – Nie potrafiła sobie wyobrazić, by agent FBI mógł być dawnym klientem firmy Kemp & Carusone.

– To dawne dzieje. Dlaczego zerwała pani ten kontrakt?

– Sprytnie się pan tego domyślił, McCann – odparłam.

– Sprytniejszym posunięciem było skorzystanie z usług agencji public relations.

– Jak pan myśli, dlaczego przyczyniłam się do zerwania kontraktu? Nie zamierzałam pomagać wam w poprawie wizerunku mocno nadwerężonego przez okres klęsk i hańbiących czynów. Fakt, że naprzykrzanie się działaczom stojącym w obronie praw obywatelskich i zakładanie nielegalnych podsłuchów sprawia wam przyjemność, nie oznacza jeszcze...

– Ma pani zły zwyczaj wyciągania pochopnych wniosków dotyczących mojej osoby. To już zamierzchła przeszłość. Nie jestem z niej dumny. – Ton jego głosu mówił: „Nie każ mi za to przepraszać”. Odchylił się do tyłu, zamknął oczy i rozkoszował się słońcem.

Typowa twarz mieszkańca Środkowego Zachodu – ani śladu wpływu wiatru czy słońca. Gładka skóra, szerokie ramiona. Odwróciłam wzrok, gdy zaczęłam wyobrażać go sobie bez tej plecionej koszuli.

– A więc nowe FBI już nie gwałci naszych praw konstytucyjnych? – zadrwiłam.

Nawet nie mrugnął.

– Postępujemy zgodnie z przepisami.

– M. McCann, agent FBI – wyrecytowałam jego nazwisko. – Co oznacza owo „M”?

Spojrzał na mnie swymi błękitnymi oczyma.

– Max. Zdrobienie od Maxwell.

– Ukrywamy się za inicjałem, co, McCann?

– Można tak powiedzieć. – Wyciągnął się. – Maxwell brzmi zbyt literacko jak na agenta FBI.

Do licha, pochodzę z Minnesoty, a nie z zachodniego Manhattanu.

– Skoro takie imię nadawało się dla wydawcy Hemingwaya...

– Przyjechaliśmy tu, żeby prowadzić pojedynki słowne czy postrzelać? – spytał, rzucając leniwe spojrzenie w odpowiedzi na mój uśmiech. Wstał i sięgnął po opartą o pień dębu strzelbę, następnie podał mi ją razem z zatyczkami do uszu. – Nisko, oparta na brzuchu – powiedział. – To pozycja numer jeden.

Ziemię porastał mech, był kłujący i dziwnie odprężał.

– Ognia! – zawołał, ale nie przestawał żuć trzymanego w ustach źdźbła trawy.

Cyngiel pod dotykiem wydawał się gładki. Musiałam tylko lekko nacisnąć. Pociągnij za spust, Karen – powiedziałam w duchu. Mój wzrok koncentrował się na srebrnej lufie.

– Nie mogę – odezwałam się w końcu.

– Proszę spróbować z przykłąku. Na jednym kolanie.

– Pozycja numer dwa? – Klęknięłam, uśmiechając się. Czułam się niczym statysta grający w westernie.

– Ognia.

– Zaraz, tylko poprawię sobie zatyczki w uszach.

– Załamuje mnie pani. Proszę spróbować tego.

Wymienił strzelbę na swój rewolwer kalibru .38, kazał mi wstać i ująć go oburącz.

– Proszę się usztywnić – ostrzegł.

– Wiem, odrzut. – Nie byłam aż tak tępa, choć mogłam sprawiać takie wrażenie.

– Ognia – powtórzył po raz trzeci. Pociągnęłam z całej siły. Zbyt mocno.

– Ten rewolwer jest taki lekki! – powiedziałam.

– Jeszcze trzy razy. Jeden po drugim. Paf, paf, paf – rozległy się strzały.

– Jakżeż łatwo jest zabić... – zdumiałam się. – Prawda?

– Dlatego właśnie zwyczajni obywatele nie powinni bawić się bronią. – Odebrał swój rewolwer.

Oparłam się o pień dębu, nie byłam tak prosta jak stojąca tu poprzednio strzelba.

– A któż się bawi? – zażartowałam niepewnie. – Zdaje się, że śmiertelnie zraniłam tamtą brzozę.

Zgarnął kilka zeschniętych liści z rękawa mojej garsonki.

– Lubię, kiedy się pani śmieje.

– Dziękuję za lekcję, panie McCann.

– Czas wracać – odrzekł, rozumiejąc moje intencje.

W drodze powrotnej był nadszpiegowany, nawet pogwizdywał przez zęby (w sposób, jakiego nauczyłam się na nowojorskich ulicach). Kiedy jednak dotarliśmy na Manhattan, znowu stał się spięty.

Gdy zwróciłam mu na to uwagę, odciął się:

– Pani zareagowała tak samo.

– Kiedyś kochał pan życie w mieście – przypomniałam mu. – A teraz?

Przez chwilę zastanawiał się.



– Teraz podchodzę do tego z pewną ostrożnością. Tak jak mężczyzna, który uwielbia żonę, a jednocześnie podejrzewa ją o otrucie poprzedniego męża. A pani?

– Mieszkam tu już zbyt długo. Można chyba powiedzieć, że akceptuję to miejsce takie, jakie jest. Podobnie jak Kalifornijczycy bezustannie liczący się z groźbą trzęsienia ziemi.

– I jak radzi sobie pani ze swoim trzęsieniem ziemi?

– Ach, po prostu trzymam w pamięci mapę wszystkich niebezpiecznych stref. Których ulic należy unikać po zmroku, których trzeba unikać zawsze. Futra nie stanowią problemu – nie noszę ich – a kiedy dzwigram ze spożywczego torbę pełną zakupów, staram się chować wszelką biżuterię.

– A w drzwiach frontowych zamontowała pani wszystkie niezbędne zamki?

– Podobnie jak inni, nieprawdaż? Gdy mieszka się w wielkim mieście, trzeba zachowywać ostrożność. Nie wolno tylko bez przerwy o tym myśleć.

– Nie wolno nie myśleć.

– McCann, ma pan zły zwyczaj dopowiadania ostatniego słowa. Ostatnie słowo wypowiedział jednak dopiero przed drzwiami mojego domu, gdyż nalegał na odprowadzenie mnie aż tam. Korzystając z wymówki, że poplamiałam garsonkę trawą, dotknął jej jeszcze raz, jak gdyby pragnął zapamiętać, z jakiego materiału została uszyta.

– Zadzwoń do pani – powiedział.

Czekał, czy będę protestować.

– Będzie mi bardzo miło – odparłam zdumiona, gdy uzmysłowiłam sobie, że to prawda.

Kiedy wchodziłam, portier wręczył mi jakąś paczkę. Gdy już zaczęłam ją otwierać, zorientowałam się, że dostarczono ją osobiście, a nie pocztą. Nie było adresu zwrotnego. Była to książka, której nie zamawiałam.

*Boska Komedia* Dantego w skórzanej oprawie, z połączanymi okuciami. Do środka, jako zakładkę, wetknięto kartkę z kalendarza.

Otworzyłam na fragmencie *Piekła* – „Wodzu...” Cały urywek zaznaczono na czerwono. Czerwony atrament? Czyżby krew? Przeczytałam dalej: „...gwałtem z żył wypruta dusza, od uczestników hańby niepomszczona...” Ktoś wykreślił słowo „jego” i wpisał „jej”.

Zamknęłam książkę.

– Jej gwałtem z żył wypruta dusza – powiedziałam na głos.

Na górze kartki z kalendarza zakreślono na czerwono liczbę trzy. Wyciągnęłam ją z książki. Listopad. Trzy pogrzeby w listopadzie? Trzy niepomszczone śmierci. Niemal słyszałam, jak wypowiedane są te obraźliwe słowa. W wyobraźni widziałam trzy nagrobki.

Dzwonek telefonu sprawił, że podskoczyłam. Natychmiast podniosłam słuchawkę.

– No i jak? – spytała Claudia.

Trzymałam słuchawkę, jakby mogła mnie ugryźć.

– Co? – odparłam.

– Karen, na miłość boską, jak tam twój facet z reklamy Marlboro? Twój przystojny wielbiciel o cudownie błękitnych oczach. Jaki on jest?

– Miał na sobie koszulę w kratę i przeżuł jedno lub dwa źdźbła trawy. Nie włożył kowbojskiego kapelusza.

– Nieważne. Wygląda wspaniale w podniszczonym płaszczu. Mam nadzieję, że zamierzasz się z nim jeszcze spotkać?

– Właśnie miałam do niego zadzwonić – skłamałam wiedząc, że to jedyny sposób, by szybko zakończyć tę rozmowę.

Odłożyłam słuchawkę, a następnie szybko wykręciłam numer, gdyż mogłabym się rozmyślić, zapomnieć, czyj głos tak naprawdę pragnęłam usłyszeć. Kiedy odebrał Donahue, przedstawiłam się.

– Mówi Karen Newman. Jak nazywa się pański przyjaciel psychiatra i jaki jest do niego numer telefonu?

Podyktował mi. Rozłączyłam się nim zdążył spytać, co skłoniło mnie do zmiany zdania.

Następnie posłałam Dantego do kolejnego piekła, czyli znajdującego się w przedpokoju pieca. Nigdy nie palę książek, lecz tym razem nie miałam wyrzutów sumienia.

Czułam, że sprawiedliwości stało się zadość.

## Rozdział 5

Dla naszej „nieformalnej pogawędki” wybrał angielską restaurację o francusko brzmiącej nazwie. Patrząc przez matowe szkło kieliszka, zastanawiałam się nad sceptycyzmem Claudii dotyczącym psychoanalityków. Miałam o nich podobne zdanie.

Niemniej jednak nie sądziłam, by to spotkanie mogło mi w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

Weszłam do środka, podałam nazwisko psychiatry szefowi sali i podążyłam za nim, spoglądając na kremowe ściany pokryte dyskretnymi aktami.

Przy półkolistym stoliku na końcu sali czekał mężczyzna ubrany w czarny, pasiasty garnitur. Wstał – miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu – po czym wywiczonym, niemal przekornym gestem zdjął okulary.

Natychmiast zrozumiałam dlaczego. Wykute niczym w spiżu rysy, zmierzwione włosy oraz wspaniałe, przyprószone siwizną bokobrody. Był aż za bardzo przystojny.

– Pani Newman?

– Doktorze Coyne, Newman to moje panięskie nazwisko – odparłam chłodno, zdając sobie sprawę, że Donahue z pewnością poinformował go o moim stanie cywilnym. Usiadłam.

– Upomnienie przyjęte, proszę jednak mówić do mnie po imieniu. Nazywam się Jim.

– Nie wyglądasz na Jima.

Jego uśmiech zdradził mi, że trafiłam w dziesiątkę.

– Zazwyczaj mam wrażenie, że nazywam się inaczej. W dzieciństwie wołano na mnie Jamie i to imię bardziej mi odpowiada – odrzekł niepewnie.

– Jamie. Pasuje raczej do jeżdżącego konno twardziela – powiedziałam uśmiechając się. – Na pewno znasz ten typ. Pomięta koszula rozpięta niemal do pasa. Wiszący u boku miecz.

– Karen Newman. Pasuje jedynie do szytych na miarę kostiumów i eleganckich bluzek, a przynajmniej taką pragnie być postrzegana.

– Rozejm – powiedziałam, uśmiechając się szczerze.

Pozwoliłam mu złożyć zamówienie w imieniu nas obojga oraz rozpocząć luźną rozmowę na temat mojej pracy (w nadziei na zrelaksowanie mnie?) i dopiero wtedy odkryłam swoje karty.

– Widzisz, w zasadzie nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście powinnam tu przyjść. Po prostu w zeszły weekend nie czułam się najlepiej.

– A na ogół sama wolisz rozwiązywać swoje problemy. Poza tym nie ufasz psychiatrom.

– Najlepiej tak prosto z mostu? – spytałam, zadowolona z jego bezpośredniości. – Pozwól, że się odwzajemnię. Czuję, że miał to być wspólny lunch w celu przełamania lodów, lecz rozmowa o mojej pracy nie pokona zahamowań. Wręcz przeciwnie.

– A więc ekscytuje cię świat agencji public relations!

Miał zawadiacki uśmiech od ucha do ucha. Nie miałam pojęcia, cóż takiego powiedziałam,

że tak się rozpromienił.

– Można tak to ująć – odparłam. – W tej dziedzinie panuje ogromna konkurencja.

– Ale to również raczej męski świat. Zajmujesz stanowisko wiceprezesa, więc musisz być w tym wyjątkowo dobra.

Wzruszyłam ramionami.

– Obecnie nie czuję się w niczym dobra.

– Opowiedz mi o firmie Kemp & Carusone.

– Oferujemy naszym klientom pełen zakres usług dotyczących wszelkich zagadnień związanych z wymianą informacji pomiędzy organizacją a otoczeniem. Kreujemy wizerunek produktu, kształtujemy politykę firmy, dbamy o stosunki z mediami.

– Stosunki z mediami to twoja najmocniejsza strona.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. My, eksperci do spraw mediów w agencjach public relations, staramy się nie zwracać na siebie uwagi. Te informacje usłyszał zapewne od Donahue'a, który wydebił je od Allana.

– To moja specjalność – przyznałam.

– Czy jesteś niezadowolona ze swojej pracy? – spytał, wolno cedząc słowa. – Może masz w związku z nią poczucie winy?

– Jesteśmy spostrzegawczy, prawda? – odrzekłam zdenerwowana, gdyż rzeczywiście był fachowcem w swojej dziedzinie. – Bądźmy szczerzy, doktorze, K & C jest znaną agencją, dbającą o wizerunek różnych organizacji. Spędziłam większość swojego życia na tuszowaniu różnych niedociągnięć, czasami nawet wbrew własnym przekonaniom. Nie jest to chyba rodzaj pracy idealny dla osoby o liberalnych ciągach, takiej jak ja. Wahałam się, czy podjąć tę pracę, lecz wówczas potrzebowałam niezależności. Później przyzwyczaiłam się do pensji.

– Co jeszcze lubisz w swojej profesji?

Wzruszyłam ramionami.

– Działanie. Podano jedzenie.

– Masz ochotę porozmawiać o swoim problemie? – spytał.

Bezwiednie bawiłam się paskiem torebki.

– Zatelefonowałam do ciebie, ponieważ kusiło mnie, by postąpić wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie zrobiłam tego, więc nie ma sprawy.

– I to wszystko?

Przyjrzałam się jego oczom, wcześniej właściwie nie zwróciłam na nie szczególnej uwagi. Miały tak ciemnobrażowy kolor, że wydawały się niemal czarne. Przenikliwe.

– Nie całkiem – odrzekłam. – Od śmierci córki odczuwam jakiś dziwny strach. – Przez moment popatrzyłam na swój kostium; czarny. Ostatnio ubierałam się tylko na czarno. – W zasadzie od pogrzebu.

Po raz pierwszy obrzucił mnie pełnym zadowolenia spojrzeniem psychiatry.

– Próbowałam się z tym uporać. Tylko nie pytaj mnie o szczegóły. Pochylił się nad stołem.

– Wiesz, że muszę.

– Zajęłam się samoobroną – powiedziałam, starając się nie zaczerwienić. – Na krótko, jak się później okazało. Nie potrafiłam ruszyć się z miejsca.

– Ciekawe – odparł, najwyraźniej szczerze. – Ale teraz panujesz już nad sobą – jego uśmiech dodawał mi otuchy – mam rację?

Doskonałe pytanie podsumowujące. Zapewniłam go, że tak.

Kiedy zajęliśmy się zmiataniem zawartości naszych talerzy, „doktor” ustąpił miejsca czarującemu „Jamiemu”. Początkowo byłam niespokojna, lecz w gruncie rzeczy zadowolona. W sposobie usługiwania mi przy stole, podawania świeżych bułeczek, napełniania winem kieliszka czy dolewania kawy kryła się pewna staroświeckość. Oczywiście pierwszy złapał rachunek.

Wtedy właśnie na moment powrócił psychiatra.

– Jeśli twoje dolegliwości pojawią się znowu, daj mi znać – zaproponował delikatnie. – Lepsza kuracja niż śmierć. Zazwyczaj przynosi dobre efekty, kiedy pacjent spełnia dwa warunki: jest inteligentny i ma motywację.

– Motywacja nie jest moją najmocniejszą stroną – ostrzegłam go.

– Prawda. Ale do pojedynczej wizyty nie potrzeba jej zbyt dużo. Jeżeli zechcesz kiedyś spróbować, serdecznie zapraszam.

Cholernie mało prawdopodobne. Niemniej wspólny lunch spełnił moje oczekiwania, czułam się podbudowana na duchu. Pożegnałam się z nim w niezobowiązujący sposób.

Wychodząc wstąpiłam do toalety, przestronnej niczym salon, wykończonej na białożółowo, z przyciemnionym światłem, i natychmiast przysiadłam na miękkiej kanapie – musiałam choć na chwilę przyknuć oczy. Miałam ciężki ranek w pracy, a na domiar złego to nieco deprymujące spotkanie z doktorem Jamesem Coynem, vel Jamiem.

Kiedy uniosłam powieki, zorientowałam się, że ktoś mi się przygląda.

Moją pierwszą reakcją – muszę przyznać, że obronną – było chwycenie leżącej na podłodze torebki. Wyprostowałam się i odwzajemniłam spojrzenie.

Była to dosyć młoda kobieta o wąskich ustach pokrytych nierównomiernie jasnoróżową szminką. Stała wyprostowana jak struna. Czubek małego noska dziewczyny drgał dziwacznie.

– Kagan chciał, żeby przekazać pani, że mamy dowód – rzekła głosem lunatyka, cedząc każde słowo.

Kagan. „Szofer” z pogrzebu? Zerwałam się na równe nogi.

Przy drzwiach odwróciła się, jej oczy świeciły niczym maleńkie żarówki.

– Znamy mordercę pani córki.

Próbowałam się odezwać, powiedzieć cokolwiek, lecz mogłam tylko patrzeć, jak wychodzi.

Resztę popołudnia spędziłam w biurze, pozornie zachowując spokój, wewnątrz przeżywając burzę. Zostawienie tej przeklętej książki u portiera to jedno, ale śledzenie mnie w drodze do restauracji i posłużenie się takim zombie w celu przekazania mi równie niesamowitej informacji

to coś zupełnie innego. To skandal.

Wychodziłam właśnie z biura, kiedy otrzymałam wiadomość. M. McCann będzie u mnie wkrótce. Czy nie zjadłabym z nim kolacji? Kazałam sekretarce powiedzieć mu, że wyjeżdżam z miasta.

– Nie – dodałam po namyśle – przekaz mu, że jestem zajęta. – To nie najlepsza pora, Max. Może w jakimś innym życiu.

Do domu wróciłam taksówką. Gdy tylko znalazłam się w mieszkaniu, rzuciłam się na łóżko, na pulchne, aksamitne jaśki.

Poderwałam się, gdy przypomniały mi się poduszki leżące na kanapie. Podeszłam do okna, by popatrzeć na wspaniały Central Park – potrzebowałam poczucia prywatności, jakie zawsze mi dawał.

Całkowita samotność to wątpliwe błogosławieństwo – przemknęło mi przez myśl.

Miałam nieodpartą ochotę na podwójnego bourbona.

Zamiast tego ruszyłam w stronę gabinetu, zabierając ze sobą teczkę. Była ciężka, pełna dokumentów, których nie miałam siły przejrzeć w pracy. Wysypałam na biurko jej zawartość, a następnie sięgnęłam do bocznej przegródki po żółty skoroszyt.

Razem ze skoroszytem wyciągnęłam jeszcze coś, grubą kopertę.

Widniało na niej moje nazwisko. Kobieta z restauracji musiała mi ją wetknąć. Tylko co w niej jest? Po dotyku domyśliłam się, że to plik zdjęć.

Rozciąłam kopertę ostrożnie, jakby zawierała bombę mogącą w każdej chwili eksplodować. Położyłam fotografie na biurku.

Zdjęcie z wierzchu było w porządku, całkiem znośne, równie dobrze mogłabym je zrobić sama. Susie wyglądająca ślicznie w swoim kostiumie MissPiggy.

Szybko przeliczyłam pozostałe – jeszcze jedenaście.

Kolejne przedstawiało dwie postacie duchów, w kapturach miały wycięte na oczy otwory. Jedna z nich trzymała przenośny telewizor, który stał w sypialni Sarah. Podniosłam następną fotografię. I kolejną. Znowu straszidła. Nosiły różne rzeczy – wieżę, srebrną tacę i papierośnicę do kompletu. (Bożonarodzeniowy prezent, ślubny podarunek.) Przekładałam coraz szybciej, tak iż pojedyncze fotografie zlewały się jakby w film. Wszędzie panoszyły się zjawy, pozostawiając po sobie dzieło zniszczenia. Kryształowa waza – rozbita w drobiazgi. Stojąca lampa od Tiffany’ego – przewrócona. Zbiór oprawionych w skórę książek – porozrzucony.

Z trudem oderwałam od nich wzrok. Zostało jeszcze pięć zdjęć. Widok jasnowłosego mężczyzny, spoglądającego ponuro, zdradził mi, że czeka mnie jeszcze „dowód” czegoś więcej niż tylko zwyczajnego wandalizmu.

Dowód dokonanego na Sarah gwałtu?

Poczułam przeszywający ból. Odwróciłam następną fotografię.

Oblicze Sarah pełne strachu i odrazy. Skupiłam uwagę na jej twarzy, nie chcąc patrzeć na nagie plecy i pośladki gwałciciela – w końcu jednak zdecydowałam się spojrzeć. Ponownie

musiałam przerwać.

Wybuchłam płaczem. Płakałam, dopóki nie zabrakło mi tchu, po czym dławiąc się pobiegłam do łazienki.

Powróciłam do zdjęcia numer jedenaście, zdecydowana dobrnąć do samego końca. Kolejny duch. Ten jednak nosił czarny kaptur. W uniesionej do góry dłoni trzymał kuchenny nóż.

Odwróciłam ostatnią fotografię.

Znamy mordercę pani córki.

Teraz znałam go także ja.

Pozował do zdjęcia, trzymając nóż w jednym ręku, a kaptur w drugim. Miał pozbawioną wyrazu twarz, usta wydawały się jakby wykrojone za pomocą brzytwy. Czarne włosy opadały do ramion, czoło opasywała wąska, czarna chusta, a pod lewym okiem widać było pieprzyk w kształcie łyzy.

Trzymając telefon na kolanach, długo rozmyślałam o mężczyźnie w czapce szofera. Potem przyszły mi na myśl sądy i zasady dopuszczania dowodów rzeczowych, sędziowie i ławy przysięgłych. Wyobraziłam sobie to wszystko.

Wierzyłam w system.

Tak, Kagan, mam poczucie sprawiedliwości. Zemszczę się. Ale nie na twój sposób.

Donahue pracował do późna. Poinformowałam go, że odnalazłam nowy ślad. Powiedziałam mu o fotografiach.

– Najlepiej będzie, jeśli pan przyjedzie i zabierze je – proponowałam.

Odłożyłam słuchawkę, zdając sobie sprawę, że nadszedł czas przestać się okłamywać. Powinnam wykonać jeszcze jeden telefon.

Doktor James Coyne rozpoznał mnie po głosie.

Co więcej, zauważył coś jeszcze i kiedy mi o tym powiedział, wiedziałam, że dzwoniąc do niego, podjęłam właściwą decyzję.

## Rozdział 6

– Najpierw było przerażenie – wyjaśniłam. – Teraz wściekłość. Na miłość boską, co się ze mną dzieje?

– Opisując to jednym słowem, chodzi o projekcję. Zamordowano twoją córkę. Odczuwasz tłumioną wściekłość. Nachodzi cię ona znowu, gdy spotykasz tego szofera. Jego propozycja jest kusząca, lecz przeraża cię do tego stopnia, iż twój umysł nie pozwala ci jej zaakceptować. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło – proces ów nazywamy projekcją. Stopniowo zaczynasz przenosić swój strach i gniew na każdą spotykaną osobę lub rzecz. Obawa przed mścicielem, z powodu przeżyć, jakich dostarczyła ci jego oferta. Strach wywołany workami treningowymi oraz przez przepelnione wściekłością kobiety. Strach przed bandą młodzików noszących dżinsy i skórzane kurtki, gdyż te dzieciaki przywodziły ci na myśl morderców twojej córki. Obawiałaś się tego, co podświadomie pragnęłaś im zrobić.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam rzecz, którą moi katoliccy przyjaciele uważali za oczywistą – ulgę, jaką przynosi konfesjonał. Potrzęsłam głową, gdyż nie całkiem zgadzałam się z jego słowami.

– Twierdzisz, że mój strach był urojony? Że tak naprawdę bałam się jedynie...

– Swojej własnej zemsty.

– Ale ja brzydzę się przemocą – zaprotestowałam. – Zawsze się napawała mnie odrazą.

– Sądzisz, że twoja wściekłość jest nienaturalna. To nieprawda, przynajmniej w tych okolicznościach. Jednak tylko chorzy ludzie działają pod wpływem morderczego impulsu, pani Newman.

Miał głos tak delikatnie dodający pewności. Pragnęłam mu uwierzyć. Nie potrafiłam powstrzymać drżenia rąk. Skrzywił się.

– Posłuż się rozumem. Czy ofiara przerażającej zbrodni nie powinna odczuwać gniewu? Czy ma zabrać go ze sobą do grobu? Jest jakiś wybór?

– Więc jak mam teraz postąpić? – spytałam zdesperowana.

– Poddaj się swojej wściekłości. Zrób jej miejsce, by stopniowo mogła zaniknąć. Ciesz się świadomością, że nie uległaś chęci działania pod wpływem impulsu.

Zastanawiałam się przez chwilę. Czyż nie oparłam się pokusie skontaktowania się z tym Kaganem? Czy nie przekazałam zdjęć?

Drzwi prowadzące do poczekalni uchyliły się, pojawił się w nich mały chłopiec. Doktor Coyne przeprosił mnie na moment. Miałam teraz szansę rozejrzeć się po gabinecie, którego dotychczas prawie nie dostrzegałam.

Jamie miał wykwintny gust. Rzeźbione mahoniowe biurko przyozdobione starymi, miedzianymi okuciami. Ciężkie zielonozłote zasłony z brokatu. Szmaragdowe aksamitne obicie



kanapy nie zachęcało, żeby na niej usiąść. Z uwagą przejrzałam zawartość półek z książkami, na których oprócz oczekiwanych licznych pozycji fachowych, znalazłam również powieści Dumasa i Sabatiniego. Psychiatra z zamiłowaniem do przygód oraz doskonale pasującym dziecięcym imieniem, pomyślałam uśmiechając się.

Wrócił w momencie, gdy podziwiałam właśnie kunsztowny dodatek do kanapy – stoliczek o lekko wygiętym blacie z malachitu.

– Zastanawiasz się, jaka to praktyka lekarska pozwala na to wszystko?

Zerknęłam na złote spinki, pastelowy krawat od Christiana Diora, krój trzyczęściowego garnituru.

– Zapewne niezwykle udana – odparłam.

– Rzeczywiście taka była. Dopóki nie znudziła mi się rola „modnego” manhattańskiego guru dla leniwych bogaczy.

– Leniwych bogaczy płci pięknej? – wtrąciłam, przyglądając się kanapie.

– Myślisz o tym, jak udawało mi się zachowywać profesjonalne stosunki? One mi pomagały – powiedział, zdejmując okulary i podając mi je do ręki.

Obejrzałam szkła, a następnie popatrzyłam przez nie.

– Zwyczajne?

– Mam doskonały wzrok. Tworzą barierę pomiędzy mną i niektórymi z moich... bardziej namolnych pacjentek.

Jego słowa sprawiały wrażenie mimowolnego wyznania. Wyraz twarzy zdradzał, iż pragnąłby wszystko odwołać oraz z powrotem włożyć okulary.

– Pan Donahue twierdzi, że obecnie ograniczasz swoją praktykę jedynie do zagadnień kryminalnych – napomknęłam, próbując zmienić temat. – Co pchnęło cię w tym kierunku?

– Biegły sądowy, psychiatra, który w przeddzień procesu zmarł w wyniku zatrucia trutym jadem. Zastępowałem go. – Wyprostował się zamyślony. – Badanie oskarżonego umożliwiło mi pierwszy kontakt z psychiką młodocianego mordercy. Wtedy zafascynowało mnie to zagadnienie.

Poczułam się, jakbym otrzymała policzek. Wstałam.

– Zgaduję, że masz cały szereg fascynujących pacjentów – zabójców.

– Większość z moich pacjentów to ofiary zbrodni. Podobnie jak ty.

Z powrotem usiadłam,

– Uważasz mnie za ofiarę?

– Nie w takim sensie, jak twoją córkę. Niemniej jednak, tak. Jeśli chodzi o twego zięcia i wnuczkę...

– Mark ofiarą? Przecież on zabił to dziecko! – wybuchłam.

– Ponieważ pozbawiono go wszelkiej nadziei. Obwiniaj morderców Sarah, a nieosieroczonego męża, dla którego świat stał się nagle wrogim miejscem. Podobne przypadki rozgrywają się według tego samego tragicznego wzoru. Kochający, opiekuńczy rodzic – zazwyczaj

nadopiekuńczy – stając oko w oko z druzgocącym doświadczeniem, wywołującym u niego skłonności samobójcze i stwarzającym zagrożenie dla jego dziecka, nieubłaganie dąży w kierunku tego ostatecznego „czynu opiekuńczego”.

– Zabił nie tylko swoją córkę – wyszeptalam cicho. – Dopóki Susie żyła i potrzebowała mnie, myślę, że jakoś... dałabym radę. Ale gdy ją pochowałam, był to zarówno jej pogrzeb, jak i mój.

Moja wypowiedź brzmiała niczym spowiedź i sądzę, iż faktycznie nią była. Nie powiedział: „Bzdura!” ani „Nie wolno ci myśleć w taki sposób”.

– W pewnym sensie to prawda – odparł. – Straciłaś tak dużo w tak krótkim czasie.

Zyskał wiele szacunku w moich oczach.

– Moi rodzice zmarli jedno po drugim zaledwie w ciągu miesiąca – kontynuowałam. – Wciąż pamiętam, jak się wtedy czułam, byłam niezwykle osamotniona, jak gdyby pozbawiono mnie wszelkiej przeszłości. Utrata własnego dziecka, a później wnuczki była jeszcze gorsza.

– Właściwie pozbawiono cię przyszłości.

Moją odpowiedzią było niewidzące spojrzenie.

– Kiedy człowiek ponosi nieodwracalną stratę – tłumaczył łagodnie – to tak jakby tracił część siebie, dotyka go swego rodzaju śmierć.

– Jesteś niesamowity – zdziwiłam się. – Skąd możesz wiedzieć o takich...?

– Zawsze rozumiałem te sprawy – odrzekł, jak gdyby była to klątwa, a nie błogosławieństwo.

– Tego poczucia straty, Karen – ciągnął ostrzegawczym tonem – możesz nigdy nie przezwyciężyć.

– Czy minie przynajmniej mój gniew?

– Z czasem, jeśli zastosujesz się do mojej rady i...

Zadzwonił telefon. Niespodziewanie głos psychiatry uległ zmianie. Przed wyjściem z pracy zostawiłam sekretarce numer do gabinetu, na wypadek gdyby szef chciał się ze mną skontaktować.

Jednak to nie Larry mnie szukał. Dzwonił Donahue.

– Mają ich – poinformował mnie doktor Coyne. – Donahue twierdzi... Nie miałam pojęcia, dlaczego odłożył słuchawkę, podszedł do mnie i objął. Nie wiedziałam, w jaki sposób szklaneczka brandy znalazła się w mojej dłoni.

– Spokojnie – mówił – nie denerwuj się.

Nie chciał nic więcej powiedzieć, dopóki nie napiłam się, po czym odstawił szklanekę.

– Właściwie policja jeszcze ich nie aresztowała, ale zidentyfikowali już gang – oznajmił. – Rozpoznali przywódcę.

– Czy on ma jakieś nazwisko? – Czy w ogóle jest człowiekiem? – dodałam w myślach.

– Przewisko oznaczające portorykańskiego twardziela. Indio – odrzekł z zadziwiającą pogardą.

Indio. Czarne włosy sięgające ramion, na czole przepaska niczym u Indianina.

– Co będzie, gdy już go aresztują? – spytałam.

Doprowadził mnie do kanapy i posadził.

– Jeśli nie skończył jeszcze szesnastu lat, jak podejrzewa Donahue... postępowanie przed sądem dla nieletnich.

– Postępowanie? Nie rozprawa?

– Może tak, może nie. Wszystko zależy od zastępcy prokuratora hrabstwa Westchester. W Nowym Jorku młodocianego mordercę wolno sądzić jak dorosłego. Jeżeli oskarżenie ma wystarczająco mocne dowody, by przekonać ławę przysięgłych. Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

– Nawet z tymi zdjęciami?

– Proszę. Jest jeszcze za wcześnie, żeby...

– Nigdy nie jest za wcześnie na rozmowę o postawieniu mordercy przed sądem, do cholery. – Sięgnęłam po brandy. – Powiedzmy, że będzie sądzony jak dorosły i zostanie skazany. Za morderstwo. Pójdzie do więzienia, zgadza się? Dostanie długą odsiadkę?

– Od dziewięciu lat do dożywocia. Nie posiedzi więcej niż dziewięć, ale...

– Ale co?

Wziął mnie za rękę.

– Bardziej prawdopodobne jest, że zdołają uzyskać niższą kwalifikację czynu. Być może nawet z powrotem wyląduje w sądzie dla nieletnich.

– Doktorze Coyne, nie powiedział pan jeszcze, co będzie, gdy nie zostanie potraktowany jak dorosły.

– Postępowanie przed sądem dla nieletnich.

– To oznacza resocjalizację – oznajmiłam z goryczą w głosie – nie karę. Pomóżmy dzieciom, które nigdy nie miały szansy.

– Niektórzy najbardziej niebezpieczni przestępcy trafiają później do więzienia.

– A co jeśli ten... Indio wyląduje w jakimś łagodnym poprawczaku z piętrowymi łózkami, kortami tenisowymi i stałymi przepustkami?

Zauważył, co działo się z moją twarzą. Ścisnął mnie za ramię.

– Nie udawaj samodzielnej. To nic złego, gdy ktoś potrzebuje pomocy. Pozwól sobie pomóc.

Wyswobodziłam się i wstałam.

– Chcesz, żebym ci całkowicie zaufała? Nie wiem, czy potrafię.

– Przynajmniej pozwól mi być twoim nieoficjalnym pośrednikiem. Pomiędzy tobą a policją oraz biurem zastępcy prokuratora.

– Widzę, że traktuje pan tę sprawę poważnie – odparłam z wdzięcznością. – Ale dlaczego? Przecież nie jestem nawet pańską pacjentką.

– Przyjaciółką?

– Przykro mi – odrzekłam.

– Dlaczego? Mówię serio, Karen. Przyjaciółką, nie kochanką.

– To wszystko, na co mnie stać – przyznałam.

Pod wpływem impulsu chwyciłam go za rękę. – Doktorze Coyne, nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Na początek mogłabyś sobie wreszcie darować te formalności.

– Dziękuję... Jamie.

Natychmiastowe przeobrażenie. Odpowiedział mi swoim zaraźliwym uśmiechem, który poznałam już w restauracji.

Opuściłam gabinet, zastanawiając się nad jego słowami. Przyjaciółką, nie kochanką. Skąd on wiedział, że właśnie tego potrzebuję?

Westchnęłam i powiedziałam sobie: niech już tak będzie.

## Rozdział 7

Budzik z radiem wyrwał mnie ze snu jazzową aranżacją znanej kolędy. Wyłączyłam go wściekła, że mi przypomniał. Ubierałam się powoli, odwlekając niechcianą wyprawę. Potrafiłam jednak stawić czoło wyzwaniu, dzięki psychiatrze, doktorowi Jamesowi Coyne'owi.

Dzięki mojemu przyjacielowi Jamiemu.

Nie tracił czasu. W ciągu dwóch dni po mojej wizycie w gabinecie sprawił, że czułam się potrzebna, zapomniałam o własnym bólu, poznając cierpienia innych – swego rodzaju terapia zwana „Ofiary Ofiarom”.

Zjawisko o narastającej popularności. Zjawia się człowiek na miejscu zbrodni ze współczuciem i praktycznymi radami.

Terapia. O czym się myśli, trzymając w ramionach mężczyznę zbryzganego krwią, podczas gdy policja zabiera ciało jego żony? Co się czuje? Jego ból, nie swój własny. Jak pocieszyć rodziców rozpaczających nad zamordowanym dzieckiem? Opowiadając o swoim.

Nie mówi się wówczas o zemście, ani ich, ani własnej.

Dziś wreszcie nadszedł ten dzień, chociaż nie miałam większych złudzeń, Jamie tego dopilnował. Dzisiaj miało odbyć się przesłuchanie w sprawie Indio.

Na dole w wypożyczonym samochodzie czekała na mnie Claudia. Ubrana była w palto ze sztucznego futra, a skromny uśmiech na ustach oznaczał pewność siebie. Po drodze do Westchester powtarzała mi dokładnie to samo, co wmawiałam sobie przez ostatnie dwa tygodnie: Nie ujdzie mu to na sucho.

Kiedy parkowałyśmy, skupiłam wzrok na skąpanym w słońcu nowoczesnym biurowcu i zadbanym trawniku, próbując nie zwracać uwagi na ozdobne czerwone kokardy oraz świąteczne wieńce. Nad wejściem błyskał ogromny, zielony neon: ZOSTAŁY JUŻ TYLKO 4 DNI DO GWIAZDKI!

Rejonowy sąd dla nieletnich mieścił się na szóstym piętrze. Usiadłyśmy w rogu poczekalni i zdjęłyśmy płaszcze.

– Szkoda, że nie mogli go sądzić jak dorosłego – westchnęła Claudia, jak gdyby czytała w moich myślach.

Nie mogli czy nie chcieli? Nierozstający się z fajką Donahue był równie przekonujący jak lalka brzuchomówcy. Biuro zastępcy prokuratora hrabstwa Westchester miało nawał pracy. Dlatego właśnie sprawa pozostała w gestii kuratora do spraw nieletnich z Bedford, który, zgasiwszy wypalonego do połowy papierosa, spojrzął na mnie ze współczuciem i walnął prosto z mostu.

– Jedno ze zdjęć pokazuje oskarżonego na miejscu zbrodni, z nożem w rękę. Ale co on robi? Gwałci? Rabuje? Czy może częstuje się szklanką wody? Z takimi dowodami wyśmieją nas w

normalnym sędzie. Sądźmy, że było tam sześciu, siedmiu łobuzów. Który z nich posłużył się nożem? Potrzebujemy naocznego świadka, pani Newman. Jednego z bandziorów chętnego do współpracy. Pracujemy nad tym. Ja i policja z Bronksu. Ale na razie uzyskamy dla tego gnoja Indio wyrok w sądzie dla nieletnich za drobniejsze wykroczenie, żeby tylko usunąć go z ulicy. W ten sposób nie będzie mógł zastraszyć swoich kumpli, rozumie pani, albo ich przekupić. Zdobędziemy trochę czasu, by popracować nad sprawą.

Z windy wysiadł potężny mężczyzna o opuszczonych ponuro ramionach, z papierosem w ustach. Kurator. Zawołałam go i przedstawiłam Claudii.

– Czy mogę wejść razem z nią? – spytała, zanim zdążyła puścić jego dłoń.

Uśmiechnął się, nie wypuszczając z ust papierosa.

– Przesłuchanie jest zamknięte dla publiczności, pani Cole. Tam nawet nie podaje się nazwiska przesłuchiwanego.

– Wiadomo już, jaki sędzia będzie je prowadzić? – zapytałam, przypomniawszy sobie, że Jamie znał reputacje kilku z nich.

– Mogło być gorzej. – Zgasił papierosa. – Spotkamy się w środku – powiedział wesoło. Odszedł jednak krokiem, jakby w ogromnych butach nosił kamienie.

Claudia chciała, żebym się odprężyła. Nasze słowa wznosiły się niczym bańki mydlane, a następnie spadały jak gązdy. Obie pograżyłyśmy się w myślach. Czułam, jak moje dłonie zaciskają się w pięści.

„Wykroczenie popełnione przez nieletniego, powie kurator sędziemu. Rabunek wchodzi w grę tylko wtedy, gdy przestępca jest pełnoletni. Następnie zacytuje jakieś przepisy, jak na razie trzymając się z dala od morderstwa oraz gwałtu – zbyt słabe dowody. Sędzia pójdzie na ugodę. Na razie trzymajmy się rabunku. Potem...”

Wezwano mnie. Musiałam schować dłonie w kieszeniach.

Wkraczając trafiłam na klótnię. Podekscytowany młodzieniec z biura zastępcy prokuratora okręgowego, o zaróżowionych policzkach i włosach zaczesanych z przedziałką obrywał za poruszenie kwestii poprzednich wyroków oskarżonego. Nie był w stanie zgłębić akt „młodocianego przestępcy”, znajdujących się w rejonowym sądzie dla nieletnich w Bronksie. Obrońca, kolejny dzieciak noszący długie jasne włosy związane czerwono-zieloną wstążką, miał rację, powołując się na przepisy uznające przeszłość młodocianego za tajną. Nawet dla prokuratora?

Sędzia z wyglądu i zachowania nie pasował do otoczenia. Spodziewałam się osoby cynicznej i irytującej, a nie eleganckiej i powściągliwej. Błady, z zapadłymi policzkami, na orlim nosie nosił okulary w srebrnych oprawkach. Wąskie barki sędziego były wyprostowane, dłonie spoczywały na stole, ukazując długie, smukłe palce. Prowadził wykład ze swojego tronu niczym profesor łagodnie strofujący niepoprawnych studentów.

Skupiłam wzrok na kuratorze o ustach drania i oczach księdza. Znajdź jakiś punkt oparcia dla swojego spojrzenia, jak gdyby na sali nie było „młodocianego przestępcy”, jakby w ogóle nie

istniał.

Następny świadek. Podeszłam do miejsca dla świadków, z każdym krokiem powtarzając sobie, że to pożałowania godne „postępowanie” stanowi jedynie przystanek na drodze do rozprawy o morderstwo w zwyczajnym sądzie.

Odwracam oczy od siedzącego w tej sali mordercy. Jedno spojrzenie i jestem zgubiona. Muszę złożyć zeznanie. Powoli, powoli... Powtarzam każde pytanie. Ściskam dłońmi oparcia fotela. Bez trudu opowiadam, co słyszałam przez telefon pięćdziesiąt trzy dni temu. Czy ten sędzia pyta poważnie? Jak to możliwe, że pamiętam wszystko tak dokładnie?

Jakżeż mogłabym zapomnieć?

Wolniej. Ugryź się w język, jeśli musisz, albo popatrz na podłogę, ale powiedz wszystko jak należy. To domena prawników. To właśnie oznacza termin „rabunek”. Dlaczego nie mogę odejść już z miejsca dla świadków?

Powtórzyć? Czy on zdaje sobie, sprawę, o co prosi? Słowa wiążą się z obrazami, Wysoki Sądzie. Sarah zanosząca się płaczem.

Właśnie wtedy odcięli jej palec, Wysoki Sądzie.

Wysoki Sąd sprawia wrażenie zbolałego. To dobrze, ponieważ źle wróży złoczyńcy, tragicznie. Na koniec żart. Koniec mojej Sarah. Ten „młodociany przestępca” dał mi się nasłuchać do woli, Wysoki Sądzie.

Słyszycie mnie? Czy wszyscy mnie słyszycie? Czy mogę już iść?

Odwróciłam się, teraz już rozluźniona, by spojrzeć na mordercę. Zobaczyłam trampki – ostatni szyk mody – oraz dzinsy znanej firmy. Czarna, filcowa, sięgająca bioder kurtka ze skórzanymi rękawami oraz małą żółtą koroną na wysokości serca. Kurtka sportowca. Na plecach widnieje zapewne podobny znak, lecz znacznie większy.

Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie skrzywioną twarz właściciela firmy produkującej owe kurtki – obecnie bardziej popularnej wśród członków gangów młodzieżowych niż pomiędzy sportowcami. Jego przedsiębiorstwo było jednym z nieszczęśliwych klientów agencji Kemp & Carusone borykających się z podupadającym wizerunkiem.

Otworzyłam oczy, by spojrzeć na twarz ze zdjęcia Kagana. Młodzieniec z długimi czarnymi włosami oraz opaską na czole, udający indiańskiego wojownika. Jego oczy były dokładnie takie, jakie je zapamiętałam – bezduszne. Popatrzyłam na znajdujący się pod lewym okiem pieprzyk.

Nagle uśmiechnął się szeroko – specjalny prezent dla mnie.

Odwróciłam się po kolei w stronę sędziego, kuratora, i wreszcie młodego obrońcy. Widzieli to wszyscy – uśmiech równoznaczny z przyznaniem się do winy. Duma z własnego postępków. Z morderstwa.

Dzięki takiemu zachowaniu oskarżonego opuszczałam salę sądową uzbrojona w pełen godności spokój. Ułatwiło mi to oczekiwanie. Żaden człowiek nie może obojętnie przyglądać się takiemu uśmiechowi, przesyłanemu ofierze przez mordercę, i nie postąpić właściwie. W owej chwili pojęłam, na czym polega sedno sprawiedliwości. Nie chodzi w niej o szczęście, jakieś

rozgrywki czy zawiłe przepisy. To po prostu zwyczajna przyzwoitość.

Współczułam tamtej matce, która wciąż siedziała zgarbiona w sali sądowej, zmuszona do słuchania.

Drzwi sali otwarły się, wyszła z nich matka ubrana w luźno zapięty ciemny płaszcz.

Jej wciąż uśmiechnięty syn podążał krok za nią.

Zapewne zachwiałam się na nogach, ponieważ kobieta ta przystanęła na moment, by na mnie popatrzeć. Wiedziałam, co widziały jej oczy teraz i wcześniej, wewnątrz sali rozpraw – twarz przeżywającej agonię.

W jej obliczu dostrzegłam jedynie całkowitą obojętność.

Zniknęła wewnątrz windy. Razem z nim.

Na moim ramieniu spoczęła czyjaś ręka.

– Ja zaryzykowałam, pani przegrała. – Twarz kuratora pochyliła się nade mną. – Mieliśmy pecha, że wylosowaliśmy tego skurwysyna.

– Jakiego skurwysyna? – Claudia chwyciła go za rękę.

– Sędziego Arthura Youngera.

Wyprostowałam się, walcząc z ogarniającymi mnie mdłościami. Jamie przestrzegał mnie przed niektórymi sędziami. Younger był jednym z nich. Sędzia z przewiskiem.

– ...powinienem się skapować, że kupi te humanistyczne brednie obrońcy – kontynuował kurator. – Któż chciałby tuż przed Bożym Narodzeniem zamykać piętnastolatka? Na pewno nie Artur Krwawiące Serce – wymamrotał z obrzydzeniem.

– Puścili go? – zawołała Claudia. – Nie rozu...

Wbiegłam z powrotem na salę.

Miałam szczęście. Sędzia Arthur Younger – „Artur Krwawiące Serce” – wciąż jeszcze siedział na swym tronie.

Zauważył, że się zbliżam. To było tak, jak gdyby jego majestatyczny nos ktoś przyprószył papryką.

– Tak? – odezwał się głosem, który powinien usadzić na miejsce niepoprawną studentkę.

– Coś takiego pan nazywa sprawiedliwością? – powiedziałam głosem na tyle cichym, by nie mógł się zorientować, ile wysiłku kosztowało mnie opanowanie chęci wydarcia mu się prosto w twarz.

– Złagodzoną przez miłosierdzie. Moja droga pani... aha, Noonan. Wiem, co pani czuje.

– Newman. Gdyby pan wiedział, uciekłby pan stąd z krzykiem.

Idź powoli, nie biegnij, powtarzałam sobie w myślach, spokojnie wychodząc z sali rozpraw i mijając Claudię nadal rozmawiającą z kuratorem. Drzwi windy właśnie się zamykały. Porządnie mnie uderzyły, kiedy wślizgiwałam się do środka. Stałam przygarbiona, oczyma wyobraźni widząc szereg fotografii, które przekazałam „wymiarowi sprawiedliwości”.

Wysiadłam na parterze... i znowu miałam szczęście, bo nie zdążyli jeszcze odjechać. Zabójca znajdował się w holu razem ze swoim kumplami. Ubrani w sportowe kurtki młodzieńcy



wydawali głośne okrzyki radości. Na rozbawionych, młodych twarzach czaiły się beczelne uśmiechy. Jeden z nich nosił na złotym łańcuszku krzyżyk.

Wpatrywałam się w plecy Indio. Potem spojrzałam na stojącego nieopodal policjanta – zwrócona do mnie tyłem niebieska postać, przy pasie kabura z pistoletem.

Wyobraziłam sobie ten kształt, rozpoznałam znajomy ciężar.

– Nie w taki sposób – usłyszałam niski, monotony głos, jednocześnie poczułam, że ktoś łapie mnie z tyłu za rękę.

Padłam nieprzytomna wprost w ramiona Kagana.

Oddalony o kilka centymetrów policjant nawet się nie odwrócił.

– Wiedział pan, jak to się skończy – odezwałam się, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Ma pani szczęście. Czy mam pani pokazać to, czego nie ma nawet w aktach sądu rejonowego dla nieletnich w Bronksie? Pełną listę zbrodni popełnionych przez Indio.

Zachwiałam się nieco, spoglądając w jego matowe oczy.

– Jesteście doskonale zorganizowani.

– Myślimy o przyszłości. Przyszedłem, żeby zaprosić panią na... powiedzmy świąteczne spotkanie. – Wykręcając długą szyję, patrzył ponad moją głowę. – Zbliża się pani przyjaciółka.

– Czy mogę ją ze sobą zabrać na to... spotkanie?

– Jak pani sobie życzy. Ale obowiązują tam pewne zasady. Będziemy w kontakcie.

Claudia zdążyła jeszcze, by zostać przedstawiona szczerzącemu zębom Kaganowi.

– Wkrótce się spotkamy – powiedział. – Proszę nie planować nic na Wigilię.

## Rozdział 8

– Czuję się jak kompletna idiotka, nosząc w zimową noc przyciemniane okulary – narzekała Claudia.

Jechałyśmy przez miasto taksówką. Ja włożyłam na głowę czarną chustę, która niemal całkowicie przykrywała krótkie, ciemne włosy – widać było zaledwie kilka kosmyków opadających na czoło. Claudia nakryła głowę czarnym aksamitnym turbanem, który znakomicie podkreślał wystające kości policzkowe oraz lekko skośne oczy – egipska piękność, mawiał jej mąż. Miała na sobie elegancki kostium z aksamitnym wykończeniem, mój uszyty był z czystej wełny.

– Okulary to doskonały pomysł – przyznałam. – Zmieniają twoją twarz i jednocześnie pomagają ukryć własne uczucia. Domyślałam się, że podczas tych spotkań emocje odgrywają istotną rolę. Szczególnie w taki dzień jak dzisiaj.

Moje zamilknięcie nie wywołało żadnej reakcji. Wiedziała, dlaczego nie zdjęłam okularów. Czulałam się tam nie na miejscu. Wigilia. Podążałam w niewłaściwym kierunku. Teraz powinnam znajdować się w Westchester. W kuchni krzątałyby się Sarah, przygotowując nasz ulubiony suflet ziemniaczany na słodko, podczas gdy ja popijając Dom Perignona, wyczesywałabym z włosów Susie sosnowe igielki.

Jak ja przetrwam tę noc?

– Twoim zdaniem, jakich ludzi tam spotkamy, naturalnie nie licząc tego, że wszyscy będą bez twarzy? – spytała Claudia, zerkając w lusterko puderniczki.

– Skrzywdzonych, którzy nie mogą znieść świąt w samotności.

– Wszyscy są członkami tego tajnego stowarzyszenia? – Wydawała się zaniepokojona.

Wzruszyłam ramionami, próbując zapomnieć o własnym zdenerwowaniu.

– Kagan niechętnie poruszał ten temat.

– O czym jeszcze nie chciał rozmawiać?

– Słuchaj, CC, doceniam twoje poświęcenie w wigilijny wieczór, ale nie próbuj zastępować mojego sumienia. Nie zamierzam wstępować do żadnych stowarzyszeń.

– Oczywiście, ty tylko pragniesz się rozejrzeć. Ja natomiast wybrałam się na zwykłą przejażdżkę, prawda? – powiedziała głosem szulera.

Taksówka zatrzymała się przed tradycyjnym budynkiem z cegły. Zaszronione szyby nie pozwalały podejrzeć, co na nas czekało w środku. „Sala spotkań – po schodach w dół”, głosił napis.

– Musi tu być kilkaset osób! – zdziwiła się Claudia, kiedy na dole wyszłyśmy zza rogu.

– Nawet więcej. – Zmieszana, chłonełam atmosferę przypominającą szkolną wywiadówkę. Brak świątecznych ozdób stanowił dla mnie miłe zaskoczenie.

– Wielu przybyłych nie spełnia wymogów dotyczących stroju – zauważyła Claudia.

Kagan podkreślił, by na głowy włożyć chusty bądź kapelusze, przyciemniane okulary i ciemne ubrania. Najwyżej jedna na pięć osób ubrana była według powyższych wskazówek. Wciąż jeszcze zastanawiałam się nad tą ciekawostką, kiedy Claudia doprowadziła mnie do bogato zastawionego bufetu. Spróbowałam jednej z potraw, a następnie, zostawiając przyjaciółkę z mrożonymi krewetkami, sama ruszyłam w głąb sali podsłuchiwać innych.

– ...minęły już trzy lata, a ja wciąż nie mam odwagi kupić choinki.

– Do tej pory nie pozbyłam się jego ubrań. Nie mogę znieść...

– ...dla dzieci to najgorszy okres w roku. Laura sprawiała tyle kłopotów.

– Bezsensowność albo koszmary. Tyle krwi.

– Gdyby tylko nie cierpiała. Żeby tylko oszczędzili...

Czułam, że docieram do kresu wytrzymałości: STÓJ, PATRZ, SŁUCHAJ. Relacje o frustracji i braku nadziei, opowiadane bez cienia zahamowań. Obcy ludzie zagadujący innych bynajmniej nie z powodu czystej ciekawości. Całe pomieszczenie przepełnione było niemal dotykającym współczuciem, stanowiło ono swego rodzaju wspólny język, wzajemną więź.

Podeszła do mnie Portorykanka w przyciemnianych okularach.

– Straciłam syna. – Wzięłam do ręki zdjęcie, które mi podała.

– Taki młody – szepnęłam.

– Miał trzynaście lat. Na świecie liczyły się dla niego tylko dwie rzeczy. Radia i rowery.

Obejrzałam dokładnie fotografię – przenikliwe oczy, figlarny uśmiech.

– Każdą wolną chwilę spędzał, zajmując się różnymi częściami zamiennymi do jednego lub drugiego – ciągnęła dalej. – Pewnego dnia obrabowali go – jego rówieśnicy, niektórzy może nieco starsi. Zmarł na chodniku, z trudem walcząc o ostatni oddech. Zastrzelili mojego chłopca dla jakiegoś radia – dodała.

– Przysłuchiwałam się, jak moja córka wydaje ostatnie tchnienie – odpowiedziałam równie szczerze jak ona. – Słyszałam dokładnie wszystko, co się działo, lecz nie mogłam nic zrobić.

– Jak w nocnym koszmarze, w którym chcesz uciec i nie możesz. Łatwo było bez żadnych zahamowań rozmawiać z innymi. Po wszystkim czuło się niewysłowioną ulgę.

Niesamowite uczucie, kiedy pragnąc odejść, uświadomiłam sobie, że ściskam dłoń obcej kobiety... albo ona moją.

– Nauczyła się pani czegoś?

– Przecież o to chodzi, prawda? – odparłam odwracając się. – A gdzie pańskie przyciemniane okulary, Kagan?

– Niektórzy ich nie potrzebują. Albo nie należą do oddanych członków – rodzina, przyjaciele ofiar – albo, tak jak w moim wypadku, ich twarze nie rzucają się w oczy. Nie potrzebują zmieniać swojego wyglądu.

– A kto tu, do licha, jest oddanym członkiem?

– Ach tak, oczywiście, pani jest tylko obserwatorem. Może się pani czegoś napije?

Skierował mnie w stronę baru. Podczas gdy przygotowywał dla mnie bourbona, a dla siebie gin z tonikiem, uważnie przyjrzałam się jego niewyróżniającej się niczym i właściwie pozbawionej wyrazu twarzy. Prócz jasnych włosów i opalenizny nic innego nie zwracało uwagi. Inaczej wyglądała reszta postaci Kagana. Od stóp do głów ubrany był w czarny dżins uzupełniony rozpiętą pod szyją koszulą – grzeszny cień zamieszkujący krainę naszych koszmarów.

– Może panią oprowadzić? – spytał, biorąc mnie pod rękę. Wolno ruszyliśmy dookoła sali. Kagan raz po raz skinieniem głowy, spojrzeniem czy nawet palcem wskazywał na kolejne osoby. – Sprzątaczką – kobietą z oliwkową chustą. Jej kilkunastoletnia córka została zabita nożem dla kilku dolarów kieszonkowego. Potężny koleś w okularach przeciwsłonecznych jest ochroniarzem. Jego dzieciak – syn, nie córka – stał się ofiarą zbiorowego gwałtu. Facet w niebieskim, pasiastym garniturze, noszący sztuczne wąsy, jest prawnikiem. Rok temu uliczny złodziejczek, wyrywając torebkę, wepchnął jego żonę pod wagon metra.

– Rozumiem – potaknęłam, opróżniając szklaneczkę. Swojego drinka Kagan nawet jeszcze nie spróbował. Kiedy przechodziliśmy obok bufetu, krewetki już się niemal kończyły. Wielki kryształowy półmisek po brzegi wypełniał prawdziwy kawior.

– Kto za to wszystko płaci? – spytałam.

– Liga Pomocy Ofiarom. Prywatna fundacja, całkowicie legalna. Zdziwiona?

– Wie pan, że tak. Co będzie dalej?

– Myślałem już, że pani nigdy nie spyta. Proszę za mną.

Weszliśmy do pomieszczenia na uboczu. Wewnątrz panował mrok, nie licząc punktowego światła padającego na wąski stolik oraz krzesło z wiklinowym oparciem.

Kagan wskazał na krzesło.

– Nie lubię melodramatów – warknęłam.

– Lepiej nie widzieć twarzy. To dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. Usiadłam. Oślepiąca padającym na mnie światłem dostrzegałam jedynie niewyraźne postaci siedzących dookoła.

Raz po raz odzywały się monotonne, nieznanym głosy.

– Celem naszej organizacji jest mszczenie niepomszczonych.

– Podobnie jak Anonimowi Alkoholicy zrzeszamy ludzi mających jednakowe problemy. Anonimowo.

– Ofiary zbrodni. Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar zapewnia swoim członkom to, czego nie mogą uzyskać nigdzie indziej. Moralne wsparcie. Oczyszczenie ducha. Nasze motto...

– Pomińmy tradycyjny rytuał – przerwał zniecierpliwiony Kagan. – Powiedźcie jej tylko, kogo ścigamy.

– Barbarzyńców – zabrzmiał w ciemności rozjuszony głos. – Ludzi, którzy dopuszczają się bestialskich zbrodni.

– Oraz tych, którzy pozwalają na istniejący stan rzeczy. Nazywamy ich Obojętnymi.

Głos kobiety!

– Obojętnych należy reedukować – kontynuowała natchnionym głosem. – Przestępców należy wyplenić.

– Wspomniałem o zasadach – zwrócił się do mnie Kagan. – Istnieją również warunki wstępne członkostwa w naszej organizacji, które...

Otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka światło.

– Pani Cole, to nie jest miejsce dla pani – powiedział oschle Kagan, gdy weszła Claudia.

– Również nie dla Karen – odparła pewna siebie.

– Claudio, poczekaj na mnie na zewnątrz – zwróciłam się do niej. – Proszę.

Kagan przytrzymał ją przez moment.

– Czy możemy liczyć na pani dyskrecję?

– Pyta pan, ponieważ mój były mąż jest policjantem? – odcięła się.

– Oraz dyplomowanym prawnikiem.

– Gratuluję doskonałej siatki wywiadowczej – warknęła.

Trzasnęły drzwi, po czym zapadła głęboka cisza. Zadane przez Kagana pytanie brzmiało niczym okrzyk.

– Karen Newman, czy wciąż chce pani być jedynie obserwatorką?

Czułam, że dałam się wciągnąć, lecz nie zamierzałam tego przyznać.

– Potrzebuję nieco więcej czasu – oznajmiłam. Czasu na odzyskanie równowagi psychicznej?

– Zbliży się narada przed jedną z Misji. Czy chciałaby pani na nią przyjść?

Czułam, że robią dla mnie wyjątek. Dlaczego?

– Kiedy? – spytałam.

– Za parę dni. Spotkamy się tam, gdzie ostatnio.

– Czy mogę przyprowadzić przyjaciela? Jako moralne wsparcie. – Zauważyłam niechęć Kagana. – Nie musi być obecny przy samej naradzie.

– W takim razie zaczeka na zewnątrz – skapitulował.

Wstałam. W zaciemnionym pomieszczeniu nie było słyhać żadnych szmerów ani tajemniczych głosów. Kusilo mnie, by nacisnąć znajdujący się przy drzwiach włącznik światła.

– Koniec spotkania – zdecydował Kagan i odprowadził mnie do drzwi.

Claudia wyglądała przez zaszronione okno. Czekala.

– Chodźmy się napić, obie tego potrzebujemy – zwróciła się do mnie.

– Najpierw kogoś pani przedstawię – powiedział Kagan, wskazując drogę.

Chłopiec. Bardzo niski. Ciemne kręcone włosy. Pospępane spojrzenie, które na nasz widok stało się czujne. Wydawał się znajomy.

Claudia odniosła podobne wrażenie. Mrużąc oczy, próbowała go sobie przypomnieć, wreszcie zdjęła okulary.

Chłopiec odwzajemnił jej oceniające spojrzenie sprawiając, że skuliła się niczym żółw chowający się w skorupie.

– Poznajcie Tony’ego – odezwał się Kagan. – Jednego z naszych kooperów.

– Zapewne powinniśmy wiedzieć, co znaczy to słowo? – parsknęła Claudia.

– Termin ten zapożyczyliśmy od KGB. Tony współpracuje z nami przy niektórych zleceniach, lecz nie jest członkiem organizacji. Zdjęcia, które podrzuciliśmy pani do teczki... – Nie dokończył.

– Te same, które przekazałam prokuraturze? – spytałam. – Co z nimi?

– Tony ryzykował życie, żeby je zdobyć.

Zabrakło mi słów. Chłopiec jednak zapewne dostrzegł malującą się na mojej twarzy wdzięczność, gdyż odwrócił się i uciekł.

Zaciekawiona reakcją Claudii, przypominającą zachowanie żółwia, spytałam ją, gdzie wcześniej widziałyśmy już Tony’ego.

– Nie mam pojęcia. Czy poza porządnym drinkiem masz na coś jeszcze ochotę? Przyjemna atmosfera, stolki pokryte skajem, nieduży tłok przy barze?

– Oczywiście akurat znasz dokładnie takie miejsce, prawda? – spytałam uśmiechając się.

Odpowiedziała delikatnym skrzywieniem ust.

Poskromiła jednak swoje zniecierpliwienie aż do chwili, gdy kelnerka, napelniwszy szklaneczki, zostawiła nas same.

– Ten strój Kagana – odezwała się, mieszając drinka – wróży kłopoty. I ty doskonale o tym wiesz.

– Kłopoty dla kogo? Jeżeli chcesz mi powiedzieć, że to nielegalne...

– Karen, to jest rasizm. Nie zaprzeczysz chyba, że ci mściciele znacznie częściej uganiają się za czarnymi niż za białymi.

– A co ma do tego wszystkiego kolor skóry? Mówimy tu o włamywaczach i gwałcicielach. Do licha, Claudia, jesteśmy świadkami nasilającej się...

– Fali przestępstw, wiem. – Zamiast napić się spokojnie, połknęła na raz całą zawartość szklaneczki, po czym spojrzała mi w oczy. – Nie jestem w stanie go wyłączyć.

– Wyłączyć czego?

– Koloru własnej skóry. Czy wiesz, jak bardzo modliłam się, żeby zabójcą Sarah okazał się biały? Jak wielką ulgę odczułam, gdy dowiedziałam się, że zrobił to Latynos? Nie myśl, że chodzi tu o jakiś rasizm w czarnym wydaniu – dodała pospiesznie. – Po prostu jestem czarna.

Powiedziała to z dziką mieszaniną dumy i udręczenia, przypominając mi pogrzeb Sarah. Poczułam napływające łzy.

– W umysłach ludzkich przestępstwa popełniane na ulicach kojarzą się jednoznacznie z czarnymi. Czy można ich za to winić? Karen, ale czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się wtedy czuję?

– Nie bardzo – westchnęłam. – Nie mogę wskoczyć w twoją skórę, prawda? Przepraszam,

jeśli zabrzmiało to zbyt obcesowo. Po prostu...

Ujęła mą dłoń.

– Zajmujesz ostatnie miejsce na mojej liście ludzi obcesowych, Białasko. – Tym razem jej uśmiech był szczery. – Ja również nie mogę postawić się w twojej sytuacji – dodała niepewnie, i wiedziałam, że mówi o nieszczęściu, które przydarzyło się Sarah.

– CC, kusi mnie, żeby wstąpić do tej organizacji – przyznałam.

Przerażenie na jej twarzy sprawiało komiczne wrażenie.

– Karen, to byłby błąd. Pomijając rasizm, to także nielegalne. Gliny nienawidzą mścicieli. Stan często gotował się, wracając do domu po...

– Nie zapędzaj się – przerwałam jej nie pozwalając, by spostrzegła, co dzieje się w moim wnętrzu. Pociągnęłam duży łyk bourbona. – Jeszcze nie zdecydowałam – oznajmiłam zgodnie z prawdą.

– Od czego uzależniasz decyzję, od rzutu monetą?

– Planują coś – kontynuowałam powoli. – Chcę zobaczyć co. Razem z Jamiem.

– Żeby spróbował wybić z twojej głowy głupie pomysły? Żeby trzymał mnie za rękę.

– Coś w tym rodzaju.

– W porządku. Przestanę cię już męczyć. Będziesz mnie informować na bieżąco?

Uśmiechnęłam się.

– O wszystkim będziesz się dowiadywać jako pierwsza – skłamałam.

Wiedziałam, że będzie ostatnia. Kagan może wierzyć w jej dyskrecję, lecz ja znałam ją znacznie dłużej i nie miałam takiej pewności.

– Dopij do końca – powiedziała. – Już po północy.

Wigilia dobiegła końca. Jakoś przetrwałam tę noc.

Dzięki Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar.

## Część 2

### Nawrócenie

*Wodzu, myśl moja zaniepokojona,  
Że jego gwałtem z żył wypruta dusza,  
Od uczestników hańby niepomszczona,  
Wzgardą się na mnie należną obrusza.*

*Piekło, Pieśń 29.1*



## Rozdział 9

Zaadaptowana piwnica przepelniona zapachem śmieci. Co mieściło się w środku? Klub strzelecki Rogera? Salon masażu?

Moja dłoń zawahała się przez naciśnięciem pokrytego rdzą dzwonka i Jamie zdążył przestrzec mnie kolejny raz.

– Jeszcze nie jest za późno na zmianę zdania.

– Wigilijne spotkanie okazało się nieszkodliwe – przypomniałam mu.

– Tak, ale ta cała gadka o planowanej misji...

– Dlatego właśnie przyszłam z tobą. – Zadzwoiłam. Ciężkie drewniane drzwi otworzyły się ze zgrzytem. – Klub filmowy? – spytałam, akcentując podane przez Kagana hasło jak prawdziwe pytanie.

Wpuszczono nas do przedpokoju. Niski w obwisłych spodniach, podtrzymywanych przez szelki, pokazał ręką na stojące obok składane krzesło i odezwał się do Jamiego.

– Kolego, poczekaj tutaj. – Jamie, wyciągnąwszy gazetę, pożegnał mnie skinieniem ręki.

Kagan oczekiwał za parą zamkniętych drzwi.

– Witamy w Krainie Porno – odezwał się, otwierając szeroko drzwi wiodące do sali kinowej. Poprowadził mnie do jednego z tylnych miejsc. – Proszę się nie martwić – zachichotał – dzisiaj nie będzie pornografii.

Na ogromnym ekranie zaczęły pojawiać się nagłówki z gazet... oraz fotografie.

WDOWA NAPADNIĘTA PRZEZ MŁODZIEŻ. Siedemdziesięcioletnia staruszka otwiera drzwi niewinnie wyglądającemu młodzieńcowi. W efekcie ma złamany nos, a delikatną niczym spróchniała gałąź szyję ohydnie rozciętą przez zerwany z niej łańcuszek z krzyżykiem.

STUDENT MEDYCZYNY ŚMIERTELNIE POBITY przez szóstkę „dzieciaków” z kijami baseballowymi, którym nie podobała się jego twarz nawet po tym, jak oddał im swój portfel.

SALWA ZE STRZELBY UŚMIERCA MŁODĄ MATKĘ idącą po zakupy do supermarketu. Młodociani snajperzy wychodzą za kaucją.

Kolejne nagłówki migają jeden po drugim. ARESZTOWAĆ ZABÓJCĘ PRZERAŻONEJ DZIEWCZYNY – ZBIOROWY GWAŁT NA DACHU BUDYNKU MIESZKALNEGO – PODPALENIE W KIOSKU.

Podniosłam się, żeby wyjść.

Kagan posadził mnie z powrotem.

– Jeszcze tylko jeden. Rekonstrukcja zdarzeń – powiedział.

Na ekranie pokazał się krótki film. Na wiejskiej drodze, nieopodal przepływającej rzeki, stało zepsute kombi. W samochodzie leżały torby pełne zakupów, siedzenia zajmowała dwójka hałaśliwych przedszkolaków. Czy krótko obcięty młodzieniec w wiatrówce nadchodzi z pomocą?

Tak uważała młoda matka. Pospiesznie zamknęłam oczy – kobieta ta miała takie jasne włosy i taką pełną figurę.

– Najpierw gwałt – szepnął Kagan. – Potem morderstwo. Uderzył ją w głowę i wrzucił do rzeki. Później zajął się dziećmi.

Ponownie wstałam. Uścisk Kagana na moim ramieniu po trosze powstrzymywał mnie, a po trosze wspierał.

– Upiętko się każdemu z tych „kłopotliwych nastolatków” – wyjaśnił. – Większość z nich nie odsiedziała nawet całego wyroku w zakładach poprawczych.

– Ale przecież ostatni z nich zamordował troje ludzi, w tym dwójkę dzieci!

– Odpowiadał jedynie za gwałt. O całej reszcie nie rozpowiadał, dopóki nie znalazł się na wolności. Był czysty z punktu widzenia prawa – dodał łagodnie.

– ...lecz nie dla was?

– Chodzi pani o jednego z członków naszej organizacji? Rozpaczającego męża i ojca? Zgodnie z obdukcją skurwiel zmarł z przyczyn naturalnych. Utonął.

Zapaliło się światło. Z przodu ujrzałam pół tuzina osób.

– Ci ludzie – powiedział Kagan, wskazując ręką w ich stronę – stanowią Oddział Zabezpieczający. Są integralną częścią każdej planowanej Misji. Wszystko, co widziała pani dotychczas i co jeszcze usłyszysz, nazywamy Ładowaniem. Proszę usiąść i posłuchać zawodowca.

Przed zgromadzeniem stanął mężczyzna – w zasadzie cień pozbawiony twarzy.

– ...okrutne zbrodnie popełniane przez przestępców poniżej dwudziestego piątego roku życia? Sześćdziesiąt procent. Sześćdziesiąt! Banda stanowiąca nasz cel, chłopcy, którzy złamali nos staruszce, mają od dziesięciu do piętnastu lat. Ci sami, jak sądzimy, zabili również studenta medycyny. Z pewnością to nie są dziecięce wybryki.

Mówił spokojnym głosem bibliotekarza.

– Nasz dziesięciolatek swoją pierwszą czterdziestkępiątkę zdobył, włamując się do sklepu z bronią. Kolejną odziedziczył po trzynastoletnim bracie, który zafundował sobie większego gnata. Na ulicy można kupić spluwę za bezcen.

– Gdybym dostał dolara za każdego łobuza uzbrojonego w pistolet wart co najmniej trzy stówy, a kupiony raptem za pięć dych, byłbym bardzo bogaty – szepnął mi do ucha Kagan.

– ...przestępstwa popełniane przez ten gang są zazwyczaj przypadkowe... i bezsensownie brutalne. To typowe dla dzisiejszych czasów.

– Łobuzy! – wrzasnął jeden z obecnych.

– Z ogromnymi kompleksami. Ich przywódcy grożą bronią sklepikarzom dla czystej przyjemności.

– Ten facet zaczyna gadać jak emerytowany glina – szepnęłam. – Czym się zajmuje?

– Jest pani bliska prawdy.

– Emerytowany? Czy...

Zapanowała całkowita ciemność.

– Te zdjęcia wykonano niecały tydzień temu, pokazują nasz gang zabawiający się podczas świąt. – Głos policjanta uległ zmianie, stał się ostrzejszy.

Slajdy ukazywały się jeden po drugim. Niemiłosiernie pobity młody człowiek. Kobieta tak stara, że jej twarz przypominała gęsto pocerowaną jedwabną chusteczkę – dopóki nie złamali jej szczęki. Połamane kości, zakrwawione głowy.

– Dane przywódcy gangu – mówił policjant, pokazując kolejne fotografie. – W pierwszej klasie bez przerwy wagarował. Od bójek na pięści do ulicznych napadów przeszedł w roku tysiąc dziewięćset...

Na pewno nie na emeryturze. Podawał informacje jakby żywcem wzięte z akt policyjnych.

– W wieku ośmiu lat nauczył kraść kumpli. Kiedy skończył dziesięć, miał już własny gang. Jego życie stało się szeregiem napadów, rabunków z bronią w rękę i hulankę. Zyskał uliczną reputację: „Każdy, kto zrani moje uczucia, jest już martwy”. Wielokrotnie aresztowany, za każdym razem kończyło się identycznie – odesłaniem do matki. Jego matka utrzymuje się z „dochodów” syna. Wypuszczający go bezustannie na wolność sędziowie pracujący w sądzie dla nieletnich nie odczuwają wyrzutów sumienia. Ostatnim z nich, Obojętnym, który pozwolił na tę świąteczną rzeź, jest sędzia Arthur Younger, lepiej znany jako...

– Artur Krwawiące Serce! – zawołałam, odwracając się do Kagana.

– ...wypuścił go wkrótce po obejrzeniu tych zdjęć. Duchy noszące dzinsy.

Poderwałam się i zaczęłam uciekać, ścigana przez nieugięty głos

– ...wolni, by gwałcić i rabować, by mordować. Chyba że ich powstrzymamy.

Powstrzymajcie ich! Chcę, żebyście ich powstrzymali! – wołało coś we mnie.

– Naprawdę?

Kagan wyszedł za mną. Czyżbym powiedziała to na głos?

– To jest moja Misja, zgadza się?

– Jutro wieczorem. O siódmej. Przyłącza się pani do nas?

Zamknęłam oczy. Ujrzałam jednak to, co on pragnął, bym widziała – już nie tylko Sarah, ale także staruszkę ze złamanym nosem, studenta medycyny i młodą matkę w drodze do supermarketu.

Otworzyłam oczy, lecz nie zobaczyłam Kagana, tylko świętoszkowate oblicze sędziego Arthura Youngera. Poza nim widać było jedynie połamane kości i zakrwawione głowy. Zwróciłam się do Kagana, mimo iż go nie widziałam.

– Przyłączam się do was.

– Swojemu przyjacielowi proszę powiedzieć, że nie – wyjaśniał spokojnym głosem. – Była pani przemęczona. Narada, którą pani obserwowała, przyprawiła ją o mdłości i jednocześnie przywróciła zdrowy rozsądek. Uwierz pani. Psychiatrzy łatwo nabierają się na takie bzdury.

– Zadalście sobie wiele trudu z mojego powodu – doszłam do wniosku.

Spostrzegłam błysk emocji. Zaniepokojenie? Uraza?

– Do jutra? – naciskał Kagan.

– Do jutra.

## Rozdział 10

Kiedy wyszłam z domu, zauważyłam czekający nieopodal samochód.

– Nawet nie poznał mnie mój portier – pochwaliłam się, siadając obok Kagana, zadowolona z uśmiechu, jakim mnie obdarował.

W obcisłych džinsach, kurtce w groszki i ciemnej wełnianej czapce przykrywającej moją nową fryzurę, żując gumę, przemaszerowałam przez hol. Okulary przeciwsłoneczne pomogły nieco, lecz najważniejsze okazało się ryczące radio trzymane przy uchu pod odpowiednim kątem.

– Mogłabyś uchodzić za Portorykankę – powiedział, nie odrywając oczu od drogi.

Matka zabitego dla radia chłopca. Siedząc przed lustrem i przyciemniając sobie skórę, rozmyślałam o niej.

– To nie zasługa fluidu, moimi przodkami byli portugalscy Żydzi.

– Nie ma jak odrobina portugalskiej krwi w żyłach. – Spojrzał na mnie. – Zapewne popsulaś plany swojemu mężczyźnie.

Mojemu przyjacielowi, nie mężczyźnie, a co więcej to nie twój cholerny interes.

– Co mu powiedziałaś? – naciskał.

– Że zamierzam spędzić sylwestra razem z Claudią.

– A co powiedziałaś swojej przyjaciółce?

– Parę kłamstewek. Dlaczego pytasz?

– Nie potrzebujemy wścibskich przyjaciół czy przyjaciółek depczących nam po piętach.

– Dlatego co chwila spoglądasz w lusterko?

– Jesteś spostrzegawcza – zauważył, sprawiając wrażenie niezbyt zadowolonego.

– A ty jesteś skończonym idiotą, jeżeli sądzisz, że Jamie albo Claudia...

– Idiotą jest człowiek, który nie ma się na baczności – odparł łagodnie.

– Dokąd jedziemy?

– Do miejsca, które kiedyś nazywałaś swoim domem. – W jego oczach czaiło się ponure rozbawienie.

– Tylko nie do południowego Bronksu! – Tam pojawiła się skradziona srebrna zastawa Sarah; oczywiście. Moje przeznaczenie, Bronx.

Zamilkłam zrezygnowana.

– Wiele się zmieniło od czasu, gdy wyprowadziłaś się stąd trzydzieści lat temu.

– Wiele się zmieniło od czasu, gdy moi rodzice przeprowadzili się tu w latach dwudziestych – przyznałam, przyglądając się pozostałościom niegdyś solidnych ceglanych budynków – bloków mieszkalnych w stylu art deco, w których się wychowałam.

Zatrzymał się przy krawężniku. Zanim zorientowałam się, co zamierza, minęło kilka chwil.

– Tam się urodziłam. – Pokazałam mu.

Otworzył mi drzwi. Weszliśmy do środka ruiny, jaka pozostała z mojego dawnego domu. Czy pozostało w nim choć jedno całe okno, jedno nierozwalone drzwi? Zlew lub prysznic, które nie zostały wyrwane ze ściany, jak gdyby grasował tu jakiś szalony dentysta? Wszystko było albo zwęglone, albo poprzewracane.

– Wyjdźmy stąd – wyjąkałam.

W samochodzie powiedziałam mu, że zauważyłam ślady lokatorów.

– Długo nie pomieszkają. Najlepszym sposobem na pozbycie się dzikich lokatorów jest podpalenie. Pożar sprowadza strażaków z siekierami. Zaraz po nich zjawiają się włóczędzy gotowi wynieść wszystko, co tylko się da. Miotają się po zgłiszczach w poszukiwaniu metalu – rur, drutów, okuć. Chyba że pierwsze zjawia się ćpuny – opowiadał, obserwując mnie – i na pogorzeliśku urządzają sobie melinę. Wkrótce służby miejskie zakręcą wodę – nie ma już przecież rur. Z czasem zaczynają sypać się sufity, potem ściany....

– Rozumiem – powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego stara się mnie zdenerwować. .

Przejeżdżaliśmy obok zwałów odpadków, opustoszałych parkingów, opuszczonych budynków. Bronx przypominał powojenny Berlin Wschodni.

Kagan wręczył mi kopertę.

– Moje antidotum na zmarznięte stopy.

Zapasowy zestaw zdjęć!

– Kagan, skąd na miłość boską...

– Ukradł je dla nas portorykański chłopak.

– Tony? Ale kto je zrobił? Dlaczego ktoś chciałby je mieć?

– Pedro Luis Morales alias Indio to prawdziwy twardziel. Odnosi „sukcesy”, więc chce pamiątek. Przyjrzyj się im Karen – nalegał delikatnie.

Ostatni raz, powiedziałam sobie. Jedno po drugim.

Ulec gniewowi, Jamie? To jakby pozwolić mu na zawsze zamieszkać w twoim sercu. Wiesz, jakie to uczucie? Prawdziwa gorycz. Jakby krew pulsowała ci w skroniach, gotowa wybuchnąć.

– Gotowa? – spytał Kagan. Ponownie zatrzymał samochód.

Zobaczyłam sześć osób w dużych przyciemnianych okularach. Podążyliśmy za nimi do zdemolowanego budynku. W siódmkę (gdzie się podziela ósma?) weszliśmy na szóste piętro i stanęliśmy przed mocnymi drzwiami chroniącymi pomieszczenie przed intruzami.

– Kwatera główna gangu. Nie ma nikogo – wyjaśnił mi Kagan, podczas gdy tęgi czarny mężczyzna rozbijał drzwi, siejąc dookoła drzazgi. Moi towarzysze, omijając mnie, wkroczyli do środka.

Ja tylko obserwowałam. Rdzewiejący generator prądu. Nowojorski pejzaż na sypiącej się ścianie. Orientalny dywan – rewelacyjne bordo – na zniszczonym parkiecie. Wieszaki z ubraniami sprawiającymi wrażenie drogich. Zbliżyłam się. Kilka garniturów od Saint Laurenta... sukienka od Oscara de la Renta... oszałamiająca marynarka od Billa Blassa, jedwabna w purpurowo-pomarańczowe paski. Wyobraziłam sobie napady na sklepy przy Park Avenue,

bogaczy oglądających wystawy i okradanych z futer.

Futra. Walały się ich całe stopy – służyły nawet jako nakrycia na materace. Zdezelowane meble uginały się pod ciężarem sprzętu stereo, telewizorów, kamer wideo. Zajrzałam do wanny – złoto i srebro sięgało aż po brudne brzegi. Sięgnęłam po damski złoty łańcuszek, po mały męski zegarek Rolexa. Wypuściłam je z rąk i, wycierając dłonie o spodnie, wycofałam się.

– Faza pierwsza – odezwał się stojący za mną Kagan. – Zaatakuj i zniszcz.

Oparta o ścianę przyglądałam się ubranym na czarno postaciom, jak rozbijają, rozdierają i rozrzucają wszystko, co popadnie. A jednak działali w sposób metodyczny sposób. Kineskopy telewizorów zostały rozbite. We wszystkie strony przyskało szkło. Ktoś wycelował i rzucił przez okno sporą kupkę sreber. Podniosłam grawerowaną srebrną tacę, która upadła na podłogę – mniejsza wersja patery, jaką zrabowano Sarah.

Miałam wrażenie, jakbym dotknęła rozpalonego pieca... natychmiast cisnęłam ją przez okno.

Ruszyłam w stronę sterty futer – z gronostajów, soboli, norek. Sięgnęłam po puszyste, obszywane skórą, rude palto z ekstrawaganckim kołnierzem. Moje usta skrzywiły się, gdy wyobraziłam sobie jasnookie zwierzę wystarczająco sprytne, by przechytryć psy gończe, konie oraz dwunożne stworzenia w strojach do polowania, a które mimo wszystko trafiło w końcu na wieszak.

Kagan zatrzymał mnie przy oknie.

– Z futrami postępujemy inaczej – zachichotał. – Zaczynicie je pakować! – zawołał do pozostałych, biorąc ode mnie palto z lisa.

Wskazał mi ledwo widoczny sejf kryjący się za stołem do bilardu.

– Faza druga: reparacje. Oczywiście jeśli to możliwe. Zazwyczaj ponosimy znaczne wydatki, a splądrować sejf złodzieja, to jakby rozbić bank. Gotówka, pierścionki z diamentami.

– Więc w taki sposób finansujecie swoje operacje!

– Częściowo.

Spostrzegłam na podłodze kilka rurek służących do wdychania narkotyków.

– Nie tylko pierścionki z brylantami. Interesują was też narkotyki?

– Jedynie wówczas gdy można je łatwo spieniężyć. Masz ochotę poczekać i zobaczyć, ile koki albo anielskiego pyłu przechowuje Indio? – Kiedy potrząsnęłam głową, skierował mnie ku wyjściu.

Ktoś go zawołał.

– Wrócimy po fazie trzeciej – odpowiedział. – Nasz zwiadowca dał czas ich strażnikowi, żeby zawiadomił szefa – wyjaśnił.

– Potem nastąpi faza trzecia.

– Do tej pory doprowadził już zapewne naszego człowieka do tych pseudo-Indian na wojennej ścieżce – oznajmił, krzywiąc usta zbyt fałszywie, by nazwać to uśmiechem.

– Naszego zwiadowcę; numer ósmy.

– Więc ich kwatera główna...

– Nie była opuszczona? – wtrącił się kolejny raz. – Niecałkowicie. Mając tyle skarbów, trzeba się zabezpieczyć przed najazdem konkurencyjnych gangów. Właśnie takie wrażenie chcemy sprawiać.

„Nasz” człowiek zdążył już wrócić z informacjami.

– Wielkie sylwestrowe balangi – powiedział do mnie Kagan w samochodzie. – Ludzie podpici i nieostrożni. Wszystkie te imprezy. Indio zmienił dzisiaj rewir. Kierunek Manhattan.

Północny Manhattan. Porządny, zamieszkały przez klasę średnią, ale także pełen bocznych uliczek. Sprawdzaliśmy jedną po drugiej w poszukiwaniu grasującej bandy.

– Przyglądaj się drzwiom wejściowym – powiedział Kagan. – Sprawdzaj puste parkingi i zejścia do metra. Szukaj wybitych okien. Mów mi, co widzisz.

Zobaczyłam duchowych braci Indio. Snujące się trójkami lub piątkami cienie w puchowych kurtkach. Przemykające niezmordowane nogi, wśród świateł przejeżdżających samochodów. Wysilałam się, by usłyszeć i zrozumieć mamrotane przekleństwa oraz ochryply śmiech. Próbowałam dostrzec twarze, lecz widziałam jedynie ich fragmenty: ładne, proste nosy i te garbate, młodzieńcze wąsiki, czasami brodę, podbródki nigdy jeszcze niedotknięte żyłką, mnóstwo gęstych ciemnych włosów, nieco jasnych, błyskające zęby oraz zbyt wiele kształtów ust, by je jakoś zaklasyfikować, tyle tylko, że wszystkie bez przerwy otwarte.

– Zmyli się – doszedł do wniosku Kagan.

– Pojechali bronić swojej twierdzy. – Zerknął na zegarek. – Czas wracać.

– Specjalnie marnowaliśmy czas, prawda? – powiedziałam niepewnie. – Dlaczego?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Twoja zasada „żadnych zbędnych pytań”? Nie tym razem. Powiedziałeś, że wrócimy po fazie trzeciej. Kagan, zobacz, co się stało tej dziewczynie?

Zatrzymał samochód, wysiedliśmy.

Była posiniaczona, niemal naga. Zaprowadziła nas do swego chłopaka. Był ledwie przytomny, krwawił z zadanej nożem rany. Studenci, którzy na święta przyjechali do domu. Wyszli się zabawić.

Wezwałam pogotowie i ulotniliśmy się, gdy z daleka dobiegło nas wycie syren przypominające histeryzującą kobietę.

– Biedny dzieciak – odezwał się Kagan. – Gotowa usłyszeć o fazie trzeciej?

Dziewczyna, którą właśnie widzieliśmy, była ofiarą gwałtu.

– Oni zgwałcili Sarah – myślałam na głos. – Kagan, chyba nie chcesz powiedzieć. Faza trzecia. Mój Boże, sądziłam, że wolicie Dantego, a nie *Księgę Wyjścia!*

– A kto twierdzi, że one się wzajemnie wykluczają?

– Zbiorowy gwałt – wzdrygnęłam się.

– Odbywa się właśnie w tej chwili. – Kagan wydawał się rozradowany.

– Mężczyźni gwałcący mężczyzn – wyszeptałam z niesmakiem.

– Przysługa Drużyny C – dobrze opłacanych kooperów.



– Tylko nie ten chłopiec Tony!

– Spokojnie. Tę część akcji odwetowej pozostawiamy wynajętym facetom. Nasz Oddział Zabezpieczający – ludzie, z którymi weszliśmy – pilnuje porządku. Są dobrzy. Trafili ci się najlepsi fachowcy.

– Dlaczego? – Brak odpowiedzi. – Kagan, dlaczego traktujecie mnie w wyjątkowy sposób?

– Może jesteś wyjątkową osobą.

– Dlaczego bezustannie spoglądasz w lusterko?

– Denerwują mnie zazdrośni kochasie.

– On nie należy do ludzi zazdrosnych.

– A do tych, co zawsze martwią się na zapas? To nawet mogłoby się okazać gorsze.

Odwrociłam się, by nie pokazać Kaganowi, że trafił w dziesiątkę. Jamie, mój samozwańczy opiekun. Z pewnością można go było zaliczyć do ludzi martwiących się zbyt wiele. Teraz ja martwiłam się, że Jamie się o mnie niepokoi.

Niepotrzebnie, jak się okazało. Dotarliśmy na miejsce bez żadnych incydentów, nie licząc naszej rozmowy. Tym razem ociągałam się z wchodzeniem po schodach, nie chcąc słuchać dobiegającego z góry wycia i przekleństw.

– Kiedy rozejdzie się wiadomość, że ktoś im przeleciał tyłki, bandziory Indio będą się mogli pożegnać ze swoim wizerunkiem twardzieli – powiedział Kagan. – Poza tym...

Cisza, która nagle zaległa, zmieszała nas oboje. Rozległ się dźwięk kroków.

– Wszyscy wyszli schodami ewakuacyjnymi. Płatni gwałciciele wracają do melin, z których przyszli – wyjaśnił. – Poszli prawie wszyscy. – Ujął moją rękę, jak gdyby zamierzał poprowadzić mnie do tańca. – Nadszedł czas.

Wyrwałam się i jak niesforne dziecko usiadłam na ostatnim schodku.

– Uzgodniliśmy przecież pewne sprawy, pamiętasz? – warknął. – Po pierwsze, żadnego wahania.

Ale tu chodzi o zabójstwo. Posłużył się starym chwytem.

– Sarah została zadżgana nożem. Morderca znajduje się za tymi drzwiami.

– Nie mogę tam wejść – wychrypiałam.

– Najpierw sędzia Younger, a teraz ty. Więc mamy puścić go wolno, żeby znowu zabił czyjąś córkę? Wiesz, że to zrobi. Robił to już przedtem. Myślisz, że twoja Sarah była pierwsza?

Pragnęłam, by była ostatnia. Z całego serca. Wstałam.

– Faza czwarta – powiedział Kagan. – Nasze motto brzmi: Zemsta jest słodka.

Czekali na mnie – sześciuosobowy Oddział Zabezpieczający, wszyscy w przeciwsłonecznych okularach, abym w ich oczach nie dostrzegła śladu nienawiści czy przyjemności, a może strachu. Moja obstawa. Kagan powiedział, że trafili mi się najlepsi fachowcy.

Dwóch z nich trzymało barczystego, szczupłego młodzieńca o skórze w kolorze mokrego piasku, prostych czarnych włosach sięgających do ramion, które połyskiwały bardziej niż jego białe zęby.

Dwóch z nich trzymało zabójcę Sarah.

Czy nie było sprawiedliwości? Gdzie się podział strach, który powinien malować się w tych beznamiętnych czarnych oczach? Czego jeszcze potrzeba, by zetrzeć mu z twarzy wyraz mówiący „pieprzcie się”.

Miał wykręcone ramiona, czerwona jedwabna koszula rozerwana była do samego pasa, ukazując krzykliwy tatuaż – wojownika z plemienia Apaczów trzymającego w uniesionej pięści ociekający krwią nóż. Przyciągnęło mnie rytmiczne unoszenie się malowidła.

Oddychałam gwałtownie. Serce waliło mi w piersi.

– Morderco – syknęłam. – Zabiłeś moją córkę. Tamtego wieczora rozmawiałam z nią przez telefon. Słyszałam, co...

– Słyszałaś, jak zdychała, pieprzona suko? Nasłuchiwałaś się do woli? Usłyszeć to jeszcze raz – ten sam głos, prawie te same słowa. Zanurzyć się w takie samo bezradne przerażenie – tragiczną niemoc, by ruszyć się i powstrzymać ich! Raz po raz wyobrażać sobie tamte wydarzenia.

Potem zobaczyć, jak śmieje ci się w twarz. Nie ze zdjęcia, tym razem naprawdę. Prawdziwe oczy, prawdziwe włosy...

Mój wzrok zatrzymał się na dziwnym pieprzyku nad policzkiem. Tak jak poprzednio. Był mały, brązowy, jak gdyby pojedyncza łza narysowana przez dziecko. Apacz cofnął się.

Zauważyłam kolczyk w jego uchu. Kolczyk, a nie obrączkę. Czy to przypadkiem nie...?

Było to złote kółko, szerokie i gładkie, wysadzone maleńkimi brylancikami, które nie przestawały błyskać.

Chwyciłam je i szarpnęłam. Trzymając je na dłoni, mojej zakrwawionej dłoni, słyszałam płacz Sarah – dlaczego płakała? Odzyskałam jej obrączkę.

Wyrwałam mu kolczyk z ucha. Kolczyk, który zrobił z obrączki ślubnej mojej córki. Rozerwany na dwie części płatek zwisał żałośnie, a Indio wył z bólu.

Ja bez przerwy słyszałam Sarah.

Zobaczyłam leżący na stole nóż. Usłyszałam głos.

– Przytrzymajcie mu rękę, lewą rękę. – Zobaczyłam dłoń, własną dłoń, jak podnosi nóż, znów odezwał się ten głos. – Nie tak ściśle. Rozsuńcie palce. Chcę mieć jego serdeczny palec – powiedziałam. – Chcę...

Kawałek ciała uderzył w moją stronę niczym dobrze wymierzona piłka baseballowa.

Zablokowali jego pięść kilka centymetrów przed moją twarzą. Wypuściłam z ręki nóż i cofnęłam się krztusząc.

– Mamy towarzystwo – ostrzegł jakiś głos.

– Karen, na miłość boską!

– Doktorze, niech pan zostanie na miejscu.

Odwróciłam się akurat w porę, by zobaczyć wyciąganą przez Kagana broń. Celował w Jamiego.

– Zwariowałaś? – zawołałam, rzucając się między nich. Chwyciłam Jamiego za ramię. – Co

ty tu robisz?

Jamie pochylił się nade mną. Kagan, wściekły, położył pistolet na oparciu fotela.

– Przez telefon wydawałaś się nieswoja – odparł Jamie. – Claudia też czuła się podle – powiedziała, że to pierwszy sylwester, którego nie spędzacie razem.

– Więc zdążył pan pod dom Karen akurat na czas, by zobaczyć, jak wychodzi. Śledził nas pan. Mamy tu sprawę do załatwienia, doktorze. – Kagan szarpnął Jamiego za ramię, popychając go do przodu.

Pozostali, naprawdę doskonała ochrona, zwarli szyki.

Przyglądałam się, jak sześć złowrogich postaci oddała się, by...

Sześć?

Wszyscy w pokoju odwróceni plecami, zapomniano o zabójcy – mordercy trzymającym w dłoni nóż. Ten sam, który upuściłam. Wymierzony był w najbliższe plecy – w Jamiego!

Na chwilę, zanim moja ręka sięgnęła w stronę broni Kagana, w myślach zaświtały mi słowa niczym druzgocące echo.

Wystarczy zaledwie parę sekund, by stracić życie – własne lub kogoś bliskiego.

Pociągnęłam za spust. Potem jeszcze dwa razy. W uszach czułam ból, przed oczyma widziałam błyski.

Kagan odebrał mi broń.

– Lepiej niech pan ją stąd szybko zabierze – poinstruował Jamiego. – My tu posprzątamy.

Odzyskałam wzrok.

– Posprzątacie co? – wyszeptalam.

Jamie pociągnął mnie, jednak zbyt późno, bym nie mogła spojrzeć.

Popatrzyłam na zdrowe ciało w dopasowanych dżinsach i czerwonej jedwabnej koszuli.

Popatrzyłam na Pedro Louisa Moralesa, alias Indio, leżącego w kałuży krwi z wyciągniętą w bok ręką.

W drodze do domu Jamiego pozwoliłam mu wyperswadować sobie oddanie się w ręce policji. Nie popełniłam morderstwa. Uratowałam mu życie. Odebrać czyjeś życie, by uratować innego. Klasyczny przykład obrony koniecznej, powtarzał. Sprawdź w źródłach, jeśli mi nie wierzysz.

Wierzyłam. To rzeczywiście była obrona konieczna. Z punktu widzenia prawa nie byłam zabójczynią.

I co dalej?

– Jesteś w szoku. To dobrze dla ciebie – uspokajał mnie Jamie. – Kagan każe oczyścić obrączkę Sarah. Czy mam oddać ją do naprawy?

– Tak, proszę. Czy Kagan... nie przypominam sobie, żebyś podawała ci jego imię.

– Nie podawałaś. To znany mściciel, kochanie.

– Nie rozumiem.

Podał mi do ręki kryształowy kieliszek, a następnie napełnił go po brzegi szampanem.

– Czas na noworoczny toast – powiedział, zerkając na zegarek.

Napełnił własny kieliszek i uniósł go do góry.

Spojrzałam w zamyślane oczy obcego człowieka. Odmówiłam wznoszenia toastu. Szczęśliwego Nowego Roku?

– Witamy w Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar – powiedział Jamie, wypędzając obcego jednym ze swoich oszałamiających uśmiechów. – Teraz już rozumiesz?

Miałam ochotę chlusnąć mu szampanem w twarz. Miałam ochotę dać mu medal. Miałam ochotę zamknąć oczy i zniknąć. Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy.

## Rozdział 11

– Zdenerwowana? – spytał Jamie.

– Odrętwiała. Powtarzasz wciąż, że potrzebujecie mojej pomocy. Dlaczego?

– Później – powiedział, zbywając mnie kolejny raz.

– Denerwowałabym się mniej, gdybyś wprowadził mnie w te tak zwane szczegóły. – Spojrzałam na zegarek. – Mamy jeszcze czas.

– Niespecjalnie – odparł ustępując. – Zack ci się spodoba, ponieważ...

– Nie podasz nazwiska?

– Jeszcze nie teraz. Jest policjantem. O’Neal nie przypadnie ci do gustu. Wygląda jak typowy kolejarz, a w rzeczywistości jest właścicielem firmy budowlanej. Hugh Hunter to biznesmen z Queens. Kobieta pracująca w agencji reklamowej to moja była pacjentka. Earl Bartholomew pracuje w więzieniu. Chce, by wołano na niego Czarny Bart. Kagana już poznałaś. Znasz go, i właściwie nie znasz. – Uśmiechnął się chytrze.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Obserwowałam go, jak odgrywa rolę gospodarza, zapraszając wszystkich do środka. Muskularny czarnoskóry mężczyzna w dzinsach i granatowej kurtce przemaszerował nonszalancko przez pokój. Policjant Zack bez munduru?

– Cześć – przywitał się beztrosko, chociaż w jego oczach czaił się smutek.

– Powiedz coś jeszcze – poprosiłam. – Dokonuję porównania.

– Żeby się przekonać, czy to mój głos słyszałaś podczas Ładowania? Nie mylisz się. – „I jestem z tego dumny!” zdradzały jego aksamitne, brązowe oczy.

– Dzięki. – Podałam mu rękę.

Podszedł biznesmen. Niewysoki, może metr sześćdziesiąt wzrostu, krótko przystryżona bródka. „Hugh Hunter”, przedstawił się. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur pamiętający lepsze czasy. W oczach przybysza dostrzegłam ulgę na widok chociaż jednej osoby ubranej równie elegancko jak on.

– O’Neal – przedstawił się trzeci, witając mnie niedbałym skinieniem głowy. Wyglądał na przedsiębiorcę budowlanego – czerwony nos, wystające z kieszeni na piersi cygara, zadufanie we własną męskość. Nie był w moim typie.

Facet w skórzanym ubraniu, wyglądający jakby przed chwilą zsiadł z potężnego harleya, także nie przypadł mi do gustu.

– Czarny Bart – podał swoje przezwisko, wyciągając rękę, podczas gdy ja starałam się nie wpatrywać w srebrną sprzączkę przy jego pasie – krzyczący orzeł z rozpostartymi szponami. Zanim przeszedł dalej, dumnie niczym chodząca reklama paczkowanej męskości, dodał jeszcze:

– Witamy w klubie – i brzmiało to dosyć szczerze.

Kagan przywitał mnie machnięciem ręki, zostając po drugiej stronie pokoju.

Brakowało tylko specjalistki od reklamy.

Podeksycytowany Jamie pousadzał nas wokół swojego wielkiego dębowego stołu, a następnie na chińskiej porcelanie podał jajecznicę. Kiedy obserwowałam go jak nalewa, a później dolewa kawę do kubków, zdumiało mnie jego chłopięce pragnienie zaspokojenia potrzeb wszystkich gości.

– Więc jesteś z nami – zwrócił się do mnie Kagan. Fachowiec od przełamywania lodów.

– Tylko nie bardzo wiem dlaczego – odparłam, znowu podenerwowana. – Od samego początku robiliście dla mnie wyjątki. Teraz zdaje się, że chcecie mojej...

– To pomysł Jamiego – wtrącił, wykrzywiając usta z niezadowolenia. – Który może okazać się dobry lub zły. Zanim jednak przejdziemy do sedna sprawy, powiedz mi, co czujesz, myśląc o wydarzeniach sprzed tygodnia.

– Strach – ...i wdzięczność, przyznałam w myślach. Kiedy potrzebowałam pomocy, stanęli u mego boku. – Zastanawiam się – kontynuowałam wolno – czy godząc się na spotkanie z wami, byłam przy zdrowych zmysłach.

– Może potrzebna ci informacja, jaki jest cel naszego zebrania – podpowiedział biznesmen Hugh, litując się nade mną.

Kagan spojrzeniem nakazał mu zwięzłość.

– Zmuszono mnie do zwinięcia interesu – powiedział Hugh Hunter, w jego szarych oczach błysnęły wspomnienia. – Prowadziłem go przez dwadzieścia lat. To nie konkurencja mnie wykończyła. Ani nawet nie błędne posunięcie. Do licha, tamto mógłbym znieść. Ryzyko zawodowe. – Przesunął po brodzie dwoma palcami. – Ale kiedy twoi pracownicy zaczynają się spóźniać, kiedy w ogóle przestają przychodzić, gdyż boją się ciągłych napadów. Gdy niektórzy z nich zjawiają się w pracy zakrwawieni... – Podniósł się gwałtownie. – Należę do grupy – zawołał, uderzając się w pierś – ponieważ czegoś takiego właśnie potrzebuje biznesmen, zamiast najróżniejszych kamizelek kuloodpornych, do których noszenia zaczynałem się przyzwyczajać, chodząc do biura. Boże... dopomóż mi.

Wszyscy spojrzeli na jego lekką, srebrnoszarą kamizelkę.

Zack przeciągnął się, nie jak osoba znudzona, lecz raczej jak ktoś próbujący pozbyć się nadmiernego napięcia. Ciało zapaśnika nie pasowało do jego twarzy, która z kolei nie przypominała wizerunku gliny, do jakiego przywykłam – wiecznie przenikliwe spojrzenie i bezustannie zmarszczone brwi naukowca.

– Należę do grupy – odezwał się – ponieważ mam dosyć pełnienia roli z jednej strony żołnierza, a z drugiej swego rodzaju biurokraty. Skoro policja więcej czasu poświęca na wypełnianie akt i włączanie się po sądach niż patrolowanie ulicy... – Wzruszył ramionami. – Nie zrozum mnie źle. Nie mam nic przeciwko funkcji żołnierza. Jednak tylko dopóty, dopóki ufam generałom. – Uśmiechnął się. – Ale mając na karku cały tłum kretynów gotowych wypuszczać przestępców, podobnie jak Hugh, nie mogę właściwie wykonywać swoich obowiązków. Wiesz, co najbardziej nie daje mi spokoju? Starsi ludzie. Już nie potrafię spojrzeć im w oczy. Nie mogę

znieść widoku ciągłego strachu. – Ściągnął wargi.

Bart, więzienny strażnik, nie przestawał się uśmiechać. Odpowiedziałam tym samym. W tym facecie wszystko było ciemne, poczawszy od szytej na miarę koszuli oraz mrożącego krew w żyłach skórzanego wdzianka, a skończywszy na gładkich włosach i ponurych oczach. Należał do barowych przystojniaczków, w których licealistki kochają się do szaleństwa.

– Nasze więziennictwo jest głównie warte – podsumował.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich zwiewna blondyneczka.

Miała klucz do mieszkania Jamiego. Doktor unikał mego spojrzenia, wyrażającego zaskoczenie.

– Poznaj Lee Emerson, pracuje w agencji reklamowej – przedstawił przybyłą.

Przeszła przez pokój, jakby płynęła w powietrzu, rąbek spódniczki kołysał się subtelnie w takt poruszających się bioder. Jasnobezowy kostium niemal zlewał się z jej skórą, przymarszczona bluzeczka wydawała się lekka i zwiewna niczym morska piana. Miała miękkie, przylegające do głowy włosy, którym mężczyźni rzekomo nie potrafią się oprzeć. Pragnę ich dotykać. Przypominała dziewczyny znane z reklam szamponów. Właśnie kiedy doszłam do wniosku, że cała ta otoczka zwiewności była dziwnie pretensjonalna, nie mówiąc już, że także nie na miejscu – ja ubrałam się skromnie, na szaro, jak do biura – wyciągnęła do mnie pojednawczo dłoń.

– Witam cię, Karen Newman. – Podałam jej rękę, podziwiając zadbane uzębienie młodej kobiety.

Podobnie uczynił Bart, a następnie omal nie przeszedł samego siebie, podając jej śniadanie. Zachował się wspaniale.

Kiedy ochoczo przyłączyła się do prowadzonej rozmowy, skupiałam uwagę na oczach dziewczyny – miały wspaniałe kolor błękitnego popołudniowego nieba. Niemniej ich ruchliwość wydawała się nieco sztuczna.

– Czy powiedziałeś już Karen? – spytała Jamiego. – Czy się zgodziła?

Jednak to Kagan odbił piłeczkę.

– Jamie uważa, że potrzebujemy twego doświadczenia w dziedzinie public relations. Chodzi o nabór członków.

– Nieprawda – najeżył się Jamie. – Potrzeba nam więcej jawności. Gong – początek starcia. Natychmiast zorientowałam się, że od dawna toczyli tę walkę.

– Czyż nie przydałoby się nam wszystkiego po trochu? – zapytała pojednawczo Lee.

– Kampania werbunkowa jednocześnie zyskująca nam przychylną opinię publiczną. Czemu nie? – zastanawiał się na głos Jamie. – Już czas, żeby pochwalić się osiągnięciami ostatnich trzech lat. Ludzie nawet pojęcia nie mają o naszym istnieniu.

– Podobnie wymiar sprawiedliwości – zauważył Zack.

– Jawność jako cel ostateczny? – wycedził Kagan. – To niebezpieczny pomysł, Jamie.

– Tak, niebezpieczny – zawtórował mu Bart, krzywiąc się.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Przecież podejmując kampanię dla stworzenia wizerunku Stowarzyszenia, dokonacie znacznie większych zmian niż tylko wprowadzenie pewnej jawności. Co będzie z „anonimowością” w Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar?

– Przemienie z wiatrem – odparł O’Neal.

Zapalił cuchnące hawańskie cygaro, po czym spojrzał na koszyczek z chlebem. Jamie podał mu popielniczkę.

– Czyżby nadszedł już czas? – Zack pochylił się.

– Można to lepiej ująć – odezwał się Hugh. – Czy już czas na samobójstwo?

– Hugh, pomyśl tylko, jak stworzenie pozytywnego wizerunku naszej organizacji pomogłoby w zdobywaniu funduszy! – zawołał z entuzjazmem Jamie. – Wciąż powtarzasz, że jesteśmy zbyt zaleźni od dostarczanych przez mnie datków.

– Wiedzieliśmy od początku, że kiedyś będziemy musieli się ujawnić – wyznał z żalem Zack.

– Było to tylko kwestią czasu. – Popatrzył na Kagana, szukając poparcia.

Zagadnięty napiął mięśnie karku.

– Być może macie rację – powiedział, spoglądając kolejno na zgromadzonych, by wreszcie zatrzymać wzrok na Jamiem. – Może rzeczywiście już czas wypłynąć na szerokie wody.

Bart uśmiechnął się na znak zgody.

– Wypadałoby wreszcie wyjść z podziemia.

Lee Emerson wstała i zaczęła się przechadzać.

– Zmobilizujemy ludzi!

– Zaczniemy powoli. – Głos Kagana przywrócił spokój zebranim. – Priorytety – wypowiedział to słowo z namaszczeniem. – Uważam, że powinniśmy na jakiś czas zaprzestać werbowania nowych członków i skoncentrować się na pozyskiwaniu sympatii społeczeństwa. – Odwrócił się w moją stronę. – Karen, czy pomożesz nam ją zdobyć?

Zmieszałam się, słysząc brzmienie własnego imienia w jego ustach. Zaszokował mnie fakt, iż nie byłam zaskoczona postawionym pytaniem.

– Twoja Sarah została pomszczona – kontynuował, niewłaściwie zrozumiawszy moją reakcję. – A co ze wszystkimi innymi?

Powiedziane bez ogródek.

– Kagan, nie musisz od razu odwoływać się do sumienia Żydówki. Jestem wam wdzięczna. Wszystkim bez wyjątku – odparłam, popatrzyłam dookoła, by, jak uprzednio Kagan, zatrzymać wzrok na człowieku, bez którego nie potrafiłabym przeżyć, na Jamiem. – Ale nie mogę się do niczego przyłączyć. Nie chcę. – Wytrzymałam jego spojrzenie. – Gdybym miała zrobić tylko tę jedną rzecz...

– Czy będziemy kwita? Pewnie – odrzekł Kagan, sprawiając wrażenie, że rozumiał to, czego nie miałam odwagi powiedzieć nawet Jamiemu. Można to nazwać przyzwyczajeniem czy też osobistymi zasadami, w każdym razie zawsze spłacam swoje długi. Co więcej, nigdy nie potrafiłam pojąć ludzi, którzy tego nie robią.



Zack dołał kawy do mojego kubka.

– Zanim się zdecydujesz, Karen, uświadom sobie, co zamierzasz dla nas zrobić i dlaczego.

– Nie tylko dla was.

Uśmiechnął się.

– Właściwa odpowiedź. Chciałem właśnie powiedzieć, że żaden z członków organizacji nie odczuwa wstydu ani wyrzutów sumienia. Jesteśmy dumni z naszej walki, mimo niezbyt eleganckich metod, którymi musimy się posługiwać. Przynajmniej jak na razie – dodał, podkreślając swoje słowa spojrzeniami rzuconymi w stronę Kagana.

– O co właściwie walczyacie?

– O sprawiedliwość – odpowiedział żarliwie Jamie.

– O przetrwanie – dodał Kagan.

– O współczucie dla ludzi, którzy najbardziej go potrzebują – powiedział Zack tonem człowieka, który na co dzień w swej pracy nie dostrzegał zbyt wiele współczucia.

– Jesteś policjantem – zdziwiłam się – a jednak...

– Przekraczasz granicę wytoczoną przez prawo? Będę tak robił tylko do czasu, aż prawo przestanie krępować policjantom ręce, utrudniać nam pracę. Nasze działania traktuję jedynie jako tymczasowe. Pragnę dopomóc policji odzyskać utraconą sprawność.

– Gdy tylko nasze przesłanie dotrze do ludzi, gdy zdobędziemy szerokie poparcie i Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar stanie się liczącą siłą, politycy i ustawodawcy zmuszeni będą zwrócić na nas uwagę. Wtedy staniemy się świadkami prawdziwych zmian – prorokował Jamie z zapalem, którego się po nim nie spodziewałam. – Karen – zwrócił się do mnie, ujmując moją dłoń – wszyscy z nadzieją czekamy na dzień, kiedy będziemy mogli zaprzestać pełnienia roli zastępczych stróżów prawa.

– Któż pragnąłby zemsty, gdyby wymiar sprawiedliwości rzeczywiście wymierzał sprawiedliwość? – spytał retorycznie Kagan.

– Przemoc to najgorsze z możliwych rozwiązań – wyraziłam swą opinię, kierując te słowa do wszystkich. – Jednak nie mogę wyzbyć się przeświadczenia, iż los, który spotkał w zeszłym tygodniu mordercę mojej córki..., należał mu się. – Moje spojrzenie zatrzymało się na oczach Jamiego. Mówiły dokładnie to samo, co od tygodnia powtarzał mi bez przerwy. „Nie można mieć podwójnej moralności. Co jest dobre dla ciebie, dobre jest także dla nas. Zgadza się?”

Zgadza się.

– Zaczynamy więc walkę o przychylność społeczeństwa – oznajmiłam i po raz pierwszy od rana przestałam czuć się niczym Alicja w Krainie Czarów.

– Jedno pytanie – powiedziałam. – Co rozumiecie przez termin „ujawnienie działalności”? Pozostawianie wizytówek po przeprowadzonych misjach? „Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar” wypisane ozdobną gotycką czcionką.

Jamie uśmiechnął się.

– To dość eleganckie, nie sądzisz?

Brzmiał niczym dumny z siebie projektant. Przypomniałam sobie o wizytówce, którą wsunęło mi do kieszeni płaszcz.

– Potrzeba nam – zastanawiał się Jamie – nowego projektu, jakiegoś symbolu, z którym społeczeństwo mogłoby się identyfikować.

Lee oparła zaborczo dłoń na jego ramieniu.

– Przyszedł mi na myśl pewien lekkomyślny Anglik, który ratował przedstawicieli francuskiej arystokracji przed gilotyną. Znak Szkarłatnego Pierwiosnka.

– Maleńki czerwony kwiatusek? Niezłe.

– Niczym *fleur de lis* w *Trzech muszkieterach*?

Lee z radości wyrzuciła do góry ramiona.

Cieszyli się niczym dwoje podekscytowanych dzieci. Jamie obracał w palcach srebrny medalion, który zawsze nosił na szyi. Podsunęło mi to pewien pomysł.

– Zastanawiam się nad cudownym stworzeniem od wieków prześladowanym przez tak zwane ludzkie zamięłowanie do polowań – powiedziałam, przypominając sobie obszywane skórą futro. – Co wy na to, żeby odwrócić odwieczny porządek i lisowi stanowiącemu cel myśliwych kazać polować na swoich prześladowców?

Ręka Jamiego pozostała przy szyi, lecz na twarzy z wolna pojawił się uśmiech.

Popatrzyłam na Kagana, który zdaniem Jamiego był miłośnikiem zwierząt.

– Darujmy sobie te bzdury z polowaniem – zawołał. – Lis jest sprytny, pomysłowy. To zwierzę, które nauczyło się przechytrzać Człowieka.

– Za nasz nowy symbol – powiedział ponuro Jamie. – Karen, nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak doskonale do nas pasuje. – Uniósł do góry srebrny medalion przedstawiający lisa. – Wykorzystamy ten sam stylizowany wizerunek. Wygięty tułów... czubek ogona niemal dotykający głowy... – Wypuścił z ręki medalion, żeby mnie objąć, na twarzy Lee pojawił się wyraz rezygnacji, a u Kagana zainteresowanie.

Właśnie zamierzałam uwolnić się z jego uścisku, kiedy O’Neal, akurat on spośród wszystkich zebranych, wzniósł do góry kubek z zimną kawą i zawołał:

– Za naszą lisicę!

Przyłączyli się wszyscy oprócz Kagana. Przypatrywał mi się ze swego rodzaju wzmożoną czujnością, jak gdyby oceniał przeciwnika.

– Nie zwracajmy sobie teraz głowy zbędnymi szczegółami – powiedział. – Karen pytała przed chwilą, co oznacza wprowadzenie jawności. Przede wszystkim ryzyko. Nowe zagrożenia. Jak zdołamy powstrzymać policję przed wysłaniem nas na podstawie ofiar, które zechcemy pomścić, kiedy zaczniemy pozostawiać po sobie wizytówki, choćby nie wiem jak bardzo zaszyfrowane? Powiedzie się nam raz, może dwa. Ale kiedy podobne wypadki będą się powtarzać, nawet gliny – nie obraż się, Zack – dostrzegą w tym pewną regułę. Sądzę, że z lokalną policją damy sobie radę. Lecz nie chciałbym mieć na karku FBI, przynajmniej dopóki nie będziemy całkowicie przygotowani.

– A jak w ogóle możemy być przygotowani na coś takiego? – spytałam, próbując opanować ogarniające mnie wspomnienia.

– Nawet tam znajdziemy sporo sympatyków – zapewnił mnie Zack. – Wątpię, by istniał jeszcze ktokolwiek noszący odznakę, komu podobałby się całkowicie istniejący stan rzeczy. W sferze uczuć wszyscy są naszymi sprzymierzeńcami.

– U nas nie jest wcale inaczej niż w bananowych republikach na południu. Tam dyktatorzy zmieniają się co parę lat – wyraził swoją opinię O’Neal, przerywając na moment pałaszowanie trzeciej porcji jajecznicy. – Każdy przewrót wstrząsa mieszkańcami. Stara władza robi w portki i zaczyna obiecywać zmiany. Wojsko wyczuwa w społeczeństwie panikę i przechodzi na stronę opozycji. Niech żyje rewolucja. – Zgasił cygaro w kryształowej popielniczce.

– Być może – odparł bez przekonania Kagan. – Jednak sprytny lis jest mistrzem w utrzymywaniu pościgu z dala od siebie. A gdyby tak powstrzymać się nieco i atakować tylko Barbarzyńców niepowiązanych w żaden sposób z członkami naszej organizacji.

– Mścić się za całkowicie obcych ludzi? – Zack zmarszczył brwi. – Rozumiem.

– A pozostali? – spytał Kagan. – Nawet zostawiając wizytówki, nie wpadniemy, jeżeli zachowamy szczególną ostrożność. Gliny wiedzą o naszym istnieniu, lecz nie mogą domyślić się, kto, co i jak. Nie znajdą nas, jeśli nasze Misje będą sprawiać wrażenie przypadkowych. Potem stopniowo znowu zaczniemy mścić się w imieniu naszych członków.

– I zmieniać styl, ilekroć okaże się to konieczne!

Spojrzałam na Jamiego. Rozentuzjasmowany, nie zdradzał nawet cienia strachu.

Moje obawy były zapewne doskonale widoczne, ponieważ kiedy inni zbierali się do wyjścia, podszedł do mnie Zack.

– My naprawdę wiemy, co robimy – powiedział z przekonującym spokojem. – Stworzyliśmy imponującą organizację.

– Wszystkie osiągnięcia zawdzięczamy Jamiemu – wycedził Kagan. – Spytaj kiedyś naszego przywódcę o strukturę Stowarzyszenia.

– Jamie? – zawołałam zdumiona. – Jamie jest waszym przywódcą?

– Powiedziałem ci przecież, że moja twarz nie nadaje się do tego.

Ledwie zauważyłam, jak Lee Emerson, uroczo wzruszywszy ramionami pod moim adresem, oddała Jamiemu klucz, po czym wyszła dumnym krokiem.

## Rozdział 12

Jamie popatrzył na zegarek.

– Spóźnisz się na spotkanie.

– Szef zaczyna się już do tego przyzwyczajać. Jamie, wyjaśnij mi.

– Moją rolę w tym wszystkim? Przywódcy nie są ważni. Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar działa w oparciu o swój trzon.

– Który ty stworzyłeś. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Skromność – odparł, nie grzesząc bynajmniej skromnością. – Zaczęło się od pewnego zdarzenia. Później zacząłem zastanawiać się, czy ofiary nie mogłyby się jakoś odegrać. Lecz nie w pojedynkę, tylko w ramach organizacji – kontynuował. – Przygotowałem roczną strategię, wykonałem kilka prób. Poznałem Kagana. To on pchnął mnie na obecne tory.

– To znaczy gdzie, chodzi ci o te Misje?

Uśmiechnął się szeroko.

– One utrzymują mnie w dobrej kondycji. Zmuszają do trenowania karate, podnoszenia ciężarów i w końcu do jazdy konnej w Central Parku.

– Co jeszcze „zmuszony” jesteś robić?

– Wstępować do różnych komitetów – wyznał ze znudzoną miną.

– Na przykład jakich?

– Do spraw reformy prawa karnego, praw ofiar.

– Na miłość boską, dlaczego?

– Pozory. Z takimi referencjami łatwiej docieram do legalnych ugrupowań. Jeśli chcesz wiedzieć, to właśnie od nich pochodzi większość naszych funduszków.

– Kagan twierdził, że środki na działalność uzyskujecie ze sprzedaży odebranych złodziejom towarów. Kiedy odnalezienie prawowitego właściciela nie jest możliwe – dodałam zobaczywszy, że unosi brwi na znak protestu. – Na pierwszym miejscu reparacje, powiedział.

– To żelazna zasada. Ale pieniądze, które pozostają, to zaledwie kropla w morzu potrzeb, szczególnie w porównaniu z uzyskiwanymi przeze mnie z datków. Mniej więcej raz w roku wymyślam nowy program przeciwdziałania przestępczości, a następnie nadaję mu ponętny tytuł.

– Na przykład Liga Pomocy Ofiarom? – spytałam, przypominając sobie wystawny bufet podczas wigilijnego spotkania.

– Jesteś prawdziwą lisicą. Właśnie takie programy zapewniają nam niezbędne fundusze. Otrzymane pieniądze przekazuję Hugh, który większość z nich pompuje w Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar.

– Zapewne prowadzi podwójne księgi.

– Oczywiście. Lecz doroczne Spotkanie Świąteczne, w którym wzięłaś udział, nie było aż tak

kosztowne, jak myślisz. Urządziliśmy wszystko tak wystawnie, żeby nikt nie dociekał, gdzie się podiewają pieniądze. Wykorzystuje je oczywiście Stowarzyszenie. Ponosimy ogromne wydatki.

Wyciągnęłam notes i zapisałam kilka uwag.

– Na co oprócz Misji wydajecie jeszcze pieniądze?

– Och, na przejazdy dla naszych doborowych grup rekrutacyjnych. Na rozruch nowych komórek w terenie.

– Przekomarzałeś się z Hugh na temat jego prób finansowania organizacji. O co chodziło?

– Hugh zawsze widzi wszystko w czarnych kolorach. Martwi się, że otrzymujemy coraz mniej dotacji. Rozmawia na ten temat z kilkoma bogatymi biznesmenami. Nazywa ich ludźmi sumienia.

– Opowiada im o waszej walce z przestępczością?

Zaśmiał się.

– Jesteśmy odważni, kochanie, ale nie głupi. Nie ma się czego obawiać. Każdemu z naszych sponsorów wydaje się, że przekazuje pieniądze na zwiększanie bezpieczeństwa – na przykład zakup kamizelek kuloodpornych dla policyjnych patroli.

– Długo już działasz w tym „biznesie”? – zainteresowałam się.

– Oficjalnie? Trzy lata. Nieoficjalnie, będzie z pięć. Wszystko można znaleźć na taśmie. Prowadzę dziennik dla potomnych. – Odchylił się na krześle. – Poza tym lubię myśleć na głos.

– Żartujesz! – zawołałam. – Wszystkie te dane.

– Na pewno nie wpadną w niepowołane ręce. Zaprojektowałem system samozniszczenia – odparł radośnie. – Coś jeszcze?

– Kagan kazał mi spytać cię o strukturę.

– Organizacja dzieli się na komórki. Poza tym podział geograficzny.

– O jakiej liczbie komórek mówimy?

– Według najnowszych danych? Przynajmniej w każdym większym mieście w całym kraju. W metropoliach, w których przestępczość jest większa – Cleveland, Chicago, Atlancie, Detroit i oczywiście w naszym Nowym Jorku – działa pięć albo sześć komórek. Podstawą jest, by każda z nich stanowiła samodzielną jednostkę, która z góry otrzymuje jedynie ogólne wytyczne. W ten sposób zakładanie nowych komórek w terenie wymaga minimalnego wysiłku. Dostają od nas jedynie trzy P: pryncypia, pomysły i poczucie bezpieczeństwa.

– Od teraz cztery P – zauważyłam. – Jeszcze propagandę.

– Czy tak właśnie nazywają u was dbałość o wizerunek? – naigrawał się.

– Opowiedz mi o Lee Emerson, pracownicy agencji reklamowej i byłej pacjentce.

– Sfrustrowana romantyczka żyjąca w niewłaściwym stuleciu. Powieściopisarka z dużymi aspiracjami dopóki nie uświadomiłem jej, że ona pragnie być pisarką, a nie pisać książki. Potem zaangażowała się w przemysł reklamowy i przeistoczyła się w odnoszącą sukcesy kobietę interesów.

– Koniec stosunków na gruncie prywatnym? – spytałam.

Czekałam na odpowiedź.

– Mieliśmy ze sobą romans – przyznał. – Ale nie dlatego wprowadziłem ją do organizacji. Wpadła na dobry pomysł... na tyle dobry, że zrobiliśmy z niej eksperta do spraw administracyjnych. Pomimo szowinistycznych sprzeciwów O'Neala. Bart też miał obiekcje, dopóki się jej lepiej nie przyjrzał.

– Wciąż się przygląda.

Udał z troskanie.

– Może teraz Lee zwróci na niego uwagę.

– Teraz, gdy odzyskałeś już swój klucz?

– Z twoją pomocą, kochanie. Dzięki, że mnie nie wydałaś.

– Chcesz, żeby wszyscy sądzili, iż mamy ze sobą szalony romans.

– Nie wszyscy. Pomimo moich lekarskich starań, Lee wciąż ma problemy. My... Ona nie jest dla mnie właściwą kobietą.

Coś w jego twarzy powstrzymało mnie od zapytania dlaczego.

– Ty byłąbyś dla mnie dobra. – Jego uśmiech zdawał się wołać: „Proszę, nie traktuj mnie poważnie”. – Karen Newman. Sprytna, cudowna... mądra.

– I obecnie mniej więcej równie podatna na uwiedzenie jak elektryczna wiertarka – wyjaśniłam na wszelki wypadek. – Jestem tak spięta, że...

– Tylko spięta? Czy może przerażona? – Położył delikatnie rękę na mej dłoni.

– Wyrażoną niedawno zgodą? Doktorze, w moim życiu pojawiło się coś nowego. Czuję strach, a powodem tego są ostatnio zawarte znajomości. W żołądku tworzy mi się pęcznijąca kula strachu – powiedziałam, myśląc o kotach, którym w żołądkach tworzą się kłęby z włosów zlizywanych w ramach codziennej toalety.

– Zdaje się, że właśnie ukułaś nowe powiedzenie.

– Tak naprawdę przeraża mnie możliwość, że w szeregi organizacji wstępują ludzie szukający rozgłosu i szaleńcy. W jaki sposób utrzymujecie ich z dala?

– Potencjalnych rozrabiaczy? W taki sam sposób, w jaki linie lotnicze bronią się przed niedoszłymi terrorystami i porywaczami. Przywódcom wszystkich komórek dostarczamy portret psychologiczny osobników, jakich powinni się wystrzegać.

– Sprytnie – przyznałam – lecz może zawieść. Załóżmy, że ktoś wstąpi do organizacji, a następnie zmieni zdanie?

– Masz na myśli poszkodowanego, który załatwił już swoją sprawę? Zdarza się. Ale niezbyt często. Za każdym razem kończyło się szczęśliwie – powiedział z uśmiechem na ustach. – Czasem wystarczy niewielkie odświeżenie pamięci. Trzymaj. – Wręczył mi grubą kopertę.

– Lektura dla zabicia wolnego czasu?

– Dane dotyczące niektórych ostatnio pozyskanych członków, jakby żywcem wzięte z horrorów Stephena Kinga. Jeszcze jakieś pytania?

– Tylko jedno. Incydent, Który wstrząsnął Stowarzyszeniem... dlaczego nic mi o nim nie

powiedziałeś?

– Ponieważ to dla mnie bolesne i nie lubię o tym mówić. – Spróbuj – poprosiłam wyczuwając, iż ma ochotę.

Odwrócił wzrok.

– Miałem obsesję na punkcie umysłu przestępcy... pragnąłem go zmieniać. Pomysł ten stanowił klucz do rozwiązania problemów dręczących społeczeństwo. Zająłem się nowym typem pacjentów – relacjonował głosem wyrażającym poczucie winy. – Wychowankami poprawczaków. Więźniami wychodzącymi na wolność. Karen, ja im płaciłem, żeby tylko przychodzili! Po godzinach zakładałem im akta, w tym czasie uczyłem się i czytałem fachową literaturę. Zejdźmy na dół – zaproponował z pobladłą twarzą.

Zjechaliśmy windą dwa piętra do jego gabinetu. Posadził mnie i włączył magnetofon. Mężczyzna, który lubił myśleć na głos.

„Antyspołeczna osobowość zastępuje kulturę. Nazwijmy nasz przypadek amoralnym psychopata. Cechy charakterystyczne? Zazwyczaj młody, płci męskiej, brak rozwoju świadomości, łatwo ulega manipulacji, nieodpowiedzialny, słaba odporność na frustrację, odrzuca wszelkie autorytety, nie uczy się z doświadczeń, żyje tylko chwilą terażniejszą, nie myśląc o przyszłości. Jeżeli ktoś zagraża mu dostęp do natychmiastowego zadowolenia – sprzedawca broniący swojej kasy, kobieta walcząca o swoją torebkę lub cnotę – należy go wyeliminować”.

Wyłączył kasetę.

– Agresywni psychopaci stanowią podgrupę – wyjaśnił. – Jednego z nich spotkałaś w sylwestra.

Jednego z nich zabiłam w sylwestra.

– Swojego poznałem w gabinecie, był pacjentem. Kiedyś po jednej z naszych jezących włosy na głowie sesji zrobiłem coś... szalonego. Poszedłem za nim uzbrojony w magnetofon i miniaturowy wzmacniacz zamiast czterdziestkipiątki, którą powinienem był zabrać – opowiadał z coraz większym napięciem. Opadł na krzesło i przytknął oczy. – Tamtej nocy zamordował dziewczynę.

– I obwiniasz się za to – wyszeptałam. – Jamie, dlaczego?

– Gdybym nie był obojętnym naukowcem, zajętym zbieraniem cennych danych... kto wie? Mogłem ją uratować. Nigdy nie zapomnę reakcji jej rodziny, gdy dowiedzieli się, jaki los spotkał mordercę – dodał, uśmiechając się gorzko. – Stałem przed nimi niczym Biały Rycerz, ich narzędzie wybawienia.

Kiedy minęła chwila zgorzknienia, popatrzył na mnie z zafascynowaniem.

– Ich rozpacz zdolna była skruszyć najtwardszy lód. Była to biedna, portorykańska rodzina, a ja dałem im coś, na co nie mogliby sobie pozwolić.

– Współczucie? – spytałam zdezorientowana.

– Sprawiedliwość. Ona zmieniła moje zapatrywania.

– Sprawiedliwość? Zabójca.

– Wypatroszyłem skurwiela.

Poderwałam się.

– Więc sądzisz, że mój postępek był nieuzasadniony?

Miał na sobie luźną welurową koszulę. Zaczął ją rozpinać.

– Usłyszałem krzyk, więc zszedłem ze swojego punktu obserwacyjnego... – Sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Badania prowadziłem z kabiny dźwigu.

Wpatrywałam się w niego.

– Ciemne zakamarki Green Hornet. – Wzdrygnął się. – Mój pacjent rozpoznał mnie. Rzucił się na mnie, gdy dotarłem na dół.

Rozchylił koszulę, ukazując piętnastocentymetrową bliznę na brzuchu. – Chwyciłem za wiszący na linie hak przeładunkowy...

Przerwał, spoglądając na moją poczerwieniałą twarz.

– Uważasz, że przesadziłem.

Kiedy zmieniał kasetę w magnetofonie, widok jego zaciśniętych ust kazał mi zakryć dłońmi uszy.

„Niedziela, dziesiąty. Brooklińskie nabrzeże w środku listopada. Pusto. Zimno. Czego oni szukają? Z tej wysokości wyglądają jak mrówki. Muszę znaleźć jakiś lepszy punkt obserwacyjny, niżej. Rusz się, zanim zrobi się ciemno. Dźwig? Spokojnie, powoli... ręka za ręką. Najpierw sprawdź linę. Doskonale. Teraz, przemykające sylwetki, a nie mrówki. Jeden żyjący, oddychający pacjent i jego dwaj skaczący dookoła kumple – nie trzej. Tyle chorego zapalu.

Co się nagle stało? Wyciągnięte szyje, węszące nosy... niczym drapieżniki poszukujące ofiary. Nie tutaj. Nie o tej porze. Kto byłby na tyle głupi, żeby...

Aż dwoje. Dwoje cholernych głupców. Ramię w ramię. Niepomni na czyhające wilki, osaczające ich.

Uzbrojone nie tylko w ostre zęby. Słodki Jezu.

Ratuuuuuu...!”

– Krzyk, który dał początek Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar – oznajmił Jamie, wyłączając magnetofon.

Wetknął w moją drżącą dłoń coś płaskiego i zimnego.

– Podarunek od rodziny zamordowanej – wyjaśnił. – Miała go na sobie tej nocy, gdy zadźgał ją mój pacjent.

Spojrzałam na medalion przedstawiający lisa. W mojej dłoni wydawał się lekki jak piórko. Teraz stał się symbolem, niemym wołaniem o pomoc. Oddałam mu go.

Lecz nie całkiem.

\*\*\*

Mój szef przyszedł ubrany w trzyczęściowy garnitur oraz spiczaste lakierki – wyjątkowo



wystrojony. Był w złym humorze.

Ja również miałam nie najlepszy nastrój. Przekopywałam się właśnie przez górę spraw oznaczonych kodem „najwyższe uprzywilejowanie”. Producent kosmetyków borykający się z podupadającym wizerunkiem – „pilnie potrzebujący operacji plastycznej”, jakiś dowcipniś dopisał na pierwszej stronie. Trzej dyrektorzy, których przemówienia wymagały poprawek, nie wspominając już o kilku oryginalnych pomysłach. Niewielka linia lotnicza mająca ogromne problemy z pracownikami. Małe południowoamerykańskie państewko potrzebujące natychmiastowej pomocy Stanów Zjednoczonych.

Ja natomiast potrzebowałam natychmiastowego pocieszenia oraz tabletki, która uspokoiłaby moją pękającą głowę. Gdybym tylko mogła skupić się na jednym projekcie, jak na stwarzającym problemy dziecku, któremu poświęca się całą uwagę.

– Już dawno po świętach. Znowu się spóźniłaś – narzekał Larry, choć muszę przyznać, że dosyć spokojnie. – Czy wszystko w porządku? – spytał.

– Nie nadaję się do jednej z twoich strategicznych narad o świecie czy podróży wyskakujących w ostatniej chwili, ale jakoś funkcjonuję – warknęłam. – Przepraszam – dodałam, gdy uspokajająco położył mi dłoń na ramieniu. Wskazałam na biurko. – Zdaje się, że mam problemy z koncentracją.

– Może przydałoby ci się trochę wolnego?

Stara śpiewka. Wzruszyłam ramionami.

– Trochę, Larry? Co powiesz na rok, może dwa lata na pozbieranie mojego życia do kupy?

Uniósł brwi ze zdziwienia, pozwalając mi spojrzeć w swoje smutne oczy. Nie powiedział „Na miłość boską, Karen, nie rób mi tego, potrzebuję cię!”. Ale gdy człowiek pracuje dla kogoś wystarczająco długo, uczy się czytać w jego myślach. Usiadł w jedynym wygodnym fotelu.

– Zaproponuj mi coś innego – zażartowałam zastanawiając się, czy dziesięć dni i skromna podwyżka wywołałyby u mnie wystarczająco duże poczucie winy, żebym z powrotem nabrała ochoty do pracy.

– Sześć miesięcy – odparł, biorąc w usta nausznik od okularów.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

– Sześć miesięcy czego?

– Bezpłatnego urlopu. – Wstał i zaczął się przechadzać. – Nie wiem, jak sobie poradzę, ale naprawdę wyglądasz okropnie. – Nagle usiadł. – Cholernie się o ciebie martwię – przyznał, marszcząc lekko brwi. – Weź trochę wolnego, Karen. Poznaj kogoś. Zakočaj się. Załatw sobie...

– Przestań. Daruj sobie to zatroskane spojrzenie starszego brata – odparłam zażenowana. – Sześć miesięcy. – Wyjrzałam przez okno.

Nagle uświadomiłam sobie, że właśnie tego chciałam.

Pokręciłam trochę głową, żeby wszystko wyglądało bardziej naturalnie.

– Od zaraz?

Udał niezadowolony, ja z kolei dodałam:

– Nie martw się, zanim wprowadzimy w życie nasze uzgodnienia, załatwię wszystkie czekające sprawy. Dzięki, Larry.

Uścisnęliśmy się na znak przypieczętowania umowy.

Kiedy wyszedł, pomyślałam o czekającym mnie luksusie koncentrowania się przez następne sześć miesięcy na jednym szalonym projekcie.

Przyszło mi do głowy, że jednak będę miała pewien problem – z Claudią. Zadzwoiłam do niej.

– Po co ten cały cyrk ze znikaniem? – spytała Claudia. Nie widziałyśmy się od Wigilii. Schyliła się, pokazując nowe złote kolczyki. – Przeżywamy szalony romansik z uroczym Jamesem?

Zaśmiałam się mimo woli.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi, nie kochankami.

Podano zamówione drinki.

– On też należy do tej organizacji, prawda? – spytała, gdy kelnerka odeszła. – Pojawił się w najodpowiedniejszym momencie – dodała, widząc moje zdziwienie. – Namówił cię do wstąpienia?

– Nie marudź. Gdyby nie pomógł mi się pozbierać, wciąż umierałabym z rozpaczy – odparłam, zabawiając się podstawką kieliszka.

– Czy myślisz, że tego nie wiem? Właśnie dlatego mimo wszystko go lubię.

– A ja dlatego nauczyłam się polegać na nim.

– Nigdy nie unikałyśmy odpowiedzi.

– Więc dopij do dna i przestań mnie już wypytywać.

Sięgnęłam po swojego bourbona, lecz ona chwyciła mnie za rękę, zanim zdołałam go wziąć. – Karen, tylko jedno pytanie. Dlaczego?

Jak opisać krzyk rozdierający nocną ciszę, przenikający twoje myśli? Przypominaj go sobie wystarczająco często, aż zacznie się zlewać z innym... krzykiem Sarah. Jak wyjaśnić postępowanie człowieka takiego jak Kagan, który nigdy nie pozwala ci zapomnieć. „Twoja Sarah została pomszczona. A co ze wszystkimi innymi?” Albo wdzięczność, wszechogarniającą potrzebę spłacenia zaciągniętego długu?

Mogłam powiedzieć jej zaledwie znikomą część.

– To nie najlepszy okres w moim życiu na naprawianie wizerunków cudzych firm. – Stwierdzenie to spotkało się ze zrozumieniem z jej strony, ponieważ nigdy nie przepadała za moją pracą. – Nasze ulice zamieniły się w zaułki rodem z koszmarów – kontynuowałam. – Jakżeż mogę siedzieć za biurkiem i wymyślać durne przemówienia dla dyrektorów albo upiększać księgi przychodów i rozchodów dla jakichś bonzów? Ci ludzie próbują zmienić stan rzeczy i potrzebują... – Wzruszyłam ramionami. – Może zdołam im pomóc. Mylisz się jednak, jeśli chodzi o moje wstąpienie do organizacji. Wzięłam po prostu sześć miesięcy bezpłatnego

urlopu, i to wszystko. Claudio, ja muszę to zrobić.

– Nie mów ani słowa więcej – przerwała mi łagodnym tonem. – Jak mogę ci się sprzeciwić?  
To nie ja straciłam córkę.

– Właśnie dlatego nie potrafię ich potępić. Ponieważ ją straciłam.

## Część 3

### **Zaangażowanie**

*Alchemia potrzeb naszych bardzo dziwna,*

*Śmieci w precjoza zamienia.*

Szekspir, *Król Lear*,

akt III scena 3

(przeł. W. Chwalewik)

## Rozdział 13

Pani X: jej małżeństwo rozpadło się z powodu problemów emocjonalnych wywołanych dwukrotnym gwałtem. Obydwaj gwałciciele wyszli na wolność dzięki ugodom zawartym z prokuraturą.

Pan Y: zwerbowany w więzieniu (przez strażnika o imieniu Bart?), po odsłużeniu wyroku za umyślne zabójstwo – strzelał po ciemku do włamywacza we własnej sypialni...

Państwo Z: ofiary przestępstwa w stylu „rozbij i chwytaj”. Rozbij szybę wystawową cegłą albo koszem na śmieci; chwytaj, co popadnie, i w nogi.

Podniosłam wzrok znad sprawozdań dotyczących „nowych rekrutów”, by przyjąć podanego mi przez kogoś pączka. Przeczytałam jeszcze dwa, po czym bezzwłocznie oznaczyłam je mianem „członkowie szaleńcy jak diabli”.

„Wiecie, o co spytał mnie sędzia, zanim oddalił sprawę? Czy widziałam, że doszło do penetracji. Jak? Przez cholerny płaszcz, który zarzucili mi na głowę?”

„Jeżdżę taksówką od trzydziestu lat. Kiedy nas nie obrabiają z forsy, to strzelają nam w łeb. Moja kolej, skurwiele!”

Odsunęłam na bok dokumenty, by przeciągnąć się i popatrzeć na szaro-popielate ściany oraz meble wypełniające moje biuro, kolorystycznie nie najlepiej dopasowane do całości.

Zerknęłam na osoby, z którymi dzieliłam gabinet. Tłum noszący swetry, tylko kobiety, w różnych przedziałach wiekowych, począwszy od studentek w babcinych okularach, a skończywszy na staruszcze, która spoglądała na mnie poprzez wielkie szkła w różowych oprawkach. Barwy jej stroju przypominały amerykańską flagę – czerwona bluza i zaróżowione policzki, perły oraz śmiertelnie blada skóra. Zarówno niebieskie oczy, jak i włosy były przyblakłe. Uśmiechnęłam się. Spuściła wzrok.

Szkoda. Wszystkie te kobiety wydawały się miłe, lecz ostrożne. Uważałam siebie za konsultantkę do spraw kontaktów z otoczeniem, lecz one zaliczyły mnie do elity.

Lee Emerson nigdy nie przestaje stwarzać pozorów, pomyślałam, gdy się zjawiała. Drogi strój dystansował ją od ponurego krajobrazu naszego biura. Dzisiaj kolej na skórzane spodnie od kostiumu, wyglądały niczym delikatny pancerz osłaniający jej zbyt szczupłą figurę, oraz falbanę z malinowego szyfonu pod szyją. Rozstawiła wąż wyglądające krzesło, a następnie sceptycznym spojrzeniem obrzuciła moje czarne dżinsy oraz rozciągniętą bluzę z wypłowiałym, czerwonym napisem CORNELL.

– To moja uczelnia – wyjaśniłam nieśmiało. Jej uśmiech mówił: „Niezwykle oryginalne”.

– Znajdziesz chwilkę czasu na krótką odprawę?

– Z przyjemnością – przyznałam. – Dwa tygodnie przeglądania „kartoteki horrorów” z danymi o nowych rekrutach i gotowa jestem pójść na wszystko.

Popatrzyła na mnie, jakbym była pojętną uczennicą w jej przedszkolu i uśmiechnęła się.

– W zasadzie o to przecież chodzi. Jak myślisz, dlaczego nazywają ją „kartoteką horrorów”?  
Nasz wyrachowany Jamie do wszystkiego, czego się dotknie, wprowadza punkt widzenia psychiatry.

– Zauważyłam – odparłam z kwaśną miną. – Czego ode mnie teraz oczekuje? Żeby mu przynieść gotowy plan kampanii czy przyprowadzić ochotnika do lotnej brygady?

Zaśmiała się.

– Nie w tym biurze. Wszyscy tu jesteśmy Biernymi Członkami.

– W takim razie... kim są Jamie, Zack i inni, którzy...

– Aktywnymi. Rozróżnienie wymyślone przeze mnie – poinformowała z nie ukrywaną dumą.

„Dobry pomysł” Lee, który wprowadził ją do Stowarzyszenia. Rzeczywiście był dobry.

– To znaczy my jesteśmy Spokojni w przeciwieństwie do Zabijaków?

Wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Nowi rekruci, w zależności od osobistych skłonności, wstępują do jednej lub drugiej grupy. My, Bierni, to w ogromnej większości kobiety. Zajmujemy się sprawami administracyjnymi.

– Na przykład? – Wyciągnęłam notes.

– Gromadzenie danych dotyczących każdej komórki Stowarzyszenia. Za pośrednictwem szeregu skrzynek kontaktowych zbieramy także informacje potrzebne do przeprowadzania Misji lub werbunku.

Musiałam chyba nieświadomie zmarszczyć brwi.

– Nie obawiaj się – powiedziała – to kontakt tylko w jedną stronę.

– Co jeszcze? – spytałam zdenerwowana, że wszyscy wciąż powtarzają, żebym się nie martwiła.

– Rozprowadzamy statystyki dotyczące przestępczości. Zestawiamy dane potencjalnych Celów. Zazwyczaj Obojętnych – ludzi, którzy są pobłażliwi dla zbrodniarzy... – przerwała na chwilę, bym mogła zapisać – ...traktujemy ich inaczej niż przestępców.

– Barbarzyńców – wtrąciłam, przypominając sobie wigilijne spotkanie.

– Zgadza się. Powiedzmy, że lokalna komórka pragnie opublikować informacje na temat wyroków najchętniej ferowanych przez jakiegoś sędziego albo ile razy jakiś pobłażliwy gubernator korzystał z prawa łaski, gdy orzeczono karę śmierci. My dostarczamy tych liczb.

– Jestem pod wrażeniem. Ty zarządzasz całą administracją?

– Bart nazywa mnie panią generał Lee Emerson. – Zaprezentowany uśmiech miał oznaczać, że ten tytuł sprawia jej przyjemność, ale nie do końca się z nim zgadza. – Oto moje wojska! – zawołała, pokazując ręką siedzące dookoła kobiety (wszystkie w zasięgu głosu), a ja zastanawiałam się właśnie, czy nie osądzam jej zbyt surowo.

– Są jeszcze jakieś wojskowe analogie, o których powinnam wiedzieć?

– W zasadzie tak – odparła ponuro, nie dostrzegając sarkazmu w moim głosie. – W i M. To

znaczy...

– Wypocznij i Maszeruj? – wtrąciłam z niedowierzaniem, przypominając sobie służbę wojskową ojca.

– Kagan zmienił to na „Werbuj i Mścij się” – domena Aktywnych. Ciebie to nie dotyczy. – Jej głos mówił raczej „Trzymajcie się swoich papierków, dopóki nie nadejdą dalsze rozkazy, szeregowka Newman”. Dokonała przeglądu w lusterku: jasne włosy – w porządku, falbana – poprawiona. – No cóż, zmywam się – zdecydowała.

Popatrzyłam na przestudiowane w ciągu ostatnich dwóch tygodni akta z „kartoteki horrorów” Jamiego – pierwszy etap kursu wstępnego dotyczącego Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar. Doszłam do wniosku, że mam dość jak na jeden dzień. Potrzebowałam nieco ruchu, trochę porządnych ćwiczeń. Uśmiechnęłam się, nie tylko ćwiczeń. Czemu by nie spróbować odrobiny pomysłowego werbunku?

Nie zwracałam sobie nawet głowy, by jak zwykle uporządkować nieco przeczytane akta.

– No cóż, zmywam się – zawołałam, naśladując panią generał Lee, za co zebrałam zewsząd uśmiechy. Wreszcie zdobyłam sympatię!

Szyld głosił: SZKOŁA SAMOOBRONY. Ledwie zdążyłam przekroczyć próg, a już emerytowana policjantka Angela Russo, przypominająca Amazonkę instruktorka samoobrony, dostrzegła mnie i ruszyła w moją stronę.

– Lubię ludzi, którzy się nie poddają. – Uśmiechnęła się, spoglądając na mnie z góry... z wysokości dwóch metrów?

Ostatnim razem, gdy na mnie tak popatrzyła, bałam się nawet worków treningowych.

– Lubię ludzi, którzy lubią ludzi.

Zaśmiała się zdrowo.

– Moja ulubiona kwestia z mojego ulubionego filmu. A co pani sprawia największą przyjemność?

Gotowa byłam darzyć sympatią każdego, komu podobał się *Sokół maltański*. Zapowiadało się, że pójdzie łatwiej niż myślałam.

– Co pani sądzi o moim uczestnictwie w grupowym pokazie, ponieważ ostatnio nie bardzo uważałam – podstawowe uderzenia, kopnięcia i uniki?

– Nie ma sprawy. Proszę tędy, pani...?

– Karen, Karen Newman. Zareagowała dokładnie tak, jak chciałam.

– Mów do mnie Angela.

Grupowy pokaz przerodził się w indywidualny. Angela Russo była dobrą nauczycielką, a ja tym razem dobrą uczennicą.

– Szybko się uczysz – pochwaliła mnie. – Nie bój się przed sobą przyznać, że znakomicie się bawisz. – Odeszła, by pomóc komuś innemu.

Nie przyszłam tu dla przyjemności, Angelo Russo, przybyłam zdobyć twoją duszę.

Musiałam jednak przyznać, że miała rację. Otoczenie nie wydawało się już groźne.

Zanim Angela Russo wróci ze swojej przerwy obiadowej, mam trochę czasu, powiedziałam sobie. Przy workach treningowych zobaczyłam znajomą twarz. Ustawiłam się w kolejce.

Pragnęłam sprawdzić, jakie to uczucie. Było przyjemnie. Nawet bardzo. Zachodziłam w głowę, jak długo można boksować, zanim ręce opadną ze zmęczenia, ale one nie miały takiego zamiaru – nie chciały – jakby wiodły własny żywot.

– Następna proszę! – zniecierpliwiony głos przełamał czar.

Odeszłam, przepocone dresy kleiły się do dała.

– Tym razem naprawdę im przylałaś – odezwała się jedna ze spotkanych poprzednio kobiet.

Kiedy spytałam ją, o czym mówi, popatrzyła na mnie dziwnie.

– Kiai. Krzyk ducha? Zmierzyłam ją wzrokiem.

Zauważyłam, że przygląda mi się Angela. Kiedy zaproponowałam, zgodziła się zjeść ze mną obiad.

Siedząc naprzeciwko niej, żałowałam niemal, iż przyjęła zaproszenie. W ciągu dziesięciu minut pogawędki nie przestawała palić cienkich cygaretek, dymiąc przy tym niczym komin fabryczny. Sprawiało jej to jednak tak wielką przyjemność, że nie miałam serca protestować. Była potężna, lecz nie ocieężała. Miała głęboko osadzone matczyne oczy w kolorze pięknego brązu oraz sięgające do ramion gęste włosy. Mówiąc ogólnie, jej uroda należała do rodzaju, jaki wywołuje u mężczyzn ufność, a u kobiet pozbawiony zazdrości podziw. Skierowałam rozmowę na właściwe tory.

– Przerażeni? Weź książkę telefoniczną i zobacz sama. Szkoły samoobrony rosną w tym mieście jak grzyby po deszczu. W wielu miastach.

– To dochodowy interes?

– Może taki być – powiedział zasmucona. – Jeśli nie jest się litościwym frajerem. Wiele spośród moich klientek to niezamężne kobiety, mieszkające w nieciekawych okolicach, z dwójką dzieci do wykarmienia.

W czym jeszcze jesteś frajerką?

– Przemienianie bezradnych kobiet w ulicznych wojowników sprawia ci zapewne wiele przyjemności.

– To umożliwia podjęcie walki. Opowiedz mi więcej o swoich klientkach, jak one...

– Walki z kim?

– Falą przestępczości – odparłam, wykonując nieokreślony gest. – Wyrwą w naszym systemie wymiaru sprawiedliwości.

– Ciekawe. – Zgasiła cygaretkę, po czym zgarnęła odrobiny popiołu, które upadły na jej rdzawy sweter. – Twoja przyjaciółka powiedziała mi, że zamordowano ci córkę. Jak sądzisz, czy kiedykolwiek ich złapią?

– Policja? – spytałam zaskoczona. – Ja nie... Poinformowali mnie, że zabójca zginął z rąk jakiegoś konkurencyjnego gangu.



Jej wzrok skupił się na moich pąsowiejących policzkach. Zaczerwieniła się również i, pochylając się nade mną, odrzekła:

– Słyszałaś o facecie noszącym imię Zack.

Milczałam, nie ufając własnemu głosowi.

– A więc to wciąż jeszcze trwa. – Zmieniając ton. – Jesteś jedną z nich, Karen?

Pragnęłam powiedzieć, że tylko z nimi sympatyzuję. Zamiast tego jednak odezwałam się nieśmiało:

– O czym ty mówisz?

– O tobie. Dwa miesiące temu nie potrafiłaś nawet znieść myśli o samoobronie. Dzisiaj zmasakrowałaś jeden z moich worków treningowych. Co wydarzyło się od tamtej chwili? Będziemy udawać czy zdradzisz mi, po co tak naprawdę zaprosiłaś mnie na ten obiad?

– Rzeczywiście miałam pewien powód. Ale kim do licha jest ten Zack?

– Kontynuujemy grę. W porządku, Zack jest gliną, starym przyjacielem. Kiedyś próbował mnie zwerbować. Miał wiele do powiedzenia na temat narastającej fali przestępczości i szwankującego systemu. Oraz walki. Teraz ty przyszłaś, żeby mnie zwerbować?

– Niezupełnie – odrzekłam, krzywiąc się podobnie jak ona – ale blisko. Możesz mi nie wierzyć, lecz przez całe życie myślałam w kategoriach „hurtowych”, nic na to nie poradzę. Twierdzisz, że samoobrona to dobry interes. Przyszło mi do głowy, że mogłabyś dostarczyć mi trochę szczegółów, które zaimponowałyby jednemu z moich przyjaciół.

– Ponieważ kursy samoobrony stanowią doskonałe źródło nowych rekrutów? Do licha, połowa moich uczennic walczy jak szalone, podczas gdy druga połowa szaleje ze strachu. Hurt to niezły pomysł.

– Cieszę się, że go doceniasz, Angelo. Nikt mnie nie przysłał i nie jestem jedną z nich. Pomagam im tylko w pewnym przedsięwzięciu.

Spojrzała na mnie przymrużonymi oczyma, po czym zapaliła jedną ze swoich przeklętych cygaretek.

– Parę lat temu postanowiłam nie „pomagać”. To zdarzyło się kilka miesięcy po moim odejściu z policji i mój kumpel Zack sądził, że bez trudu zdoła mnie zwerbować. Przeliczył się. Oddałam odznakę z dwóch powodów. Zack znał tylko pierwszy z nich.

– Czyli?

– Jedyne mężczyzna, którego w życiu kochałam, został zastrzelony. Im bardziej naturalny głos, tym słowa wydają się bardziej przerażające.

Odczekała chwilę, by odniosły właściwy skutek, zanim zdradziła mi drugi powód.

– Kiedy oddaje się odznakę, zwraca się także broń. Wiedziałam, że muszę się jej pozbyć... i to szybko. Wrzało we mnie, gotowa byłam strzelić w łeb pierwszemu łobuzowi, który spojrzałby mi w oczy. Co by się stało, gdybym odnalazła zabójcę Joego?

– Nigdy nie próbowałaś dowiedzieć się, kto i jak...?

– „Jak” – odparła – mam wciąż przed oczyma, i to w kolorze. Jedną nogą był w wozie

patrowym, drugą na chodniku, w dłoni trzymał kanapkę z tuńczykiem zamiast trzydziestkiósemki. Wszyscy, którzy znali Joego, przeżyli szok. Facet działał zawsze, jakby miał oczy dookoła głowy, nieomylnie wyczuwał niebezpieczeństwo. Za rogiem znajdował się sklep alkoholowy oraz schody ewakuacyjne sięgające drugiego piętra. Żaden z jego partnerów – należałam do tej grupy – nigdy nie miał bezsennej nocy z tym aktywnym gliną, ponieważ Joe nie tylko pilnował własnej skóry, lecz także dbał o kolegów.

Moje brwi uniosły się na dźwięk słów „aktywny glina”.

– To policyjne określenie funkcjonariusza, który zgłasza się na ochotnika do najtrudniejszych zadań. Facet podbija statystykę aresztowań posterunku, przez miesiąc dokonując więcej zatrzymań niż inni policjanci w ciągu roku. Taki był Joe. Podobnie Zack. Kiedyś stanowili zespół. Joe zginął z powodu munduru – powiedziała, mając przed oczyma tragiczne wydarzenia.

– Dwóch zadowolonych z siebie łobuzów zastrzeliło właśnie sklepikarza. Joe wracał do samochodu z położonego kawałek dalej baru. Zobaczyli „glinę” i strzelili mu w plecy – syknęła przez zęby. – Na szczęście dla mnie, nigdy ich nie zidentyfikowano.

– Nie winię Zacka, że próbował – szepnęłam drżącym głosem. – Być może powinien spróbować jeszcze raz.

Pokiwała głową zastanawiając się.

– Może nie przyszedł do mnie z myślą o werbunku, ale z pewnością wybrał znacznie lepszy moment niż on. Kogo ja oszukuję? Uczenie ludzi, jak się bronić, to tylko kropla w morzu potrzeb. W moim zawodzie człowiek się nasłucha różnych opowieści, napatrzy na blizny i to nie tylko w sensie fizycznym. Zapewne wiesz, co mam na myśli – dodała z takim zrozumieniem w przymrużonych oczach, że przyprawiła mnie o łzy.

– Tak – odparłam.

– Zaczynam czuć się sfrustrowana jak większość zwykłych ludzi – przyznała – kiedy sześćdziesiąt procent wezwań w tym mieście ma „zbyt niski status”, żeby policja w ogóle raczyła zareagować.

– Ale czy niski status nie oznacza błahostek?

– A oznacza? Włamania w toku? Kradzieże poniżej pięciu paroli, po których pozostaje jedynie zawiadomić zakład ubezpieczeniowy i żyć dalej? Może rzeczywiście już czas stać się hurtownikiem.

Podeszła kelnerka z rachunkiem. Angela chwyciła go pierwsza.

– Będiesz moim dłużnikiem – oznajmiła. – Ważne decyzję lubię podejmować z pozycji siły. Co powiesz na poniedziałkowy obiad w tym samym lokalu? Rewanż.

Przybiłyśmy naszą umowę uściskiem dłoni.

W drodze do domu rozmyślałam nad słowami wypowiedzianymi przez nią jeszcze na terenie szkoły. „Nie bój się przyznać przed sobą, że znakomicie się bawisz”. Bać się? Byłam przerażona niemal do utraty zmysłów.

Jednak nie przeszkodziło mi to uśmiechnąć się.

Zjawiłam się trochę wcześniej, zajęłam stolik w rogu, wybierając „złą” stronę okalającej go ławy, z rozciętego brzytwą skajowego obicia w kolorze wiśniowym wyłaziła wypychająca siedzenie wata. Przyjemna okolica.

Przyszli razem. Nie powiem, bym się zdziwiła.

– Ktoś mnie tu zaprosił, zgadza się? – Zack usadowił się obok mnie, Angela wepchnęła się za nim.

– Winna – zawołała, zapalając cygaretkę.

Zapach ich dymu zaczynał mi się podobać.

– Gratuluję – Zack uśmiechnął się. – Moja porażka stała się twoim sukcesem.

– Jak zwerbować kogoś, nawet nie starając się specjalnie – zażartowałam oszołomiona nieumyślnym osiągnięciem. Podaliśmy sobie ręce. Zack zamówił dla wszystkich piwo.

– Angie, Angie – odezwał się, spoglądając na nią swymi smutnymi oczyma. – Tęsknisz za nami chociaż trochę? – Dotknęła jego policzka. – Czy zdajesz sobie sprawę, jaką pustkę pozostawiłaś po sobie w naszym życiu? – Nie tylko kolegów z posterunku, dopowiadały jego oczy. W moim. – Jesteś szczęśliwa? – spytał delikatnie.

– A ty?

– Rozwiedziony i samotny. Cathy pozwala mi zabierać dzieciaki na weekendy.

– Tylko samotna – odrzekła Angela.

Wyłączyłam się, gdyż czułam się, jak podglądacz obserwujący ich dotykające się palce, słuchający rozrzuwionych wspomnieniami głosów. Również ja widziałam go w wyobraźni – człowieka, którego oboje kochali – jedną nogą w samochodzie, drugą na chodniku, trzymającego w dłoni kanapkę z tuńczykiem. Policjant zabity z powodu munduru.

Przyglądając się Zackowi, doszłam do wniosku, że jest w doskonałej kondycji. Kiedy przed chwilą wchodził do kawiarni, zauważyłam coś więcej niż tylko tężyznę fizyczną – wyprostowane plecy, wypięta klatka piersiowa.

– Karen, miałem co do ciebie przecucie – wyjaśnił, odwzajemniając moje spojrzenie. – I nie myliłem się. Angie powiedziała mi o twoim pomysle przeprowadzenia hurtowego werbunku.

– Zack jest swego rodzaju cichym wielbicielem – powiedziała Angela, jak gdyby wspominała szkolne czasy. – Wielbi umysły.

– Czy ten ma coś jeszcze na zbyciu? – odparł, przyjmując wyzwanie.

– Jakieś pomysły? – Uśmiechnęłam się. – Jeden, może dwa. Należę do zagorzałych czytelniczek listów do redakcji. – Twarz Zacka pojaśniała, jakby chciała powiedzieć „Ja też!” – Czy kiedykolwiek zauważyliście, że po każdym barwnym artykule dotyczącym przestępczości odzywają się zbulwersowani czytelnicy, którzy zbyt długo powstrzymywali się od zabrania głosu?

– Reportaż opublikowany tydzień temu w „Timesie”, dotyczący napadów dokonanych w parku z użyciem noża – zastanawiała się na głos Angela. – Jakiś facet narzekał na udzielaną przez policję radę, by nie krzyczeć i nie stawiać oporu. Nazywają to udobruchaniem.

– Kobieta z Queens napisała, cytując: „Więcej miejsc w więzieniach dla morderców? Lepiej przywróćmy karę śmierci!” – Zerknęłam na Zacka. – Wszędzie czai się mnóstwo sfrustrowanych ludzi, wystarczy się tylko do nich zwrócić.

– Dwoje potencjalnych rekrutów, poza tym Bóg jeden raczy wiedzieć, ilu jeszcze – zgodził się. – Pomocnicy Lee bez trudu ich wytropią. Kontynuuj.

– Patrole straży obywatelskiej wyrastają jak grzyby po deszczu, lecz żaden z nich nie zdaje egzaminu. Ludzie wystarczająco szaleni, by organizować...

– Są prawie tacy jak my i nic, tylko werbować. Nie przerywaj.

– Wczoraj podczas uprzątniania swojego biurka w Kemp & Carusone natknęłam się na interesujące dane. Zack, wiesz, co jest jednym z najnowszych wielkich przemysłów w Ameryce? – Potrząsnął głową.

– Uniwersalne kamizelki kuloodporne – strzeliła Angela.

– Nie zapalaj – powiedziałam, gdy wyjęła kolejną ze swych cygaretek. – Alarmy antywłamaniowe – wyjaśniłam im. – Wytwarza je ponad tysiąc przedsiębiorstw.

Zack gwizdnął przez zęby. Skinął na krążącego dookoła kelnera, by poczekał, i zanotował sobie uwagę: ZDOBYĆ LISTY KLIENTÓW.

Kiedy podano kanapki razem z drugą kolejką piwa, spojrzał na mnie, a potem na Angelę,

– Szkoda, że to nie szampan, moje panie. Witam was obie w naszych szeregach.

Pomimo kufla, który trzymałam przy ustach, Angela w przeciwieństwie do Zacka zauważyła widoczną na mojej twarzy reakcję – błysk paniki. Nie byłam w żadnych szeregach!

– Opowiedz jej, co skłoniło cię do wstąpienia, Zack – nalegała.

– Frustracja, podobnie jak wszystkich innych. – Ton jego głosu zdradzał, że nie chce o tym rozmawiać. Odsunął od siebie piwo, nawet nie spróbował.

– Miało to związek ze sprawą, która kosztowała Zacka sześć miesięcy skrupulatnej pracy – wyjaśniła Angela. – Głównie fałszywe tropy i ślepe uliczki. Poświęcił śledztwu tyle czasu po godzinach, że koledzy z posterunku zaczęli uważać go za dalekiego krewnego zabitego – zapaliła znowu.

– Wyobraź sobie mężczyznę, który wychował się pośród nocnych odgłosów Harlemu z minionej epoki – Duke Ellington, Cab Calloway, Billy Eckstein, the Apollo Theater – przemówił Zack głosem tak delikatnym, że jasne było, iż obrazy te wciąż żyły w jego pamięci. – Żadnego wykształcenia, tylko szerokie barki i marzenia, facet potrafił pracować i każdego zarobionego centa opłacał sownie potem, dopóki nie zebrał wystarczająco dużo, by wreszcie założyć upragniony własny klub. Nic ekstrawaganckiego, po prostu niewielkie pomieszczenie z dobrą akustyką oraz najlepsze talenty, na jakie go było stać. Wszystko dla Harlemu, który utracił łączność ze swymi tradycjami muzycznymi. Wyobraź sobie wielkie otwarcie. Dobra muzyka, starzy przyjaciele, toasty szampanem i może jeszcze spojrzenie mówiące „Uszczypnijcie mnie, bo chyba śnię!” Podczas pierwszego sobotniego jam session – ogromny sukces kasowy. A teraz wyobraź...

Z powrotem wziął do ręki swoje piwo. Wypił, ani na chwilę nie spoglądając w naszą stronę.

– Jedyne wspomnienie, jakie mi pozostało – powiedział, wycierając usta grzbietem dłoni – to późniejszy wygląd tego biednego faceta z mózgiem podziurawionym jak sito.

Angela zgasiła cygaretkę, a ja chociaż nie paliłam od lat, niemal przyjęłam zaoferowanego mi przez Zacka papierosa.

– Zaciekle bronił zarobionych pieniędzy? – spytałam.

Zack pokręcił głową.

– Ani trochę. Zabili go tak dla sportu. Po prostu mieli ochotę go rozwalić. Nie potrafiłem im darować. Nawet gdy inni zrobili to już dawno. W końcu złapałem drani. Byłem świadkiem, jak zostali skazani. Morderstwo drugiego stopnia, rabunek pierwszego stopnia. Lecz wyrok nie zdołał się uprawomocnić. Sąd apelacyjny zarządził nowe postępowanie, ponieważ jakiś detektyw, który dostał cynk i nie miał czasu albo głowy, by załatwić nakaz, wyprzedził mnie i znalazł w ich samochodzie narzędzie zbrodni.

– Prokuratora straciła najważniejszy dowód, zanim jeszcze zdołali ustalić termin rozprawy – wycedziła Angela.

– Musieli ich wypuścić – powiedział Zack. – Ale ja nie. Otworzyłam usta... i szybko zamknęłam je z powrotem.

– Mamy towarzystwo – poinformowała cicho Angela.

Podniosłam wzrok, by spojrzeć na posępną twarzączkę otoczoną ciemnymi rozczochranymi loczkami. Przypomniałam sobie ujmujące słowa Kagana. „Zdjęcia, które podrzuciliśmy pani do teczki. Tony ryzykował życie, żeby je zdobyć”.

– Tony Montes! – zawołał Zack, kiedy chłopiec zbliżył się.

Wpatrywał się w niego, podczas gdy ja zastanawiałam się, skąd chłopiec w wieku około dziesięciu lat miał powiązania z tak nietypową organizacją.

– Do licha, od jak dawna już tam stoisz? – zapytał go Zack, poklepując przyjacielsko po ramieniu.

Tony wzruszył ramionami.

– Zmarzłem, czekając na zewnątrz.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać, partnerze? Nigdy ci nie...

– Śledziłem cię.

– To niemożliwe! – zawołał Zack z niedowierzaniem. – Od samego posterunku. W jaki sposób nadażyłeś?

– Bart dał mi na taksówkę, ale ja przesiadłem się do autobusu. Z góry łatwiej zobaczyć wóz patrolowy. No i zaoszczędziłem na taksówce.

– Ten dzieciak jest niesamowity, nie sądzisz, Angie? Drobną radą, przyjacielu – dodał, uśmiechając się ciepło. – Następnym razem powiedz taksówkarzowi, żeby zapalił napis „wolny”, na wypadek gdyby śledzony obejrzał się przypadkiem. Masz dla mnie jakąś wiadomość?

– Bart mówi, żebyś do niego zadzwonił – odparł, zerkając na pozostałości pieczonej

wołowiny Zacka.

– Głodny? – spytałam go, przesuając się, by zrobić mu miejsce. Lecz Zack zdążył już skinąć na kelnera. Chłopiec zrozumiał aluzję i natychmiast się odwrócił.

Na plecach jego dżinsowej kurtki widniał wizerunek płomiennego lisa z puszystym ogonem.

– Zack, na miłość boską – odezwałam się, gdy dzieciak znalazł się już poza zasięgiem głosu – ile on ma lat?

– Więcej niż na to wygląda. Myślę, że trzynaście. Ale masz cholerną rację, jest dla nas zbyt młody. I jeżeli zamierzasz mnie za to obwiniać – dostał jakby nagłego napadu szczękościsku – jesteś w błędzie. Czasami nasz wspólny przyjaciel wykazuje się żalonym wyczuciem.

– Jamie?

– Przykro mi – dodał Zack na widok konsternacji malującej się na mojej twarzy. – Twoja reakcja była prawidłowa. Moja, obronna. Martwię się o tego chłopaka. Jest w tym samym wieku co mój najmłodszy.

– Trzynaście lat. – Potrząsnęłam głową. – Żalodne to właściwe określenie.

– Człowiek mający takie wyczucie, by wprowadzić ciebie do organizacji, może pozwolić sobie czasami na wpadkę... do diabła, może nawet na całe mnóstwo pomyłek. Zgoda? – Wyciągnął do mnie rękę.

– Od samego początku – uśmiechnęłam się, podając swoją.

– Witamy w szeregach, Karen – powiedziała Angela, obserwując, czy mój uśmiech zniknie. Tym razem pozostał.

## Rozdział 14

„Stosunki z mediami to twoja najmocniejsza strona”.

Przypomniałam sobie słowa Jamiego wypowiedziane podczas naszego pierwszego spotkania w restauracji. Właśnie dlatego mnie zwerbował. W ciągu ostatnich dwóch gorączkowych miesięcy zagrzebana byłam po same uszy w strategii „stosunków z mediami”, jednak zamiast obsługiwać pół tuzina klientów, jak to zwykle bywa, miałam tylko jednego.

Największym problemem dla agencji public relations, mawiał mój szef, jest klient, który nie wie, w jaki sposób sprzedać się społeczeństwu. Mój wzrok powoli przebiegł po zalegających na biurku dokumentach. Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar nie stanowiło wyjątku.

Zerknęłam na zegar i jęknęłam.

– Ostatnia wychodząca gasi światła – zawołała śpiewnym głosem jedna z kobiet i, uśmiechnąwszy się do mnie współczująco, skierowała się w stronę drzwi. Bez wątpienia szła zjeść późny, lecz ciepły obiad. Mój dostarczono w papierowej torebce ponad cztery... nie, pięć godzin temu. Sięgnęłam po papierosa i westchnęłam. W paczce zostały tylko dwa. Zapaliłam, pocieszając się myślą, że docieram już do końca.

Nie da się „sprzedać” klienta bez dokładnego poznania go ze wszystkich stron. Lub, jak określał to Larry, trzeba drażnić, drażnić i jeszcze raz drażnić. Drażnienie zakamarków tajnej organizacji stanowiło dla mnie nowe doświadczenie... niczym przeprowadzenie wywiadu z mnichami, którzy złożyli śluby milczenia.

Na niektóre pytania z łatwością otrzymywałam odpowiedzi. Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar przepełnione było symbolizmem, różnymi hasłami. Przeciwnika nazywano Barbarzyńcą, pobłażliwego sędziego, który wypuszczał go na wolność, Obojętnym. Mieliśmy Aktywnych, Biernych, Ładowanie, Misje. Dlaczego?

– Takie terminy do wielu przemawiają, a zarazem dezorientują wścibskich – wyjaśnił mi kiedyś Jamie. – Nasze oficjalne motto „Zemsta jest słodka”, nieoficjalnie brzmi: „Jak najprościej”.

Jednak bardzo długo na pytanie o liczebność Stowarzyszenia otrzymywałam wymijające odpowiedzi.

W końcu Jamie uległ i podał mi przybliżoną liczbę.

– Według ostatnich wyliczeń? No... powiedzmy, że przekroczyliśmy pięćsetkę.

Porównałam tę informację z listą stu największych... przepraszam, najbardziej dręczonych przestępczością miast w Ameryce. Począwszy od Nowego Jorku, a skończywszy na Hialeah, Stowarzyszenie miało ponad czterysta działających komórek oraz ponadto co najmniej pięćdziesiąt rozrzuconych w mniejszych miasteczkach całego kraju. Moja kampania, powtarzał mi bez przerwy Jamie, o niebo zwiększy te liczby!

Mało prawdopodobne. Szczególnie że zaczynałam od końca. Ekspert do spraw mediów nie zajmuje się przecież tylko pisaniem i prowadzeniem badań. Odbywa także spotkania z pracownikami firmy, ocenia ich oraz indoktrynuje. W moim przypadku „pracowników” stanowił bezimienny tłum przywódców poszczególnych komórek, odpowiedzialnych za zarządzanie i utrzymywanie porządku. Werbujących, którzy zasypują nas nowymi członkami. Wojowników biorących udział w Misjach. Oddane kobiety zajmujące się sprawami administracyjnymi. Niezależne grupki rozwścieczonych i sfrustrowanych ludzi, którzy z nadzieją spoglądają w stronę nowojorskiej centrali, oczekując wytycznych i przewodnictwa.

Teraz wszyscy liczyli na mnie.

Przeglądając leżące na biurku papiery,” uśmiechnęłam się mimowolnie. Materiały te do złudzenia przypominały mieszaninę dokumentów typową dla agencji Kemp & Carusone. Na przykład, gdybym zajmowała się jednym ze swoich zwykłych klientów – powiedzmy firmą farmaceutyczną posiadającą nowy lek na kaszel – pierwszą czynnością byłoby zidentyfikowanie rynku docelowego dla danego produktu. W przypadku przedsiębiorstwa farmaceutycznego rolę tę spełnia indywidualny konsument, dla Stowarzyszenia – ofiary bestialskich zbrodni, zarówno z przeszłości, teraźniejszości, jak i przyszłości.

Cel każdej kampanii? Informować społeczeństwo. Jak? Przekazać mu swoje przesłanie za pośrednictwem mediów. Nasze lekarstwo walczy z kaszlem i przy okazji ma dobry smak. Nasze Misje usuwają z ulic rabusiów, gwałcicieli i morderców – brzmi to doskonale dla amerykańskiego ducha wspólnoty.

Dotarcie do adresatów nie jest jednak takie proste. Ktoś zapytał mnie, czy zamierzam zamieszczać różne historie w gazetach. Zamieszcza się ogłoszenia, odpowiedziałam mu. Kiedy chce się informować poprzez media, przygotowuje się zestawienia dotyczące przedmiotu sprzedaży. Kaszel wyleczony w ciągu trzech dni. Sprawiedliwość w małych dawkach – rabuś ograbiony, gwałciciel wyeliminowany z obiegu, gubernator przegrywa w wyborach, gdyż zbyt często anulował wyroki śmierci, pozwalając mordercom na dalsze zabijanie.

Należy korygować niekorzystne wrażenie. „Spokojny oddech” zawiera mniej, a nie więcej kodeiny niż odpowiedniki. Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar działa tymczasowo, wypełnia lukę, do czasu aż zostanie stworzony skuteczny system wymiaru sprawiedliwości, na który wszyscy zasługujemy.

Można napisać pracę klasyfikującą, dłuższą niż zestawienie, umiejscawiającą nasz produkt na tle historii danego przemysłu, dorzucając wszystko, co mogłoby poprawić wizerunek klienta, na przykład sentencję: „W przeciwieństwie do innych firm farmaceutycznych, do prowadzenia badań nie wykorzystujemy zwierząt”. Zważyłam w ręku trzydziestodwustronicowy dokument – moją pracę klasyfikującą o Stowarzyszeniu. Pełna była różnych sentencji wzbogaconych o krótki opis krwawych zdarzeń zachodzących na ulicach oraz wyjaśnienie, dlaczego już czas, by się odegrać.

Przygotowuje się „podkładówki” – co w branżowym żargonie oznacza wnikliwe badania,



zazwyczaj niesamowicie szczegółowe i zarazem nudne. Tak przynajmniej sądziłam, dopóki nie zajęłam się klientem o nazwie Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar. Żadnych lekarstw na receptę czy bez recepty, pomyślałam, uśmiechając się przy przeglądaniu jednej z podkładówek. Mnóstwo informacji o anachronizmach w Kodeksie Rodzinnym... oraz sędziach, którzy nie mieli serca posyłać do więzienia młodocianych morderców tuż przed Bożym Narodzeniem.

Drżącą ręką zgasilałam papierosa.

Wzięłam podkładówkę przygotowaną dla uczestników Misji, zawierającą również wskazówkę, by zostawiać parę kopii dla zwykłych obywateli oraz przedstawicieli prasy, którzy zjawiają się później. Znajdowała się w niej masa statystyk. Włamania jedno na dziesięć sekund. Lista tuzina stanów, które orzekały dłuższe kary pozbawienia wolności dla złodziei samochodów niż gwałcicieli. Każdego roku ponad dziewiętnaście milionów osób pada ofiarą szczególnie okrutnych zbrodni lub napadów. W ciągu trzech lat na amerykańskich ulicach zginęło więcej osób niż żołnierzy w Wietnamie.

Dorzuciłam jeszcze kilka trzeźwiących prognoz z gatunku science fiction: „W obliczu prezentowanej na ekranach epidemii aktów przemocy, która w ubiegłym roku zabiła ponad dwa tysiące ludzi, dziesięć tysięcy nowojorczyków zostanie rozstrzelanych w ciągu następnych dziesięciu lat”.

Załączyłam nieoficjalne statystyki przekazane Stowarzyszeniu przez Narodowy Przegląd Przystępności. Ponad połowa wszelkich przestępstw nigdy nie zostaje zgłoszona organom ścigania. Ludzie uważają, że policja i tak niczego nie zrobi.

Odsunęłam raport na bok, by zapalić ostatniego papierosa. Podążając wzrokiem za dymem unoszącym się po zimnym, szarym biurze, chciałam zastanowić się nad najbardziej intrygującą częścią porządnej kampanii.

Organizacja opierająca się trendom czy borykająca się z problemem wizerunku potrzebuje przyjaciół znajdujących się w podobnym położeniu, a moim zadaniem jest właśnie znalezienie ich oraz doprowadzenie do zawarcia przymierza. Ludzie, którzy biorą prawo w swoje ręce, stawiają czoło czemuś więcej niż trendom – całemu systemowi! – i dlatego określenie „mściciel” kreuje najgorszy z możliwych wizerunków.

A przynajmniej kreowało. Obecnie cierpi zbyt wielu ludzi. Znalazłam określenie na najbardziej cierpiących, właściwie to je wymyśliłam – hasło w sam raz dla uwielbiającego symbole Jamiego. Okaleczalni, czyli potencjalni sprzymierzeńcy Stowarzyszenia.

Napisałam broszurki poświęcone całym grupom takich ludzi, by część z nich Aktywni dostarczyli do głównych miast objętych działalnością Stowarzyszenia. Resztę zamierzaliśmy rozproszyc hurtem do wszystkich stanowych i narodowych organizacji zrzeszających poszczególne grupy Okaleczalnych. Ludzi starszych przykutych strachem do własnych mieszkań. Całych osiedli przepelnionych demoralizacją, zwykle zamieszkałych przez czarnych, które najciężiej doświadczają fali przestępstw. Kobiet w całym kraju, które zdesperowane coraz liczniej rozpoczynają naukę samoobrony. Ludzi wystarczająco mocno przerażonych, by zdecydować się

na kupno broni.

Ja do nich nie dołączę, przyrzekłam sobie, sięgając po torebkę. Jeszcze nie. Wewnątrz nosiłam tylko ostry nóż do otwierania kopert oraz gaz łzawiący w sprayu.

Zapinałam właśnie płaszcz, kiedy ogarnęło mnie niepokojące przeświadczenie, że o czymś zapomniałam.

Tak naprawdę to doskonale pamiętałam, tylko było to po prostu niemożliwe do wykonania. Nie będzie spotkań z Wydawcami prestiżowych dzienników i magazynów, podczas których mogłabym naszpikować ich wszelkimi informacjami, jakie chciałabym im sprzedać. Żadnych bezpośrednich rad udzielanych klientowi, wskazówek, co wolno robić, a czego nie.

Mój „list doradczy”, skierowany do przywódców wszystkich komórek, stanowił jedynie kiepską namiastkę. Zorientujcie się w upodobaniach lokalnych wydawców. Osobiście poznajcie poszczególnych reporterów. Dostosujcie swój „ton” aby uzyskać jak najlepszy efekt – historie niemal żywcem zaczerpnięte z horrorów prędzej przemówią do facetów pobłażliwych względem przestępców niż do felietonisty, który już dawno współczuje ofiarom. Za każdym razem dostarczajcie tylko jedno podstawowe przesłanie, w ten sposób wywrze ono większe wrażenie. Nigdy nie zapominajcie o naszym głównym celu: informować, uświadamiać przeciętnego człowieka.

Moja dłoń sięgnęła – zbyt szybko – by zgasić światło. Lecz nawet po ciemku rozpoznawałam papiery zalegające na biurku. W ciemności wzdrygnęłam się na myśl o tym grzęzawisku faktów i wyliczeń. Dwa miesiące nurzania się w prawdziwych ścieżkach.

Zbyt wiele ponurych zbrodni. Zbyt wiele ludzkiego cierpienia. Karen Newman, specjalistka do spraw kontaktów z otoczeniem, pogwałciła najważniejszą zasadę swojej profesji – nigdy nie angażować się w problemy swoich klientów. Można okazać im swoje zainteresowanie, lecz ja uczyniłam więcej. Znacznie więcej.

Swoją kampanią stworzoną z zamiarem uświadamiania przeciętnych ludzi zdołałam uświadomić samą siebie.

## Rozdział 15

Siadając przy wysprzątanym biurku – szerokim, połyskującym blacie w orzechowym kolorze – poczułam się dziwnie, choć był to mój gabinet. Większość życia zawodowego spędziłam zagrzebana pod górą papierów i notatników.

Czułam się dziwnie, tocząc luźną pogawędkę z Larrym.

– Dzięki, że przyszedłaś, Karen – powiedział, uśmiechając się słodko i rzucając ukradkowe spojrzenie na zegarek. – Twoja opinia w sprawie Hernstadta jest niezwykle wartościowa. – Poprawił krawat, który nie był przekrzywiony nawet odrobinę.

Przyszło mi do głowy, że sprawę Hernstadta równie dobrze dałoby się załatwić przez telefon. Czemu Larry na to nie wpadł? Uśmiechnęłam się.

– Tęskniłeś za mną.

– Tak. Nie dziw się. – Uścisnął moją dłoń i wyszedł.

Wstałam, by się rozejrzeć. Minęły dopiero dwa miesiące urlopu, a już czułam się obco w dawnym życiu. Samotna wśród starych przyjaciół, i samotna w ogóle.

Wyszłam. Podziękowałam sekretarce za utrzymywanie biurka w czystości.

– Do zobaczenia za cztery miesiące! – zawołałam.

W windzie, ściśnięta niczym śledź w beczce, postradałam swój dotychczasowy animusz. Nawet hol na parterze wydawał się jeszcze jednym starym przyjacielem, z którym utraciłam kontakt.

Było to chyba ostatnie miejsce, w którym mogłaby się spodziewać spotkania z dawnym przeciwnikiem. Max McCann, marszcząc lekko brwi, stał ubrany w swój mundur agenta FBI – schludny, ciemny garnitur oraz szarobrązowy płaszcz. Czekał na kogoś.

Kiedy mnie spostrzegł, uśmiechnął się ujmująco. Odwzajemniłam się grzecznie tym samym, przypominając sobie, słowa Larry'ego wypowiedziane przed moim odejściem na urlop. „Weź trochę wolnego, Karen. Poznaj kogoś. Zakochaj się”. Najpierw Larry wzywa mnie, żebym wydała nikomu niepotrzebną „opinię”, potem kończy rozmowę, a po chwili ja natykam się na jego starego przyjaciela Maxa. Larry, ty cholerny swacie!

– Witam – powiedział McCann, zamiast odpowiedniejszego w takiej sytuacji: „Cóż za miłe spotkanie!” – Larry mówił mi o twoim bezpłatnym urlopie. Zaniepokoiłem się.

– To ładnie ze strony Larry'ego. To miło z twojej strony – odparłam, nie ukrywając niezadowolenia. – I co dalej?

– Wspólna kolacja? – zaproponował z zakłopotaniem, lecz wciąż żywiąc nadzieję.

– A gdybym powiedziała, że nie jestem głodna?

– Mogłabyś popatrzeć, jak ja jem. Jestem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami.

Bawił się swoim eleganckim krawatem, jaskrawo-pomarańczowym, takim, jakie w dzień

świętego Patryka wkładają ludzie nienawidzący Irlandczyków.

– Strzelanie do drzew bywa zapewne bardzo męczące.

Zaśmiał się i podał mi swoje ramię. Kiedy wychodziliśmy z budynku, zapytał mnie, dlaczego wzięłam wolne. Jak się czułam? Jak spędzałam czas?

Nie zamierzałam zacząć go spędzać z agentem FBI!

Zaproponowałam, żebyśmy najpierw wstąpili do mnie na drinka, gdyż chciałam zmienić ubranie.

Mój podstęp się udał. Zrób sobie drinka, McCann, a ja się przebiorę... ale najpierw powieś płaszcz.

Idąc do sypialni, obserwowałam go w lustrze – wyciągnięta po wieszak ręka zawisała w powietrzu, usta zacisnęły się, gdy zobaczył wiszące w szafie męskie spodnie oraz kaszmirową marynarkę. Jamie zostawił ubranie na zmianę, aby nie tracić czasu podczas naszych częstych wspólnych wieczorów wypełnionych ciężką pracą.

Zamierzałam włożyć na siebie czarny kostium – prosty, niemal surowy i trochę ponury – moja dłoń sięgnęła jednak po lawendową sukienkę; z rękawami rozpościerającymi się niczym skrzydła nadawała mi pełniejszego i delikatniejszego wyglądu. Nie nosiłam jej od lat.

To ciekawe, jak ubranie może odmienić nastrój. Unosząc się niemal w powietrzu, powróciłam do salonu... wprost do okna wychodzącego na pogrążający się w półmroku park, okrągłe kształty drzew i światła rozmyte bladą, srebrną poświatą jeziora.

McCann nie podziwiał widoku. Ze szklaneczką w dłoni buszował wśród półek z książkami. Gdy weszłam, odwrócił się.

– Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w tym kolorze – odezwał się.

– Znalazłeś jakieś interesujące książki? – spytałam, jak przystało na grzeczną gospodynię.

Sięgnął po podniszczony tom dzieł Swinburne’a.

– To mój ulubiony poeta. Twój też?

– Od czasu gdy poznaliśmy się w szkolnej bibliotece. – Odwróciłam się. Wiersze Swinburne’a i „zmysłowość” znakomicie do siebie pasowały, a ja nie przewidywałam tego w planach na ten wieczór. Miałam nadzieję, że pójdzie za moim przykładem i usiądzie, lecz on z wolna przechadzał się po pokoju, wtrącając do rozpoczętej przeze mnie pogawędki jedynie typowe dla siebie półsłówka. Dotykał różnych rzeczy – gładziutkich poduszek na kanapie, chropowatego materiału firanek, przycisku do papierów, który leżał w jego dłoni niczym szklana kula.

Kiedy pomagał mi włożyć płaszcz, sięgnął dłonią w kierunku marynarki Jamiego.

– Zazdroszczę mu – powiedział głosem równie miękkim jak kaszmir, wywołując u mnie uczucie wstydu z powodu udawania, że mieszkam z mężczyzną.

Poprowadziłam go nieco okrężną drogą – zaułkiem, w którym dokarmiam bezdomne koty – i tam opróżniłam kieszenie z krakersów.

W taksówce zastanawiał się na głos, dlaczego nie trzymam kotów w domu.

– Ostatnie dwa zdechły mi jeden po drugim. Nie chcę już żadnych zwierząt, by nie łamały mi serca – wyjaśniłam tonem, który nawet w moich uszach brzmiał jak obrona. – Niedawno straciłam córkę, później wnuczkę... jedną po drugiej. W każdym razie w najbliższym czasie nie zamierzam znowu...

Rozpłakałam się.

Przynajmniej nie mógł dostrzec przerażenia na mej twarzy. I nie zobaczy, dopóki będę płakać w jego ramionach.

– To przychodzi bez najmniejszego ostrzeżenia. – Wyprostowałam się, by zaczerpnąć tchu. – Przepraszam cię, Max.

Położył palec na moich ustach i delikatnie oparł mnie o fotel, jak gdyby pragnął powiedzieć „Widzisz, jaka kojąca może być cisza?”

Przymknęłam powieki, bałam się patrzeć dłużej w jego oczy – było w nich zbyt wiele czułości, zbyt dużo chęci dzielenia ze mną bólu.

Taksówka zatrzymała się. Nad wejściem wisiał wielki szyld – biało-czerwone litery tańczyły na jasnozielonym tle – „U Cecylii”. Włoska restauracja, moja ulubiona kuchnia.

– Jak z twoim apetytem? – spytał Max.

– Mogłabym zjeść konia z kopytami.

Uśmiechnął się.

Restauracja „U Cecylii” okazała się małym i eleganckim lokalikiem, którego gospodyni była równie ciepła i pogodna, jak widniejący nad drzwiami szyld. Zamówienie pozwoliłam złożyć McCannowi, przecież makaron to tylko makaron. Kiedy zastanawiałam się nad jakimś obojętnym tematem do rozmowy, sięgnął ponad stolikiem z czerwonego marmuru i ujął moją dłoń.

– Spytałaś mnie kiedyś, czy lubię to miasto – powiedział. – Wieśniakowi z Minnesoty Nowy Jork zawsze wydawał się twardy, ekscytujący, skomplikowany, jednym słowem piękny. Doskonale pasujesz do tego opisu, Karen.

– Daj spokój, Max – zaprotestowałam. – Chcesz wiedzieć, jaki komplement najczęściej słyszę w swoim życiu? Że mam „interesującą” twarz.

– To kwestia stylu, nie sądzisz? – odparł, przykuwając mnie spojrzeniem swych błękitnych oczu. – Podziwiam cechy, których całkowicie mi brak. Twoje ironiczne poczucie humoru. Sposób, w jaki ulegasz przyływowi uczuć. Sposób, w jaki...

Uratowały mnie dwa talerze pełne gorącego smakołyku. Puścił moją dłoń.

– Żona mawiała, że pogrzebałam swoje uczucia w jakimś głębokim grobowcu. Co w moim zawodzie ma pewne zalety – dodał, uśmiechając się lekko. – Zamierzałaś właśnie zwrócić mi uwagę, że stygnie nam spaghetti.

– Makaron, McCann. Jesteśmy w Nowym Jorku. Wyśmienity – pochwaliłam.

Wino również było wspaniałe. Podobnie nasz śmiech, gdy sosem pomidorowym pochłapał pomarańczowy krawat. Oboje uznaliśmy, że wyszło mu to na dobre.

Przeprosiłam go na chwilę. Kiedy wróciłam z toalety, na stoliku obok dania o nazwie

*zahaglione* zastałam wazon pełen żółtych róż oraz czerwonych goździków. – Na rogu jest kwiaciarnia – wyjaśnił, zanim zdążyłam spytać, skąd się wzięły. – Wesole, prawda?

– Troskliwy, zgadza się? – powiedziałam cicho. – Ja... co to?

– Drobiazg, który ma przywrócić ci uśmiech.

Jaskrawożółty, plastikowy ptaszek. Nakręcana zabawka? Nakręciłam go. Stworzonko zaczęło skakać jak szalone po marmurowym blacie. Zanim zamierając opadło na bok, śmialiśmy się oboje.

– Noś go ze sobą wszędzie – rozkazał pół żartem, pół serio.

Wsunęłam go do torebki.

Kiedy podano cappuccino, przeprosił mnie na moment..

Myślałam, że poszedł do toalety, okazało się jednak, iż do szatni – wrócił, niosąc w ręku swój płaszcz, lecz bez mojego palta. Wyciągnął z kieszeni książkę – mojego Swinburne'a? – i zaczął przrzucac kartki. Kiedy znudziło mi się obserwowanie go, spytałam, czego szuka.

– Wiersza odpowiedniego na tę okazję. Mam cię. – Podniósł wzrok, przytrzymując palcem właściwą stronę. – Jestem beznadziejny, jeśli chodzi o recytowanie poezji, więc jeżeli...

– Bez przeprosin, McCann – odparłam, przypominając sobie jego palec na moich ustach. – Czytaj – ponagliłam, mając pewne przeczucie.

Jego głos brzmiał monotonnie, wzruszająco poważnie.

*Before our lives divide forever,  
While time is with us and hands are free,  
(Time swift to fasten and swift to sever  
Hand from hand, as we stand by the sea)  
I will say no word that a man might say  
Whose whole life's love goes down in a day;  
For this could never have been; and never,  
Though the gods and the years  
relent, Shall be\**

[Fragment wiersza Swinburne'a *The Triumph of Time*.]

Zamknął książkę i oddał mi.

Jazda taksówką do domu przypominała powolny lot ponad miastem. W niezakłóconej ciszy żadnemu z nas nie przyszło na myśl, by nie trzymać się za ręce.

Przed drzwiami mojego domu obyło się także bez napięć. Oboje wiedzieliśmy, że nie wejdzie. Czekał jednak niczym osobisty ochroniarz, kiedy ja przewracałam całą torebkę w poszukiwaniu kluczy. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć, a jednak bez przerwy patrzyłam. Bałam się, że przypomnę sobie scenę, którą wspominał – siebie w jego objęciach. A jednak znowu zapłakałam w jego ramionach.

Z wnętrza mieszkania dobiegł odgłos kroków, w tym samym momencie moja dłoń zacisnęła się na kluczach. W chwili gdy je wyjęłam, drzwi otwały się same.

– Witam – powiedział Max przyjaźnie, lecz z rezygnacją.

Jamie stał na progu uśmiechając się.

– Proszę wejść – zwrócił się do Maxa.

– Już późno – protestował Max, podczas gdy ja podrzucałam w rękę klucze i zastanawiałam się, w jaki sposób, do licha, Jamie dostał się do środka.

– Nigdy nie jest za późno – Jamie skrzywił się. – Proszę – nalegał.

Mój towarzyski opiekun. Max, znajdź jakąś wymówkę, błagałam go w myślach. Przypomniałam sobie o problemie, który przez cały wieczór udawało mi się wymazać z pamięci. Był agentem FBI.

Max wahał się zbyt długo. W końcu Jamie praktycznie ujął go pod rękę i tamten przestał się opierać. Pogodziłam się z nieuniknionym.

Wewnątrz przedstawiłam ich sobie nawzajem, nalałam brandy i jak przystało na poprawnego obywatela Rzymu zasiadłam wygodnie, oczekując na występ w Circus Maximus.

Zaczęło się od ostrożnych zapasów – obydwaj mężczyźni, dobierając starannie słowa, próbowali wybadać się wzajemnie i ocenić.

Gdyby tylko wiedzieli...

Przyszło mi do głowy znakomite rozpoczęcie rozmowy.

– M. McCann, agent FBI – oznajmiłam.

Wrażenie, jakie moje słowa wywarły na Jamiem, było równie subtelne, jak natychmiastowe. W mgnieniu oka stał się czarujący, jednak nie w nachalny sposób, który nieuchronnie zwróciłby uwagę Maxa. To było jakby skraplanie drogimi perfumami we wszystkich właściwych miejscach. Raz rozbijający uśmiech, innym razem celna uwaga. Wzruszająca anegdota, smutna opowieść osłodzona odrobiną humoru. Oraz pytania, oczywiście nie nazbyt dociekliwe – zwyczajne, jakie mężczyzna rzeczywiście zainteresowany pracą drugiego mógłby zadać.

Mistrzowski występ. Max siedział na kanapie z twarzą człowieka prawdziwie oczarowanego. W żaden sposób nie mógłby oprzeć się niezwyklej otwartości Jamiego.

Ten siedział naprzeciwko gościa, okazując zapal figlarnego chłopca. Albo mężczyzny igrającego z niebezpieczeństwem? Może jednego i drugiego? Kolejny raz odniosłam wrażenie, że gdybym stanęła teraz przed Jamiem i spytała go, kim jest, otrzymałabym trzy całkowicie różne, a jednak równie wiarygodne odpowiedzi.

Rozmawiali bezustannie, dopóki im nie przerwałam, zwracając uwagę na fakt, który z minuty na minutę stawał się coraz bardziej oczywisty – byłam wykończona.

Przy drzwiach Max popatrzył na mnie, potem na Jamiego.

– Zazdroszczę wam obojgu – powiedział.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że Jamie ma na sobie kaszmirową marynarkę.

– W porządku, o co chodzi? – spytałam, kiedy wyszedł Max.

– Powiedziałem portierowi, że się umówiliśmy.

– To wyjaśnia, w jaki sposób wszedłeś do środka. Ale dlaczego maglowałeś tak tego faceta.

Max McCann nie będzie częścią mojego życia.

– Naprawdę? Od kiedy? – przekomarzał się.

– Od teraz. Od dzisiaj. Co za różnica?

– Szkoda. Podoba mi się jego styl.

– Zauważyłam. Najwyraźniej twój spodobał mu się także.

Wydawał się zachwycony.

– Jak się miewa twoja kampania?

– Więc dlatego przyszedłeś. Pod koniec tygodnia będzie gotowa – obiecałam, kierując go w stronę drzwi.

– Cudownie. Wyśpij się. Porozmawiamy jutro.

Jeszcze raz wetknął głowę przez drzwi, akurat gdy ziewnęłam.

– Czy mówiłem ci kiedyś, kim chciałem zostać, gdy dorosnę?

– Twoje dziecięce marzenie? – wymamrotałam niemal przez sen.

Zamyślił się przez chwilę, by zaraz się rozpromienić. – Agentem FBI! Sposób, w jaki to powiedział, rozwił moją senność.



## Rozdział 16

Idy marcowe. Piętnasty dzień miesiąca kalendarza starożytnego Rzymu.

Wspominając śniadanie, spojrzałam na kalendarz stojący na moim biurku.

– Idealny dzień, by wyjść do społeczeństwa! – zawołał radośnie Jamie i toastem wzniesionym sokiem pomarańczowym, otworzył oficjalnie proces budowy wizerunku.

– Dzień, w którym Juliusz Cezar rozpoczął swoją kampanię – zauważył Kagan z uśmiechem. O’Neal wydawał się zmieszany. – Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar zamierza właśnie wypowiedzieć wojnę połowie biblijnej maksymy. Koniec z oddawaniem Cezarowi – wyjaśnił Kagan.

– Strzeż się, Cezarze! – ryknął Bart przy akompaniamencie coraz głośniejszych wiwatów. Proszę bardzo, znowu symbole, pomyślałam sobie.

Kiedy tak stałam i patrzyłam na przybory niezbędne w każdej kampanii – plakaty, ulotki, sterty kserowanych materiałów – zastanawiałam się, po co właściwie zawracałam sobie głowę przychodzeniem tego wieczora. Analiza kończąca fazę przygotowań może być najciekawszą częścią kampanii – czas na rozważania, trochę narzekań.

Jednak nie tym razem. Szczególnie że nad moim biurkiem i stojącym obok stolikiem ktoś zawiesił ostrzegawczą tablicę z wielkimi czerwonymi literami. WŁÓŻ RĘKAWICZKI ALBO NIE DOTYKAJ! Napis stanowił jakby proroctwo, które powinno było dodać mi otuchy.

Jednak czułam się nieswojo. Taka działalność oznaczała zwiększoną jawność, a tym samym czyniła z organizacji łatwiejszy cel dla policji. To straszne, potencjalnymi zagrożonymi stawały się osoby, na których zaczynało mi zależeć.

Jedna z nich wkroczyła właśnie w typowych dla siebie podskokach, z radosnym uśmiechem na twarzy. Spojrzałyśmy na siebie. Rosa Ramirez, najbardziej energiczna przedstawicielka „oddziałów” Lee Emerson.

Nieznajoma, z którą łączyła mnie szczególna więź – nasz pierwszy kontakt wzrokowy, wspólne wspomnienie Wigilii.

„Straciłam syna. Przysłuchiwałam się, jak moja córka wydaje ostatnie tchnienie”.

Przyszedł z nią Tony.

– Mówiłam ci, że ją tu zastaniemy – powiedziała Rosa, klepiąc go przyjacielsko w ramię, co niemal odrzuciło chłopaka. Dzieciak, który zawsze zachowywał dystans.

– Jamie chce, żebyś się z nim spotkała – poinformował mnie Tony.

Mały posłaniec.

– Jak się masz? – przywitałam go.

Przez moment wydawał się zakłopotany, po czym ruszył wprost do stołu usłanego plakatami i ulotkami.

– Rękawiczki zapobiegają pozostawianiu odcisków – wyjaśnił na wszelki wypadek, jakbyśmy sądzili, że nie rozumie przesłania. – Te materiały idą na cały kraj?

– W najdalsze zakątki, kochanie – powiedziała Rosa.

– Wypożyczymy im kilku z naszych najlepszych nowojorskich werbujących – ogłosił wszystkim. Jego ciemne, błyszczące oczy zdradzały ponadprzeciętną inteligencję. – Założę się, że nie wiedziałaś, iż wykorzystujemy osiemset numerów z nagranyymi wcześniej wiadomościami, by komunikować się ze wszystkimi komórkami. To szybsze niż stara sieć skrzynek kontaktowych. – Spojrzał na mnie, bym potwierdziła jego słowa.

Zamiast tego zobaczył tylko zmarszczone brwi. Skąd do licha on to wszystko wiedział?

– Twój pomysł? – spytała mnie Rosa.

– Tak. Zapewnia to szybki dostęp do przydatnych informacji.

– Na przykład jakich? – rzucił wyzwanie Tony.

Miałam ochotę wyrzucić go za drzwi, jak niepoprawnego ucznia. Lecz on był zbyt dobrym uczniem, a poza tym nie do mnie należało wyrzucanie go.

– Na przykład, którzy Obojętni spośród sędziów stanu New Jersey orzekają osiemnastomiesięczne wyroki za napady z bronią w ręku, podczas gdy rocznie popełnia się tam aż cztery tysiące przestępstw. Doskonała amunicja dla przyszłych Misji.

– A gdzie Zestaw Bojowy?

– Jeszcze nie przygotowany – odparłam zadowolona, że nie mógł go obejrzeć. On jednak nie dając za wygraną, czekał bym opowiedziała mu, co zamierzałam załączyć. – To po prostu mnóstwo suchych faktów i statystyk – skłamałam. – Sprawozdania sądowe, próbki artykułów prasowych.

– Plakaty – powiedział zainteresowany szczególnie jednym, wznosząc oczy przy każdej czarnej, smukłej literze wypisanej na śnieżnobiałym tle. – Wyglądają jak słupy – podsumował.

Przypominały raczej złowrogie kominy.

– Morderstwa z użyciem broni palnej w Waszyngtonie – przeczytał od góry. Potem na dole:

– Liczba zabójstw siedmiokrotnie przewyższa średnią krajową. Rany!

– Czas iść! – zawołałam, sięgając po płaszcz.

– Facet na dole kazał mi się wpisać do rejestru wchodzących. Teraz muszę podpisać, że wyszedłem – zwrócił się do mnie Tony. – Dlaczego Rosa nie musiała?

– Biurowe sprzątaczkę nie muszą się wpisywać, złotko.

– Przecież ty nie sprzątasz biur! – oburzył się.

– Chusta na głowie, podniszczony płaszcz, nie wspominając już o kolorze mojej skóry, czynią ze mnie prawdziwą płatną pomoc, ale nie mam nic przeciwko temu. – Uśmiechnęła się. – Sprzątaczkę mogą kręcić się wszędzie, swoimi zamiarami nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, wiesz?

Przyłożył rękę do jej dłoni. Porównywał kolor.

– A ty co zamierzasz? – Nasz Tony nie należał do ignorujących pytania retoryczne.

– Po prostu zająć swój postereunek. – Rosa zdjęła płaszcz. Przed wyjściem uścisnęliśmy się, wzbudzając w Tonym trwogę. Nasza wspólna podróż na tylnym siedzeniu taksówki stanowiła nie lada przeżycie. Tony wcisnął swoje małe ciało w przeciwległy kąt, dając mi jasno do zrozumienia, że w rękawiczkach czy bez nich nie wolno go dotykać. Zdawał się wyczuwać, jak wielką miałam na to ochotę. Przynajmniej chętnie rozmawiał.

– Powiedzieć ci, co Jamie ma na porządku dziennym?

Mimowolnie uśmiechnęłam się. Jak na włączającego się po ulicach dzieciaka miał imponujące słownictwo.

– Zaryzykuję.

– To twoja pierwsza Aktywacja, prawda? – spytał z pewną pogardą.

– Złożę się, że dla ciebie nie pierwsza.

– Widziałem ich już wiele – odparł znużonym głosem, jakby chciał dodać „To dla mnie nic nowego”. Wyjął papierosa.

– Nie – zawołałam, gotowa wyrwać mu go z ręki. – Tony, nie podoba mi się, że palisz. Masz dopiero trzynaście lat.

Obrzucił mnie dwuznacznym spojrzeniem. Oburzony, że śmiałam się o niego troszczyć, lecz jednocześnie zadowolony.

Niemniej schował papierosa.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem, który wyglądał znajomo. Jakiś mężczyzna skierował nas do pokoju na parterze, czekał tam Jamie. Jego Aktywacja jeszcze się nie zaczęła.

Nie wiem, czego się spodziewałam – z pewnością nie widoku Jamiego, wystrojonego niczym do starej hollywoodzkiej wersji dzielnego pirata – czarna piracka koszula, sztuczna broda oraz gogle pilota.

Tony przyglądał mu się pobłaźliwie. Zgadywałam, co sobie myślał – „Śmieszny strój, jak na psychiatrę!”

– No cóż, jeśli to nie sam Czarnobrody... – zażartowałam, walcząc z pokusą, by pociągnąć go za ten zarost. – Co knujesz?

Jamie wybuchnął śmiechem.

– Zobaczysz. – Klepnął Tony’ego przyjacielsko w ramię. – Znajdź jej jakieś dobre miejsce, Kijanko.

Tony zeszytniał. Żaden chłopiec w jego wieku nie lubi, gdy wytyka mu się niski wzrost.

– Prowadź – powiedziałam, podążając za nim do holu i dalej na widownię. Rozpoznałam to miejsce. Wiele lat temu mieściło się tu kino, później przekształcono je w salę wykładową. Razem z Claudią siadywałyśmy tu kiedyś w dziesiątym rzędzie, oglądając filmy z Bogartem. Podczas gdy Tony dokładnie sprawdzał rząd po rzędzie, ja się rozejrzałam. Nie licząc niemal pustego balkonu, sala wypełniona była po brzegi. W żaden sposób nie potrafiłam zaklasyfikować publiczności, w każdym razie nie byli ubrani jak do opery i nie dostrzegałam żadnych dzieci.

Z wyjątkiem mego osobistego przewodnika. Tony kiwał na mnie z góry. Omal nie posłałam

go do sklepu ze słodyczami, bo przecież nie można siedzieć na balkonie bez prażonej kukurydzy.

Ze swojego miejsca miałam idealny widok... tylko na co? Popatrzyłam w dół na czterech ubranych na czarno mężczyzn we wszędobylskich ciemnych okularach, chodzących z wiklinowymi koszykami pomiędzy rzędami. Niczym księża zbierający na tacę.

– Co się dzieje? – zapytałam Tony’ego widząc, że zaledwie co dziesiąta osoba wrzuca coś do koszyka. – Kim są ci ludzie?

– Członkowie komórek z pięciu gmin – głównie z Brooklynu i Queens. Aha, chodzi ci o facetów w czarnych ciuchach? Zbierają opowieści.

– Czyje? – spytałam, kiedy kobieta w przydużym kapeluszu włożyła żółtą kartkę do najbliższego kosza.

– Każdego, kto ma jakąś historię i chce, by usłyszeli ją inni.

– Jamie urządza publiczne odczyty dotyczące niepomszczonych zbrodni? Sceniczna adaptacja jego „kartoteki horrorów”? – zastanawiałam się na głos, kiedy światła zaczęły gasnąć.

Tony skinął głową i skrzywił się.

Oparłam się wygodnie, zadowolona z ciemności, która zapadła. Wspomnienie jednego ze spotkań. Dotknął mojej ręki.

– Wiesz, dlaczego Jamie nazywa to Aktywacją. Lee mi powiedziała.

W jego głosie kryła się złośliwość... ciągle był zły, że Jamie nazwał go Kijanką?

– Ona twierdzi, że Jamie potrzebuje tego przed wyruszeniem na Misję. To go doładowuje, tak jej powiedział.

Jak szprycza w żyłę? Melodramat w stylu Elmera Gantry’ego? Przygotowałam się na żenujący pokaz porywającego aktorstwa.

Jamie pojawił się na scenie w świetle reflektorów. Ponurym głosem zaczął czytać.

– Czy możecie to sobie wyobrazić? Noc, podczas której siedząca na tej widowni kobieta stała się wdową? Noc, kiedy była świadkiem morderstwa popełnionego na jej mężu? „Oddaj mi pieniądze, Ben... proszę. Na miłość boską, odsuń się od tej kasy!” Ale Ben boryka się z rosnącymi trudnościami w interesach i każdy dolar wydawał mu się potrzebny... wahał się, zacisnął pięści... w końcu się odsunął. Rabuś rzucił się w przód, wciąż wymachując swoim magnum. „Co, w kasie tylko marne pięć stów?”

Cisza. Czy Jamie robił to specjalnie? Zaciskał zęby, czekając na nieuniknione... stłumione łkanie kobiety? W ciemności nie potrafiłam zlokalizować dźwięków, nie mogłam zobaczyć napiętych twarzy. Czułam je.

– Wyrok śmierci w sześciu słowach! – krzyknął Jamie. – Mózg człowieka rozbryzgany po całym sklepie przez zwolnionego warunkowo łobuza, który poprzednio już rabował i... tak, właśnie tak, już poprzednio zabijał. Dzięki naszemu wymiarowi „sprawiedliwości” nadal będzie żył, by móc znowu rabować i mordować. – Zgniół w dłoni tekst. – I jeszcze raz... – Cisnął go na widownię.

Jakaś ręka wystrzeliła w górę, by go złapać. Rozległ się krzyk:

– Nie!

– Tak! Jeśli go wcześniej nie powstrzymamy! A także innych podobnych mu Barbarzyńców. Tłum go popierał aż wrzało na widowni.

Jamie sięgnął po inną kartkę. Przeczytał ją, wpierw po cichu.

– Przekłęci... niech będą przekłęci – mruknął do mikrofonu pozwalając, by wypowiedziane pod nosem słowa dotarły do wszystkich. Popatrzył na nas. – Ile razy słyszeliście, że to od nas zależy działanie tego systemu? Że my, zwykli obywatele, mamy obowiązek wystąpić i wskazać palcem, aby sędzia i ława przysięgłych mogli dopilnować, że sprawiedliwości stanie się zadość? Jest pewna kobieta, która nie przyszła dzisiaj na widownię. Przybył jej mąż. Ta kobieta robi jakieś spóźnione zakupy pomiędzy półkami w najdalszym końcu sklepu spożywczego, kiedy nagle słyszy głośnie uderzenie, po którym rozlega się krzyk. Nieostrzeżona staje się świadkiem, jak umięśniony nastolatek pięściami i stopami, za pomocą ciosów karate, masakruje sprzedawczynię, po czym dobiera się do kasy. Potrzebuje forsy na prochy. Młody przestępca załatwia sobie sprytnego adwokata. I co się dzieje?

– Wychodzi za kaucją! – odzywa się bezcielesny głos przepelniony wstrętem.

– Rundę pierwszą wygrywa obrona. Runda druga: prokuratura przekazuje obrońcy wszystkie dane – naoczny świadek gotowy, chętny i wystarczająco odważny, by złożyć zeznanie. Runda trzecia?

– Sukinsyn zdobywa jej adres! – zawołał ochryply głos.

– Przekazuje swojemu klientowi, gdzie można znaleźć świadka. – Kobięcy głos, częściowo przerażony, częściowo wściekły.

– Runda czwarta – przemówił Jamie tonem grabarza. – Kampania strachu, panie i panowie. Podczas gdy obrońca opóźnia sprawę, uzyskując jedno odroczenie po drugim, dwumetrowy, blisko stukilogramowy narkoman prześladuje o czterdzieści centymetrów niższą kobietę. Telefony, złowrogie gesty, groźby – już zademonstrował jej, co potrafi zrobić kobiecie. Runda piąta – powiedział, ściskając dłońmi pulpit – załamanie nerwowe.

Wziął w obie ręce wiklinowe koszyki i uniósł do góry.

Jednym gestem dał do zrozumienia, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Wszyscy widzieliśmy, że koszyki były pełne – horror bez końca.

Kiedy opuścił koszyki i sięgnął po kolejną kartkę, przez widownię przebiegło drzenie. Sala wykładowa przemieniła się w teatr.

Pragnęłam wyjść. Nie chciałam nie słuchać, nie chciałam dopuścić do siebie przemawiających do wyobraźni obrazów, zanim staną się niemożliwe do zatarcia.

Pozostałam zbyt długo, zahipnotyzowana głosem poety.

*Któż z nas nie był jedenastolatkiem?*

*Po szkole w kulki nie grywał?*

*Lub przez moment nie popatrzył w słońce, przez chwilę,*

*Bo nawet dzieciak zrodzony wśród podłości ulic  
Zapomnieć się może na progu swej szkoły  
I napawać się wiatrem, chociaż splugawiony, gdy  
W niebiańskim błękicie poszukuje przyszłości.  
Gdy ta przyszłość dosłownie rozplatała mu głowę.*

Strach rodzi strach. Złość przemienia się w gniew. Wszystko wirowało wokół mnie przemieszane z głosem Jamiego, pogrążając mnie w tej tragedii – chłopiec zastrzelony przez młodocianych bandytów na rowerach. Jamie przedstawił rodzicielski ból. Ale z punktu widzenia chłopca niepowetowana strata wydawała się wręcz uchwytana.

Przestałam dostrzegać sztuczną brodę i przyciemniane okulary. Oglądałam znaną mi doskonale twarz, która nagle nabrała nowego wymiaru. Jamie, którego nigdy jeszcze nie spotkałam. Przepelniony współczuciem tak głębokim, że aż zdolnym zapierać dech w piersi. Na moich oczach przemieniało się ono w gniew oskarżyciela przemawiającego przed ostatecznym trybunałem.

- Jakie mają prawo przelewać naszą krew?
- Kto dał im władzę, by niszczyć nam życia?
- Kto im powiedział, że mogą nas unicestwić.
- I kara ich za to nie spotka?
- Czy beczynnicy damy im okraść nasze domy?
- Czy nadstawimy drugi policzek, gdy zechcą zabić nam dzieci?
- Załamiemy ręce, gdy chwycą za noże i kije?
- Kiedy beztrąsko odbiorą czyjeś życie?

Zerwałam się na równe nogi, dłońmi chwyciłam balkonową balustradę, zapomniałam o piratach i kaznodziejach. Tony chrząknięciem przerwał czar, sprawiając, że stałam się po trosze obserwatorką, a po trosze częścią widowni. Mogłam docenić finał i jednocześnie go doświadczyć – ludzie ujęci jego słowami, jego wołą, zjednoczyli się w żelazną pięść.

W chwili gdy pojęłam tę postać anioła zemsty, wszelkie podejrzenia czmychnęły niczym cień rozproszony promieniami słońca.

## Rozdział 17

„Raport z prowincji” Lee Emerson leżał na samym środku mego biurka niczym wielki wyrzut, ludzka ręka nie dotknęła go od czasu, gdy się tam znalazł dwa tygodnie temu. Przyczepiona na wierzchu karteczka od Jamiego informowała: „Proszę przygotuj sprawozdanie na temat tego raportu, zanim wrócę”. Czyli na dzisiejsze spotkanie przy kolacji.

Krótki rzut oka na stronę tytułową i już wiedziałam, że mnie czeka kwiecista proza. Uzbrojona w papierosa odwróciłam pierwszą stronę.

Lee zaczęła od Filadelfii, niegdyś miasteczka „zbyt ponurego i brudnego, by dorastać do wzbudzającego grozę widoku Dzwonu Wolności!” Na próżno szukałam zapowiadanych informacji dotyczących przeprowadzonych Misji. Filadelfijskie komórki oznaczały spekulacje dotyczące tajemniczego Przywódcy. Czy był weteranem wojny wietnamskiej, niezadowolonym policjantem? A może jeszcze lepiej – zagranicznym najemnikiem? Ani słowa o psychiatrze, zapewniała nas Lee.

Dane z Baltimore okazały się jeszcze bardziej odkrywcze. Bart miał „fioła na punkcie” hotelowego holu – „mnóstwo gier wideo i bilardów – to tak jakby witała cię sala pełna puszczających oczka i wpatrujących się w ciebie królowych balu”, pisała Lee swoją prozą zapierającą dech w piersiach. Dobre wieści – przywódca komórki w Baltimore to prawdziwy profesjonalista. „Moglibyśmy wykorzystać administracyjny talent tej pani w Nowym Jorku!” – ekscytowała się Lee.

Z Detroit krótka notka: „Niebezpieczeństwa na każdym kroku. Strach iść choćby jedną przecznicę, lepiej przywołać taksówkę”.

Jednak to Denver najbardziej przyczyniło się do określenia całości kwiecistą prozą.

„Nisko położone rancza drżały u stóp monolitu – pasma górskiego, rozległego i brunatnego, niczym pleciona damska spódnica”.

Chicago biło na alarm – skryta pod bezsensowną paplaniną mglista aluzja do „czającej się w pobliżu policji”. Żadnych szczegółów?

W St. Louis nie mieli takiego problemu. Tym razem w pobliżu czaiła się śmierć. Stowarzyszenie namierzyło obrońcę, odwracającego wzrok, gdy jego klienci terroryzowali pewnych kierowców, by ci nie składali zeznań dotyczących uzbrojonych w kije baseballowe delikwentów, którzy powybijali im w samochodach szyby. Pozostała tylko jedna skarga, która przegrała zarówno w sądzie (prokurator nie posiadał potwierdzających zeznań), jak i poza nim (tłukli go po głowie, dopóki nie oślepl na tyle, by nie mógł już nikogo wskazać). „Zdesperowana żona ofiary pogruchoła wiele kości, zanim zdołano odebrać jej kij baseballowy – donosiła Lee. – Od rozbijania szyb w mercedesie obrońcy przeszła do bezpośrednich ciosów w jego łysinę. Musieliśmy powstrzymać ją przed wydrapaniem mu oczu!”

Szaleństwo. Zrobiłam notatkę. Nagłówek głosił: „Misje dotyczące Obojętnych nie powinny cechować się agresją!”

Przeszłam do czytania o Los Angeles i kolejnej Misji w sprawie Obojętnego. Cel – reedukacja „niedowidzącego mądrali” (słowa Barta). Metoda – „eskorta” sędziego sądu apelacyjnego w okolicy charakteryzujące się wysokim wskaźnikiem przestępczości. „Natknęliśmy się na ofiarę rabunku – pisała Lee – bezdomna, ściskająca swój żalony dobytek, podczas gdy z jej brzucha wypływały wnętrzności”.

Jak oni tego dokonali? Zastanawiałam się, kontynuując lekturę – przekonać sędziego, że właśnie jakaś kobieta umarła z imieniem mordercy na ustach, a on wcześniej z powodu niedociągnięć natury formalnej unieważnił wyrok wydany przez sąd niższej instancji.

Następna wiadomość Lee wywołała moje westchnienie. „Namierzanie pracownika w biurze prokuratora okręgowego – zapisałam w swoim notatniku – oznacza wysoki stopień jawności. Osoba posyłana na taką Misję powinna zachować szczególną dyskrecję”.

W jaki sposób wyróżniająca się ślicznotka, taka jak Lee, może się nie wyróżniać?

Pełne animuszu sprawozdanie Lee nie wykazywało nawet śladu obaw – była to jedynie typowa dla niej mieszanina statystyki i melodramatu. „Ponieważ Atlanta jest obecnie najbardziej zdeprawowanym miastem w kraju, można by pomyśleć, że prokuratura będzie mniej skłonna do zawierania układów, a już na pewno nie bardziej. Nasz Cel wciąż jednak wypuszcza na wolność tych... podludzi!”

Przegląd kończył się na Houston. „Miejscowi nazywają to miasto ostatnim wolnym kawałkiem Ameryki! – ekscytowała się Lee. – Tutejsi ludzie rozumieją, na czym polega prawo własności”. Posyłają oni na tamten świat do kilkudziesięciu niedoszłych włamywaczy rocznie, według szacunkowych obliczeń Barta. Moje dane wskazywały, że komórka w Houston chwaliła biuro prokuratora okręgowego za wydawanie bezpłatnych pozwoleń na posiadanie broni palnej oraz miejscowe władze, które nie określały tego stanu rzeczy mianem „szaleństwa” tylko „mentalności obronnej”. Zdaniem Kagana w Houston duch pogranicza „był wciąż żywy i miał się dobrze”.

Houston wywoływało we mnie zaniepokojenie, natomiast moje obawy dotyczące Kagana sięgały szczytu. Dlatego, kiedy znalazłam niewielki dodatek wykonany przez Lee z własnej inicjatywy, postanowiłam nie włączać go do swego sprawozdania. Pani generał przygotowała listę, którą określiła mianem „prawdziwych talentów administracyjnych” – nazwiska i adresy kobiet, które według niej stanowiłyby dobry materiał na Bierne członkinie, gdyby zaistniała taka potrzeba. Taki wyłom w systemie bezpieczeństwa doprowadziłby Kagana do szewskiej pasji, gdyby się dowiedział. Pełna życia przywódczym komórki w Baltimore („niezwykle szykowna blondynka”). Łebska damulka z Charlotte w Karolinie Północnej, „o pięknych jak onyks oczach” (okrężny sposób mówienia, wskazujący na jej Czarny kolor skóry). Kobieta, która zdobyła „naprawdę fantastyczne informacje” na temat zastępcy prokuratora okręgowego w Atlancie. Odważna gospodyni domowa z Detroit. „Superdynamiczna” założycielka naszej najstarszej



komórki w Houston, która „strzela niczym rewolwerowiec”.

Schowałam listę do swojego sejfu.

Kiedy Jamie przyjechał po mnie taksówką, jego pierwsze słowa brzmiały:

– Co sądzisz o naszej Lee?

– Piękna, o cudownym usposobieniu, może nieco nieczuła w stosunku do podwładnych, jednak nie sposób jej nie lubić. Tylko nie mam zbyt wysokiego mniemania o jej wysiłkach wywiadowczych.

Wyglądał na zadowolonego.

– Kiedy kończy się twój urlop bezpłatny?

– Za parę miesięcy. Dlaczego pytasz? – zdziwiłam się. – A tak w ogóle, to o co chodzi z tym obiadem?

– Interesy, cóż by innego?

Interesy w niebywale dobranym otoczeniu. Nie przepadam za lokalami przypominającymi bardziej bary niż restauracje – wyposażone w osobliwe pomieszczenia położone na uboczu niczym chatki w lesie. Ten pełen był osobników w czarnych skórach, na ścianach wisiało kilka tarcz do gry w lotki, a na parapetach stało mnóstwo kufli.

– Kto wybrał tę spelunę? – fuknęłam.

– O’Neal.

– Typowe. A gdzie Bart?

– Razem z Lee są wciąż poza miastem.

W takim wypadku O’Neal spełniał rolę oficjalnego gospodarza. Usadził naszą szóstkę wokół potężnego stołu. Kiedy Hugh uścisnął dłoń Jamiego, a Zack zaprezentował jeden ze swoich uśmiechów, był to prawdziwy kontrast w porównaniu z beznamiętnym wyrazem twarzy Kagana. Zrozumiałam, na czym polegać ma ta feta, zanim jeszcze O’Neal otworzył butelkę.

– Aż taki sukces? – spytałam, ciesząc się z niemego toastu, czyli szerokich, męskich uśmiechów i uniesionych kieliszków.

– Operacja Wizerunek to prawdziwy przebój, Karen. – Jamie rozpromienił się.

– Uplęnięto zaledwie kilka tygodni od rozpoczęcia kampanii, lecz odczuwam ostrożny optymizm – przyznał Kagan.

– Prasa zachowuje powściągliwość i tyle – zauważył Zack, z wolna obracając w dłoni kieliszek szampana. – Jak gdyby bali się potraktować nas serio. Policja nie bardzo wie, co robić.

– Pomimo wskazówek, jakie pozostawialiście po sobie?

– Nie myl nas z terrorystami gotowymi wziąć na siebie odpowiedzialność za stosowaną przemoc – zachnął się Jamie. – Zamiast jakiegoś prostackiego, łatwego do zidentyfikowania sloganu, nasz znak – dzięki tobie, Kochanie – jest o wiele bardziej subtelny. I z pewnością wywołujący zamieszanie – dodał, trącając ręką swój lisi medalion. (Ostatnio z ostrożności nosił go pod koszulą.)

Podczas kolacji poddałam się ogólnej atmosferze podniecenia. O’Neal wrócił z trasy i nie

mógł przestać zachwycać się (pomiędzy kolejnymi pociągnięciami swego hawańskiego cygara), jak „wspaniale wszystko się rozkręca – tylu nowych rekrutów!” Jak naród „popiera nas na całej linii, na Boga”. Hugh chwalił się, z jakim powodzeniem uzyskuje fundusze. Zack opowiadał ze skrywanym entuzjazmem o sympatii policji graniczącej z jawnym poparciem. Jamie nie posiadał się z radości, kiedy mówił o swoich ostatnich Misjach, choć nie wdawał się w szczegóły. Kagan siedział cicho.

Spytałam, co w kampanii zdaje się odgrywać największą rolę, i otrzymałam całe mnóstwo odpowiedzi.

Zwiększyła się efektywność komórek.

– Zasluga podbudowy ideologicznej – stwierdził Zack.

Całe grupy Okaleczalnych, począwszy od śródmiejskich czarnoskórych należących do klasy średniej, przez wspólnoty urzędników mieszkających na przedmieściach, a skończywszy na organizacjach ludzi starszych, wyrażały „głośne poparcie” dla metod stosowanych przez Stowarzyszenie.

O’Neal twierdził, że moje podkładówki czyniły cuda.

– Te kompletne dane dotyczące ofiar przestępstw stanowią potężną amunicję, moja pani.

Trwało to bez końca.

Wreszcie wraz z kolejnymi butelkami szampana podano deser. Wtedy właśnie zorientowałam się, że jeszcze nikt nie spytał mnie o raport Lee.

– Dział Lee nie zdaje egzaminu – poinformował Kagan, jak zwykle odgadując moje myśli. – Chcielibyśmy, żebyś doprowadziła go do porządku.

– Chodzi ci o pomoc w administracji? – zapytałam, rozglądając się przezornie po pozostałych.

– Pokieruj całym działem – odparł Jamie. – Oczywiście nieoficjalnie. Nie ma sensu rozczarowywać Lee. Nie krzyw się. Zaznajomiłaś się już z całą działalnością. To właśnie jeden z powodów, dla których kampania odnosi sukcesy. Czy możesz ująć sprawy w swoje ręce... tylko do końca urlopu?

Czemu nie? – pomyślałam. Prawdę powiedziawszy, przez ostatnich kilka miesięcy czułam się rzeczywiście potrzebna i nadal tego pragnęłam.

Podalam Zackowi kieliszek, by napełnił go szampanem.

Wszyscy wznieśliśmy toast.

Nie byłam do końca przekonana, czy to dobry pomysł. Wyraz twarzy Kagana zdradzał, że on także miał pewne wątpliwości.

A Kagan zazwyczaj się nie mylił.

## Rozdział 18

Idąc do Claudii, rozmyślałam nad liścikiem, który znalazłam wczoraj w domu. *„Jutro prima aprilis – napisała – idealna okazja dla dwóch przeklętych idiotek, by przestać trzymać się od siebie z dala. Przyjdź na obiad. Tylko ty, ja i mój były. Stan wpadnie, żeby zabezpieczyć mi mieszkanie przed włamaniem. Powiedział, że z przyjemnością cię znowu zobaczy. Ja też”*.

Mieszkanie Claudii stanowiło prawdziwą perełkę pośród okolicznych brudów. Wystarczyło jednak wznieść wzrok ponad śmieci, odłamki tynku zalegające przy krawężniku oraz krzykliwe graffiti, by oczom ukazały się wciąż piękne, brunatne mury.

Wewnątrz spotykało się specjalność domu – nieświeże zapachy kuchenne wydobywające się spod drzwi. Winda nawet mola przyprawiłaby o klaustrofobię, albo o nerwicę, tym razem jednak była pusta.

Na klatce schodowej również nie spotkałam żywego ducha. Drzwi otwarły się po pierwszym dzwonku. Uścisnęłyśmy się z Claudią, po czym usiadłyśmy, by nadrobić zaległości – zdrowie, dieta, rekomendowane filmy, słowem wszystko, prócz leżącego nam na sercach najważniejszego problemu.

– Co się stało z twoim salonem? Skąd ten praktyczny biurowy charakter...

– Właśnie o to mi chodziło. Myślisz, że spodoba się Stanowi?

– Z całą pewnością. – Ja jednak już tęskniłam za przytłaczającą soczystą czerwienią, pomarańczowym i żółtym. Zniknęły mięciuchne kanapy i drapieżnie wyglądające rośliny. – Kiedy się go spodziewasz? – spytałam.

– W każdej chwili. Co o tym sądzisz? – Wykonała niewielki, nerwowy obrót, ręką wskazując na perfekcyjnie udekorowany stół oraz podkreślając roznoszący się dookoła zapach zupy z ostryg, ulubionej potrawy Stana.

– Jadłospis i wystrój, na piątkę. Piątka z plusem dla gospodyni.

Uścisnęła z wdzięcznością moją dłoń i pospieszyła do kuchni. W swojej falującej, kremowo-czekoladowej sukience oraz eleganckim turbanie wyglądała naprawdę sensacyjnie. Powinnam jej przypomnieć, że chodziło o zabezpieczenia antywłamaniowe, a nie romansik. Stan jak zwykle martwił się o „swoją beztroską Claudię” i schodzącą na psy okolicę, w której mieszka, mimo że nie była ona już „jego” – sam tak zdecydował, nie ona.

Z zaniepokojeniem zauważyłam, że Claudia nie porzuciła jeszcze związanych z nim nadziei. Cóż innego, jeśli nie pobożne życzenia, mogło wytłumaczyć przemeblowanie salonu, pełen makijaż i całe to zawracanie głowy z obiadem?

Jak przez mgłę wspomniałam stare dobre czasy – w każdym razie stare. Jak się poznałyśmy poprzez naszych mężów (dobry glina i wzięty prawnik) na przyjęciu sylwestrowym. Jak nasza „mało prawdopodobna przyjaźń” (Allan na początku tak właśnie określił moje stosunki z

zajmującą się tańcem żoną Stana) przetrwała oba nasze małżeństwa. „Bycie tancerką” okazało się jedną z jej najmniej istotnych cech, jak odkryłam już podczas pierwszego spotkania. Claudia rozejrzała się po pokoju, pełnym najlepszych adwokatów pozujących do wspólnej fotografii oraz narzekających na statystyki dotyczące przestępczości, które psują ich wizerunek, a następnie odwróciła się w moją stronę.

– Bubki. – Wiedziałam, co ma na myśli, określając tak ludzi zajmujących się obroną przestępców. – To przyjęcie nie w moim stylu – oznajmiła z lekceważącą szczerością. Właśnie wtedy zrozumiałam, że należy do osób, jakie darzę sympatią.

– Proszę, proszę, a któż to pali. Minęło już chyba z sześć lat?

– Dobra pamięć, CC. Rzuciłam w dniu rozvodu.

– Co skłoniło cię do powrotu?

– Nowe problemy życiowe.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszedł Stan.

– Niech no ci się przyjrzę – powiedziałam, podając mu rękę. Miał na sobie dzinsy oraz sportową kurtkę. – Trochę posiwiła ci broda, Stan, ale poza tym wciąż jesteś szczupły i w formie. – W jego oczach nadal czaiła się melancholia, usta jak zwykle zaciśnięte. Prawdziwy glina.

Obiad z detektywem – nieważne, że starym przyjacielem – po raz pierwszy tego dnia wywołał we mnie strach. Rozpłynął się on jednak razem z czerwonym winem i grzankami maczanymi w wysmienitej zupie Claudii. Uświadomiłam sobie niespodziewanie, jak bardzo lubiłam Stana.

Claudia wciąż tak mocno go kochała.

– ...ma sens, biorąc pod uwagę wzrastającą liczbę włamań.

– Zgodziłam się na dodatkowy zamek – narzekała Claudia – ale kraty w moich oknach?!

Motyl opierający się siatce.

– To z powodu schodów ewakuacyjnych, Claudio – przypomniałam jej. – Narażają cię na niebezpieczeństwo.

– Niech będzie, żadnych krat – skapitulował Stan. – Czy zgodzisz się na solidnie zamocowaną metalową siatkę? Mógłbym zainstalować dwie w przyszłym tygodniu.

Zaakceptowała takie rozwiązanie, gdyż oznaczało ono kolejny wspólny obiad. Zostawiłam jej sprzątaninę, a sama podążyłam za Stanem do przedpokoju, gdzie wysłuchałam krótkiego wykładu o zabezpieczeniach antywłamaniowych.

– Zamek Claudii jest odporny – zauważył – lecz nie zdaje pełnego egzaminu ze względu na słabe drzwi. Zasuwa doda im prawdziwej wytrzymałości, kiedy zablokuje się ta stalowa sztaba.

Minione lata upoważniały mnie do nieskrępowanej rozmowy na temat jego drugiej żony.

– Jan wciąż pracuje jako obrońca?

– Jest najlepsza ze wszystkich pracowników kancelarii Allana, przynajmniej on tak twierdzi.

Claudio, to było powiedziane tonem mężczyzny wciąż zakochanego – powiedziałam w

duchu.

– A co z propozycją, którą złożył ci Allan? – spytałam.

– Pozostanę detektywem z dyplomem prawnika.

– To chyba marnotrawstwo.

– Dyplom? – Podniósł wzrok i wzruszył ramionami. – Stanowi dla mnie zabezpieczenie.

Gdyby kiedykolwiek kusiło mnie stać się gliniarzem z gatunku, jakim pogardzam, wtedy nadejdzie czas oddać odznakę i zmienić się w prawnika.

– A jaki to gatunek gliniarza? – spytałam nieśmiało wiedząc, że „przekupny glina” nie wchodził w rachubę.

– Który lubi się zabawiać w Boga. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedziałam doskonale.

Kiedy Claudia zawołała nas na deser, zastanawiałam się właśnie nad prawdopodobieństwem spotkania się dwóch pracujących na różnych posterunkach policjantów – czarnoskórego krawężnika z czarnym detektywem. Zanim słynny wynalazek Claudii – cytrynowe ciasto z bezami – znalazł się na naszych talerzykach, przysłała mi do głowy replika, swego rodzaju obrona mego przyjaciela Zacka.

– Czy można winić współczesnych policjantów, że mają po uszy tego systemu? – spytałam Staną. – Wy już nie panujecie nad miastem.

– I mnie to mówisz! Kiedyś gdy człowiek zauważył na ulicy jakiegoś brudasą, przeszukał go, w dziewięciu przypadkach na dziesięć znalazł przy nim broń. Teraz trzeba śledzić go i czekać, aż popełni błąd. Jak to robić, skoro nie mamy wystarczająco wielu ludzi? Przyłapać go na gorącym...

– A sądy nie chcą ich zamykać – wtrąciłam.

– Jednak samosąd nie jest żadnym rozwiązaniem – zachnęła się Claudia.

– Do licha, pewnie, że nie – przyznał. – Któregoś dnia opowiadałem Claudii o wykrytym przez nas, dokonanym na własną rękę akcie zemsty.

Słuchając jednym uchem przypominałam sobie przysłany mi przez Claudię liścik. – „Stan wpadnie, żeby... z przyjemnością cię znowu zobaczy”. Z przyjemnością nastraszy cię i da ci porządny wykład.

– ...jedynym efektem byłoby kompletne załamanie systemu – kontynuował Stan.

– Naprawdę? – spytałam rozzłoszczona jego zadufanym tonem, zanim przypominałam sobie, co powiedział mi kiedyś Jamie. „Policjant jest również ofiarą. Zostali okaleczeni przez polityków”.

Stan nie wiedział zbyt wiele, jedynie tak dużo, jak chcieli tego Jamie i Kagan. Nie potrafił zrozumieć „sensu ani celu” osobistej zemsty. Dlaczego złamano nadgarstek akurat temu łobuzowi, a nie innemu? Dlaczego właśnie na tym rogu postrzelono rabusia z jego własnej broni, a nie gdzie indziej? Policja nie miała pojęcia, jak doskonale zorganizowani byli ci ludzie – niemniej znalezione materiały propagandowe nie pozostawiały wątpliwości, jak daleko

zamierzali się posunąć. Nie posiadali portretu psychologicznego sprawców, najmniejszych podejrzeń co do ich tożsamości. A skąd niby mieliby je wziąć, skoro ofiary napadów i rabunków nie mogły lub nie chciały o tym mówić? Nie rozumiał znaczenia dziwnego symbolu grupy, lisa.

Twierdził jednak, że zna prawdziwe znaczenie słowa „mściciel”.

– To dwugłowy potwór – wyjaśnił nam. – Jedna głowa pożera przestępcę, druga swoje własne ciało. Wolałbym już przegrać z przestępcą – oznajmił ponuro.

Kiedy wychodził, nie potrafiłam oprzeć się pokusie drobnej uszczypliwości na pożegnanie.

– Wiesz, Stan, założę się, że ci mściciele nie są jedynie bandą szaleńców, a przynajmniej nie wszyscy. Nie sądzisz, że mają prawo do frustracji?

Stan odwrócił się w moją stronę, spoglądając na mnie ze zmęczeniem, które nadawało jego twarzy wygląd typowego gliny. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczyłam się ich bezbłędnie rozpoznawać.

– Tak – odrzekł – mają prawo. Wyraz jego twarzy poruszył mnie. Poruszył także Claudię.

– A więc wolałby przegrać z przestępcą – zastanawiała się na głos Claudia. – Karen, on już przegrywa. Biedny facet po prostu nie potrafi tego przyznać.

– Jeszcze nie – odparłam zamyślona. Obawiam się, że nigdy...

– Jesteś na mnie wściekła? – spytała ostrożnie Claudia.

– Dlatego, że cały ten obiad był ukartowany?

– Martwiłam się – powiedziała z miną tak niewinną, że natychmiast jej przebaczyłam. – Sądziłam, że odzyskasz zdrowy rozsądek, jeżeli Stan zaserwuje ci kazanie.

– Nie przyłączyłam się do nich, CC.

– Nie wróciłaś także do pracy. Muszę przyznać, że wydajesz się spokojniejsza. Mniej zagubiona. Ja... nigdy bardziej niż teraz nie czułam się jak liść targany wiatrem. – Wykręcała złotą obrączkę ślubną z nefrytami, którą zawsze nosiła na prawej dłoni. – Do diabła, nic się nie zmieniło, prawda? – Jej oczy błagały mnie, bym zaprzeczyła. – Mnie lubi, swoją żonę kocha – powiedziała łamiącym się głosem.

– On wciąż cię kocha. Choć na wiele już ci się to nie zda.

– Zbyt mało, za późno – odrzekła, szerokim gestem wskazując na swój przemeblowany salon. Gdyby miała pod ręką jakąś książkę, z pewnością cisnęłaby nią. – Nowa, rozmiłowana w nauce Claudia nie zdoła go odzyskać. Po co marnować czas na robienie dyplomu?

– Jesteś prawie na finiszu. Nie rezygnuj teraz – zawołałam pospiesznie, gdyż wyczułam, że ma taki zamiar. – Nie chodzi tylko o Stana. Przecież sprawia ci to przyjemność.

– To środek do osiągnięcia celu, a przynajmniej tym był. College, a później studia prawnicze, pamiętasz? Co ja próbuję udowodnić, że mam równie dobrą głowę jak ta kradnąca mężów suka? Że mogłabym zostać lepszym prawnikiem?

– Claudia, przestań. Zasłużyłaś na uznanie. Masz dobre oceny. Czy nie wiesz, że skończyła się już twoja kariera taneczna?

– W tej sprawie możesz się mylić – wycedziła złowrogim tonem. Kłócił się on z jej typową pozą; gdy była zdenerwowana, prostowała się wyzywająco gotowa do walki, obojętna na własne ły. Wyobraziłam sobie młodą brzozę, wyglądającą delikatnie, lecz zadziwiająco wytrzymałą, tak iż nie sposób jej złamać.

– Zaraz powiesz mi pewnie, że wiesz, co czuję. Ale nie masz pojęcia – podsumowała. – Ty nie straciłaś męża. Ty od niego odeszłaś.

– Zbyt późno – zażartowałam, uśmiechając się do niej lekko.

– Allan to dobry człowiek, oddany wszystkiemu, co dobre.

– Nie stanowiliśmy cudownej mieszanki, CC. Nie mam nic przeciwko pozbawionym poczucia humoru mężczyznom, jeśli w ogóle doceniają oni humor. Mój zwykł go irytować.

– Założę się, że doktorowi Jamesowi Coyne’owi odpowiada.

– Nie – odparłam, lecz miałam na myśli McCanna.

– Często ostatnio często widzisz się z Jamiem?

– Dosyć. Dlaczego pytasz?

– Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar – wyrecytowała, jak gdyby przeprowadzała test. – Zaczynają robić szum. Czy wnoszą także coś nowego?

– Zbyt wcześnie, by mieć pewność. Myślę, że z czasem... Co ci chodzi po głowie?

– Może chciałabym przekonać się osobiście, czym się zajmujecie.

– Po co? – spytałam, stropiona kryjącą się w jej głosie mieszaniną niechęci i zapału.

– Wiem, opierałam się temu pomysłowi. Ale skoro on zdaje egzamin, jeśli gliny jak Stan odzyskają kontrolę nad miastem... Czyż nie na tym polega rola Stowarzyszenia?

– Cała ta rozmowa sprowadza się do życzenia „zróbmy coś dla Stana”.

– Zapewne tak – odrzekła ze skrucą. – Karen, co spotkało mordercę Sarah?

Pytanie wydawało się zupełnie niewinne. Zadając je, spokojnie nakładała na usta czerwoną szminkę.

– Zdaniem zastępcy prokuratora, kolegi Allana, był to happy end – odparłam z odrobiną gorzkiej ironii. – Zdaje się, że cały gang został wymieciony przez konkurencję, łącznie z ich główną siedzibą.

Wydawało się, że mi uwierzyła. Czemu nie? Przecież powtórzyłam niemal słowo w słowo wszystko, co przekazał mi Donahue. Wówczas jednak wzdrygnęła się, jak gdyby zrobiło jej się zimno.

– W takim razie pozostanę raczej przy swoich książkach – oznajmiła – ale, Jezu, proszę cię bądź ostrożna.

Wtedy zrozumiałam, że wiedziała.

## Rozdział 19

Siedziałam w poczekalni Jamiego, zastanawiając się nad zaszyfrowaną wiadomością, którą od niego dostałam. „*Poświęć mi jakąś godzinę*”. Zdenerwowana (był piątek, trzynastego) zjawiłam się nieco wcześniej. Miał w gabinecie pacjenta. Zauważyłam leżące na stoliku gazety. Od tygodni nie miałam okazji czytać żadnych wiadomości.

Poświęcano nam wiele uwagi. Magazyny zajmujące się skandalami podniecały się wizytówką Stowarzyszenia – „stylizowany lis o pełnych wyrazu oczach”. Zaledwie kilku komentatorów próbowało zrozumieć jego symboliczne znaczenie – cel myśliwych staje się ich prześladowcą. Lepsze gazety prześcigały się w prezentowaniu nowych faktów, a każdy reporter kryminalny, godny swego tytułu, popisywał się dramatycznymi, przepelnionymi kolorystyką felietonami.

Najbardziej martwił mnie aspekt „ludzkich korzyści”. Z zaangażowaniem pograżyłam się w lekturze wstępniaków i komentarzy. Dzięki ciągłemu napływowi raportów dotyczących nowych rekrutów wiedziałam, że nasza kampania wywiera wpływ na społeczeństwo. Wszyscy w biurze ekscytowali się liczbami. Jeśli chodzi o zwiększoną jawność, zdaniem Jamiego nie było w kraju gazety, w której by nie pisano o nas na pierwszej stronie.

Ale oficjalne czynniki kształtujące opinię społeczną? Zgotowały mieszane przyjęcie. Dla niektórych Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar stanowiło odpowiedź na ich marzenia. Dla innych byliśmy koszmarem, lokalną zarazą, którą należy zdławić w zarodku.

Lokalną?

W miarę czytania w mej świadomości kształtowało się coraz wyraźniejsze przeświadczenie. Prasa nie dostrzegąca, iż ma do czynienia ze zjawiskiem w skali kraju... pisano o „nowojorskich mścicielach”, „mścicielach z Chicago” i bez wątpienia z Cleveland i Detroit.

Gazeta, którą trzymałam, osunęła się na podłogę. Postrzegani w kategoriach „lokalnych” nie zwracaliśmy uwagi FBI, uwagi, przymknęłam oczy... Maxa McCanna.

Z gabinetu wyłonił się Jamie.

– Dzisiejsza gazeta – powiedział i rzucił mi ją, zanim ruszył w stronę łazienki. Jego pacjentka, młoda, zadbana kobieta, jeśli nie brać pod uwagę rozmazanego tuszu, skinęła głową w moim kierunku i pośpiesznie wyszła. Zerknęłam na gazetę.

Uderzył mnie ogromny tytuł. WSZYSCY JESTEŚMY POTENCJALNYMI MŚCICIELAMI? Moje słowa! Ale w materiałach rozpowszechnianych na mieście, wypowiedziałam je w formie twierdzącej, a niepytającej. Poniżej pochyłą czcionką wydrukowano kilka zdań mojego autorstwa. Stanowiły wprowadzenie do dłuższego artykułu o przeciętnym, sfrustrowanym człowieku.

To ja opisałam go jako zjawisko w skali całego kraju.



*To samo dzieje się w całej Ameryce:*

- Rekordowy rok pod względem liczby wydanych zezwoleń na posiadanie broni palnej;
- Wzrastająca liczba osiedlowych patroli oraz zawziętych strażników lokalnych parkingów;
- Wiwaty na widok pobitych i skopanych bandziorów;
- Podkładanie ognia w narkotykowych melinach stało się popularną rozrywką;
- Tajemnicze wydarzenia w metrze – złowrogi łobuz wymachujący nożem zastrzelony przez nieznaną osobę lub osoby”.

Jamie poinformował mnie, że zzieleniałam, a następnie kazał mi wejść do gabinetu.

– Bo to powód do mdłości, a nie do dumy – mruknęłam.

– Ja czuję się dobrze – oświadczył. – Dzwonił Zack. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości odbyli właśnie jedno ze swoich spotkań „koordynacyjnych”, wiesz – policja, prokuratorzy, sędziowie, pracownicy więziennictwa.

– Brzmi fascynująco – odrzekłam.

Jamie dał się nabrać.

– Nie ma nic bardziej podniecającego niż infiltracja obozu przeciwnika. – Zadowolony zakręcił na blacie przyciskiem do papieru, po czym złapał go. – Był tam jeden z ludzi Barta. Także Zack, lecz tylko jako obserwator. Głównym przedstawicielem policji był pewien czarnoskóry detektyw.

– Stan Cole? – zapytałam z wahaniem... i chrząknęłam. – Stan i Zack.

– Nie znali się jeszcze. Teraz już tak. – Uśmiechnął się Jamie. – Staliśmy się „specyficznym” elementem przestępczym... to złe wieści. Zaproponowano stworzenie grupy specjalnej do rozprawienia się z nami.

Dobra nowina to fakt, że nie potrafią się dogadać. Celem tych spotkań jest koordynacja – wewnętrzny żart, jak twierdzi Bart. Szczególnie że jego człowiek zdołał podsunąć im mnóstwo lipnych tropów. Był rozpromieniony.

– Co się z tobą dzieje! – wydarłam się na niego. – Grupa specjalna! Policja.

– Są zdemoralizowani. I wierz mi, cierpią na brak personelu.

Jak gdybym słyszała Zacka gładzącego o sile policji z trudnością dorównującej stanowi sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Jawnie łamiecie prawo i uchodzi wam to na sucho! – zawołałam. – Czy policja jest aż tak głupia?

Jamie sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

– Karen, Karen – powiedział – czy spośród wszystkich ludzi akurat ty nie pojęłaś najważniejszej sprawy? My jesteśmy zorganizowani. My...

W drzwiach pojawił się Tony.

– Chcielibyśmy, żebyś została podczas sesji Tony’ego – zwrócił się do mnie Jamie. – Kijanko, powiedz jej.

Tony poczerwieniał na dźwięk znienawidzonego przezwiska.

– Więc dlatego potrzebujesz godzinki mojego czasu? – zaprotestowałam.

– Chodzi o jego nawracający koszmar. Pomyślałam, że jeśli przedyskutujemy to we trójkę, może nastąpi jakaś poprawa.

– Kiepski pomysł, Jamie – odparłam, zbierając się do wyjścia.

– Przeżywa pewien konflikt, Karen. Pomiędzy tobą a osobą, która go wychowała, a mianowicie uwielbianą siostrą.

Usiadłam.

– Starsza siostra Maria nie przypomina za bardzo ideału opiekuńczej matki. Kiedy nie wyjeżdża w nieznane, by kręcić filmy porno...

– Jest tancerką topless – wymamrotał Tony, pocierając jednym zniszczonym butem o drugi, jakby chciał rozpalić ogień. – Śledziłem ją kiedyś w drodze do pracy.

– Tony karał się ostatnio za „zdradę”, której dopuścił się względem Marii – powiedział cicho Jamie. – Za to, że pragnął mieć matkę, jakiej nigdy nie miał.

Za to, że chciał mnie.

Następną godzinę spędziłam, biorąc udział w cudzym koszmarze.

## Rozdział 20

Sobotni poranek spędzony na nadrabianiu biurowych zaległości to mój sposób na relaks. Żadnego przerywania ani pogawędek, żadnych dobrze życzących przyjaciół. Klamka przekręciła się w mojej dłoni.

Westchnęłam, schowałam klucz z powrotem do torebki i weszłam do środka.

– Cześć, Rosa. Nie spodziewałam się zastać cię tutaj.

– Więc teraz zabijasz się również w weekendy?

– A ty to niby co robisz? – odgryzłam się.

Spostrzegłam zamknięte drzwi do biura Lee.

– A co takiego w sobotni poranek robi tutaj Lee?

– Może ma randkę wagi ciężkiej? – parsknęła Rosa. – Jej „wojska” pracują wydajniej, gdy dowódca jest w podróży.

– Jesteś dla niej zbyt okrutna – skarciłam ją. – Lee potrafi być bardzo miła, kiedy się nie popisuje.

– Czyli kiedy?

Zaśmiałam się.

– Nic na to nie poradzi. Ona naprawdę się przejmuje. Ma niezwykle wyostrzone poczucie moralnej ohydy, sama byłam świadkiem.

– Ja też – przyznała Rosa. – Więc dlaczego nie potrafię jej polubić?

– Nie jest w twoim typie – odparłam i poszłam zapukać do jej drzwi.

Bart usadowił się na brzegu pokrytego skórą biurka. Lee pakowała teczkę.

– Słyszałaś? – zwróciła się do mnie rumieniąc się. – Jutro wyjeżdżamy na kolejny objazd!

Nie słyszałam. Nie potrafiłam tego przełknąć. Kagan posyłał Lee na kolejne Misje? Znowu w podróży, podczas gdy działalność Stowarzyszenia wciąż pozostawała w centrum zainteresowania?

– Baw się dobrze i nie rzucaj się w oczy. – Tylko tyle wydusiłam z siebie.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na moje słowa. Lee, nosząca skromne perły do bładoróżowej płóciennej bluzki, zajęta była flirtowaniem. Bart, bardziej beztroski niż kiedykolwiek – zrezygnował z czarnej skóry na korzyść jasnoniebieskiej kurtki sportowej i mokasynów – chłonał Lee, jej figlarnie wykrzywione usta, uwodzicielski śmiech oraz sposób, w jaki unosiła brwi i zawieszala głos. Z rozbawieniem obserwowałam, jak jego dłoń raz po raz wraca na oparcie jej fotela.

Nie podobało mi się tylko wrażenie, jakie Lee starała się sprawiać – elegancka, doskonale prezentująca się dama, ściągana z piedestału przez Wielkiego Twardziela. Biedny Bart.

Biedna Lee. Udawanie samo w sobie może być nieszkodliwe, ale nie dla członka władz

tajnej organizacji, która właśnie zwróciła na siebie uwagę policji.

Położyłam rękę na jej ramieniu.

– Lee – zaczęłam, lecz zawahałam się. Cóż mogłam jej powiedzieć prócz: – bądź ostrożna.

Uśmiechnęła się i poklepała mnie po dłoni.

– Aha, omal nie zapomniałam. Jest dla ciebie wiadomość. Od jakiejś panny Cole.

Ciekawe. Claudia nigdy nie telefonowała do mnie pod numer siedziby Stowarzyszenia. Wróciłam do swojego biurka, żeby się z nią skontaktować. Mój telefon zadzwonił, zanim jeszcze zdążyłam podnieść słuchawkę. To była Angela.

– SOS, Karen. Jestem w mieszkaniu Tony’ego. Jak szybko możesz do nas przyjechać?

– Coś się stało Tony’emu? – Nic mu nie jest.

– Już wyjeżdżam. – Odłożyłam słuchawkę.

– Co się dzieje? – doleciało do mnie przy drzwiach wołanie Rosy.

Podążyło za mną aż na ulicę.

Chciałabym wiedzieć, Rosa. Chciałabym, żeby o tej porze jeździło więcej taksówek. Szkoda, że ta przeklęta taksówka nie może jechać szybciej. Żeby tak brzydota południowego Bronksu przestała straszyć zza okien. Chciałabym, żeby Tony nie urodził się, nie wychował i nie kształtował pod wpływem obyczajów panujących w Bronksie, żyjąc wśród zaniedbanych domów, w sąsiedztwie striptizerek i pijaków.

Budynek Tony’ego nie przedstawiał się najgorzej. Był stary – na rogach sypała się już cegła – niemniej wciąż stanowił zdrowy okaz budownictwa z minionej epoki.

Odnalazłam nazwisko Montes. Na dzwonek domofonu odpowiedział głos Angeli. Wciąż jeszcze pod wrażeniem sygnału SOS ruszyłam do windy, a potem wzdłuż nieznanego korytarza.

Gdy dotarłam na miejsce, z ulgą odetchnęłam na widok Angeli. Uspokajająco podała mi rękę, a następnie poprowadziła do jadalni. Poczęstowała mnie kawą, jak gdyby wiedziała, że moje śniadanie wciąż znajdowało się w torbie.

– Nie denerwuj się – powiedziała kojącym głosem. – Zack jest z nim w sypialni. Zaraz wyjdą. – Nie zamierzała nic więcej wyjaśniać.

Popatrzyłam dookoła na jaskrawe zasłony oraz leżące tu i ówdzie dywaniki, figurki stojące na półkach, koronkowe serwetki zaścielające niezwykle miękką kanapę – ślady bytności Marii, siostry Tony’ego? Kiedy wszystkiemu przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam kurz. Ściany wyklejone były fotografiami. Odsunęłam się, podziwiając ich czarnobiały artyzm. Zaszokowały mnie umiejętności ich twórcy. Poprzedniego lata, podczas jednej ze swoich zagranicznych podróży siostra chłopca kupiła drogi aparat. Tony był zachwycony.

– Albo jesteś niezwykle fotogeniczna, albo ten dzieciak ma naprawdę talent. – Angela stanęła przed zdjęciem wiszącym samotnie, na odrębnej ścianie.

Ujęcie z ukrycia, ukazujące mnie zamyśloną przy biurku. Tony zawsze robił zdjęcia z zaskoczenia. Z przyzwyczajenia przestaliśmy zwracać na to uwagę.

Samotnie, na odrębnej ścianie.

Wyszedł Zack i zamknął za sobą drzwi. Kręcił głową. Chwyciłam go za ramię.

– Zraniono Tony’ego?

– Nie tak jak myślisz. Wczorajszej nocy zginęła jego siostra.

Zack złapał mnie za rękę, powstrzymując przed pobiegnięciem do chłopca.

– Powinnaś wpięrow wszystkiego się dowiedzieć, zanim podejmiesz próbę przebicia się przez mur, jaki wokół siebie wybudował – ostrzegł. – W piątkowe wieczory moja była żona pozwala dzieciom zostawać u mnie na noc – oglądają filmy. Zapraszałem Tony’ego już wcześniej, ale po raz pierwszy zgodził się przyjść dopiero wczoraj, dzięki Bogu.

– Zack odwiózł go do domu dzisiaj rano – włączyła się Angela. – Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

– Jego siostra została... zabita?

– Zamordowana. Zapewne przypadkowy napad uliczny. Popieprzony skurwiel – wyszeptała Angela.

– Została pocięta – wyjaśnił Zack.

– Jak...

– Okropnie. Jakiś kretyn ze speluny, w której tańczyła, zostawił otwarte boczne drzwi. Inne dziewczyny już wyszły – skończył się ostatni występ. Pewna kobieta usłyszała krzyki i wezwała pomoc.

– Możesz zostać z Tonym? – spytała mnie Angela.

– Oczywiście. Czy Jamie już wie?

Skinęła głową.

– Chce się spotkać z chłopcem dzisiejszego wieczora.

– Zawiozę go. Zack, w jakim on jest stanie?

– Tylko złość, zadnych łez. Lekarz zostawił środki uspokajające. Kiedy odprowadzałem go do wyjścia, Tony spuścił je w klozecie.

Weszliśmy do niego. Trząsł się, zaciskając z wściekłości wargi.

– Tony – odezwał się Zack, siadając przy nim na łóżku – jeżeli chcesz, bym dowiedział się więcej o sprawie Marii, musisz coś dla mnie zrobić. Pozwolisz Karen zawieźć się później do Jamiego. Co ty na to?

– Powiesz mi, kto ją zabił? – spytał.

– Gdy tylko się dowiem.

– To może trochę potrwać – ostrzegła Angela.

– Jeśli ty go nie znajdziesz, ja to zrobię! – wybuchnął Tony.

– Antonio, posłuchaj mnie – powiedział Zack, chwytając go za drobne ramiona. – Ty pracujesz w innym dziale, więc wybij to sobie z głowy. Zrozumiano?

Cisza.

Podeszła Angela. Pragnęła go objąć, zamiast tego jednak tylko delikatnie pogłaskała go po twarzy. Trwało to zaledwie chwilę, lecz pod kojącym dotykiem napięte mięśnie zdawały się

rozluźniać.

Kiedy wyszli, pozostałam przy drzwiach wyczuwając, że nie chce, bym się do niego zbliżała. Wiedziałam, że nie będzie płakał. Jego oczy przypominały maleńkie guziczki, jakie spotyka się u pluszowych zwierzątek... żalosne w swojej szklistości.

Pomyślałam, że mogłabym usiąść, lecz ogarnęła mnie całkowita bezsilność. Powoli. Cicho. Moje ciało. Wspomnienie pogrzebów. Brak nadziei Tony'ego. Moje łzy.

Osunęłam się na podłogę i długo płakałam. To było wszystko, co mogłam dla niego zrobić.

Kiedy otworzyłam drzwi do poczekalni Jamiego, wyszedł z gabinetu i delikatnie ujął Tony'ego za ramię. Skierowałam się do kuchenki, żeby zaparzyć dla wszystkich kawę. Wracając omal nie wpadłam na Jamiego idącego do ubikacji.

– Pójdę na górę zadzwonić do Claudii – poinformowałam go. – Gdzie są klucze do mieszkania?

– Na biurku. Przyprawdę później Tony'ego. Chcę, żeby kilka następnych nocy spędził u mnie. Potem... – Wzruszył ramionami.

Tony podał mi klucz Jamiego i wziął ode mnie kawę.

Obie windy znajdowały się gdzieś na górze, więc pospiesznie wspięłam się te dwa piętra po schodach, zaniepokojona, jaką to wiadomość może mieć dla mnie Claudia.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Przepraszam, że trwało to tak długo – powiedziałam. – Mielśmy wypadek. Siostra Tony'ego.

– Wiem. Muszę się z tobą zobaczyć. Może za dwie godziny?

– W porządku. Kiedy i gdzie? A przy okazji, co się stało?

– Później. Zanotuj, gdzie się spotkamy. Proszę, nie pytaj dlaczego.

Hałaśliwa mordownia w mało ciekawych okolicach Broadwayu? Nie pytaj? Nie dała mi nawet szansy. Odłożyłam słuchawkę. Na usta cisnęło się jeszcze jedno pytanie, które będzie musiało poczekać – skąd wiedziała o siostrze Tony'ego?

Zaimprovizowałam szybki obiad z resztek znalezionych w lodówce Jamiego. Kiedy się zjawili, wszyscy byliśmy już porządnie głodni.

– Rozłokuj się w głównej sypialni, Tony. I weź środki uspokajające. Tym razem nie wrzuci ich do ubikacji – zapewnił mnie Jamie.

– Powiedz jej! – zawołał Tony, odsuwając krzesło. Cisza. – Zemszczę się. Powiedz jej, przyrzekłeś. – Uciekł.

– Pocieszałeś go – zgadłam, widząc beznamiętny wyraz twarzy Jamiego.

– A myślisz, że co? Raczej nie będzie miał zabójcy, by się na nim zemścić. Znalezienie winnego w tego typu sprawie jest mało prawdopodobne.

Pochyliliśmy się nad kawą.

– Muszę wyjść – oświadczył.

– Cholera, ja też. Umówiłam się z Claudią. Jedno z nas powinno...

– Nawet nie zauważy naszej nieobecności. Te proszki działają niczym młot kowalski. Chodź, sama zobacz.

Elegancka sypialnia Jamiego stanowiła prawdziwe morze kojącego białego aksamitu z niewielkim wzniesieniem na samym środku. Tworzyła je pasiasta pidżama i kłębowisko ciemnych loków.

– Właśnie tak – powiedział Jamie.

Zajrzałam przez drzwi lokalu o nazwie „Klub 66” – Wylęgarnia Jaszczurek pasowałoby znacznie lepiej. Wycofałam się w pośpiechu. Nawet na ulicy ryk heavy metalu był nie do wytrzymania. Któż przy zdrowych zmysłach miałby ochotę się tu spotykać? Chyba że chciałaby nikt jej nie podsłuchał.

Minęła mnie smukła czarnoskóra dziewczyna w niesłychanie jasnej peruce oraz przyciemnianych okularach z połyskującymi oprawkami. Chwyciła mnie za rękę.

– Claudia? – zdziwiłam się, kiedy mnie zaczęła ciągnąć do środka.

– Ćśś. Chodź ze mną.

Poprowadziła mnie do zarezerwowanego stolika, stojącego w rogu obłej sali wielkości stajni. Po drodze kilku klientów obrzuciło mnie wzrokiem, sceptycznie oceniając mój czarny strój – wdowi, jak określała go Claudia. Za nią natomiast podążyły spojrzenia niemal będące próbą gwałtu.

Zsunęła blisko nasze krzesła, usiadłyśmy.

– Po co to przebranie? – spytałam, przekrzykując tę tak zwaną muzykę.

– Zapomniałaś, w które wieczory uczę tańca?

– Od czwartku do niedzieli. Tylko żeby trochę sobie dorobić, tak powiedziałaś. Więc co w sobotę robisz tutaj?

– Karen, ja wcale nie uczę tańca. W dzisiejszych czasach nie wystarczyłoby to prawie na nic.

– Do cholery, CC, czemu nie zwracasz się do mnie, gdy potrzeba ci pieniędzy?

– Do ciebie i do Stana, nie – wydusiła z siebie. – Nie chcę zaciągać długów u ludzi, których kocham. Wczoraj rzuciłam pracę. Wiesz, gdzie pracowałam? Karen, ja... – Nie potrafiła wydobyć tego z siebie.

Pochyliłam się, próbując przebić się wzrokiem przez cały ten kamuflaż. Obracała w palcach swoją obrączkę i zabawiała się upiętą pod szyją broszką w kształcie motyla. (Claudia uwielbiała motyle.)

– Masz duże kłopoty, prawda? – raczej oznajmiłam, niż spytałam.

– Przejdźmy do sąsiedniego lokalu. Może łatwiej będzie mi wszystko pokazać, niż opowiedzieć. – Wstała, zanim zdążyłam coś powiedzieć, i ruszyła poprzez tłum wyginających się w szale ciał.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami, przecięliśmy wąski zaułek i weszliśmy do sąsiedniego

budynku.

Znalazłyśmy się w kompletnie innym świecie.

– Praca, którą wczoraj rzuciłam – powiedziała Claudia, jakby przedstawiała mi kogoś oficjalnie.

Popatrzyłam na wzniesioną do góry scenę, oszołomiona mnóstwem poruszających się w rytm muzyki kobiet. Piersi wszelkich rozmiarów, kolorów i kształtów. Bez staników. Na prawo od sceny ekran filmowy pokazujący hard porno współzawodniczył w walce o uwagę klientów.

– Nie uwierzyłabyś, jakie tu dają napiwki. – Usta Claudii wykrzywiły się z goryczą. – Mówiłam ci, że moja kariera taneczna jeszcze się nie skończyła – dodała, oczekując na moją reakcję.

Zaczęłam szperać w pamięci. Tony, w gabinecie Jamiego, opowiadający mi o siostrze. „Jest tancerką topless. Śledziłem ją kiedyś w drodze do pracy”. Tony, kiedy Kagan przedstawił nas po raz pierwszy... Claudia udała, że go nie zna, potem gdy chłopiec jej się przyglądał, przerażona zamknęła się w sobie.

– Ty i Tony – wybełkotałam. – Jego siostra Maria.

– Była tancerką topless – westchnęła. – Tak jak ja. Nie mogę tu zostać. Wróćmy tam. Musimy porozmawiać.

Kiedy ponownie szłyśmy zaułkiem, próbowałam uporządkować swoje myśli. Heavy metal wcale mi nie pomagał, lecz przynajmniej Claudia mogła mówić, nie obawiając się, że ktoś ją podsłucha.

Mogła płakać.

– Maria obracała się w nieciekawym towarzystwie, ale była przyzwoita, wiesz? Można powiedzieć, że przyjaźniłyśmy się umiarkowanie – zaczęła wyjaśniać Claudia.

Grupa zawodowych tancerek topless. Dwa wyjątki przyciągały się nawzajem, opowiadając sobie dowcipy, omawiając problemy i marzenia. Maria, obwiniając się za to że, zaniedbała Tony’ego, postanowiła ostatnio, że znajdzie sobie normalną pracę, może zostanie aktorką. Zeszłej nocy poinformowała Claudię, że jest gotowa na zawsze pożegnać się ze swym alfonsem, specem od pornografii, mimo iż miała u niego dług. Niemniej jednak zamierzała porzucić tego fagasa z Korei.

– Czekałam tu na nią – głos Claudii przeszedł w szept. – Po dwudziestu minutach zaczęłam jej szukać. Wszędzie było pusto, lecz z garderoby doleciały mnie dźwięki, usłyszałam... krzyki, Drzwi były zamknięte. Wołałam Marię, wołałam Arniego, by otworzyli te przekłete drzwi! Potem uciekłam, aż się kurzyło.

Nie potrafiłam zapanować nad drżeniem rąk.

– Więc ten anonimowy telefon...

– To ja. W pobliżu nie było żadnego wozu patrolowego. Na ulicy pusto. Zadzwoiłam i z powrotem schowałam się tutaj, szukając pomocy. Za późno. Gliny przyjechały szybko, lecz Arnie był szybszy.



– Claudia, skoro drzwi do garderoby były zamknięte, morderca nie mógł widzieć...

– Nie musiał. Już mnie zna. Słyszał mój głos. Zna kolor mojej skóry. Do jutra dowie się już wszystkiego o czarnoskórej tancerce, która nie pojawiła się dzisiaj w pracy.

– Potrzebujesz więc ochrony policyjnej, dopóki go nie znajdą – podsumowałam.

– Żeby Stan się dowiedział? Wolałabym umrzeć. Już wiedziałam, dlaczego do mnie zadzwoniła

– Pamiętasz wakacje na Gwadelupie, te cudowne plaże, gdzie w dobrym stylu jest pokazywać się bez biustonosza? – spytała. – Pamiętasz, co pruderyjny Stan zrobił, gdy się w końcu skusiłam?

– Zwlókł cię z plaży za włosy – oczywiście, że nie zapomniałam. W innych okolicznościach śmiałybyśmy się z tego.

– Karen, nie mogę mu tego zrobić. Ani sobie.

Westchnęłam.

– A więc pozostaje tylko Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar? – Chwyciła mnie za rękę. – Lepiej się stąd zbierajmy.

– Oczywiście. Nie może wysledzić mnie tak szybko, skoro nie zna mojego nazwiska. Myślisz, że posłużyłam się prawdziwym?

– Ale kiedy je pozna, CC, nie masz żadnej broni, nie...

– Mam. Stan, gdy już założył zabezpieczenia antywłamaniowe, dał mi nienotowanego gnata. Nawet zademonstrował mi, jak go używać.

– Przynajmniej włóż z powrotem te błyszczące okulary – poprosiłam ją żalując, że nie zabrałam swoich.

Rozejrzałyśmy się wokół – przynajmniej na tyle, na ile pozwalały gęste kłęby dymu – a następnie ruszyłyśmy w stronę głównego wyjścia.

Na ulicy czekał na nas jednoosobowy komitet powitalny w osobie Tony’ego.

Zmierzyłam go wzrokiem.

– Do cholery, nie wzięłaś środka uspokajającego. Śledziłeś mnie.

– Nie śledziłem! Wiedziałem, dokąd pojedziesz.

– Skąd?

Nie potrzebowałam pytać. „Pójdę na górę zadzwonić do Claudii”.

– Podśluchiwacz – warknęłam.

Jednak mój gniew zdawał się dla niego równie nierealny, jak docierający ze środka heavy metal. Zagroził Claudii drogę.

– Nigdy cię nie wydałem – powiedział, wskazując palcem w kierunku speluny z tancerkami topless. Niewypowiedziane słowa zawisły pomiędzy nimi. „Jesteś mi winna przysługę”. – Wiesz, kto zabił Marię.

– Claudia! – wrzasnęłam.

Moje ostrzeżenie również dla niej było nierealne. Łkając wyciągnęła do niego ramiona.

Kiedy Claudia przytuliła Tony'ego, jego oczy nie były już oczami dziecka. Patrzył w dal. Sprawiał wrażenie, że stać go na wszystko.

## Rozdział 21

– Co się stało? – spytałam, kiedy Jamie stanął w drzwiach.

– Przedyskutujmy to przy herbacie – odparł, kierując się w stronę mojej kuchni.

– Gdzie jest Tony? – zawołałam.

– Trzyma się z dala i od ciebie, i ode mnie. Na razie nie odstępuję Barta.

– Do licha z Bartem – zachnęłam się, zostawiając go sam na sam z czajnikiem. Nie miałam ochoty odgrywać roli gospodyni. Żałowałam, że Kagan ściągnął go do Nowego Jorku.

– Nie wściekaj się na Barta – zawołał do mnie. – To może jego Misja, ale wiesz doskonale, kto ma w niej ostateczny głos.

Kagan.

– Dlaczego Kagan ma ostatnio decydujący głos w tak wielu sprawach? – krzyknęłam. – Dlaczego nie ty? Domyślam się, że nie miałeś zbyt wiele do powiedzenia podczas spotkania, na które nie pozwoliliście mi przyjść.

Wszedł do salonu.

– Szczerze mówiąc, uważam, że planowanie Misji poszło całkiem dobrze. Okazuje się, że nasz producent filmów porno podchodzi poważnie do morderstwa z premedytacją. Arnie nie wykona żadnego ruchu przeciwko Claudii, dopóki wszystkiego dokładnie nie zaplanuje, a facet jest niezwykle skrupulatny.

– Czy Claudia zgodziła się odgrywać rolę przynęty?

– O tak.

Zapaliłam papierosa.

– Czy jest bezpieczna?

– Zbyt dużo palisz. Chodzi ci o to, czy jest bezpieczna teraz? Pilnujemy ją przez okrągłą dobę, śledzimy również Arniego.

– Nie mówiła mi!

– Nie wie. Kiedy zacznie za nią chodzić, chcemy, by widział w niej kłębek nerwów, a nie osobę, która ma pewność, że jest chroniona. Faceci pokroju Arniego wyczuwają zasadzkę na kilometr. W tej chwili jest spokojny, opanowany i okropnie pewny siebie, ponieważ policja uważa, że Marię zamordował jakiś świr uwielbiający kroić „rozwiązłe” kobiety.

– Jaki on jest? Śniady, z przetłuszczającymi się włosami, chodzący w szytych na miarę, jedwabnych garniturach?

– Arnie ma klasę. Zobaczysz, kiedy dostaniesz zdjęcia.

– Dlaczegoż Bart miałby wysyłać mi...

– Wszyscy biorący udział w Misji powinni doskonale znać Cel. Musiałem powołać się na swoje stanowisko, żeby wprowadzić cię do Oddziału.

– Rozumiem – odrzekłam.

Usiadłam na kanapie, podczas gdy on poszedł do kuchni. – Stowarzyszenie ustanowiło granicę wieku – zawołałam. – Tony nawet się o nią nie ociera, do cholery! – Zgasiłam papierosa.

Jamie wrócił z herbatą.

– Robią dla niego wyjątek.

– Mogłeś się sprzeciwić. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Prawdę mówiąc – powiedział, siadając obok mnie – w tej sprawie zgadzam się z Kaganem. Tony zbyt wiele wie o naszych działaniach i zaczyna grozić. Jedyny sposób na unieszkodliwienie go, to pozwolić, żeby załatwił wszystko po swojemu. Nie będzie miał wtedy podstaw do marudzenia.

– Załatwić po swojemu. Ciekawy eufemizm umożliwienia trzynastolatkowi zabicia Arniego – warknęłam. – To podwójny szantaż. Mój Boże, Jamie, jesteś jego lekarzem. Któż lepiej niż ty może wiedzieć, jak bardzo nie zrównoważony emocjonalnie jest ten chłopak? Daj mu do ręki pistolet, a już nigdy nie będzie sobą.

– Wiem.

– Wiesz, ale cię to nie obchodzi? – Popatrzył na mnie jednym ze swoich nieprzeniknionych spojrzeń. Nauczyłam się jednak przebijać przez nie i wydawało mi się, że zobaczyłam ból. Uczepiłam się go. – Jaka przyszłość czeka Tony’ego po tym wszystkim?

– Termin „przyszłość” nie istnieje w jego zbiorze pojęć – odparł z wahaniem. – To cena, jaką zapłacił za utrzymanie się z dala od ulicznych gangów. Naprawdę oczekujesz, że dzieciak może zawracać sobie głowę dalekosiężnymi planami, kiedy ledwo pokonuje codzienne problemy, troszczy się o dotrwanie do następnego ranka? Przeżyje i to.

– A Claudia? – spytałam. – Jak ona to znosi?

– Bardziej się złości, niż boi. Narzeka na konieczność ciągłego trzymania się na baczności. Kto by nie narzekał?

– Kiedy Arnie wykona w końcu swój ruch...

– Będziemy na to gotowi. Poradzisz sobie.

– Nie bierzesz udziału? – spytałam z konsternacją.

Pogłaskał mnie po ręku.

– Na każdą Misję przypada tylko jeden anioł stróż.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

Powstrzymał mnie przed zapaleniem kolejnego papierosa.

– A jeśli wszystko pójdzie znakomicie? Pozwól, że opowiem ci o niezwykle odważnym chłopcu, Tonym Montesie.

„A jeśli wszystko pójdzie znakomicie? Myśl, której trzymałam się, siedząc w samochodzie Barta na tylnym fotelu, ze skrzywionym Tonym u boku.

Auto zatrzymało się, by zabrać kolejnego pasażera.

– Nazywam się Julio – przedstawił się, siadając z tyłu, pomiędzy mną a Tonym. Przyjacielskim gestem szturchnął chłopca w ramię. – Jak tam inni? Czy są gotowi?

Tony wygładził swoją kurtkę.

– Ja jestem gotowy.

Postanowiłam przyjrzeć się Juliowi nieco bliżej – płatanina czarnych włosów pod ciemną czapką, połatanie džinsy, nadgarstki wystające spod zeszłorocznej kurtki. Chłopiec zbyt młody, by tu być.

Lecz wystarczająco duży, by dawać Tony’emu wskazówki dotyczące posługiwania się bronią. Bart wykluczył nóż, którego Tony chciał użyć – dzięki Bogu.

Wpatrywałam się w kark Barta i po raz setny żałowałam, że to nie Zack. Na krótko przed rozpoczęciem Misji odsunięto go od niej. W ostatniej chwili przyłapano go na przeładowywaniu broni Tony’ego. Zamieniał prawdziwe pociski na ślepe, żeby ktoś inny musiał dokonać zabójstwa.

Jedynie udało mu się zniszczyć tworzącą się pomiędzy nimi więź.

Kiedy samochód zwolnił przed światłami, klepnęłam Barta w ramię.

– Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego uważasz, że Arnie wykona jakiś ruch – spytałam, gdy się odwrócił.

– Włóczył się za twoją przyjaciółką niemal wszędzie, ale parę dni temu odpuścił sobie trochę, śledził ją już tylko wieczorami, w drodze do biblioteki i z powrotem. To pokazuje nam, gdzie zamierza uderzyć. Sądzymy, że rzuci się na nią, gdy będzie przechodziła przez parking pomiędzy biblioteką a przystankiem.

– Ale dlaczego tam?

Bart zmierzył mnie wzrokiem.

– Czytałaś o tych dwu studentkach, które napadnięto i zaduszono garotą?

– W pobliżu biblioteki – odezwałam się niepewnie.

– Zabójca wciąż jest na wolności. Arnie to nie dureń. Widzisz, on ustawia Claudię na ofiarę numer trzy. Miejsce dałoby wspólny wzór.

– Dlaczego dziś wieczór, Bart? Skąd możesz mieć pewność.

Uśmiechnął się szeroko.

– Lee zorientowała się szybciej niż ja. Ten facet wydaje kupę forsy na ciuchy; nawet gdy idzie kogoś śledzić, ubiera się niczym prawnik z Park Avenue. Ale nie dzisiaj.

– Dżinsy i tenisówki?

– W nich by się nie pokazał. Po prostu znoszone ciuchy, żeby nikt nie zapamiętał faceta w eleganckim garniturze, kręcącego się po okolicy. Ale wskazówką był szalik. Lee twierdzi, że elegancki, światowy mężczyzna o tej porze roku nie pokazałby się w czarnym jedwabnym szaliku, chyba że w smokingu szedłby do opery. Sądzymy, że wiąże z nim jakieś plany.

– Rozumiem.

– Dobrze. A teraz rozluźnij się. Arnie nie ma pojęcia o naszym istnieniu, ale my wiemy o

nim wszystko, od płynu po gołeniu, jakiego używa, aż po monogram wyhaftowany na aksamitnych mitenkach, które nosi.

Dojechaliśmy na miejsce piętnaście minut przed czasem. Opustoszały parking. Ciemno. O tej porze nie było tam żywego ducha, prócz kilku stałych bywalców – samochodów, które Arnie rozpozna, więc nie wzbudzą one jego czujności. Jednak turkusowy ford oraz zakurzona ciężarówka, zaparkowane obok siebie, należały do nas. Ubrany na czarno mężczyzna wysiadł z forda, inny z ciężarówki.

Dołączył do nas Oddział Zabezpieczający, zaparkowawszy po drugiej stronie parkingu, naprzeciwko czerwonego subaru kombi Barta.

– Zsynchronizujmy zegarki – odezwał się Bart. – Zajmij pozycję – zwrócił się do Tony’ego.

Jeden z ubranych na czarno mężczyzn ruszył w stronę forda, Julio i Tony udali się do ciężarówki. Bart i ten drugi facet zostali ze mną w kombi. Schowaliśmy się i rozpoczęliśmy głębokie oddychanie. Głęboki wdech, wydech i czekaj, słuchaj. Weź następny, znowu czekaj. Oddychaj, zamknij oczy, obumieraj.

– Przynęta w polu widzenia – zachrypliły szept Barta brzmiał niczym głos z grobu.

Zeszła już z bibliotecznych schodów i kierowała się w naszą stronę. Szła jak zwykle w poprzek parkingu, lecz tym razem pomiędzy subaru zaparkowanym z jednej strony a fordem i ciężarówką z drugiej. Claudia, cała odziana na biało, kroczyła przez parking w tak piękną wiosenną noc, że zachowanie ostrożności stawało się mniej ważne niż podziwianie pogody.

*Do biegu...*

Jeśli Arnie postąpi zgodnie ze swym zwyczajem, przejdzie w pośpiechu tą samą drogą. W każdej chwili może się pojawić.

– Cel w polu widzenia.

*Gotowi.* Zerknęłam na skraj parkingu. Moim oczom ukazała się wysoka postać w luźnym płaszczu i czapce, idąca długim, sprężystym krokiem. Nabierająca kształtu twarz nie pasowała do czapki z daszkiem tak jak do eleganckich kapeluszy. Zdjęcia nie najlepiej oddawały twój wygląd, Arnie – pomyślałam. Jasne oczy... niebieskie? szare?... wspaniałe włosy, starannie przycięty wąsik ponad błyszczącymi zdrowiem zębami. Zamożnie wyglądające, lecz zwyczajne ciuchy.

Oprócz drogiego szalika. Długi, z czarnego jedwabiu. Zmniejszając dzielącą go od ofiary odległość, gładził go dłonią.

– Cleo! – zawołał, dokładnie tak jak przewidywał Bart.

Na dźwięk swego scenicznego pseudonimu Claudia odwróciła się, ostatecznie identyfikując nam Arniego. Rzuciła się do ucieczki, potknęła się i wyciągnęła jak długa, podczas gdy Arnie puścił się za nią sprintem.

*Start!*

Wszyscy wyskoczyli z samochodów – trójka z jednej strony, trójka z drugiej. Wokół Arniego stanęło sześć wyzywających go do walki osób. Sześć wymierzonych pistoletów.

Celowaliśmy prosto w jego brzuch, podczas gdy on obracał się i cofał z przerażeniem. Jego

cel podniósł się z powrotem na nogi i był już poza zasięgiem. Bezpieczny.

Tony wysunął się do przodu.

– Zamordowałeś moją siostrę! Zabiłeś Marię! – zaczął jak w telewizyjnym melodramacie. Tym razem jednak na końcu trzymanej przez Tony’ego oburącz broni sterczał metalowy walec – tłumik, którego działanie zaprezentował mu jego przyjaciel Julio.

Julio odłożył swój pistolet. Z rozkazu Barta w jego dłoniach znalazł się przedmiot, który bardziej nadawałby się do Tony’ego – aparat fotograficzny. Julio uniósł go niczym siekiere gotową do zadania ciosu.

Usłyszałam cichy strzał – pistolet z tłumikiem, dlaczego? Nie potrafiłam zrozumieć, czemu Arnie padł w przód, a nie do tyłu, ani dlaczego broń Tony’ego nawet nie drgnęła.

Bart wykonał gest, który sprawił, że wszyscy zamarliśmy w miejscu. Patrzył w dal, na przeciwległy kraniec parkingu otoczony parterowymi budynkami. Zauważyłam postać machającą do nas ręką, zeskakującą z dachu i z opuszczonym karabinem ruszającą w naszą stronę.

– To Zack – powiedziałam, dławiąc się i śmiejąc, ponieważ Tony popełnił klasyczny błąd dobrego bohatera zbyt długo rozkoszującego się strachem złooczyńcy. Karabin Zacka nie miał tłumika, w zamian za to wyposażony był w celownik optyczny. Zack zastrzelił mordercę Marii, zanim Tony zdążył pociągnąć za spust.

– Zabiłeś go, ty cholerny draniu! – wykrzyknął Tony, gdy zorientował się, co się stało.

W dłoni trzymał broń, lecz jego głos nie stracił swego dziecięcego brzmienia.

Nie ścisnął już pistoletu, Zack wyrwał mu go z ręki. Tony był na niego wściekły.

– Odchodzę z tej dziadowskiej organizacji!

– Ruszać się, wszyscy – rozkazał Zack.

– Jezu – wymamrotał Bart – kiedy Kagan dowie się, co ty...

– Nie pleć bzdur, Bart – syknął Zack. – Daruj sobie te wyrzuty. Tym razem nie zostawiamy wizytówki, pamiętasz? Zabieraj swój Oddział, glina, który przypadkiem będzie tędy przechodził, zajmie się badaniem okoliczności zaistniałej strzelaniny. Dopiero wtedy zauważyłam, że Zack miał na sobie mundur.

– Dobra. – Bart odciągnął opierającego się Tony’ego. Julio ruszył za nimi, kręcąc głową. Mężczyźni w czarnych ubraniach ewakuowali się... najpierw odjechał ford, potem ciężarówka.

Zack pochylił się nad ciałem.

– Upozoruję to tak, jakby transakcja narkotykowa potoczyła się niezgodnie z planem – szepnął, gdy zorientował się, że nie ruszyłam się z miejsca. – A teraz co znowu? – warknął, zobaczywszy zbliżającą się Claudię ciągnącą ze sobą Julia, podczas gdy Bart siedział za kierownicą subaru.

– Kiedy powiem „akcja”... wiesz, jak w filmie „światło, kamera, akcja”... chcę, żebyś zrobił mi zdjęcie. Tony’ego nie sfotografowałeś w ogóle – tłumaczyła słuchającemu z otwartymi ustami chłopcu. – Zdjęcie stanowi zapewne część rytuału, zgadza się? – zwróciła się do Zacka, po czym z torebki wyciągnęła rewolwer. – To mój gnat „na wszelki wypadek” – ciągnęła, wykrzywiając

usta w uśmiechu.

– Claudia, na miłość boską! – wrzasnęłam.

Rzuciłam się na nią. Odsunęła się, pozwalając mi upaść na chodnik, zawołała: – Akcja! – i wystrzeliła w martwe ciało.

– To w kwestii formalnej, prawda, Zack? Tony odchodzi, ja wstępuję. Nie martw się. Ta broń nie jest notowana, podarunek od mojego byłego. Słyszałam, że się poznaliście.

Zack odzyskał mowę wcześniej niż ja.

– Dobra, dobra. Zmywajcie się.

Claudia jednak zbliżyła się do ciała i delikatnie oparła stopę na długim, czarnym szaliku. Leżał w poprzek rozpostartych ramion Arniego niczym miniaturowy sztandar.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o zamki i zasuwę Stana – powiedziała cicho.

Odwróciła się, żeby pomóc mi wstać.

– Nic ci nie jest?

– Tak jak tobie, zakrwawiona, lecz nieugięta – odparłam, widząc czerwonobrazowe plamy na jej białej spódnicy oraz otarcia na lewym ramieniu i nodze. Przypomniałam sobie, że ona też potknęła się i upadła, kiedy gonił ją Arnie.

– Wyośmy się stąd – zaproponowała.

Pobiegłyśmy w stronę subaru, jak gdyby ktoś nas ścigał.



## Rozdział 22

Jamie podszedł do barku w moim salonie i nalał brandy.

– Nienawidzę, gdy jesteś taka przygnębiona – powiedział, podając mi drinka.

– A kto tu jest przygnębiony? – spytałam, przyjmując szklaneczkę.

– Czy mam to potraktować jako jeden z twoich dziwacznych dowcipów i poprosić cię, żebyś położyła się na kanapie?

– A może tak opisałbyś symptomy mojej choroby?

– Mam lepszy pomysł – odparł, popychając mnie w stronę krzesła. – Pokażę ci, o co tak naprawdę w tym chodzi.

– Waśnie rozmawiałam przez telefon z Claudią. Wiesz, co powiedziała, kiedy próbowałam wyperswadować jej wstępowanie do Stowarzyszenia? Cytuję: „Czuję się jak cichy współnik Stana w jego walce”. Mój Boże, przecież ten facet jest członkiem miejskiej grupy specjalnej do ścigania samosądów!

– Wypij swoją brandy. Claudia nie stanowi twojego prawdziwego problemu, kochanie.

– A więc mój przyjaciel ginekolog? Claudia zaciągnęła mnie na jego przeklętą strzelnicę, żeby potrenować ze smith & wessonem. Roger rzucił tylko okiem na jej otarcia oraz moje potłuczone kolana i już praktycznie oskarżył nas o wstąpienie do grupy mścicieli, o której czytał w gazetach.

– Oddaj mi brandy. – Jamie wydawał się zaalarmowany.

– Nie przejmuj się – ucięłam – wymyśliłyśmy coś, a poza tym Roger jest równie sfrustrowany jak cała reszta społeczeństwa. Na pożegnanie powiedział nam „Gdybyście mnie potrzebowały, dzwońcie”. A więc co jest mym prawdziwym problemem, Jamie?

Napełnił moją szklaneczkę.

– Od czasu gdy straciłaś wnuczkę, miałaś nieodpartą potrzebę obdarowywania uczuciem wszystkiego, począwszy od dzikich kotów, a skończywszy na małych sierotach. Opierałaś się temu, ale Tony przypadł ci do serca. A teraz, gdy wreszcie gotowa jesteś zaopiekować się nim, on odrzuca twoją ofertę.

– Byłam cholernym tchórzem – powiedziałam i rozplakałam się. – Dlaczego nie poprosiłam go, zanim zrobiło się za późno?

– Nie jest za późno, raczej za wcześnie. – Zmusił mnie, żebym na niego spojrzała. – Czy uwierzysz memu lekarskiemu zapewnieniu, iż jego bunt wkrótce minie? On cię potrzebuje, Karen. Chcę, żebyś pamiętała, iż on o tym wie.

– Widziałeś go? Wznowił terapię?

– Ciałem, ale nie duchem. Nie obwinia mnie za Misję, ale za każdym razem, gdy nie przychodzi na wizytę, daje mi znak, że obarcza mnie odpowiedzialnością za wszystko inne.

Między za innymi szczerść.

– Ten Julio, z którym mieszka, czy to porządny dom?

Wzruszył ramionami.

– Łóżko i miejsce, gdzie może coś zjeść, kiedy ma ochotę. Traktuj to jako tymczasowy ką.

Prawdziwy „dom” będzie miał kiedyś u ciebie. Zebrało się nam dzisiaj na łyzy?

Nie pocieszał mnie, po prostu rzucił mi na kolana pudełko chusteczek higienicznych.

– Skąd ty zawsze wiesz, co najlepiej zrobić w danych okolicznościach? – Uśmiechnęłam się.

– Długie lata praktyki – odparł, ruszając w stronę kuchni. Przygotował omlety i mocną kawę.

Gdy tylko poczułam się nieco lepiej, stał się innym człowiekiem. Zniknął psychiatra. Zniknął spostrzegawczy przyjaciel. Jego głos (figlarny, niemal radosny) zdradzał, Jamie przeszedł szybkie przeobrażenie.

– Twoje sześć miesięcy wolnego dobiega końca – musiałam chyba unieść brwi, ponieważ natychmiast dodał – nie proszę cię, byś je przedłużyła.

– To dobrze, gdyż Larry spodziewa się mego powrotu i nie zamierzam go zawieść.

– Wiem – odrzekł. – Potrzebujemy od ciebie szczególnej... przysługi. Praca w Kemp & Carusone zapewni ci wspaniałą przykrywkę.

Przykrywkę.

– Jamie, nie waż się pakować mnie w nic nowego, bo nie zamierzam...

– Karen – przerwał mi, chwytając mnie za rękę – nasza działalność w skali całego kraju zwróciła w końcu ich uwagę!

– Czyją? – szepnęłam ogarnięta strachem.

– FBI, a kogóż by innego? – odparł, jak gdyby urzeczywistnił się jego najgorszy sen. – Znasz mit o koniu trojańskim?

Przymknęłam oczy. Znałam go.

– Chcemy, żebyś weszła do Troi.

Śniadanie u Jamiego. Elegancko podane, dużo gości... dokładnie jak sześć miesięcy temu podczas mego wprowadzenia do grupy dowodzącej organizacją. Byłam wtedy zdenerwowana, lecz przynajmniej mogłam jeść.

O’Neal opychał się jak zwykle. Bart na uboczu opowiadał Lee dowcipy. Zack nie włożył munduru, natomiast Hugh nie zrezygnował ze swego trzyczęściowego garnituru – tym razem bawełnianego zamiast tweed owego.

Towarzystwo Angeli stanowiło miłą odmianę. Siedziałam obok niej, sącząc kawę i starając się nie patrzeć na Kagana, który ze swego miejsca na parapecie zdawał się dyrygować wszystkimi. Był rozluźniony, lecz na karku wyczuwałam jego pełne uwagi spojrzenie.

– Karen? – odezwał się i natychmiast urwał się szum prowadzonych rozmów.

– Powiedziałam Jamiemu, że się zgadzam – odparłam obronnym tonem.

– Wiem, ale czy zdajesz sobie sprawę, że tym razem w grę wchodzi coś zupełnie innego?

– Bezpieczeństwo wszystkich tutaj zebranych – odrzekłam.

– Być może całej organizacji – przyłączył się Zack. – Jeżeli tego nie zrobisz, ucierpieć może wielu ludzi.

Skinęłam głową.

– Muszę już iść. Zaczynam dziś pracę, pamiętacie?

Bart zmarszczył brwi.

– Miej się na baczności.

– Dzięki – odpowiedziałam na widok troski w jego oczach.

Jamie z opanowaną miną podał mi teczkę, dorzucając kilka podnoszących na duchu słów.

– Karen, twoje zadanie jest punktem zwrotnym w całej naszej działalności. To pierwszy liczący się krok na drodze do pokoju.

Pokoju?

– Tylko nie zapomnij, że toczymy wojnę! – zawołał Kagan.

Angela odprowadziła mnie do drzwi. Mimo że nawet słowem nie wspomniałam jej o Maksie McCannie, od razu dotknęła sedna sprawy.

– Postaraj się nie znienawidzić samej siebie zbyt mocno – poradziła cicho, tak by nie słyszał nikt inny.

## Część 4

### Konflikt

*Nienawiść czyni z nas  
martwe zlepki materii,  
kiedy zaś miłujemy,  
stajemy się podobni bogom.*  
– Schiller, *Przyjaźń*

## Rozdział 23

Ktoś zapomniał, że nie przepadam za chryzantemami, lecz stanowiły one radosny, kolorowy dodatek do wystroju mojego biura oraz znacznie poprawiały powietrze w pomieszczeniu. Przeniosłam je z biurka na parapet i wtedy znalazłam dołączoną do nich, niepodpisaną karteczkę. „Witamy z powrotem!”

Wróciłam do roboczych dyskusji, niezliczonych statystyk oraz przepełnionych metaforami przemówień dla szefów najprzeróżniejszych przedsiębiorstw.

Przynajmniej moja sekretarka pamiętała, jaką kawę lubię najbardziej – mocną i bez dodatków. Krzywiąc się niemiłosiernie – kochana kobieta – przeniosła nawet z szafeczki na biurko półkolistą popielniczkę, która do niedawna służyła jedynie moim gościom.

Zapaliłam i zaczęłam spacerować po gabinecie, przynosząc po jednym segregatorze akt.

– Przez następnych kilka godzin nie chcę żadnych telefonów – powiedziałam Deannie.

– Potrzebujesz trochę czasu, by wrócić do normalności? – Uśmiechnęła się.

Odwzajemniłam uśmiech, pragnąc wyjaśnić, że normalność właśnie opuściłam.

Dwie godziny później czułam się niczym pijany żeglarz zachodzący w głowę, co się dzieje z jego nogami. Przecież skoncentrowanie się nie mogło być aż tak trudne. Niemożliwe, żebym się aż tak nudziła.

Wydobyłam „najbardziej nagłą sprawę” i zatopiłam się w niej.

W ciągu kolejnych kilku tygodni odkryłam, że wszystko, czym się dotychczas zajmowałam, było okropnie nudne. Moja sekretarka na pewno uważała, że wpadam w kofeinowy nałóg.

– Jak leci? – spytał Larry, stając w progu pewnego dnia, gdy przesiadywałam trzy godziny, kontemplując nad trzecią z rzędu filiżanką kawy. Wpadał z niezapowiedzianymi „wizytami” od pierwszego dnia, gdy pojawiłam się w pracy. Wyglądał znakomicie w swoim ciemnozielonym garniturze oraz bładoniebieskiej koszuli, z dopasowaną kolorystycznie chusteczką wetkniętą pod dziwacznym kątem w kieszonkę na piersi.

– Kontrola komunikacyjna firmy Wilen już prawie gotowa – poinformowałam go, tłumiąc ziewnięcie, którego właściwie nie musiałam ukrywać. Siedziałam za biurkiem od siódmej rano, to iście nieludzka pora. – Larry, chcesz przeczytać raport wstępny? Stosunki wewnątrz zarządu nadwerężone – dystrybutorzy, sprzedawcy, media i tak dalej, aż do znudzenia. Wnikliwe badanie odkryje silne i słabe strony firmy oraz szanse i...

– Wciąż masz kłopoty, zgadza się?

Oprócz apatii dostrzegł również poczucie obowiązku.

– Nie spodziewaj się, że dwa tygodnie wystarczą, by wdrożyć się we wszystko tak jak niegdyś – doradził, siadając na kanapie. – Szczególnie gdy masz... inne sprawy na głowie.

Inne sprawy. Wcześniej wyjaśniłam mu, że mój romans nie wypalił. Zarzucenie przynęty,

nazwał to Kagan.

Nie musiałam nawet udawać gorzkiego uśmiechu, gdyż natychmiast rozpoznałam przenikliwe spojrzenie spoza rogowych oprawek. Zamiłowanie Larry'ego do swatania dawało o sobie znać.

Przysiadłam obok niego na kanapie, gotowa przeciągać się niczym kotka – dosyć trudna sztuka, gdy człowieka opina wąska spódnica. Dwa tygodnie, a ja wciąż nie potrafiłam sobie uświadomić, że przychodzenie do pracy w dżinsach lub dresach należy już do przeszłości.

– Spotykasz się z kimś? – zapytał, wykrzywiając brwi.

Miałam ochotę uściskać go za tę troskę.

– Jeszcze chyba nieco za wcześnie – powiedziałam.

– Może tak, może nie.

Larry zamierzał wykonać jakiś gest.

Przeniosłam rozmowę na temat naszego klienta – firmy Wilen.

Następnego dnia, wysiadając z windy, zobaczyłam McCanna. Ten sam kąć holu. To samo spojrzenie, w którym można było dojrzeć nadzieję i troskę. Pozwoliłam wyprzedzić się tłumowi opuszczających pracę urzędników, zapewniając sobie czas na przyobleczenie maski. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że ponowne spotkanie z Maxem – wykorzystanie go – będzie o wiele bardziej bolesne, niż sądziłam.

Podchodząc do niego, udałam zdziwienie graniczące z konsternacją.

– Witaj, Max. – Zbliżyliśmy się na wyciągnięcie ręki.

– Zapuściłaś włosy.

– Nie bywałam ostatnio u fryzjera.

– Podobają mi się – powiedział, a jego oczy dodały: „Chciałbym ich dotknąć”.

Odruchowo cofnęłam się.

– Po co przyszedłeś?

– Tylko żeby cię przywitać.

– W pracy? Czy z powrotem pośród niezaangażowanych uczuciowo? Cholerny Larry.

– Pomyślałem sobie, że skoro jestem w mieście, może zjedlibyśmy razem kolację.

Pozwoliłam sobie na delikatny uśmiech.

– Jesteś uparty.

– To cecha zawodowa.

– Co sprowadza cię do Nowego Jorku? – zainteresowałam się, gdy szliśmy przez hol.

– Zbliżające się zadanie specjalne. Przyjechałem dzień wcześniej.

– Po tym, jak Larry zaczął bić na alarm? – spytałam z odrobiną złości.

– Jestem mu wdzięczny – odparł nie dodając przeprosin. – Kolacja?

Miałam już wyrazić zgodę, kiedy w moich uszach zabrzmiały słowa Kagana.

„Nawiąż kontakt tak szybko, jak to tylko możliwe”.

– Jutro, Max – powiedziałam. – Jeśli ci to odpowiada. Jednodniowe opóźnienie wykonania

rozkazu nie stanowiło wielkiego buntu, lecz poprawiło moje samopoczucie. Operację koń trojański chwilowo zawieszono.

Wieczór spędziłam dręczona koszmarami na jawie. Wyskakiwały znienacka niczym złośliwe chochliki umieszczone w pudełku na sprężynie. Nawet sięgnięcie po słuchawkę telefonu może przywołać wspomnienia.

Sarah, powiedz mi, co się dzieje!

Tym razem chodziło o mniej subtelne narzędzie samoudręczenia – oprawioną w ramki fotografię z nocnej szafki. Sarah i Susie... tak blisko mej poduszki.

Twarze nie dają człowiekowi chwili spokoju. Tworzone przez wyobraźnię na podstawie kartoteki horrorów Jamiego. Widziałam. Niepowetowana strata. Zgorzknienie, które stopniowo cię pochłania. Pozostawiły we mnie głęboko palącą potrzebę działania.

Przebacz, Max. Wybacz, że odpłacam w jedyny znany mi sposób.

Kolacja z Maxem McCannem. Dziwaczny pomysł biorąc pod uwagę okoliczności. Przyjechać wcześniej. Zaaklimatyzować się, powiedziałam sobie. Przerażające.

Nie tylko ja byłam spięta. Widziałam zbyt wiele zaciśniętych ust, które niekoniecznie pasowały do nowojorskiej siedziby FBI. Może miało to coś wspólnego ze spotkaniem, na które przyjechał McCann? Wkrótce się skończy. Powiedział, że o szóstej, a on nie rzuca słów na wiatr.

Można mu wiele przypisać. Po pierwsze jest lakoniczny. Ciekawe, o czym rozmyśla, podczas tych drugich przerw pomiędzy kolejnymi zdaniami?

Wydobyłam stare akta i spędziłam ranek, zabawiając się w detektywa. Zlecenie FBI, które sabotażowałam dziesięć lat temu, udzieliło mi kilku wskazówek dotyczących charakteru McCanna. Jeszcze więcej dowiedziałam się o własnym – ta dama tak wiele protestuje. Moje zauroczenie jego osobą już wówczas było widoczne, lecz stawiałam mu czoło. Biorąc pod uwagę liberalne sentymenty, agenci FBI znajdowali się poza zasięgiem. Poza tym żadne z nas nie było wolne. Zorientowałam się, że McCann miał mój numer od samego początku. Po co jeszcze nęci mnie owym dobrym humorem? Zapamiętałam go jako zadufanego w sobie i nie pomyliłam się zbytnio.

Tylko raz wybuchnął gniewem, zanotowałam ten incydent. Notatki wywołały wspomnienia. „Wspaniały McCann, nieprawdaż? Myślisz stereotypami, Karen. Twardziel, kochający przemoc gbur. Z nakazem w dłoni. W kieszeni podsłuch. Walenie do drzwi o północy. Czy pasują do twojej szufladki? Każdy agent FBI jest kretynem”.

Nie ten. Ten uwielbia Swinburne’a i przyznaje, że jest „wieśniakiem z Minnesoty”. Jednocześnie kocha moje miasto i nienawidzi go. Mówi rzeczy takie jak: „Zapuszczasz włosy” czy „Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie w tym kolorze”.

Ale potrafię czytać między wierszami.

Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie w tym kolorze, ale myślę o tobie często. Nigdy cię nie całowałem, ale trzymałem cię w ramionach. Nigdy cię nie miałem, lecz sprawiłem, że płakałaś.

Nigdy nie zazdrościłem żadnemu mężczyźnie, dopóki pewien mężczyzna nie otworzył twoich drzwi. Nigdy nie byłem w twojej sypialni... nie licząc chwili, gdy zamykam oczy.

Niebezpiecznie jest zabawiać się czytaniem w myślach mężczyzny. Może się zacząć i zajrzeć w twoje.

Siedzieliśmy we włoskiej restauracji na naszej pierwszej wspólnej kolacji, nad tacą gotowanych na parze małży, jednego z nich McCann nie mógł otworzyć. Doszłam do wniosku, iż w sprawach dotyczących FBI Max zachowywał się w podobny sposób – wszystkie moje niewinne pytania spotykały się z krótkimi, niewyjaśniającymi niczego odpowiedziami. Niemniej wyczułam w nim pewne podekscytowanie, kiedy powiedział, że z mego powodu nie mógł się już doczekać powrotu do Waszyngtonu.

Ponowiłam próbę przy makaronie.

– Wasza nowojorska siedziba wygląda dosyć zwyczajnie. Spodziewałam się czegoś okazalszego z zewnątrz i bardziej złowieszczonego w środku.

Zaśmiał się.

– Waszyngton przypadłby ci bardziej do gustu. Nawet na to nie licz!

– Dostałeś zadanie, które chciałeś?

– Trudno powiedzieć. To by oznaczało, że spędzę tu więcej czasu. Pamiętając wskazówki Kagana, by pozwolić Maxowi „przejsć do spraw osobistych, lecz nie nazbyt osobistych”, ostrożnie skierowałam rozmowę na temat Jamiego. W jej trakcie dałam mu do zrozumienia, że wciąż czułam się „okaleczona”, chociaż „pozostaliśmy przyjaciółmi”. Max zawiózł mnie do domu. Poprosił o herbatę ziołową.

– O tej porze lepiej nie przesadzać z kofeiną.

– Co powiesz na cynamonową? – zaproponowałam, żywiąc nadzieję, że zdołam znaleźć jej choć trochę. Kawa wyparła z mego życia wszelkie gatunki herbat.

Wpuściłam go do swego królestwa. Kiedy wróciłam z naparem, był tak pochłonięty oglądaniem wiszących na ścianach fotografii, że nawet nie słyszał mojego wejścia.

– Będziesz musiał zadowolić się rumiankiem – oznajmiłam. Odwrócił się i zszokowany wytrzeszczył lekko oczy – porównał zdjęcie sprzed dziewięciu miesięcy z kobietą, która właśnie stała w drzwiach.

Przed i po...

Zerknęłam w lustro. Odbicie przyprawiło moje serce o drzenie. Niewinność nie stanowi głównego atrybutu czterdziestoseksioletniej twarzy. Niemniej jak można opisać oblicze, które aparat uchwycił podczas moich urodzin we wrześniu? Jakie było to nowe, które je zastąpiło? Szukałam określenia bardziej adekwatnego niż zawziętość, którą niektórzy dostrzegają w mych rysach.

Znalazłam. Cynizm.

– Karen, co się stało?



– Myślę, że powinieneś już iść.

Niezbyt ostro, ale mój głos był stanowczy!

– Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

– Przykro mi, Max – odparłam. – Proszę, wypij swój rumianek... i nic więcej nie mów.

Przy pierwszym łyku poparzył sobie język. Przynajmniej rozluźniło to panujące napięcie. Trajkotałam, że zawsze przepelniała mnie energia, niemal eksplodowała, lecz stopniowo mój entuzjazm rozpuszczał się niczym tabletki w szklance wody. Że wszystko sprowadza się do braku cierpliwości i wyczerpującego dnia. Pozwoliłam mu zapewnić się, że to naturalne i nie ma się czym przejmować.

W salonie przed rozstaniem się wypiliśmy po drinku.

– Co się stało z twoim zielonym kącikiem?– spytał zdumiony widokiem wędnących na parapecie roślin, które zgubiły niemal połowę liści.

Jakżeż mogłam mu powiedzieć, że nawet nie zauważyłam.

– Przydałaby się nam porządna szpryca, zarówno mnie, jak i moim kwiatom.

– Karen, pozwól mi...

– Następnym razem, gdy będziesz w mieście – powiedziałam i odprowadziłam go do drzwi.

Noc spędziłam w salonie, na kanapie, obserwując stojące na parapecie kwiaty. „Co się stało z twoim zielonym kącikiem, Karen?”

## Rozdział 24

– Co się stało z twoim salonem?

Claudia z wdziękiem usiadła na mięciutkiej czerwonej poduszce z jej ulubionym motywem w kształcie motyla.

– Znudziły mi się krzesła z prostymi oparciami.

Rozejrzałam się, zadowolona na widok dawnego wystroju. Zniknął bez śladu szacowny biurowy charakter – proste i niewygodne meble w odcieniach szarości i beżu, białe światło i półki pełne nieczytanych książek. Wróciły wszystkie zwalające z nóg kolory, egzotyczne rośliny, miękkie fotele wymuszające odchyłoną pozycję. Nowe było oświetlenie – pulsujące niebiesko, różowo i bursztynowo lampy jak na dyskotecę czy podczas pokazu sztucznych ognii.

Podniosłam brązowo-pomarańczową poduszkę i usiadłam obok przyjaciółki na podłodze.

– Dobra, CC – powiedziałam, przyjmując kieliszek chardonnay – po co te wezwania? Rozumiem, że Kagan chce, żebyś odgrywała rolę mojej oficjalnej skrzynki kontaktowej.

– To nie takie głupie, nie sądzisz? Teraz gdy zbliżyłaś się ze swoim agentem FBI, woli, żebyś trzymała się z dala od wszystkich, prócz starej przyjaciółki Claudii.

– Więc czego chce?

– Raportu o McCannie, czegoż by innego?

Przekazałam go jej, czerpiąc choć odrobinę satysfakcji z faktu, że moje „sprawozdanie” trwało zaledwie dziesięć minut. Miej to za złe małżom.

Raport z pola walki zajął Claudii znacznie więcej czasu. Raz po raz dochodziło do spontanicznych aktów zemsty – przewidywania Kagana ziściły się. Przypomniałam sobie jego nowy slogan. „Dzisiaj, wspólne wartości. Jutro, jednomyślni”.

Dla Hugh jutro stało się rzeczywistością. Jego starania dotyczące uzyskiwania funduszy przynosiły coraz lepsze efekty. Jamie i O’Neal przeskakiwali od Misji do Misji... na złamanie karku? Lee za każdym razem, gdy gdzieś wyjeżdżała, miała pełne ręce roboty przy przekazywaniu swoich obowiązków Rosie. W policji pracowali nasi informatorzy.

– Dzięki Zackowi i Angeli? – spytałam niezadowolona z miny Claudii.

– No co ty. Któż może wyciągnąć więcej informacji od nowego szefa grupy specjalnej niż twoja wierna przyjaciółka?

– Claudio, przecież mówimy tu o Stanie! Jak możesz.

– Przygarnął kocioł garnkowi. Nie lubisz tego, co robisz. Ja też. Biorąc pod uwagę wzmożone zainteresowanie FBI, twoje starania wywiadowcze mogą się okazać nieocenione. Moje pomagają nam utrzymać się o krok przed lokalnymi stróżami prawa.

– W jaki sposób zachowujesz spokój? – dziwiłam się.

– Spójrz głębiej, a nie tylko na makijaż.

Dostrzegłam ślady stresu niczym delikatne pęknięcia na pozornie gładkiej powierzchni.

– Czy przynajmniej jesteś ostrożna?

– Nie tylko ostrożna, kochana – odparła. – Sprytna – rozwiała moje obawy. – I niezwykle taktowna... szczerze. Mam pytanie, pani doktor, i nie waż się ze mnie śmiać. Czym do licha jest ten koń trojański?

Obie wybuchłyśmy śmiechem. Opowiedziałam jej, jak starożytni Grecy podstępem dostali się w obręb chronionego murami, wrogiego miasta, stawiając przed bramami Troi drewnianego konia, wewnątrz którego znajdowali się wojownicy.

– A więc tak! Strzeżcie się greckich podarunków. – Zdjęła z półki słownik i zaczęła szukać.

– Dowolne wywrotowe przedsięwzięcie – przeczytała – dokonane w szeregach wroga.

Spojrzała na mnie, odłożyła książkę i ponownie napełniła winem kieliszki.

– Przykro mi – powiedziała.

– Mnie także. – Wypiłyśmy do dna.

– Kemp & Carusone będzie miało telefon od Narodowego Zrzeszenia Pracowników Więziennictwa – poinformowała mnie.

– Brygada Barta? W jakim celu?

– Zajmujesz się poprawianiem wizerunku firm, prawda? To daje ci pretekst do spotkania z Bartem.

– O czym mamy dyskutować?

– Zapewne o taktyce. Wpłynęliśmy na wody FBI.

– Powinnam rozmawiać z Kaganem – zaprotestowałam. – Bart bardziej przypomina ludzką istotę, lecz niespecjalnie wzbudza zaufanie. Nie po tym, co Jamie...

– Nie gorączkuj się. Moim zdaniem to Kagan pociąga za sznurki. Bart zajmuje się tylko szczegółami.

– Prawdopodobnie masz rację.

Zapaliłam papierosa.

Claudia przesuwała palcem po wyhaftowanym na poduszce motyłu.

– Według mojego profesora od chińskiej mitologii – zastanawiała się na głos – ten motyl, znany również jako *l'angelica farfella*, jest symbolem długowieczności. U Dantego symbolizuje naszą nieśmiertelną duszę.

– A co powiesz o Grekach? W swoim języku używają słowa „psyche” zarówno na określenie motyli, jak i dusz. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego owad, który jeśli ma szczęście, może przeżyć jedno lato, ma być symbolem długowieczności.

Mój żart zawierał odrobinę goryczy. Coś w nim mnie przeraziło. Może sposób, w jaki Claudia identyfikowała się z motylem... albo nasze położenie, coraz bardziej niebezpieczne, w miarę jak zbliżyliśmy się do naszego pełnego zagrożeń lata.

– Bart nie jest taki zły – powiedziała Claudia tym samym zamyślonym głosem.

– Ponieważ dowodził Misją przeciwko Arniemu?

– Ponieważ pomógł mi zachować życie.

Powiedziała to tak łagodnie, iż wiedziałam, że ona także odczuwa tę niebywałą kruchość życia.

Spotkaliśmy się z Bartem w East Village, w porze podwieczorku, gdyż w przeciwnym razie nigdy bym tam nie pojechała, nie wspominając już o odwiedzeniu baru, w którym mieszały się zapachy potu, skóry i taniego piwa. Bart poprowadził mnie pomiędzy niezliczonymi tatuażami, natłuszczonymi mięskami oraz „starymi kumplami” do stojącego w rogu stolika.

– Co słyhać? – zapytałam, gdy tylko zamówił drinki.

Pragnęłam opuścić to miejsce, jeszcze zanim się ściemni.

– Wielka przepychanka o władzę. Pomędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Czy agent FBI McCann przejmie dowodzenie nad śledztwem w sprawie aktów zemsty? – Ściszył głos. – Tym razem popieramy Waszyngton, chcemy McCanna. Daj mu impuls, którego potrzebuje, widzisz...

– Pomóc Maxowi zdobyć ten przydział? Ależ to szalony pomysł!

Nieszalony. Może trochę przerażający. Kiedy Bart wyjaśnił, co Kagan przez to rozumiał, zmuszona byłam przyznać, iż miało to sens.

– ...więc z McCannem jest jak z Flynnem. Ty masz zlikwidować przeszkody.

– To znaczy? – spytałam zaalarmowana.

– Kagan chce, żebyś odegrała rolę Maty Hari.

– Powiedz mu, żeby się powiesił.

Szeroki uśmiech.

– Mówiłem mu, że tak zareagujesz. Zawsze miałem cię za kobietę wierną jednemu mężczyźnie.

– I nie myliłeś się – odparłam, chętnie akceptując opinię o moim płomiennym romansie z Jamiem.

Kończyliśmy właśnie nasze drinki, kiedy przy barze wybuchła kłótnia. Wkrótce utarczki słowne przerodziły się w regularną bitwę – dwa wielkie sińce, jeden z wojowników odgrazający się drugiemu obtłuczoną butelką po piwie.

– Jezu, Harry! – Bart skoczył pomiędzy nich, mimo iż ten drugi wyciągnął nóż. – Przestańcie! – wrzeszczał Bart, zerkając w moją stronę, chociaż ja unikałam jego wzroku, jak tylko mogłam.

Na miłość boską, Bart, nie musisz mi niczego udowadniać! – pomyślałam Ale zrobił to.

– Ta odwaga jest na pokaz – wyjaśnił mi kiedyś Jamie, gdy wspomniałam o całkowitym braku objawów strachu u Barta. – Facet jest Głównym Strażnikiem. Ponosi odpowiedzialność za setki skazańców odsiadujących wyrok w więzieniu na Staten Island. Znalazłby się w wielkich kłopotach, gdyby zwierzęta z tej dżungli wyczuły choć cień strachu. Ale on tam jest.

Nie byłabym tego taka pewna, oceniając na podstawie niewzruszonego spokoju

zaprezentowanego po odniesionym zwycięstwie – szczególnie że wychodząc przyjrzałam się bliżej rozmiarom owego noża.

Bart zatrzymał dla mnie taksówkę i wrócił do środka.

Poprosiłam taksówkarza, żeby chwilę zaczekał, po czym również weszłam do baru – nie miałam zamiaru zostawić niezwykle drogich okularów przeciwsłonecznych.

Zastałam Barta siedzącego przy naszym stoliku ze szklaneczką whiskey w dłoni. Jego ręka drżała.

## Rozdział 25

Niektóre rozkazy łatwiej jest zaakceptować niż inne. „Jedz, pij i używaj, jeśli tylko sprawi mu to przyjemność. Żadnego wypytywania, dopóki nie damy ci znaku”.

Moja przyjemność, Kagan. Twój ruch.

Minął tydzień i żadnej wieści od Kagana. Cały tydzień z Maxem przebywającym w mieście i ze mną w jego ramionach. Jak się okazało, Max uwielbiał tańczyć. Za każdym razem gdy wybieraliśmy się na kolację, nadstawiał uszu w oczekiwaniu na muzykę. Chciałam, by nigdy się nie kończyła.

– Zmęczona? – spytał Max. On nie potrafił czytać w moich myślach jak Jamie.

– Po prostu rozkoszuję się tą chwilą. Podoba mi się tu.

Niewielki, zgrany zespół przygrywał taneczne kawałki, śpiewając jednocześnie piosenki, jakie chętnie nuci się do ucha partnera. Max gestem zaprosił mnie do tańca i wstał.

Stojący przy barze muskularny blondyn zauważył Maxa i skinął na niego ręką.

– Zaraz wracam – przeprosił, uśmiechając się do mnie. Wrócił po dziesięciu minutach z gazetą pod pachą, zatroskany.

– Zatańczymy – zaproponowałam.

– Oczywiście.

Myślni jednak nie znajdował się na parkiecie.

– Kto to był? – spytałam, zerkając w stronę baru.

– To tylko stały bywalec z parą wielkich uszu. Informator.

Twój czy Kagana? – zastanawiałam się, przypomniawszy sobie gazetę.

– Teraz mam ochotę na cappuccino – powiedziałam, kiedy ucichła muzyka.

Czekając na kawę, od niechcienia sięgnęłam po tę gazetę. Mój wzrok spoczął na tytule: LIS ZNOWU UDERZA. Muskularny gość przy barze podarował ją Maxowi nie bez przyczyny.

Kagan wykonał swój ruch, dając mi przewagę.

Przeczytałam pobieżnie znaleziony artykuł udając, że kawa jest dla mnie zbyt gorąca, podczas gdy Max ze smakiem zajął się swoją. Podniosłam wzrok, marszcząc brwi.

– Co się stało? – zauważył moją reakcję.

– Ten artykuł... mściciele. Sądziłam, że to dotyczy tylko Manhattanu, ale tutaj piszą o Chicago, Detroit, Los Angeles.

– Wiem – odparł, również marszcząc brwi.

– Wiesz? Mój Boże, Max, nie jesteś chyba... zamieszany całą tę sprawę z mścicielami?

– Mogę być, ale o co chodzi, Karen?

– Właśnie to zadanie miałaś otrzymać?

– Tak – odrzekł zmieszany.

Zrobiłam wielkie oczy. Odsunęłam kawę i zapaliłam papierosa.

– Max, gdyby przyszło mi do głowy, że ci ludzie... ci mściciele... mają z tobą cokolwiek wspólnego, wspomniałabym o nich wcześniej. Nie znaczy to, że chętnie o tym wszystkim rozmawiam, po prostu...

Pozwoliłam, żeby rozerwał mój nerwowy wybuch i wybadał mnie. Opowiedziałam mu o spotkaniu z Kaganem podczas pogrzebu Sarah. Ci ludzie próbowali nawiązać ze mną kontakt. Kiedy po pogrzebie wnuczki ponowili swoje starania, wysyłając mi zdjęcia gangu, który zaatakował Sarah – włączając w to fotografię jej zabójcy – kuśiło mnie, by przyłączyć się do nich. Boże, dopomóż mi!

Zamiast tego jednak zawiadomiłam zastępcę prokuratora okręgowego.

Nie chciałam widzieć, co działo się z twarzą Maxa. Przypominałam sobie pierwszą zasadę Kagana, zadowolona, iż nie było go w pobliżu, by skomentować rezultat. „Karen, w historii zapewniającej ci przykrywkę zawrzyj maksymalnie dużo prawdy, ile tylko możesz zdradzić”. Max był zszokowany. Po chwili, z wolna pojawił się delikatny uśmiech... człowieka, który z trudem może uwierzyć we własne szczęście.

Zdałam swój pierwszy egzamin ze sztuki oszukiwania.

– Muszę zadzwonić do Waszyngtonu. – Poprosił o rachunek.

Zerknęłam na parkiet. Grali właśnie walca.

– Skończyło się zgadywanie – wyjaśniał Max, gdy opuściliśmy lotnisko Dullesa, zanurzając się w parowej łaźni, którą Waszyngton przypomina w lipcu. – Wiemy teraz, w jaki sposób mściciele werbują nowych członków.

– Znamy przynajmniej jeden. – Mój głos zdradzał podenerwowanie.

– To już początek. Może nas doprowadzić niemal wszędzie.

Mnie doprowadził do kwatery głównej FBI w Waszyngtonie. Pierwszy punkt.

– Wizytówka, którą ci dali, jest pomocna – oświadczył, przywołując taksówkę.

– W jaki sposób?

– Zdradza nazwę. – Wyjął ją z kieszeni, by wspólnie obejrzeć. STOWARZYSZENIE ANONIMOWYCH OFIAR wydrukowane ozdobną, gotycką czcionką. – Dotychczas nie mieliśmy pewności. Nasze informacje były niezwykle ogólnikowe.

Drugi punkt. Kagan pragnął dowiedzieć się, jak wiele wiedzą.

W taksówce ujął mnie za rękę – niezwykle jak na M. McCanna pochłoniętego swoją pracą – i zajął się objaśnianiem mi widoków. Waszyngton stał się jego drugim domem. Ze swoimi czystymi, prostymi ulicami oraz potężnymi, białymi pomnikami przypadł mu do gustu. Ja wołałam nowojorski chaos, powiedziałam mu.

Taksówka zajechała na obszerny dziedziniec otoczony kolumnami niczym kręgiem strażników. Wszędzie stały liczne posągi. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, porównałam czterdziestopiętrowy wieżowiec, siedzibę FBI w Nowym Jorku, z kwaterą główną – niskim,

niezwykle solidnym budynkiem z kamienia.

– Mówiłem ci, że Waszyngton spodoba ci się bardziej – powiedział Max z uśmiechem na ustach, gdy zatrzymałam się przed ogromną tablicą z brązu, opisującą trzy posągi stojące na jednym cokole.

– Wierność, Odwaga, Jedność – przeczytałam na głos.

– Jak ci się podoba duma i radość J. Edgara Hoovera?

– Szowinistyczne, skoro już chcesz wiedzieć. Odwaga wyróżnia się wzrostem – męstwo w działaniu. Brat Jedność siedzi zamyślony. Spójrz tylko na Wierność! Klęczy w geście nikczemnego uwielbienia!

Oboje wybuchliśmy śmiechem. Rozwiązał on narastające we mnie napięcie.

Wewnątrz posępny strażnik sprawdził odznakę Maxa. Na szyi zawiesili mi łańcuszek z plakietką dla gości.

Oddalał się ode mnie z każdym piętrem, które mijała winda. Na jego twarzy zagościła powaga. Przestrzegając etykiety, poprowadził mnie do swojego biura na czwartym piętrze.

Było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam, żadnych fanaberii. Książki, portret Hoovera, amerykańska flaga i praktycznie nic więcej. Spartańskie warunki z dala od domu dla oddanego firmie mężczyzny. Miał nawet złoty klucz.

– Z okazji dziesiątej rocznicy w służbie. W tym roku mija dwudziesta piąta – powiedział beznamiętnie, nawet bez cienia dumy.

Posadził mnie na kanapie, która mogła pochodzić z wyprzedaży, po czym zatelefonował, żeby spytać, „czy on jest gotowy na spotkanie z nami” – „on” to znaczy Szef Działu w Sekcji Śledczej. Bezpośredni przełożony Maxa – obecnie bardzo zajęty. Opóźnienie z przyczyn od nas niezależnych.

Max zaproponował mi miły sposób spędzenia czasu. Czy miałabym ochotę na krótkie zwiedzanie?

– Przez cały dzień oprowadzamy gości – wyjaśnił. – Poprawianie wizerunku w najwyższych kręgach, twoja codzienna działka. – Wezwał przewodnika.

W czasie gdy czekałam, niemal całkowicie zapomniał o mojej obecności. W zasadzie starał się poświęcać mi uwagę, lecz bez przerwy przerywał nam telefon albo wchodziła jego sekretarka. Piętrząca się na biurku sterta papierów do złudzenia przypominała góry znane mi z Kemp & Carusone. On w pracy zachowywał się oschle.

Poczułam prawdziwą ulgę, kiedy zjawiała się młoda, ładna dziewczyna. Max ledwie zauważył nasze wyjście.

Nie zwracaliśmy sobie głowy windą. Za ledwie parę schodków niżej czekał ekran z nagrany na wideo zachęającym powitaniem szefa FBI (sugestywny głos, wygląd bankiera). Zaczniemy zwiedzanie.

Już po dziesięciu minutach pełna byłam podziwu dla personelu odpowiedzialnego za kontakty ze społeczeństwem. Jedna fotografia zastąpić może tysiąc słów, a szczególnie jeśli



towarzyszy jej szereg mistrzowsko dobranych, zdumiewających faktów oraz danych. (Czyż nie wprowadziłam tej samej metody do Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar?) Laboratoria FBI stanowiły prawdziwy cud, badały wszystko, począwszy od rzeczy oczywistych (odciski palców, krew, moczu), aż po znacznie mniej ewidentne. (Identyfikacji dokonać można na podstawie potu? Kanalików łzowych?) Zobaczyłam tysiące najprzeróżniejszych rodzajów broni na wystawie oznaczonej „Era gangsterów”. Sekcja dokumentów, która zajmuje się sfałszowanymi czekami, anonimowymi listami i kradzionymi dziełami sztuki. „Zegar przestępstw”, dla którego Jamie gotów byłby zabić – jedno morderstwo, gwałt, włamanie, napad na każde x minut.

Ucieszyłam się, gdy poznałam zakres działań FBI – zorganizowana przestępczość, kontrwywiad, przestępstwa gospodarcze, terroryzm. Dzięki Bogu ani słowa o aktach zemsty.

Statystyki podawane przez przewodniczkę przyprawiły mnie o dreszcze. Całkowitą liczbę agentów FBI szacowała na „sporo ponad osiem tysięcy”. Działali w sześćdziesięciu oddziałach terenowych. Potężna armia. Spośród tysiąca przestępców znajdujących się na prowadzonej przez Biuro liście najbardziej poszukiwanych, twierdziła, jedynie dwudziestu pięciu nie udało się dotąd schwytać.

Aż tak efektywni? Przecież działali dopiero od czterdziestu lat!

Kiedy moja przewodniczka przeszła do opisu należącej do Biura sieci komputerowej mieszczącej się w Waszyngtonie – nazywali ją Narodowym Centrum Informacji o Przestępczości – uśmiechnęłam się i zaczęłam przysłuchiwać z uwagą.

– To oznacza natychmiastowy dostęp do danych! – oznajmiła. To oznacza natychmiastowy strach.

Max zjawił się, kiedy próbowała namówić mnie na pokaz użycia broni.

– Czy odkryła naszą piętę Achillesową? – zapytał.

Przewodniczka zrobiła zaskoczoną minę. Max pokazał nam statystyki, na które w ogóle nie zwróciliśmy uwagi. Aż do 1972 roku żadna kobieta nie została agentką. Rok śmierci Hoovera?

– Ależ mieliśmy trzy kobiety na początku lat dwudziestych, lecz dwie z nich zrezygnowały, kiedy pan Hoover objął gabinet. Trzecia wytrwała w biurze przez kilka lat – powiedziała figlarnie dziewczyna.

Po drodze na górę bez przerwy trajkotałam o wspaniałej wycieczce, chcąc zamaskować przerażenie. Weszliśmy do wykładanego boazerią gabinetu.

– Karen, to jest Bernard Rees.

Powitanie poszło całkiem gładko. Potem usłyszałam „proszę spocząć”, „może kawy”. Mój strach zaczął narastać, gdy Rees zagaił.

– Wiem, że powtarzała pani to już wiele razy, przykro mi, ale muszę prosić panią, by uczyniła to ponownie.

Po kilku pytaniach zaczęłam doceniać zręczność tego mężczyzny, ale przesłuchanie ani na moment nie straciło charakteru luźnej pogawędki. Po jakimś czasie niezmiernie trudno było nie dać się ponieść i oprzeć się chęci bazgrania po kartkach notesu.

Podsunęło to Maxowi pewien pomysł.

– A może tak spróbowałabyś naszkicować tego mężczyznę z pogrzebu?

– Nie umiem rysować – skłamałam. W zasadzie potrafię uchwycić podobieństwo, lecz gdybym nawet spróbowała, byłiby zawiedzeni. Twarz Kagana stanowiłaby po prostu pociągłe oblicze dowolnego człowieka, portret niezbyt pomocny dla identyfikacji.

– Interesuje mnie założenie, które pani oraz policja poczyniliście na początku – odezwał się Rees, pochylając się do przodu, by podkreślić, że naprawdę go to ciekawi. – Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, dlaczego uznaliście, iż ci mściciele stanowią jedynie lokalne zjawisko w skali Nowego Jorku.

– Zapewne dlatego, że stamtąd pochodzę – odparłam. – Mieszkam na Manhattanie. Córkę pochowałam w Queens. Napastnicy pochodzili z Bronksu. Wszystko w obrębie Nowego Jorku. Pomyślałam po prostu, że to ich terytorium. Bóg jeden wie, że jest tam wystarczająco dużo przestępstw, by zapewnić im zajęcie.

– Sprawa nabiera charakteru ogólnonarodowego – poinformował mnie, po czym zaczął wyjaśniać.

Kagan domyślał się, że nie wiedzieli zbyt wiele, i miał rację.

– Co pani o nas sądzi, pani Newman? – spytał, przypalając mi papierosa.

– Co sądzę o FBI? – zmusiłam się do śmiechu. – Max opowiada mi takie tam bajki. Poza tym słyszało się o dawnym FBI. Zdaniem Maxa wiele się zmieniło.

Uśmiechnął się.

– Czy zdziwiłaby się pani, gdybym powiedział, że Max i ja zgadzamy się z pani poglądami na „dawne FBI”? Nielegalne podsłuchy, naprzykrzanie się obrońcom praw obywatelskich to postęпки godne ubolewania. Niektórzy z nas wciąż określają te lata mianem „mrocznych czasów”. Ale widzi pani...

Sprawił wrażenie sensownego człowieka, na jego twarzy malował się rozsądek. Duże, brązowe oczy. Mnóstwo zmarszczek, takich, jakie zdradzają, gdy ktoś często się uśmiecha. Z zapalem ssał zgaszoną fajkę. Nie mogłam się doczekać, by ją zapalił.

Zamiast niej podpalił lont. Właśnie tak się czuję, gdy ktoś w mojej branży twierdzi, iż zamierza zdradzić mi jakiś pilnie strzeżony sekret. Max wydawał się niezadowolony, domyśliłam się, że tej części przesłuchania nie omówili uprzednio.

Rees zaczął od wspaniałego opisu „nowego FBI”, które unikało łamania naszych konstytucyjnych praw. Wspomniał o istnieniu w obrębie Biura pewnej frakcji, która „postrzega sprawy pod zupełnie innym kątem”.

– Czy to mądrze wtajemniczać Karen w...

– Dlaczego? Uważam, że musimy, Max. Wstrzymaj się ze swoimi wątpliwościami, dobrze? Zdaje się, że przebyła pani naszą trasę dla zwiedzających, pani Newman. Daje ona pani pewne pojęcie o rzeczach, którymi się zajmujemy – kidnaping, terroryzm i tym podobne. Przestępstwa federalne. Ale jakiego rodzaju wystęпки trafiają dziś na pierwsze strony gazet?

– Pospolite przestępstwa – odrzekłam zastanawiając się, do czego zmierza.

– Szybko stają się głównym problemem społecznym naszych czasów – zgodził się – którego żaden rozsądny polityk nie może ignorować. Sprawa nie dla FBI, lecz dla lokalnej policji, powie pani zapewne.

– Tak powinno być.

– Dokładnie. Jednak w obliczu czekających nas za dwa lata wyborów prezydenckich, mogę panią zapewnić, że niektórych polityków kusić będzie przełożenie coraz większego zniecierpliwienia narastającą w ich miastach przemocą na język aktów normatywnych o, powiedzmy, dosyć wątpliwej wartości. Niektórzy z nas martwią się – sędzę, że niebezpiecznie – o rolę, jaką Biuro zmuszone będzie odegrać.

– Czytałam coś o prezydenckiej grupie specjalnej?

– Do walki z przemocą... właśnie tak – powiedział, sprawiając wrażenie zadowolonego. – To próbne przedsięwzięcie, by sprawdzić, jakie będą reakcje społeczeństwa. Kieruje nią były prokurator generalny, który ma za zadanie wykryć, cytując: „co władze federalne mogą uczynić w sprawach, które tradycyjnie leżały w gestii władz stanowych”.

– Mogą oni włączyć w zakres spraw federalnych wszelką przestępczość – wyjaśnił Max.

– w kręgach FBI mówi się o wskrzeszaniu starych idei – dodał Rees, okazując swe zdegustowanie tym pomysłem. – Stworzyć narodowy system informacji kryminalnej, oczywiście skomputeryzowany. Moim zdaniem to niebezpieczny precedens. Kolejne próbne zamierzenie zostało już niemal urzeczywistnione – owe ustawy dotyczące „zatwardziałych kryminalistów” wprowadzane przez ambitnych kongresmanów. Biały Dom popisuje się efektowną retoryką skierowaną przeciwko przestępczości; szczerze mówiąc, uważam ją za złowieszczą.

– Nie spoczna, dopóki nie zamienią FBI w narodową policję. Skoncentrować tak wiele władzy w jednej agencji rządowej! – warknął Max, rozlewając kawę. – Co nam posłuży za wzór? Południowoamerykańskie dyktatury?

– Max jest niemal fanatykiem w tej sprawie – oświadczył spokojnie Rees. – Chce przez to powiedzieć, że bezpieczniej jest równomiernie rozmieszczać uprawnienia. Z grubsza dziewięćdziesiąt procent przestępstw rozpracowywanych jest przez lokalne służby. Zawsze tak było.

– To może ulec zmianie.

– Chodzi mu o to, pani Newman – tłumaczył cicho Rees – że ta banda mścicieli może odegrać rolę katalizatora takiej zmiany.

– Ale dlaczego? – zapytałam, rzeczywiście zaalarmowana.

– Właściwy moment – odparł Max. – To najwyraźniej cel tej organizacji.

– Zdaje się, że mamy do czynienia z konspiracją na skalę ogólnokrajową. Obywatele popełniający przestępstwa, by mścić się na przestępcach. Kiedy ich działalność przekracza granice stanowe, sprawa przechodzi do FBI.

Rees zapalił w końcu fajkę.

– To również wymówka – kontynuował – dla pewnej frakcji w Biurze, by narzekać na lukę w systemie, do której wypełnienia lokalna policja nie posiada odpowiednich środków – zawahał się przez chwilę. – A przynajmniej tak się mówi.

– Jeżeli ludzie ci wkroczą na scenę i zaczną robić porządek – wtrącił Max i zaśmiał się gorzko – uczynią z mścicieli narodowy problem.

Rees przyłączył się do jego śmiechu.

– Coś takiego umożliwiłoby prezydentowi pozyskanie zwolenników włączenia wszelkiej przestępczości w zakres działalności władz federalnych, pani Newman. Co gorsza, dodałoby to FBI splendoru, bez którego możemy się obejść. Ponieważ rozumie pani – ciągnął ponuro – jeżeli wywlecemy tę sprawę na światło dzienne, potęgując zaangażowanie prasy oraz polityków, jeżeli załatwimy z hukiem to Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar, obawiam się, że spłodzimy ową narodową policję, której wedle wszelkich oznak powinniśmy się lękać.

– Chyba że? – wyraziłam niewypowiedzianą przez niego możliwość.

– Uwielbiam tę kobietę! – zawołał do Maxa. – Chyba że zupełnie inna frakcja wewnątrz Biura pociągać będzie za sznurki. Chyba że nasz Max przejmie to śledztwo.

„Wielka przepychanka o władzę. Pomiędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Tym razem jesteśmy za Waszyngtonem, chcemy McCanna”.

– A jaką różnicę sprawi przejęcie śledztwa przez Maxa? – spytałam.

– Wyjaśnię to jak najkrócej.

Mój sceptycyzm był zapewne doskonale widoczny i Max zdawał się lekko obrażony.

– To da się załatwić – kontynuował Rees. – Trzeba znaleźć przywódcę. Taka taktyka odnosi najlepsze skutki w grupach działających na szeroką skalę. Ignorować szarych członków i zając się przywódcami.

– Utnij głowę smokowi, a ciało samo obumrze – odrzekłam.

– Pamięta pani ten film. Trudno go zapomnieć. – Rees się uśmiechnął na jego wspomnienie.

– *Viva Zapata!* Zgadza się? Niezwykle trafne.

– A co jeśli są to tylko sami szarzy członkowie? – nie wytrzymałam.

– Nie – odparł – są za dobrze zorganizowani. Rządzą nimi naprawdę tęgie umysły, i tych ludzi trzeba ścigać i aresztować.

Trzeci punkt dla Kagana. Chciał poznać ich strategię. Musiałam dowiedzieć się więcej.

– Ale od czego zaczniecie?

– Oczywiście od Nowego Jorku – oznajmił Max.

Czy wydawałam się zbyt zmieszana?

– Czytałaś tamten artykuł – powiedział. Lis znowu uderza.

– Dowody wskazują, że Manhattan jest ich bazą.

– I jak sama pani zauważyła – wtrącił się Rees – właśnie tam próbowali panią zwerbować.

Czy Max wiedział, dokąd to wszystko prowadzi? Czy Kagan zawsze musi mieć rację?

– Przy odrobinie zachęty mogą spróbować jeszcze raz – zasugerował spokojnie Rees.

Max poderwał się na równe nogi.

– Nie, Bernie. Karen, przysięgam... Nie musiał.

– W porządku, Max – przerwałam mu.

– Mimo wszystko – dodał pospiesznie Rees – musiałeś o tym pomyśleć, Max. Aż samo się prosi. – Odwrócił się w moją stronę. – Widzi pani, nasz dyrektor waha się w tej sprawie, nieistotne dla czego. Jednak w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że Max ma doskonałe kwalifikacje do prowadzenia tego śledztwa, a oprócz doświadczenia, również znakomite wyniki we współpracy z lokalnymi organami ścigania. Co więcej, ufam mu. Pani Newman, proszę mi pomóc w przekonaniu wahającego się człowieka. Proszę pozwolić mi poinformować dyrektora, że gdyby śledztwem kierował pani przyjaciel Max, zgodziłaby się pani odnowić kontakt z grupą mścicieli. Max poinformował mnie, że może pani to zrobić.

– Nie wiem, co powiedzieć. – „Udawaj niezdecydowanie”, instruował mnie Kagan.

– Śmiem twierdzić, że Max gotów jest odwołać panią od tego pomysłu, nie próbujmy jednak podejmować natychmiast ostatecznych decyzji. Ale proszę się szybko zdecydować, dobrze, Karen?

Karen. Równie dobrze mógłby powiedzieć: „Witamy w szeregach!” Planowaliśmy z Maxem wpaść do niego na drinka, lecz on nie miał nastroju na odgrywanie roli gospodarza, a ja straciłam ochotę na podziwianie cudownego widoku na Potomac. W drodze na lotnisko oboje milczeliśmy. Niemniej, gdy tylko znaleźliśmy się na pokładzie samolotu, wziął mnie za rękę.

– Nie – odezwał się.

– Co nie?

– Karen, to zbyt ryzykowne. Nie chcę, żebyś podejmowała się tego zadania.

Nie mogłam mu powiedzieć, że muszę.

Zaplanowaliśmy kolację na mieście, lecz zawiózł mnie prosto do domu i odprowadził pod same drzwi.

– Przestań się zamartwiać – zwróciłam mu uwagę. – Nie mam wyboru i dobrze o tym wiesz.

– Najmniejszego wyboru, kochanie, dodałam w myślach. Wyjęłam klucze. Sprawiał wrażenie, jak gdyby miał chęć pięścią wybić dziurę w drzwiach.

– Zadzwoń do ciebie – powiedział i odszedł.

– Wróć tu – zawołałam – i pocałuj mnie na dobranoc.

Wrócił korytarzem niczym lunatyk, jakby pozostawiając sobie czas na przekonanie się, czy nie śni.

Nie miałam szansy odwołać wypowiedzianych słów.

Pragnęłam, by trwało to wiecznie. Dopóki nie przypomniałam sobie aluzji Kagana do mojej roli Maty Hari... i wiedziałam już, że w ogóle nie powinnam była tego zaczynać.

Wyswobodziłam się. Max pożerał oczyma moje drzwi. Otworzyłam zamek – wiedziałam, że nie wejdzie bez zaproszenia. Nie pchał się.

Weszłam do środka, nie ufając swemu głosowi nawet na tyle, by powiedzieć mu dobranoc.

Kilka minut później zadzwonił telefon. Odebrałam zdziwiona, że mój głos brzmi całkiem normalnie.

Kagan był dumny z siebie.

– Gratuluję – powiedział.

– Jeżeli to żart, to nie jestem w nastroju.

– To nie żart. Chciałem pogratulować. Roli, której się właśnie podjąłeś.

– Jakiej roli? – warknęłam.

– Karen Newman, podwójna agentka.

Odłożyłam słuchawkę, powtarzając jego słowa, lecz wydawały mi się nierealne.

## Rozdział 26

Max spóźniał się pięć minut. Zastanawiałam się, czy chodziło o upał, czy może nadmiar środków bezpieczeństwa. Ze względu na istniejące prawdopodobieństwo, iż mściciele mogli doczepić mi „ogon”, Max starał się upewnić, że z nikim nie będzie, się łączyć jego osoby. (A gdyby przypadkiem śledzili mnie w drodze do siedziby FBI?)

Wpatrywałam się w niezbyt eleganckie menu, oplakując czasy, gdy chodziliśmy zjeść i potańczyć („za duże ryzyko, by widywano nas w dawnych miejscach”), kiedy zjawił się Max z posępną miną.

– Sierpień w Nowym Jorku – narzekał, jakby w Waszyngtonie nie słyszano o falach upałów.

– Znasz ten lokal?

Popatrzył podejrzliwie na ściany pokryte tapetą imitującą cegłę oraz podwieszane sufity. Stojące na co drugim stole nagietki były prawdziwe.

– Niegdyś moja ulubiona jadłodajnia – odparłam i podałam mu kartę. – Miejmy tylko nadzieję, że przynajmniej kucharz gotuje jak dawniej. Kiedyś stały tu wygodne, skórzane ławy i duże blaty zamiast tych gęsto poupychanych stolików. Poza tym wszystko było chromowane: lustra, bar, stołki.

– Nie ma już baru – zauważył. – Mówisz, że jedzenie jest dobre?

– Kiedyś było. Spróbuj zupełną jajeczną i faszerowaną oberżynę. Lubisz moussakę? Ja wezmę jarską odmianę.

Obsługa wciąż działała szybko.

– Prawdziwa kuchnia domowa – przyznał Max, od pięciu minut pałaszując jarską moussakę.

– Trzy tygodnie – odezwał się, odkładając widelec. – Boże, jak ja nienawidzę tego oczekiwania.

– Warto czekać, jeżeli mam poznać ich przywódców – odrzekłam, pragnąc podnieść go na duchu.

– Ale żeby narażać na niebezpieczeństwo twoją osobę w jakiejś akcji.

– Max – przerwałam mu żałując, iż nie mogę mu powiedzieć, że dla mnie to nie pierwszozna – nie ma niebezpieczeństwa, dopóki czegoś ode mnie chcą.

– Nie mam zielonego pojęcia, czego mogą od ciebie chcieć, skoro wydają materiały takiej jakości – stwierdził, pokazując znajomy pomarańczowy plakat propagandowy. Podał mi go.

„Więc Doszło do Tego – przeczytałam na głos zdziwiona własnym spokojem. – Nastolatki grasujące w metrze, pozbawiające nas zegarków, portfeli i łańcuszków. Nastolatki zrzeszające się w bandy, które uczą nas posyłać dzieci do szkoły z drobnymi przeznaczonymi na haracz i...”

– Niezłe – stwierdziłam i oddałam mu, przypominając sobie dzień i godzinę, kiedy to napisałam.

– Skąd więc to szczególne zainteresowanie twoją osobą? – nalegał. Dobre pytanie, Max.

– Najwyraźniej sądzą, że mogę to jeszcze ulepszyć – odparłam, wzruszając ramionami. – Szczerze mówiąc, uważam, że mają rację.

Uśmiechnął się mimowolnie, a ja musiałam przygryźć wargi, by nie pójść w jego ślady.

Niespodziewanie jego uśmiech się odmienił.

Kiedy zobaczyłam, kto był odpowiedzialny za tę przemianę, kto właśnie zmierzał w naszą stronę, upuściłam widelec, co, jak sędzę, uchodzi kobiecie ze złamanym sercem niespodziewanie spotykającej swą wielką, utraconą miłość. Niespodziewanie to dobre określenie.

– Cóż oni zrobili naszej oazie chromu i neonów? – wykrzyknął Jamie, władcym gestem wskazując na wystrój. – Na Boga, to architektoniczna lobotomia! Firanki, obrusy i tanie dywany na tej wspaniałej czarnobiałej terakocie. Marna kafejka udająca restaurację.

Zaprezentowałam mizerny uśmiech na powitanie.

– Więc wolisz dawne jadłodajnie – powiedział Max, odsuwając mu krzesło.

– Niestety odchodzą razem z dinozaurami – odrzekł Jamie i usiadł. – Jak się masz, Max?

Max miał się dobrze, ja natomiast próbowałam uporać się z szokiem, słysząc, że Jamie zwraca się do niego po imieniu.

Zajęli się pogawędką, dopóki kelnerka nie zrealizowała zamówienia Jamiego. Kiedy odeszła, Jamie popatrzył na Maxa, na mnie, po czym walnął prosto z mostu.

– To spotkanie nie jest przypadkowe – zwrócił się do Maxa. – Karen zwierzyła mi się ze swoich planów.

Max odsunął się z krzesłem i przymrużył oczy, jak gdyby pragnął się lepiej przyjrzeć nam obojgu. Nie mogłam sobie nawet pozwolić na kopnięcie Jamiego w kostkę.

– Czy niepokoi cię to... nadszarpnięcie bezpieczeństwa, chyba tak nazwałbyś tę sytuację? Przystanie – zapewnił go Jamie – kiedy ci wszystko wyjaśnię.

– Zamieniam się w słuch.

Przysłuchiwałam się, z pewnym dystansem, artystycznej mieszaninie prawdy i fikcji. Ten sposób konstruowania wypowiedzi miał, zdaniem Kagana, wzbudzić zaufanie słuchaczy. Jak to rozkleiłam się na widok oskarżycielskich fotografii i przyszedłam do Jamiego po fachową poradę. Jak omawialiśmy irracjonalność oraz niebezpieczeństwa łączące się z dokonywaniem samosądów (ha!). Jak rzekomo Jamie nakłonił mnie, bym przekazała owe zdjęcia jego przyjacielowi, zastępcy prokuratora. Jak w miarę pomagania mi w przezwyciężeniu poczucia winy związanego z krótkotrwałą pokusą, której uległam, oraz urazu spowodowanego tragedią, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi (czytaj kochankami). Że nie należało się dziwić, iż pomimo że łączące nas stosunki (czytaj romans) uległy zmianie, Karen zwierzyła się swemu przyjacielowi, a wcześniej lekarzowi, kiedy ponownie stanęła przed niepokojącą koniecznością wznowienia kontaktów z owymi mścicielami. Choć obecnie w dobrej wierze. Czyż Max mógł mieć mu za złe, iż martwił się o mnie? Że pragnął się upewnić?

Max nie był zły ani na niego, ani na mnie.

– Powinnaś mi powiedzieć, jak bardzo się bałaś – powiedział z wyrzutem, biorąc mnie za



rękę. Uniósł ją ponad stół, by pokazać całemu światu, a szczególnie Jamiemu.

– Szczerze mówiąc, Karen ma mniej wątpliwości niż ja.

– Jeśli przyszedłeś się upewnić – odparł z wahaniem Max, przyjmując podanego mu przez Jamiego papierosa – możesz liczyć jedynie na dobrą kolację.

– Czy moglibyśmy przynajmniej porozmawiać? Wyjaśnić parę spraw?

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, by zrobić to na świeżym powietrzu. Bezpieczeństwo – dodał.

Wymienili uśmiechy. To już weszło im w krew.

– Przynoszenie do stołu niepokojów jest oznaką złego wychowania, powtarzała mi zawsze matka. Wybaczcie mi – powiedział Jamie, po czym zabawił nas pogawędką, co stanowiło dodatek do końzonego posiłku.

Kolejny raz obserwowałam, jak na Maxa oddziałuje osobisty urok Jamiego. Czerpali przyjemność z odkrycia wspólnych doświadczeń, zainteresowań. Serdecznie śmiali się z wyjątkowo niezrozumiałego żartu.

Jesteś aż tak samotny, Max? – zastanawiałam się. Od czasu naszej podróży do Waszyngtonu z trudem udawało mi się wywołać uśmiech na jego twarzy.

Kiedy podano rachunek, chwyciłam go pierwsza. Choć raz tego wieczora przejęłam nad czymś kontrolę.

Rozmowa na ulicy nie trwała nawet pięciu minut. Jamie zadawał Maxowi pytania, na które z góry znał odpowiedzi. Max odpowiadał tak szczerze, jak tylko mógł, i na moich oczach tworzyła się pomiędzy nimi pewna więź. Powstawała z przepelnionej fałszem wzajemnej troski. Nie opowiadało mi odgrywanie roli kukielki w przedstawieniu Jamiego.

Jeszcze mniej podobał mi się widok mężczyzny igrającego z niebezpieczeństwem.

– Max, muszę przyznać, że pewne fakty przemawiają na korzyść tych mścicieli. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przeglądałem katalog firmy prowadzącej sprzedaż wysyłkową i moją uwagę zwróciły cztery oferty. Alarm zakładany na klamkę, uruchamiany przez dotknięcie. Breloczek do kluczy ze zbiorniczkiem gazu łzawiącego, nie żartuję. Damski pasek z nożem zamaskowanym jako sprzączka... ach, oraz najnowszy hit mody włoskiej – skórzana portmonetka z zabezpieczeniem w razie napadu.

– Policja twierdzi, że mamy większe szanse zostać napadnięci, niż otrzymać rozwód – powiedział Max z uśmiechem.

Żart w obliczu oplakanego stanu naszego wymiaru sprawiedliwości był prawdziwą chłodną bryzą pośród fali upałów. Rozwiał narastające napięcie. Jamie oparł się o latarnię, a Max doszedł do wniosku, że zasłużyliśmy sobie na deser – coś grzesznego. Przez moment Jamie przypominał rozradowanego chłopca, któremu rodzice pozwolili nie kłaść się jeszcze spać.

Od tamtej pory byłam jak na szpilkach, dostrzegając w zachowaniu Jamiego znacznie więcej naturalności niż udawania.

Kiedy po lodowej uczcie wyszliśmy z cukierni, Max zawołał:

– Ciąg dalszy nastąpi.

Jamie uśmiechnął się, a ja w jego oczach zobaczyłam pytanie – „Kiedy?” (Pozwala w nich czytać, jedynie gdy tego chce.)

– W następną niedzielę? – zapytał mnie Max.

W następną niedzielę planowaliśmy piknik w Central Parku, by udowodnić, że wciąż należy jeszcze do ludzi porządnych, a nie złych.

– Co to, *Juliusz i Jakub* w nowej reżyserii? – zażartowałam. Jednak Max, nie będąc ekspertem filmowym, a tym bardziej koneserem francuskiej klasyki, nie zrozumiał sarkazmu i zataczający się ze śmiechu Jamie musiał wytłumaczyć mu, że to film o trójkącie małżeńskim.

W końcu, oczywiście, zgodziłam się. Czy miałam jakiś wybór?

Pozwoliliśmy Jamiemu wziąć pierwszą taksówkę, po czym rozmawiając o nim, czekaliśmy dwadzieścia minut na następną. Max odprowadził mnie aż do portierni w moim bloku. Zgodnie z niepisaną umową unikaliśmy rozstań pod mymi drzwiami od czasu pocałunku na dobranoc.

Tego wieczora uniknęliśmy czegoś więcej. Wewnątrz zastałam Jamiego delektującego się na kanapie sherry. Na stoliku czekała na mnie pełna szklaneczka.

– Jesteś na mnie zła? Czy tylko zmieszana?

– Co powiesz na jedno i drugie? – odparłam zaniepokojona, iż rzeczywiście potrzebowałam tego sherry.

– Kagan spodziewał się bardziej osobistej charakterystyki Maxa. Claudii dostarczyłaś czegoś zupełnie innego, nieprawdaż? Co więcej, on wie, że nie zamierzasz... Minąłem się z powołaniem – powiedział z przekonaniem, napełniając sobie szklaneczkę. – Powinienem być zostać aktorem, nie sądzisz?

– Czy rzeczywiście grałeś?

– Ty też się minęłaś, kochanie. Powinnaś była zostać psychoterapeutą.

– Wyglądasz niewyraźnie. – Przyjrzałam mu się dokładniej. – Jesteś do przodu parę kolejek? Co się do licha z tobą dzieje?

Staął przed lustrem.

– Trzeba było zostać aktorem. Powinienem być zostać naprawdę kimś. – Wziął butelkę sherry i uniósł do góry w toaście. – Za moją matkę – zawołał, wciąż patrząc w lustro. Napełnił nasze szklaneczki.

– Jamie, co się dzieje? Jesteś chory?

– Chodzi o matkę.

– Myślałam, że nie żyje – odrzekłam, marszcząc brwi na wspomnienie pierwszego i jak dotąd jedyne go razu, kiedy za dużo wypił. Pokazał mi portret pięknej młodej kobiety. I co mi wtedy powiedział?

– Ależ nie – odparł, wykrzywiając usta – ma się całkiem dobrze. A on powiedział mi, że miał piętnaście lat, gdy umarła.

– Idź do domu – poprosiłam łagodnie – dopóki jeszcze jesteś w stanie.

– Do zobaczenia w niedzielę.

Dotarł już do drzwi, gdy zaświtała mi pewna myśl. Jemu zapewne przyszła do głowy w tym samym momencie, ponieważ sięgnął do kieszeni i położył klucz na stoliku w przedpokoju.

– Skłamałem mówiąc ci poprzednim razem, że wpuścił mnie portier. Przykro mi.

Dorobiony po kryjomu klucz. Byłam naiwna, nie zdając sobie sprawy, że wraz ze spokojem umysłu utraciłam prywatność. Co jeszcze? Sledzą mnie? Założyli podsłuch w telefonie?

Nie wszczyniałam kłótni, ponieważ Jamie nie nadawał się do wyjaśniania czegokolwiek. A także dlatego, że problem, który miałam na głowie, był znacznie poważniejszy niż dorobione klucze do mego mieszkania.

\* \* \*

Niedziela spędzona w parku okazała się fantastyczna. Wypowiedzi Jamiego podczas pikniku najeżone były prowokującymi uwagami na temat problemów nękających przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Dlaczego? Żeby wydobyć z Maxa potwierdzenia?

Jak się okazało, Max pogardzał lekkimi wyrokami orzukanymi w sprawach gwałtów i morderstw, miał podobne do naszych przekonania dotyczące zwolnień warunkowych, a w kwestii kary śmierci przejawiał znacznie mniej wątpliwości niż ja!

Rozmowa sprawiła, że czułam się nieswojo, więc propozycja Jamiego, by pójść do kina, wywołała prawdziwą ulgę... dopóki nie usłyszałam, na co zamierzaliśmy pójść – najnowszy melodramat traktujący o zemście. Właśnie wtedy zaczęłam podejrzewać, iż Jamiemu chodziło o coś więcej niż tylko o bliższe poznanie agenta McCanna z FBI. Odtąd zaczęłam się bać.

Robię się coraz lepsza w nowej grze o nazwie „ukrywanie strachu”. Poza tym, kiedy wchodzę do kina, cały świat przestaje dla mnie istnieć. Oglądanie filmu w Big Apple to prawdziwe przeżycie. W cenie biletu otrzymuje się także sposobność grupowego spotkania z tłumem domorosłych filozofów. Tym razem akurat owi wspaniali krytycy wyrażali swe zdanie o filmie przez śmiech i wiwaty, wycie i gwizdy oraz opuszczone w dół kciuki.

Ten film wyśmiewali niesamowicie. Szaleńczy aplauz wybuchał za każdy razem, gdy bohater – cedzący słowa, lubujący się w broni weteran z Wietnamu – wypowiadał kwestie w stylu: „Na Boga, nie po to walczyłem za kraj, żeby wrócić do domu i patrzeć, jak jakieś pyskujące łobuzy przejmują kontrolę nad najwspanialszym miastem na świecie. Nie ma mowy!”

Poszliśmy do mnie na zimne piwo i pizzę.

– Przyznaj, Max, że podobał ci się ten film tak samo jak nam – przekomarzał się z nim Jamie. – Nie można przyglądać się, jak lubiącemu sobie postrzelać psychopacie uchodzi na sucho mordowanie niewinnych ludzi, i nie pragnąć, by pozytywny bohater rozwalił mu ten parszywy łeb. Widziałem to w twoich oczach, strażniku prawa.

– Co widziałeś, doktorze?

– Tę samą ponurą satysfakcję co u nas wszystkich.

– Winny. – Max potraktował słowa Jamiego z przymrużeniem oka. – Sądziłem, że tylko

wrózki potrafią czytać w myślach.

– Psychoterapeuci również – odciął się Jamie, zadowolony z siebie. – Przygotuj się na dalsze wyznania, Max. To dopiero początek. W przypadku gwałciciela, który żywcem grzebał swoje ofiary, także cieszyłeś się, że go załatwił.

– To czyni mnie bardziej ludzkim?

– W każdym razie czyni cię jednym z nas. Co powiesz o scenie... „Czyni cię jednym z nas”. Jamie, czy ty próbujesz go zwerbować? Obserwowałam, jak Jamie zręcznie przenosi rozmowę z powrotem w sferę rzeczywistości. Widziałam, jak stropiony Max sili się na znalezienie rozwiązania problemu przestępczości. Słyszałam, jak przyznaje się do porażki.

– Nie znam odpowiedzi – odparł z westchnieniem. Lecz oni także jej nie znają.

– Koniec z gadaniem o samosądach – zarządził Jamie. Z miną gospodarza wyciągnął moją najlepszą brandy, co nie uszło uwagi Maxa. – Kawalek historii mego życia, Max – nalewał hojnie – w zamian za odrobinę twojego.

Brandy rozwiązuje języki. Czy o to chodziło? A może o to, że Jamie sprawiał wrażenie takiego samotnika? Cokolwiek to było, wydawało się, jakby znalazł on magiczny szyfr otwierający drzwi do sekretnego pomieszczenia. Zwykle nieskory do zwierzeń Max poddał się bez najmniejszego oporu. Z wnętrza wyszedł mężczyzna kochający Biuro pomimo wszelkich jego wad, który przez lata zapłacił ogromną cenę. Tracił najbardziej prestiżowe śledztwa z powodu dyskusji na temat nie do końca legalnych metod operacyjnych. Robił sobie wrogów, przedkładając sposób prowadzenia śledztwa ponad cel. Jego kariera często ulegała poważnym zwrotom ze względu na decyzje polityczne.

– Przerzucali cię ze stanowiska na stanowisko, nieprawdaż? – sondował Jamie.

Uśmiech Maxa wydawał się nie tyle ironiczny, ile pełen rezygnacji.

– Właśnie to otrzymuje się w zamian za absolutne oddanie, przyjacielu.

– Absolutnie oddany? Mało prawdopodobne. – Max roześmiał się.

– Może nie ostatnio. Zapewne inaczej było, kiedy dorastałeś pośród kukurydzyńskich pól, marząc, by zostać agentem FBI.

– A skądże. Zamierzałem pójść do nowojorskiej policji konnej. Widziałem kiedyś film z dwoma policjantami na koniach i wiedziałem już, kim będę.

– Głina na koniu. Ciekawy pomysł!

– Po skończeniu liceum poczyniłem pewne kroki w tym kierunku, lecz mój stary miał własne plany. Pierwszy mężczyzna, na którego wykształcenie stać było rodzinę, musiał się kształcić. Zawarliśmy umowę – college na Środkowym Zachodzie, a później studia prawnicze na Manhattanie. Potem, jeśli nadal zechcę być gliną, droga wolna. Jeśli nie, dyplom prawa może mi pomóc zostać nieco innym rodzajem policjanta. To mój ojciec był fanem Hoovera, a nie ja.

– Ale kiedy FBI grunt zaczął palić się pod nogami, nie zwiąłeś stamtąd – zauważył Jamie. – Wytrwałość godna podziwu, Max.

– A więc tak to się nazywa u was psychiatrów?

– Byłeś lojalny. Jak w przeciwnym razie mógłbyś przełknąć kult osobowości Hoovera? Żądę władzy człowieka, który zakładał tajne akta nawet...

– Zamknij się, Jamie.

– Od kiedy to nie wolno mówić prawdy?

– Wolno. Po prostu nie musisz podtykać mi jej pod nos. Stoczyłem wiele bitew. Kilka zdołałem nawet wygrać. Niemniej, nie obgaduję swojego pracodawcy.

– Przestań się zgrywać, Max, Biuro to żaden pracodawca. To jest dom.

– Czy powinienem za to przeprosić?

– Nigdy nie przepraszaj za miłość czy lojalność.

W ogłuszającej ciszy, jaka zapadła po tej uszczypliwej uwadze, przeklinałam Jamiego, jednocześnie zadowolona, że Max nie potrafi czytać w myślach.

– Czy obecnie masz wiele wspólnego ze swoimi kolegami, agentami?

Max spuścił oczy i zapatrzył się w swoją brandy.

– Mniej więcej tyle samo, co zawsze – przyznał.

– Nikt nie lubi dziwaków — myślał na głos Jamie. – Co takiego powinno naszych kolegów charakteryzować? Braterstwo zrodzone z podobnych zainteresowań i wspólnych wartości? Gdy byłem jeszcze młody i głupi, wstąpiłem do Stowarzyszenia Psychiatrików Amerykańskich. Zamiast braterstwa znalazłem tam jeden z najbardziej rozczarowujących substytutów – stosunki funkcyjne.

– Jednak cię to nie powstrzymało. Mnie także. Wciąż jestem tym, kim byłem zawsze.

Agent FBI aż po grobową deskę, Jamie. Wciąż upierasz się przy werbowaniu go? – myślałam.

Trzymając się niebezpiecznego gruntu, Jamie wrócił do rozmowy o mścicielach. Jedynie kwestią czasu było zadanie przez Maxa oczywistego pytania.

– Jamie, chciałbym skorzystać nieco z twoich badań nad psychiką ofiary. Czy miałbyś coś przeciwko temu?

Oczywiście, że nie miał. Zachowywał się, jak gdyby taka prośba niezwykle mu schlebiała. Popisywał się elokwencją na temat projekcji oraz utraty kontroli nad sobą. Następnie, odżegnawszy się od jakichkolwiek związków („wszystkie moje informacje na temat Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar pochodzą z gazet”), zaczął snuć rozważania, jakiego rodzaju ludzie byliby skłonni wstępować do takiej organizacji.

Bierna ciekawość Maxa przerodziła się w prawdziwą fascynację.

Jamie dostarczył mu paru mało istotnych faktów. Bardzo chętnie. Nie wydawało mi się, by mogły wyrządzić nam jakieś szkody. Jednak nie rozumiałam też celu owego manewru.

Więcej brandy, Max? Więcej zwierzeń i wzajemnego zaufania?

Następny punkt w tajnym programie Jamiego stanowił cały zestaw ogólnikowych pytań dotyczących FBI, na jakie każdy kochający swą pracę mężczyzna odpowie aż nadto ochoczo.

– Chodzi ci o fazę wstępną śledztwa? Nazywamy ją sondowaniem.

– Dlaczego podlega ona federalnej jurysdykcji? Kiedy kilka osób konspiruje – kluczowe słowo – żeby pozbawić cię twoich konstytucyjnych praw – powiedzmy, zabijając cię... Nasze ogólne uregulowania prawne dotyczące konspiracji trochę mnie niepokoją.

– Rzeczywiście to niezwykle kontrowersyjny przepis. Wybierz z kodeksu dowolne dwa przestępstwa, powiedzmy handel narkotykami i łamanie tajemnicy korespondencji, połącz je w „ponadstanowe przedsięwzięcie” i FBI może już wkroczyć.

– Mówisz o ściganiu grupy sfrustrowanych obywateli z artykułu przewidzianego do zwalczania mafii? Teoretycznie możliwe, lecz jakież reperkusje wzbudziłoby to w społeczeństwie.

Wyłączyłam się całkowicie. Wcześniej jeszcze skupiałam się, by panować nad sobą i również zadałam kilka nieśmiałych pytań w stylu – czy ja mogłabym stać się obiektem podobnego postępowania, mimo iż nie należę oficjalnie do żadnej, nawet wewnątrzstanowej grupy konspiratorów, albo czy ktokolwiek mógłby uważać mnie za członka mafii? Kiedy znowu zaczęłam ich słuchać, to Jamie odpowiadał na pytania.

– ...dostrzegając w społeczeństwie zbyt wiele współczucia dla ofiar, Max.

– Więc w jaki sposób ty próbowałeś złamać kark masowej zмовie?

– Oczywiście wyłapać przywódców.

Twarz Maxa pozostawała beznamietna. Na Boga, oblicze Jamiego również!

– Max, tylko nie zapomnij, z czym masz do czynienia – ostrzegł Jamie. – To łebscy ludzie. Prawdopodobnie bezwzględni, przynajmniej niektórzy.

Doktor James Coyne, nieoficjalny doradca FBI.

– ...nie żartuję, Max. Mógłbym się założyć o swój dyplom psychiatry.

– Lepiej nie ryzykuj tak wiele. To prawdziwy list uwierzytelniający.

– Nie dorównuje twojemu. Jamie nie żartował.

– Czy mógłbym? – spytał Maxa.

Max włożył rękę do kieszeni i wydobyl przedmiot przypominający nieco większy portfel.

– Nic specjalnego. – Podał mu.

Już wcześniej widziałam ten identyfikator – po prostu zdjęcie oraz podpis dyrektora FBI potwierdzający status Maxa jako agenta. Jamie na moment wsunął go do kieszeni i natychmiast wyciągnął.

– Agent James Coyne, do usług – powiedział rozpromieniony, pokazując „swoją” odznakę.

Max zaśmiał się z tego żartu i odebrał identyfikator.

Twarz Jamiego uległa pewnej zmianie. Stała się pełna żalostnej, dziecinnej tęsknoty.

„Czy mówiłem ci kiedyś, kim chciałem zostać, gdy dorosnę? Agentem FBI!”

Wyszli razem. Odczekałam dziesięć minut, podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

Szybko odłożyłam ją z powrotem.

Spróbowałam jeszcze raz, tarcza zdawała się stawiać opór. Powiedziałam sobie, że nie chodzi tu przecież o nielojalność wobec Jamiego, o brak miłości. Chodziło o bezpieczeństwo.

Wykręciłam numer i tym razem już zaczekałam. Kiedy Claudia odebrała, wypowiedziałam magiczne słowa.

– Chciałabym się z tobą zobaczyć, CC. Masz czas?

## Rozdział 27

Claudia spóźniała się już dziesięć minut. Lecz ja także nie przyjechałam na czas. Poprzedniego wieczora nie zdradziłam nic swoim głosem i hasło zawierało określoną, zakodowaną wiadomość. Zamierzałam właśnie wrócić do środka na filiżankę kawy i razem oddać się wspomnieniom – tam po raz pierwszy jadłam posiłek w towarzystwie Angeli i Zacka – kiedy zobaczyłam Tony’ego zsiadającego z motoroweru.

Jamie powiedział mi, że chłopiec powoli wciąga się w działalność organizacji, że wraca niczym ściągane zwierzę do miski z pokarmem. Gdzieś indziej znalazłby podobną pomoc?

– Claudia nie przyjdzie – poinformował mnie podchodząc. – Bart potrzebował jej do czegoś.

– Żadnego „cześć, jak się masz”? – zażartowałam.

– Cześć – odrzekł bardzo cicho.

– Tęskniłam za tobą – powiedziałam równie cichym głosem.

– Przyszedłem zamiast Claudii. – Bawił się sprzączką od paska.

– Wiesz, gdzie mam się spotkać z Kaganem? – Skinął głową. – Kawy? – zaproponowałam, udając czysto profesjonalne podejście. Kolejne skinienie.

Weszliśmy do środka. Tony przemaszerował do stolika, garbiąc swe małe, lecz jakże wytrzymałe ciało. Czarne oczy chłopca pełne były powagi, starał się nie okazywać radości ze spotkania ze mną, mimo że wręcz biła od niego. Pragnęłam go przytulić. Zamówiłam dwie kawy.

Poinformował mnie, gdzie mam iść oraz kiedy, nalegając, żeby zsynchronizować zegarki. Krok po kroku wyjaśnił mi, w jaki sposób upewnić się, czy nikt mnie nie śledzi, „bez jednoczesnego oznajmiania wszystkim, iż próbuję zgubić ogon”. Popisywał się swym ulicznym sprytem.

Kiedy zakończyliśmy interesy, Tony pozwolił sobie na mały luksus zjedzenia hot doga.

– Claudia rzuciła szkołę – stwierdził po pierwszym kęsie. – Nie zamierza również wrócić do niej na jesieni. Nie spodoba jej się, że ci powiedziałem.

– Dzięki – odparłam z westchnieniem.

– Kagan uważa, że się zmieniłaś – wyrzucił z siebie. – Dlatego chce, żebyś poprowadziła osobiście planowanie Misji. Powiedział, że potrzeba ci Aktywacji. Nie wie, że go słyszałem – dodał, zostawiając na stole mokre ślady po kubku. Czuł się wyraźnie nieswojo.

Nie wie, że przyszedłeś mnie ostrzec – pomyślałam

– Zajmę się tym – powiedziałam, kiedy kelner podał nam rachunek. Łatwo było pozwolić mu odejść, lecz niezwykle trudno pożegnać się z nim.

Obserwując, jak odjeżdża pojazdem dla dorosłych, zastanawiałam się, czy Jamie robi jakieś postępy – Tony znowu zaczął regularnie odwiedzać jego gabinet. Spotkanie z Kaganem miało się odbyć dopiero po południu. Zatrzymałam taksówkę. Nie powinnam pojawiać się u Jamiego, lecz



niech to wszyscy diabli. Może zdoła wyjaśnić mi parę spraw.

Gdybym go zastała, zapewne by to zrobił.

– Zdaje się, że wprowadzona przez Jamiego moda na chodzenie na skrótów udziela się również tobie – powiedział Kagan z progu drzwi prowadzących do poczekalni gabinetu Jamiego. – Wejdz na chwilę, jeśli masz ochotę. Właśnie wychodziłem.

– Gdzie Jamie?

– Na górze, boli go głowa.

Weszłam, ponieważ czułam, że Kagan tego nie chciał. Drzwi do gabinetu były otwarte, na biurku zauważyłam porzucane kasy.

– Niszczymy dowody, Kagan? – spytałam wesoło.

– Jeszcze na to za wcześnie. Na razie robię inwentaryzację.

– Nie będę ci przeszkadzać. Wpół do piątej?

– Wpół do piątej – potwierdził. – Chyba że przegoni nas deszcz.

Nie mieliśmy takiego szczęścia. Kiedy taksówka zajechała przed wskazane wejście do Central Parku, na niebie było zaledwie parę chmur. Dokładne instrukcje Kagana doprowadziły mnie do wyznaczonej ławki, na której leżała pognieciona puszka po wodzie sodowej. W pobliżu dostrzegłam chłopca, psa i mężczyznę. Rozpoznałam luźny krok i przygarbioną szyję. Podeszłam. Powstrzymało mnie leniwe machnięcie ręką. Wzruszyłam ramionami, bo wiedziałam, że przyszedłam piętnaście minut za wcześnie.

Spędziłam ten kwadrans na rozmyślaniu o przyczynach zachowania Kagana. Nie chodziło tylko o fascynujący widok Kagana tresującego wielkiego owczarka niemieckiego, lecz raczej o dziwaczność całej sytuacji. Chłopiec bał się własnego psa, pies obawiał się Kagana. Dorosły – zadowolony z coraz bardziej ochoczych reakcji psa, który powoli uczył się rozróżniać przyjaciela od wroga, dziecko – coraz bardziej zdumione sukcesami tresera. Ale nawet jeśli Kagan dostrzegł w oczach chłopca ogromny podziw, zachowywał całkowitą obojętność.

Doszłam do wniosku, iż był niezdolny do jakiegokolwiek więzi z inną ludzką istotą. Nie potrafiłam tylko pojąć dlaczego.

Gdy mieszkasz w niebezpiecznych dzielnicach, oprócz dobrego alarmu zafunduj sobie owczarka niemieckiego – to najlepsze rozwiązanie, powiedział do mnie kiedyś.

Teraz mówił głosem stanowczym, wykonując władcze gesty z jednoczesnym uśmiechem na ustach. Jednak czy było w nim choć trochę ciepła? Jakies osobiste uczucie, przynajmniej dla psa? Stałam zbyt daleko, by to dostrzec.

Kiedy Kagan zakończył tresurę, wróciłam na ławkę i postanowiłam go przyszpilić. Gdy wreszcie się zbliżył, ubrany w rozciągniętą koszulkę koloru khaki oraz znoszone spodnie, zawołałam:

– Kagan, tajemniczy człowiek. Żadnego domu, żadnej kobiety, żadnych dostrzegalnych upodobań. Właściwie po co ty żyjesz?

– Dla Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar – odparł beztrosko.

– A przedtem? A potem?

– Nie wiesz, że zawsze będzie jakieś Stowarzyszenie? Dobry pies. Zarówno chłopiec, jak i pies zniknęli już niemal w oddali.

– Co w nim takiego dobrego?

– Można przewidzieć jego zachowanie. Z tego powodu lubię zwierzęta. Naciskasz odpowiednie guziki i wiesz, czego się spodziewać, żadnych niespodzianek. Czy możesz to samo powiedzieć o naszym nieprzewidywalnym Jamiem?

– Jak odgadłeś, że chcę rozmawiać właśnie o nim, a nie o McCannie?

– Ponieważ nigdy nie pozostawiam niczego przypadkowi. Czy możesz mi wyjaśnić, o co chodzi w waszym trójkącie?

A więc wiedział.

– Nie jestem pewna – odparłam zgodnie z prawdą. Wyłożyłam mu wszystko dokładnie. Przysnaję, że w jak najlepszym świetle. Ani słowa o uwielbieniu dla FBI, gdyż była to zaledwie teoria. – Szczerze – przesłam do konkluzji – nawet jeśli Jamie miał szalony pomysł, by zwerbować McCanna, szybko z niego zrezygnował, gdy okazało się, że to beznadziejna sprawa.

– Od początku powinien wiedzieć, że to beznadziejne. Boję się, że Jamiemu znudziło się już działanie albo raczej jego brak. – Zapalił papierosa, lecz zapomniał mnie poczęstować. – Kilka ciekawych Misji bez trudu go wyleczy – dodał lekceważąco. – Ufam, że ciężar rozłąki nie wyrządzi specjalnych szkód szalonemu romansowi?

– Żadne poświęcenie dla ważnej sprawy nie jest zbyt wielkie.

Uśmiechnął się. Miał specyficzne poczucie humoru.

– Za przekonania płaci się ogromną cenę.

– Sentymenty – odcięłam się. W ustach Kagana słowa traciły swą szlachetność, nabierając neutralnego brzmienia jak „kartofle” czy „baterie”.

– Czy rzeczywiście działamy jedynie ze szlachetnych pobudek? Czy może raczej dla własnej przyjemności. McCann jest zakochany, a moje źródła donoszą, iż z wzajemnością.

– Skoro twoje źródła są aż tak dobre, dlaczego pytasz akurat mnie o niespodzianki Jamiego?  
– odgryzłam się, starając się oddalić nieuniknione.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy zechcesz obmawiać swojego kochanka.

W porządku, zdałam twój cholerny egzamin, Kagan. Teraz kolej na ciebie. Co się powinno zrobić, kiedy twój kochanek podejmuje ryzyko, które w każdej chwili może go zniszczyć, a nas zapewne razem z nim?

– Informujesz o tym mnie, żebym zapobiegł podobnej sytuacji.

– W porządku. Więc „obmawianie” nie oznacza, iż zamierzam wymienić jednego kochanka na drugiego, prawda? Nawet nie próbuj prosić mnie, żebym...

– Im bardziej zbliżysz się do McCanna, tym wszyscy będziemy bezpieczniejsi. Prześpij się z nim, Karen. Może wręcz sprawi ci to przyjemność.

Moja dłoń nie zdołała nawet zbliżyć się do jego policzka – miał doskonały refleks.

– Sypianie z dwoma mężczyznami nie leży w twoich zwyczajach? – spytał z bezczelnym uśmiechem, który dopiekl mnie do żywego. – Twoja wierność mnie wzrusza, Karen, choć nie jestem pewien, czy Jamie na nią zasługuje. Nie po tym, jak cię wrobił podczas Misji w Bronksie. Zapewne mógłby wskazać na okoliczności łagodzące. Rzeczywiście ryzykował własne życie. Z drugiej strony jednak facet, który zachowuje się, jak gdyby miał co najmniej dziewięć żyć i gotów jest pozbyć się połowy z nich, nie zasługuje na zbyt wiele chwały za umyślne odwrócenie się plecami do łobuza z nożem w ręku. Nie sądzisz?

– Indio? – zawołałam, dławiąc się tym imieniem.

– Cóż, czemu nie. Z własnej woli niczego byś nie zrobiła; jeśli dobrze pamiętam, nie miałaś odwagi. Jamie liczył, że użyjesz mojego pistoletu w samoobronie. Miał szczęście, że się na to zdobyłaś. Wszyscy mieliśmy szczęście. W całej tej wrzawie i zamieszaniu zrobiliśmy nasze zdjęcie. Nikt nie wstępuje do organizacji bez niego.

W uszach ból. Przed oczyma błyski.

– Szantaż – powiedziałam z goryczą, przypominając sobie niechętnie wyjaśnienia Jamiego, w jaki sposób Stowarzyszenie trzymało w ryzach mścicieli. Wystarczy tylko niewielkie odświeżenie pamięci. Wystarczyło mieć obciążającą fotografię. – A więc trafiłam do waszej czarnej skrzynki – wycedziłam.

– Dlaczego miałabyś stanowić wyjątek?

– Ponieważ nie jestem członkiem. Nie wstąpiłam do żadnej przeklętej organizacji!

Uśmiechał się protekcyjnie.

– Ciekawe rozróżnienie.

Zmrok w parku. Chłonąc jego spokój, zadawałam sobie pytania. Na czym polegała prowadzona przez Kagana gra i jak się przed nią uchronić? Czy próbował ostudzić „szalony romans”, żeby Max mógł mnie przejąć? Czy może dawał mi do zrozumienia, iż nie miałam szans odciąć się i uciec, nawet gdybym była na to gotowa? Czy rzeczywiście uważał mnie za gotową? Czy to możliwe, że wyczuł rzecz, z której ja sama jeszcze nie do końca zdawałam sobie sprawę?

– Zawrzyjmy rozejm, Kagan – odezwałam się z rezygnacją w głosie. – Rozumiem, że mogę od czasu do czasu spotykać się z Jamieem bez narażania na szwank bezpieczeństwa, zarówno w obecności McCanna, sam na sam?

– Ależ jak najbardziej, możesz rozszerzyć o jedną osobę krąg ludzi, z którymi się kontaktujesz. – Wyraz jego twarzy mówił jeszcze: „Daj mu popalić!”

Pomyślałam sobie dokładnie to samo, jednak wzruszając ramionami, powiedziałam.

– Nie rób sobie nadziei. Jamie może być wrednym sukinsynem, ale to jeszcze nie znaczy, że nie damy sobie buzi na zgodę.

Uwierzył mi? Sprawiał wrażenie, że udaje.

Kolejny raz pomyślałam o zdumiewającej spostrzegawczości Kagana, gdy wyszliśmy z parku i on zrelacjonował mi ostatnie przedsięwzięcia Stowarzyszenia. Wydawało się, że wiedział

doskonale, o czym i o kim chciałam usłyszeć. Nic dziwnego, skoro całe życie był czujny.

Czujny i jednocześnie niepomny na otaczający go świat. Kiedy skończył sprawozdanie, szliśmy dalej w milczeniu. Na ulicach tłoczyli się turyści oraz pracujący do późna miejscowi, lecz dla Kagana ludzie ci w ogóle nie istnieli... byli tam i jednocześnie jakby ich nie było. Przypominał komputer dokonujący niezwykle szybkich kalkulacji – dotyczących nie osób, lecz ich funkcji. Facet w niebieskiej kurtce – niemalże słyszałam jego myśli, jak zachowałby się w boju pod wpływem stresu? W jakim momencie kobieta nosząca jaskrawoczerwony beret by spanikowała? Czy w ogóle dostrzegał przesadne kołysanie torebką lub zaborczy uścisk na ramieniu jej towarzysza? Sprawiał wrażenie, jakby brakowało mu anteny zdolnej odebrać informacje przekazywane przez ludzkie zachowanie, nie mówiąc już o subtelnościach.

Rozważania nad jego obojętnością pochłonęły mnie tak bardzo, iż nie zwróciłam uwagi na widok, którego Kagan nie przeoczył – głodnego kota buszującego za pustym pojemnikiem na śmieci. W mgnieniu oka zanurzył dłoń w mojej kieszeni (wszyscy wiedzieli o znajdujących się tam zapasach krakersów) i pozwolił kociakowi jeść z ręki. Jego twarz się rozluźniła.

Uderzył mnie kontrast pomiędzy chwilami zapomnienia jak ta oraz codziennym wizerunkiem lakonicznego samotnika – cedzone słowa i spokojne przechadzanie się po pokoju z nietkniętym drinkiem w dłoni. To poza.

Moje przypuszczenia potwierdziły się w następnej sekundzie, gdy wstał, i zobaczyłam, co dzieje się z jego twarzą – za gęstą mgłą jego oczu, nieprzeniknionych, jak je kiedyś nazwałam, kryło się kontrolowane napięcie przypominające żarówkę podłączoną do niewyczerpanego źródła energii. Nigdy się nie wypalała. Właśnie to napięcie pozwalało mi nieomylnie wyczuć obecność Kagana w dowolnym pomieszczeniu oraz umożliwiało mi odetchnięcie z ulgą, za każdym razem gdy wychodził. Jedynie wyuczony spokój sprawił, że wcześniej tego nie dostrzegłam.

Zatrzymał taksówkę.

– Twoja czy moja? – Wsiadłam ja.

Przez moment jego dłoń przytrzymała kławkę.

– Koniec z chodzeniem na skróty, Karen.

Ostatnie uwaga przypomniła mi o Jamiem. Pojechałam do domu, by zmienić biurowy strój na dżinsy i starą koszulę. Żeby wrzucić „ubranie na zmianę” – parę granatowych spodni oraz kaszmirową marynarkę – do papierowej torby. Zadzwoiłam do Jamiego i powiedziałam mu, że do niego jadę.

Na zastawionym dla dwóch osób stole obok świec czekało na mnie moje ulubione włoskie danie – *pasta puttanesca*. W białym fartuszkowi Jamie wyglądał rozbrajająco.

– Nie mam nastroju na posiłek w twoim towarzystwie – oświadczyłam, rzucając papierową torbę prosto w tę twarz Judasza. Powiedziałam mu, o czym dowiedziałam się od Kagana.

– Ależ ja wyświadczyłem ci przysługę – oburzył się.

– Przysługa powinna być dobra. – Zajęłam najbliższe krzesło.

– Nie przeczę, że starałem się ochraniać organizację i jednocześnie zwerbować ciebie.

Miałem też jednak inny cel. Chciałem, żebyś zdobyła doświadczenie w zabijaniu.

– Ależ to ohydne! – zawołałam, wierząc jego słowom. – Zobacz, ile czasu poświęciłeś na późniejszą terapię, by pomóc mi z tym się pogodzić. W zasadzie jeszcze do siebie nie doszłam!

– Wszystko ma swoją cenę. – Poprowadził mnie do stołu. – Trzeba przyznać, że Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar posługuje się przemocą. Ponowne użycie broni, gdyby zaszła taka konieczność, jest o wiele łatwiejsze niż za pierwszym razem. Mogłoby uratować ci życie.

– Nie będę jeść twojego przekłętą makaronu – zdecydowałam, unikając spojrzenia w stronę potrawy, a nawet wachania jej. Pachniała naprawdę cudownie.

– Nie odchódź – poprosił. – Chcę porozmawiać. O Maksie.

Te słowa przykuły moją uwagę, szczególnie że troska w jego głosie wydawała się prawdziwa. Uległam, i to nie tylko ulubionemu daniu. Wyczuwałam nowe przymierze – Max, Jamie i ja.

Jamie wyglądał na zakłopotanego.

– Nic szczególnego, rozumiesz. Kieruję się instynktem. Kagan dwukrotnie wygłaszał aluzje do Maxa, że bez przerwy się czegoś obawia. Czego pokręcony umysł Kagana spodziewać się może po panikarzu?

Sprawdzaj, analizuj, sonduj.

– Jamie – po dwudziestu minutach takich opowieści nie potrafiłam powstrzymać się od zadania pytania – czy przeszedłeś na drugą stronę? Współpracujesz z FBI, czy co?

– Cokolwiek powiedziałaś Kaganowi, mam nadzieję, że nie wymachiwałaś mu przed nosem tą czerwoną płachtą. Nigdy nie pozwoliłbym sobie na brak lojalności wobec własnego dzieła. Stowarzyszenie było moim pomysłem.

– Utraciłeś nad nim kontrolę – podsumowałam ze spokojem. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Tym bardziej nie należy zapominać, co się za nim kryje. Jesteśmy dobrymi przestępcami, Karen, właśnie o to chodzi w Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar. Moim celem była sprawiedliwość dla poszkodowanych – dodał z wolna. – A jaki cel ma Kagan?

– Znam lepsze pytanie – odrzekłam. – Kim jest Kagan? Ja sądzę, że pragnie tylko władzy. Jest człowiekiem, który nie znosi ludzi, lecz lubi nimi rządzić.

– Jest o wiele bardziej skomplikowany – zastanawiał się, przesuwając palcem po obrzeżu kieliszka. – To jest facet, którego chciałbym widzieć na leżance w moim gabinecie.

– Co byś odkrył? Człowieka mającego misję do spełnienia.

– Kagan ma duszę rewolucjonisty. Ma mroczne potrzeby. Napelniłam kieliszki i pochyliłam się nad swoim.

– Zawsze trzyma w dłoni drinka, ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby go chociaż tknął. Dlaczego, doktorze?

– Sprawia, że wydaje się niezależny od reszty z nas – odparł bez wahania Jamie. – My stajemy się mniej ostrożni, podczas gdy Kagan nie przepuści ani słowa. Nawiasem mówiąc,

bardzo mu imponujesz. Nazywa cię dobrym oficerem polowym. Przewidujesz problemy i rozważasz wszelkie możliwości.

– Naprawdę? I oto siedzę tutaj, czując pustkę w środku. Ciężki przypadek syndromu konia trojańskiego, nie sądzisz?

– I oto siedzisz, swoim niezrównanym poczuciem humoru stawiając czoło niepokoju i żalowi – odrzekł, uśmiechając się lekko.

– Powiedz mi prawdę, Jamie. Czy próbowałeś zwerbować Maxa?

– Przypuśćmy, że jedynie sondowałem grunt – odparł z zakłopotaniem. – Max może się z nami zgadzać w wielu kwestiach. Też nienawidzi sytuacji panującej na ulicach, lecz nie zamierza chodzić na skróty, by coś zmienić. – Jego oczy zwięzły się ze zrozumieniem. – Nawet dla ciebie.

Westchnęłam.

– Oddany firmie.

– Czy zadałaś sobie kiedykolwiek pytanie, dlaczego mężczyzna nie próbuje urzeczywistnić dziesięcioletniego uczucia? Ja zadałem.

– Max był żonaty. Podejrzewam, że nieszczęśliwie.

– Właśnie. Nie potrafił o tobie zapomnieć, niemniej nawet na ciebie nie spojrzął, dopóki żyła jego żona. On kieruje się w życiu zasadami.

– Masz dzisiaj mnóstwo odkrywczych myśli – powiedziałam. – Jamie, jeśli on kiedykolwiek odkryje...

Objął mnie w pocieszającym geście.

– Dopilnujemy, by nie odkrył. Już późno i oboje jesteśmy wykończeni. Może przenocujesz tutaj i zaoszczędzisz mi kłopotu z odprowadzaniem cię do taksówki? Nie – dodał, gdy zaczęłam protestować – nie pozwolę ci samej zejść na dół. Zajmij łóżko. Tony je uwielbia. Ja prześpię się na kanapie. Ostatnio odkryłem, że jest bardzo wygodna.

– Jesteś pewien, że nie masz żadnych romantycznych zakusów? – zażartowałam.

Pocałował mnie w czoło.

– Ta chwila jakoś nam umknęła, kochanie.

Czy „źródła” Kagana czuwały teraz, oczekując, aż zgasną światła? Pomysł uwiarygodnienia bajeczki o buziaku na zgodę, poparty ogromnym zmęczeniem, uczynił to zaproszenie pociągającym.

Sypialnia Jamiego pełna była kolorów oraz ozdób. Wspaniały dotyk aksamitnej pościeli natychmiast ukoił mnie do snu.

Obudziłam się w środku nocy. Czy to z powodu obcego łóżka, czy może lubieżnych myśli o Maksie, nie mogłam ponownie zasnąć. Włożyłam na siebie szlafrok w kolorze kości słoniowej, pozostawiony przez Jamiego na krześle, i ruszyłam do kuchni po szklankę soku oraz na papierosa. Wracając zerknęłam na Jamiego. Leżał w szalonej pozie, ramiona i nogi rozrzucone. Potargany, głęboko śpiący chłopiec, który stracił z siebie koldrę.

Nie spał, jedynie udawał.

– Co się dzieje, Jamie? – spytałam podchodząc.

Usiadł.

– Dzisiejsza analiza psychiki Kagana skłoniła mnie do rozmyślań nad własną. Co jest najmocniejszą Stroną psychiatri? – zastanawiał się na głos, przygryzając wargi.

– Empatia? Westchnął.

– Najlepsi z nas są czuli aż do przesady, nawet jako dzieci. Stanowimy łatwy cel dla nie zrównoważonych emocjonalnie rodziców.

– Twoja matka? – spytałam, przypominając sobie jego gorzki toast wznoszony po pijanemu.

– Miałem pięć lat, kiedy odszedł od nas ojciec. Przez następne dziesięć pełniłem rolę zastępcy – powiernika, ciągłego opiekuna oraz pełnego uwielbienia małego pana domu. Karen, nie rozumiesz? Byłem tak zajęty dostosowywaniem się do jej neurotycznych potrzeb, że koło nosa przemknęły mi lata dorastania, w których dziecko musi odnaleźć własne „ja” albo ryzykować dalszy rozwój bez niego! – Odwrócił wzrok. – Rozumiesz teraz, co dało mi Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar? Utracone dzieciństwo. Komu potrzebny Batman, kiedy u jego boku jest Król Artur i Szkarłatny Pierwiosnek?

Oraz bohaterowie powieści Dumasa, pomyślałam – ty i Lee. Spostrzegawczy psychiatra, który bez ostrzeżenia przeistacza się w rozradowane dziecko albo utalentowanego aktora. Anioł zemsty potrzebujący sztucznego bodźca pod postacią Aktywacji lub Misji.

– Podać ci moją osobistą definicję przerażenia? – wyszeptał Jamie. – Szukać w lustrze własnego odbicia i wiedzieć, że zamiast niego są tam niespełnione marzenia kogoś innego. Iść przez życie wiedząc, iż matka skradła ci tożsamość.

Wstrząsnęły mną dreszcze. Nie mogłam przestać drżeć pomimo sierpniowego upału. Resztę nocy spędziłam, trzymając go w ramionach.

## Rozdział 28

Na dźwięk mego głosu w przedpokoju wylegli z sypialni Claudii. Kagan z oczekującą miną, Bart ze swoim wyrazem twarzy mówiącym „lepiej, żeby chodziło o coś ważnego” oraz Lee radosna i wspaniała, w białej bluzie od dresu z, purpurową chustą pod szyją. Przynajmniej Kagan potraktował poważnie moje SOS.

– Zaczynamy się bać? – spytał Bart. Moja Misja miała się odbyć za tydzień.

– Chodzi o Lee – odrzekłam i zobaczyłam, jak jego usta zaciskają się. Nie wiedziałam zbyt wiele, tylko tyle, że raporty donosiły o „wysokiej blondynce”, którą dwukrotnie zauważono w pobliżu miejsc, gdzie dokonano aktów zemsty „mogących łączyć się” z prowadzoną przez FBI sprawą Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar.

– Ktoś widział cię w Atlancie – powiedziałam Lee. Jednak wyrzut w moim głosie skierowany był w rzeczywistości do Kagana, który powinien to przewidzieć.

– Ach tak – przypomniał sobie Kagan – to była Misja o wysokim stopniu jawności, przeciwko zastępcy prokuratora okręgowego, o którą tak się złościłaś. Nie przejmuj się nią.

Bart się przejmował. Lee, niezbyt pewna siebie, próbowała go uspokoić. Kagan, o dziwo, podnosił wszystkich na duchu twierdząc, że to prawie niemożliwe, aby kiedykolwiek rozpoznano Lee w Nowym Jorku.

– Ale żeby niepotrzebnie nie ryzykować, koniec z Misjami – poinformował ją.

– Jak idzie Operacja Wciskacz? – spytała ochoczo Lee, używając żartobliwego kryptonimu mojego zadania.

– Zapytaj mnie za tydzień – odparłam, pragnąc udusić ją jej chustą. – Wpierw musicie dopuścić mnie do swojego klubu, zanim będę mogła cokolwiek mu wcisnąć.

Bart wciąż marszczył brwi.

– Karen, powiedz nam o planie gry. FBI nie zamierza rozbijać nas komórka po komórce?

– I oskarżyć o konspirację mnóstwo ludzi, którzy nieopatrznie zblądzili? Nie ma mowy – zapewniłam. – W ostatnim biuletynie Wydziału do Spraw Kontaktów z Kongresem oraz Społeczeństwem FBI napisano, że Biuro zajmuje się różnymi ekstremistycznymi grupami mścicieli, lecz jak dotąd nie ma wystarczających dowodów na istnienie konspiracji o ogólnokrajowym zasięgu.

– Co to oznacza? – spytała pośpiesznie Lee.

– Wstrzymują się, próbując wyłapać przywódców – wyjaśnił jej Bart. – Słyszałem wiele dobrego o agencie dowodzącym śledztwem. – Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – McCann kilka lat temu przewodził eksperymentalnej grupie specjalnej nowojorskiej policji oraz agentów federalnych. Zack twierdzi, że zaledwie w ciągu dziesięciu tygodni aresztowano ponad stu zatwardziałych kryminalistów. Szkoda, że McCann stoi po drugiej stronie barykady.



Pod czujnym okiem Kagana nie odważyłam się nawet mrugnąć.

– A może byś tak złożyła raport z postępów akcji, skoro już tu jesteś – zaproponował.

– Możecie powiedzieć Hugh, że nie tylko on ma kłopoty z budżetem. Ponieważ zwalczanie handlu narkotykami ma najwyższy priorytet, FBI dysponuje, tu cytuję: „ograniczonymi środkami w celu walki z bandą mścicieli”.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Zaczęli zbierać się do wyjścia.

Lee musiała wpierv osobiście donieść mi o najnowszych wydarzeniach.

– Nasz symbol lisa pojawia się niemal wszędzie, Karen. Rysowany na murach. Malowany w kolejkach metra. Ludzie przechodzą do ofensywy. To my tego dokonaliśmy.

Czyż to nie fantastycznie podniecające, Karen? Czy nie jesteśmy ważni? Czyż moje życie nie stało się znaczące?

Pragnęłam powiedzieć jej, że z każdym dreszczykiem wiąże się niebezpieczeństwo. Chciałam kazać jej wrócić do pracy w agencji reklamowej. Uśmiechnęłam się i odrzekłam:

– To miłe.

Kagan przejrzał na wylot moją maskę. Miał taki wyraz twarzy jak wtedy, gdy wpadłam na pomysł z lisem.

– Powodzenia w przyszłym tygodniu! – zawołał, jakby wiedział, że będę go potrzebować.

Siedziałam w zaciemnionym pomieszczeniu z ekranem, otoczona rekrutami, których twarze nie mogłam dokładnie obejrzeć. Uderzał mnie język ich gestów – wyrażały nie tylko czujność, lecz także rozochocenie.

Trochę zbyt wiele rozochocenia. Planowanie Misji miało na celu psychiczne przygotowanie Oddziału Zabezpieczającego do akcji. Ci faceci rwali się do niej, zanim jeszcze zdążyłam otworzyć usta.

Nie zwracałam sobie głowy notatkami, po prostu dałam sygnał obsługującemu projektor i zaczęłam na anonimowość całkowitej ciemności.

– Piętnastolatek, który łamie przepisy dotyczące pracy nieletnich – odezwał się, kiedy na ekranie pojawiła się umięśniona postać z ciemną grzywką. – Pracuje w nocy. Niech sam wam powie przy czym.

„Wypatruję frajerów z neserami, wiesz. I zegarkami, dobrymi. Noszących złote łańcuszki. No, mam wydatki!”

– Jeśli chodzi o to, w jaki sposób robi interesy, powiedzmy tylko, że lubi wymachiwać swoim magnum. Dziesięciokrotnie aresztowany oraz dwukrotnie skazany, czy wygląda na zmartwionego? Spójrzcie na niego – popatrzcie, jak śmieje się wam w twarz.

– Następne – poprosiłam.

Zobaczyliśmy nową twarz. Dalszy ciąg tej samej historii.

„Bajerujesz mnie, chłopie? Załatwiam pijaków, staruszki, wszystko, co się rusza. Wpadną mi w oko buty jakiegoś frajera? Biorę je”.

Oni wszyscy „brali je” – jeden kilkunastoletni łobuz po drugim.

Zwiększyłam tempo, slajdy przewijały się jeden za drugim, a ja czułam, że coraz bardziej gniecie mnie w dołku. Zanim dotarłam do kulminacyjnego momentu, uczucie to przygniatało mnie.

– Celem jutrzejszej Misji jest Obojętny, człowiek odpowiedzialny za wypuszczanie na wolność młodych Barbarzyńców jak ten. – Odpowiedzialny za Indio, za moje doświadczenie w zabijaniu. – Sędzia Arthur Younger. Statystyka wyroków skazujących jego sądu dla nieletnich zakrawa na kpinę. Liczba oddaleń woła o pomstę do nieba.

Przez dwadzieścia minut czytałam swego rodzaju dossier sędziego Arthura Youngera. Jak wielu młodych chuliganów oddał matkom, siostram czy starszym braciom, ograniczając się jedynie do słownej reprimendy – „chodź do szkoły i trzymaj się z dala od kłopotów”. Jak wielu spośród wypuszczonych brało się do cięższych przestępstw z użyciem przemocy. Dokumentalne zdjęcia, w kilku przypadkach filmy, pokazywały niektóre ofiary miłosiernych poglądów sędziego – liczono je w setkach bez względu na wiek czy płeć – okaleczone, połamane, przerażone. Niektóre z nich martwe, inne choć żyją, w zasadzie umarły.

Po raz ostatni powtórzyłam jego imię i nazwisko.

– Sędzia Arthur Younger. – Brzmiało niczym trzy pchnięcia sztyletem w ciemność.

Zapalono światła. Wcześniej zauważyłam Kagana, ale teraz już go nie było. Jamie zaczął.

– Bardzo efektowne – komplementował moje wystąpienie. – Jak się czujesz?

– Brudna.

– Zawieźć cię do domu? – zaproponował.

Z trudem powstrzymałam się przed chwyceniem go za ramię. Powoli stawaliśmy się towarzystwem wzajemnej pomocy. Po chwili odważyłam się zadać niepokojące pytanie.

– Jamie, dlaczego nienawidzę sędziego Youngera jeszcze bardziej niż wypuszczanych przez niego kryminalistów?

– Ponieważ wiesz, gdzie znajduje się prawdziwe centrum dowodzenia siłami zła – w jego sali sądowej. Kiedy sędziowie unikają wzięcia na siebie odpowiedzialności, kryminaliści mnożą się jak grzyby po deszczu. Jak się miewa Max?

– Zaprosił mnie na obiad i próbował nakłonić do wycofania się.

– Ciekawe. – Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu, Jamie jedynie trzymał mnie za rękę.

Kiedy dotarłam do mieszkania, zamiast środka nasennego wzięłam valium.

Obudziłam się otepiała. W pracy przez cały dzień unikałam luster.

Odważyłam się przejrzeć dopiero, gdy dotarłam do mieszkania Claudii. Zaczęłam chichotać, czyżby początek hysterii?

– Dobrze, że postanowiłaś przebrać się u mnie – zauważyła Claudia z szelmowskim uśmiechem. – Twój portier w życiu by cię nie przepuścił, Białasko.

Nie w czarnej skórzanej minispódniczce i minipantoflach na dwunastocentymetrowych obcasach.

– Mój róż jest czerwiejszy niż twoja szminka – oceniłam, marszcząc brwi.

– Moja spódniczka jest krótsza, a beret złoty.

Ja włożyłam czarny. Przesunęłam go na bok, stanęłam w wyzywającej pozie, a następnie zmierzyłam wzrokiem moją długonogą przyjaciółkę, która w rytm niesłyszalnej muzyki z wolna wymachiwała złocistą, pasiastą torebką.

– Wygrywasz w kategorii wampów, CC – zdecydowałam. – Chodźmy.

– Jeszcze mnóstwo czasu. Pojedziemy przez West Side.

– A jeśli utkniesz w korku? – spytałam żalując, że nie bierzemy taksówki. – O tej porze dnia zdarzają się często.

– Nocy – poprawiła mnie, opuszczając rolety. Wyszliśmy.

Utknęliśmy już w windzie. Ja, Claudia i mężczyzna, który wszedł na drugim piętrze. Nie przestawał walić z wściekłością w guzik, moje serce łomotało równie szybko, ale starałam się nie okazywać paniki. Utknąć w windzie w drodze na własną Misję?

Claudia nacisnęła czerwony guzik alarmowy. Nic. Zapytałam, czy nadzorca budynku może być nieobecny o tej porze.

– Zapewne nie wróci wcześniej niż jutro po obiedzie. Możemy spędzić tu całą noc.

– Niech pani tak nie mówi! – Mężczyzna był korpulentny, po sześćdziesiątce, jego twarz z minuty na minutę coraz bardziej czerwieniała.

Nie polecam nikomu spędzenia pół godziny w stalowej klatce wśród waleń i wrzasków. Dopiero po takim czasie zjawiała się pomoc w osobie „rycerza” z oddechem przesyconym rumem oraz spojrzeniem odurzonym marihuaną. Nasz cierpiący na klaustrofobię towarzysz akurat w tym momencie osunął się z jękiem na podłogę. Wołałam, żeby sprowadzono doktora, podczas gdy Claudia poluzowała mu kołnierzyk.

Rycerz wrócił z policjantem, który był dla nas dosyć miły, biorąc pod uwagę błyskawiczną ocenę, jakiej dokonał – para eleganckich dziwek. Razem z dostarczeniem nieznanego do ambulansu (nie zmienił koloru skóry, a puls wciąż był wyczuwalny) oraz podaniem szczegółów mundurowemu minęła kolejna godzina, zanim ruszyliśmy w drogę.

– Dokąd? – zastanawiała się na głos Claudia. – O tej porze przedstawienie rozpoczęło się już na dobre. Nie będą...

– Czekaj, daj mi pomyśleć. Kagan wspominał coś o hucznym punkcie kulminacyjnym. Nie chciał zdradzić nic więcej, żeby nie psuć niespodzianki. Ale Tony, chwała mu za to, miał przecucie, by powiedzieć mi gdzie.

– Ten dzieciak pierwszorzędnie podsłuchuje – wycedziła Claudia, hamując przed światłami.

– Może tak poinformowałabyś mnie, dokąd jechać?

– Dwudziesta Szósta, nad Hudsonem.

– Miła okolica. Zdażymy – obiecała, dodając gazu. – Jestem mistrzynią w łapaniu się na zieloną falę.

Rzeczywiście była dobra, chociaż przejechała dwa znaki stop i ostatnie skrzyżowanie na

czerwonym świetle.

– Bingo! – zawołała, kiedy zwolniłyśmy na Dwudziestej Piątej ulicy i minęłyśmy niepozorną procesję. Skręciłyśmy za róg, zaparkowałyśmy i wyskoczyłyśmy w pośpiechu.

To byli oni, w porządku, niecałą przecznicę stąd i podążali w naszym kierunku – mój ośmioosobowy Oddział Zabezpieczający, idący w dwóch rzędach po czterech z sędzią pomiędzy nimi. Przypominali młodocianych na nocnym wypadzie rabunkowym, co więcej właśnie taką grupę udawali. W rzekomej narkotykowej euforii zatrzymali zmierzającego do domu sędziego sądu dla nieletnich – „chcieliśmy cię tylko zabrać na pieprzoną wycieczkę, człowieku!”

– Oto sędzia – wymamrotała Claudia.

Szedł ściśnięty pomiędzy ciężarowcem a facetem, którego Jamie nazwał nowym protegowanym Kagana – wąskim w biodrach, płowowłosym mężczyzną sprawiającym wrażenie, że powinien paść bydło na polu, zamiast pracować w nieciekawych okolicach Nowego Jorku. Wydawał się piekielnie zdziwiony na nasz widok.

Ruszyłyśmy niczym tylna straż za ośmioma sportowymi kurtkami i jednym porozrywany granatowym garniturem – sędzia w żaden sposób nie mógł się nam przyjrzeć.

Ale ja obejrzałam go doskonale. Arthur Younger nie przestawał mrugać – gdzieś po drodze zgubił okulary w srebrnych oprawkach. Na górnej wardze zaschła mu odrobina krwi, swego rodzaju jednostronny wąsik pod orlim nosem. W jego postaci nie pozostało już nic władczego – rozbiegane oczy, zaciśnięte usta, przygarbione barki. Ręce mu drżały.

Przed oczyma wciąż miałam te wypiełgnowane palce.

Czekałam bardzo długo. Nawet na jawie przeżywałam makabryczne sny. Radujący duszę widok, czyż nie?

Kiedy zbliżyliśmy się do Dwudziestej Szóstej ulicy, zauważyłam podążającą chodnikiem w naszą stronę parę – kształtna, młoda dziewczyna w krótkiej spódniczce, chwiejąca się od jednego drinka ponad miarę. Jej towarzysz, w garniturze, w krawacie, był zbyt zajęty swoją partnerką, by pomyśleć o przejściu na drugą stronę opustoszałej ulicy. Właściwie nikt nic nie zrobił. Sygnałem ostrzegawczym było zachowanie idących z przodu – protegowany Kagana obrócił się, przechylił głowę i jedną rękę wsunął do kieszeni. Po nóż?

– Ani mi się waż – syknęłam, zanim zdążył wydać rozkaz, by Misja przeciwko Obojętnemu przekształciła się w prawdziwy napad. Zmierzył mnie wzrokiem. Jego oczy błyszczały w świetle latarni, ale wyjął dłoń z kieszeni, podczas gdy para nieznajomych przebrnęła przez naszą grupę niczym łódka przez zaminowany port.

Dwudziesta Szósta ulica przy rzece Hudson. Zwolniliśmy, skręciliśmy.

I praktycznie wpakowaliśmy się na zaparkowany przy krawężniku policyjny wóz patrolowy!

Sędzia wyswobodził się i rzucił w stronę policjantów.

Usłyszałam strzały i odwróciłam się, by zobaczyć broń w dłoni dowodzącego Oddziałem.

Claudia pchnęła mnie na ścianę budynku.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam glinę wiszącą na kierownicy, jego partner opierał się

głową o zbryzganą krwią przednią szybę. Sędzia leżał nieprzytomny na chodniku.

– O mój... Boże! – dyszała Claudia. Potknęłam się przez te przekłete obcasy.

Leżący na kierownicy czarnoskóry policjant wyprostował się. Zack? „Zakrwawiona” głowa nie opierała się już o szybę, spod czapki wysunęło się kilka kosmyków długich ciemnych włosów. Partnerka? Angela?

Huczny moment kulminacyjny dopełniała sztuczna krew oraz ślepaki. Zanim zdążyłam się odezwać, nie wspominając już o zapanowaniu nad nogami, cała scena rozświetliła się jak na planie filmowym.

– Co jest, do cholery? Zgaś to świństwo! – wrzasnął Zack.

Angela, zasłaniając oczy jedną ręką, mrugała niczym zwierzę zahipnotyzowane światłami pędzącego samochodu. Tym świństwem był reflektor, którego człowiek Kagana dłuższy czas nie gasił.

– Przepraszam – mruknął, kiedy znowu zaległa ciemność.

Przepraszam? Gdyby sędzia nie zemdlął, to przekłete światło pozwoliłoby mu przyjrzeć się dokładnie swoim niedoszłym wybawicielom – Zackowi i Angeli. Czy człowiek Kagana był szalony? A może Kagan?

– Lepiej sprawdź, co z Wysokim Sądem! – zawołał do Zacka. – Facet nie wygląda za dobrze.

Zack wyskoczył z samochodu i przyklęknął, Angela zaraz za nim.

– Zatrzymanie pracy serca – powiedział do niej, trzymając palce na przegubie. – Koniec imprezy. Wszyscy zmiatać – rozkazał, nie podnosząc wzroku.

Oddział Zabezpieczający rozproszył się, podobnie jak w czasie misji Tony’ego.

Claudia i ja zostałyśmy na miejscu. Obserwowałyśmy. Pięć uciśnieć na każdy oddech. Pożółkła skóra – stan o wiele gorszy niż u mężczyzny z windy. Czulałam pulsującą w moich skroniach krew.

– Mam tętno – oświadczył spokojnie Zack. – Wraca do nas – przyznała z ulgą Angela.

– Spadajcie stąd, wszystkie – polecił Zack. – Zawiozę go do szpitala. Angie, pozbadź się munduru.

Skręciłyśmy za róg, a Angela rozbierała się po drodze.

Obie z Claudią zdjęłyśmy buty na obcasach. Wszystkie trzy popędziłyśmy jak szalone do samochodu.

Jechałyśmy autostradą, tym razem całkowicie zgodnie z przepisami, kiedy odezwała się Angela.

– Właściwie spodziewałam się czegoś podobnego. Cholera. – Zapaliła jedną ze swych cygaretek. – Wiecie, o co się dzisiaj otarliśmy? O morderstwo.

Claudia drugi raz tego wieczora przejechała na czerwonym świetle.

– Ten sędzia chyba nam nie umrze?

– Nic mu nie będzie.

– Ale gdyby umarł – stwierdziłam – bylibyśmy...

– W oczach prawa – mordercami. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu.

Claudia zatrzymała się dwie przecznice przed garażem firmy wynajmującej samochody, żebyśmy z Angelą mogły wysiąść. Ze względów bezpieczeństwa musiałyśmy jechać osobnymi taksówkami.

Nim Angela wsiadła do swojej, oświadczyłam:

– Musimy porozmawiać. Ty, ja, Zack, Jamie.

– Claudia?

– Dlaczego powiedziałaś to w taki sposób?

– Nie jest jeszcze gotowa do odejścia i ty o tym wiesz. Porozmawiamy – odparła, wzruszając ramionami.

W drodze do domu rozmyślałam o problemach, które pozostały niedopowiedziane. Widziałam to po jej twarzy. Łatwiej jest wstąpić, niż odejść.

Ścierałam właśnie resztki czerwonej szminki (większość wytarłam, zagryzając wargi podczas reanimacji sędziego), kiedy zauważyłam światło wydostające się spod moich drzwi. Weszłam raczej zadowolona niż wściekła.

– Kolejny dorobiony klucz? – spytałam Jamiego w zasadzie wcale nie zdziwiona.

– Masz rozmazany tusz. Siadaj. Musimy przedyskutować kilka spraw.

– Też tak sędzę. Kiedy opowiem ci, co się dzisiaj działo...

–Przed chwilą zrobiła to Claudia. Odebrałam, kiedy zadzwoniła parę minut temu. Sprawdziła właśnie kilka szpitali. Mężczyzna, którego spotkałyście w windzie, wyszedł ze szpitala dziesięć minut po tym, jak go tam dowieziono. Wygląda na to, że jedynym pacjentem z prawdziwym atakiem serca był sędzia Arthur Younger, na szczęście czuje się już lepiej.

Usiadłam na krześle.

– Jamie, co się dzieje?

– Pierwszorzędna rozgrywka szachowa, z matem dla ciebie.

Jamie nabrał pewnych podejrzeń, kiedy powiedziałam mu, że Max chciałbym w ostatniej chwili wycofała się z Misji. Dlaczego, przy tak wielkiej stawce? Dlaczego w przypadku Misji przeciwko Obojętnemu, podczas której nie groziło mi żadne szczególne niebezpieczeństwo i było mało prawdopodobne, aby komukolwiek stała się jakaś krzywda?

– Kagan postrzega Maxa jako „panikarza”, zgadza się? Doszedłem do wniosku, że z Maxem skontaktował się jeden z informatorów Kagana, dając mu w ostatniej chwili cynk. Twoja Misja może zakończyć się źle, nawet przemocą. Łatwo się domyślić, co Max zrobiłby z taką informacją.

– Co? – spytałam, przyjmując szklaneczkę własnej brandy.

– Skoczyłby w ogień, byle cię tylko ochronić. Zaplanowałby, że pojawi się na miejscu, w którym miał nastąpić kulminacyjny moment dramatu. Tylko na wszelki wypadek, nie na widoku, lecz uzbrojony.

– Ale skąd miałby wiedzieć, gdzie i kiedy.

– Że na Dwudziestej Szóstej ulicy przy rzece Hudson? Wiedział doskonale. Kagan tego dopilnował. Max wiedział i byłby tam dzisiaj, gdybym go nie wykiwał.

– Zadzwońeś do niego?

– I powiedziałem, że właśnie do mnie telefonowałaś, bo nie mogłaś go złapać. Poinformowałaś mnie, że Stowarzyszenie nie ufało ci wystarczająco, by zdradzić prawdziwe miejsce Misji. Dwudziesta Szósta ulica to tylko bluff, który miał być w ostatniej chwili odwołany. Podałaś mi jakieś niejasne wskazówki dotyczące Brooklynu, że niby tam odbędzie się prawdziwa akcja, i odwiesiłaś słuchawkę.

– Dał się nabrać? Jamie, skąd możesz wiedzieć, że się nabrał?

– Wiem, ponieważ pojechałem z nim miotać się na ślepo po Brooklynie. Jestem wykończony. Więcej brandy?

– Czysty absurd! – podsumowałam, podobnie jak on omal nie wybuchając śmiechem. – W takim razie korpulentny facet z windy...

– To pułapka, żeby zatrzymać ciebie, a co ważniejsze Claudię, z dala od tej Misji, nie wzbudzając twoich podejrzeń. Gdyby Max połknął haczyk i zjawił się, jak się tego spodziewał Kagan.

– Rozpoznałby Claudię – powiedziałam z wahaniem. – Spotkał ją kilka razy. Wie, że jesteśmy bliskimi przyjaciółkami.

– Właśnie, ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy razem z Maxem wyruszyliśmy do Brooklynu, on zabrał kamerę. Typowe działanie operacyjne w przypadku zasadzek. Claudia powiedziała, że samochód policyjny został oświetlony reflektorem.

– Wyglądało to na umyślną robotę. Co Kagan chciał zyskać?

– Zdjęcia. Zapewniłyby mu prawdziwą siłę przetargową, nie rozumiesz? Sposób na utrzymanie cię w szeregach. Chciał cię kontrolować przez Angelę i Zacka. Spróbuj mu podpaść, a dostarczy FBI nazwiska pasujące do zdjęć nakręconych przez Maxa.

– Wydałby Zacka i Angelę jedynie po to, żeby powstrzymać mnie przed odejściem?

– Aby nie pozwolić ci zmienić obozu. Zdaje sobie sprawę, że ty i Max zaczynacie się w sobie zakochiwać.

– Przecież to za tobą rzekomo szaleję – zdziwiłam się.

– Kagan wyciągnął ze mnie prawdę – odparł, unikając mojego, wzroku. – Którejś nocy wypilem za dużo.

– Wciąż zbyt dużo pijesz. Musisz z tym skończyć. Potrzebuję cię. Niektórzy z nas chcą odejść, Jamie. Ja tego chcę, bez mówienia Maxowi, szybko, ale... wiem, że trzeba powoli.

– Bardzo powoli – odrzekł. – Max dostał cynk o tajemniczej kobiecie na szczycie działu administracyjnego Stowarzyszenia. Przyjmuje, że to piękna blondynka, którą zauważono w Atlancie.

– Biedna Lee.

– Ona odsuwa od ciebie podejrzania. – Ujął moją dłoń. – Wolę, żeby Max nadal myślał, iż

nie masz pojęcia o naszych staraniach pozyskania opinii publicznej. Nie chcę, żebyś kruszyła kopie z Kaganem, dopóki się nie upewnię, że nie może wskazać cię palcem. – Zerknął na zegarek. – Lepiej zadzwonić do panikarza.

– Mój Boże – zerwałam się – Max będzie się zastanawiał...

– Czekał. Najpierw pomyśl. Musisz potwierdzić moją historię i dorzucić od siebie parę szczegółów. Powinno to brzmieć przekonująco... dlaczego nie zdołałaś go złapać i jak w końcu udało ci się dodzwonić do mnie ze swoim SOS.

– Powiem, że zawsze wiem, gdzie szukać swojego psychiatry... awaryjny numer i tak dalej. Z drugiej strony Maxa nie jest wcale tak łatwo znaleźć, szczególnie gdy nie ma czasu na zostawianie wiadomości.

– Brzmi nieźle. Ironia losu, nieprawdaż? – zastanawiał się na głos Jamie. – Kagan wie, że nie jesteśmy kochankami, Max uważa, że jesteśmy.

– Uważa, że byliśmy. Zmarszczył brwi.

– Wyczułem coś dzisiaj w jego stosunku do mnie.

– Jamie – szepnęłam – co z nami będzie?

– Nic, przed czym nie ochroniłby cię twój anioł stróż. Uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł.



## Rozdział 29

Pochmurny piątek na wsi przerodził się w deszczowy. Piknik z Maxem w zaparkowanym samochodzie. Nie najlepsza powtórka naszej pierwszej randki. Postęp, biorąc pod uwagę fakt, że nie musiałam wygłupiać się z bronią. Max podał mi sałatkę z jajek doprawioną kielkami zbożowymi.

– Już lepiej wyglądasz. Jesteś mniej spięta.

Ale czułam się gorzej wiedząc, że wyjeżdża do Waszyngtonu.

– Czy w poniedziałkowy wieczór będziesz wolna, by zjeść ze mną kolację?

– Wrócisz tak szybko? A może dla odmiany zrobiłabym ją sama?

– To mi odpowiada. – Uruchomił silnik.

Nie mogłam przyzwyczać się do tych sztywnych odzywek. Czy rzeczywiście sądził, że Jamie i ja z powrotem byliśmy razem? Dlaczego, przecież nie dałam mu najmniejszego powodu?

– Polne drogi – narzekał, omijając dziury.

– Nie asfaltują ich, bo to kraina koni.

Zahamował gwałtownie.

– Zaczekaj tu. – Wysiadł z samochodu.

Zobaczyłam, jak pochyła się nad kupką szarego futra. Westchnęłam, wsuwając dłonie do kieszeni, w których akurat w danej chwili nie było krakersów.

– Wiewiórka? – spytałam wysiadając.

– Kot. Ktokolwiek go potracił, nie zatrzymał się. Nie patrz. Poczekaj chwilkę.

Zdjął wiatrówkę – jasnoniebieskie nosze dla sterty martwego futra. Patrzyłam, jak przenosi go na bok drogi i delikatnie stacza na ziemię. Kiedy wrócił, na jego wiatrówce widniała półkolista plama. – Przykro mi, Karen – powiedział na widok mojej twarzy.

– Mam już dość oglądania śmierci!

Przytulił mnie do piersi.

– Nie będziesz sama podczas mojej nieobecności? – zapytał, kiedy znaleźliśmy się w samochodzie. – Jamie będzie w pobliżu? – W jego głosie słyszałam troskę.

Wzruszyłam ramionami. Zapuścił silnik. Nie byliśmy jeszcze na dawnej stopie, lecz powrót na Manhattan odbywał się w przyjaznej ciszy.

W poniedziałki nie musiałam wdrażać się na nowo do pracy, pracowałam przez całe weekendy. Agencję Kemp & Carusone traktowałam jak odrzuconego kochanka, nad którym kobieta zastanawia się później, cóż takiego w nim widziała. Wciąż lubiłam razem z Larrym rozgryźć trudne problemy, ale on był zbyt skrupulatny, by nie zauważyć mego ogólnego braku entuzjazmu dla wykonywanej pracy. Robiłam dobrą minę i mnóstwo paliłam, Larry natomiast

przechadzał się dookoła z zaciśniętymi ustami, jakby czekał na moją rezygnację.

Nastrój poprawił mi się nieco pod koniec dnia. Po drodze do domu wpadłam do sklepu po pieczywo i lody. Mój nieco lepszy humor musiał się udzielić portierowi, który zawsze miał nieprzeniknioną twarz pokerzysty. Jego głupawy uśmiech wydawał się nie na miejscu.

Ledwie postawiłam stopę w przedpokoju, a już wiedziałam, że podczas mojej nieobecności ktoś w nim był. Harmonijkowe drzwi kuchenne zostały otwarte, drzwi do łazienki dla gości zamknięte. Powinno być na odwrót. Wyjęłam ze stojaka parasol i zaczęłam się skradać na palcach.

Z łazienki dochodziły osobliwe dźwięki. Pieczywo i lody wylądowały na dywanie, uniosłam do góry swą prowizoryczną broń i sięgnęłam w stronę klamki. Teraz!

Dostrzegłam kolor i kształt – dwie pełne energii kulki wytoczyły się ze swojego więzienia. Dwa malutkie kotki. Widok samej siebie w lustrze, dzierżącej w dłoni wielki parasol, sprawiał komiczne wrażenie. Przyszło mi na myśl kilka starannie dobranych przekleństw. W wannie znalazłam pudełko pełne kocich nieczystości oraz wypisaną szminką na apteczce wiadomość, która przyprawiła mnie o łzy.

„Miłość na odległość może być bardzo samotna”.

Poniekąd spodziewałam się, co zastanę w kuchni. Jednak pomyliłam się nieco. Zamiast jednej puszki z kocim żarciem, była ich tam cała półka! Zauważyłam, że zostały uzupełnione zapasy krakersów. Na stole stały dwie cytrynowożółte miseczki podpisane NAKARM KOTA. Dołączona karteczka wyjaśniała, że moi dwaj nowi lokatorzy byli bratem i siostrą, którym groziła eksmisja z pewnej greckiej kawiarni, właścicielom kończyła się bowiem umowa najmu. Ostatnia linijka oznajmiała: „One cię potrzebują”.

Nie stać mnie na bycie potrzebną, Max. Nie parze bezdomnych kotów i nie tobie. Nie teraz.

Zajęłam się poszukiwaniami, kierując się odgłosami dobiegającymi spod i spoza mebli w salonie. Dostrzegłam w końcu bursztynowe oczka oraz cudowny pyszczek – ciemnoszary z jednej strony, pomarańczowo-biały z drugiej. Kotka weszła, zwabiona bujaniem frędzelków od poduszki, pozwalając mi podziwiać podobny deseń, który odwrócony biegł przez całe jej ciało.

Szarobiła smuga przemknęła w powietrzu. To jej brat badał szczyt kredensu swoimi długimi białymi łapkami. Spojrzał na mnie z góry dociekliwie – jego oczy wyglądały, jak podkreślone tuszem – i oblizwał pyszczek. Aluzja zrozumiana.

Wyszłam z kuchni, niosąc żółte miseczki... i wybuchłam śmiechem. Kotek popatrzył na mnie znad leżącego na dywanie kramu, jakby pragnął powiedzieć „Komu potrzebne kocie żarcie, skoro podają roztopione lody?”

Zanim zjawił się Max z uśmiechem winowajcy oraz czerwonymi różami, mogłam już przedstawić ich sobie nawzajem.

– Poznaj parę niestrudzonych odkrywców – oznajmiłam, trzymając na ręku oba koty. – To jest Marco, a to jego siostra Pola, dziewczęce imię od Polo. Młodzieży, poznajcie swata o nazwisku McCann.

– Już zakochana?

– Próbuję się przed tym ustrzec. Max, one nie mogą tu zostać.

– Dlaczego nie? – zapytał, podążając za mną do kuchni. Wyjęłam z piekarnika kolację. – One potrzebują domu. Ty potrzebujesz...

– Nie kończ. Słuchaj, znajdę im... odpowiednie warunki. Naprawdę – dodałam, kiedy wybuchnął śmiechem.

Ja wybuchłam płaczem. Max wziął mnie w ramiona.

– Karen – Karen, Karen – szepnął kojąco. Odsunął mnie od siebie na ułamek sekundy, który dokonał przemiany w nas obojgu. Jego dłoń spoczęła na moim policzku. Oparłam się o nią. Przymrużył oczy, palcem dotknął kącika moich ust. – Moja kochana. – Nogi się pode mną ugięły.

Chwytał mnie, jego ramię zacisnęło się wokół mojej talii, usta przekraczały chciwie bariery... w poszukiwaniu ukrytych miejsc.

Pokonywał je jedną po drugiej. Odkrył wszystkie.

Leżałam naga na łóżku, którego już od bardzo dawna z nikim nie dzieliłam. Pomyślałam, że powinnam czuć się nieswojo, jak zwykle po pierwszym zbliżeniu. Zamiast tego miałam wrażenie, iż wreszcie znalazłam się w domu. Poruszyłam się, żeby wstać, lecz Max przyciągnął mnie do siebie, niemal jakby brał mnie pod swoje skrzydła.

– Zamknij oczy – mruknął, własne mając ledwie uchylone. – Zostań ze mną. Śpij ze mną.

Zostałam, dopóki rytm jego oddechu nie pozwolił mi odejść.

Włożyłam szlafrok i uciekłam do gabinetu – by z wściekłości zapalić, popłakać w ciszy i przeklinać dzień, w którym przyjąłam zaproszenie na wigilijne spotkanie. Kobieta w matni, bez szans, by się z niej wydostać.

Bez szans?

„A może tak spróbowałabyś naszkicować tego mężczyznę z pogrzebu?”

Z zamykanej szuflady biurka wyjęłam teczkę – szkice Kagana, w zasadzie karykatury. Rysowałam je bez przerwy od czasu tamtego dnia w Waszyngtonie. Staralam się uchwycić podobieństwo, jednak udało mi się jedynie narysować szyję wygiętą pod dziwacznym kątem. Człowiek o twarzy łatwo umykającej z pamięci. Żadnych znaków szczególnych, powiedziałaby Bernard Rees.

Kagan nie stanowił jednak jedyne problemu.

Sięgnęłam po szkicownik, przez chwilę wahałam się, a następnie narysowałam głęboko osadzone oczy, gęste czarne włosy oraz uśmiech jak z reklamy pasty do zębów. Earl Bartholomew alias Czarny Bart. Czy w umyśle Kagana zajął on już miejsce Jamiego? Czy wewnątrz zarządu organizacji działało mniejsze koło stanowiące najnowszy ośrodek władzy? O’Neal z pewnością by do niego należał, pomyślałam i naszkicowałam całą jego postać – żaden problem, kiedy model przypomina trykającego barana.

Wszedł Max. Kiedy zbierałam w pośpiechu wszystkie rysunki, chowałam je do teczki i wrzucałam do szuflady, przyszło mi do głowy, że Jamie kolejny raz miał rację – czynności

wykonywane automatycznie, w przeciwieństwie do tego, co mówimy lub myślimy, uświadamiają nam, kim jesteśmy. Przykro mi, Max.

– Chodź za mną do kuchenki mikrofalowej – poleciłam mu z uśmiechem. – Chyba że nie masz ochoty na odgrzewaną zapiekankę z brokułami?

– Z restauracji „Zabara” czy własnej roboty?

– Sam się przekonaj.

– Domowej roboty – odgadł z uśmiechem już po kilku pierwszych kęsach. – Kobieta interesów, która na dodatek potrafi gotować.

Max spoważniał, kiedy zeszliśmy na temat zbliżającego się spotkania. Zapytał, czy się nim denerwuję. Powiedziałam mu, że tylko troszeczkę, wrzesień wydawał się odległy o całe lata świetlne. Widziałam, że go nie przekonałam. Pomyślałam, iż wiem, co go gryzie.

– Więc Rees uważa, że zapropnują mi przyłączenie się?

Zmarszczył brwi zakłopotany.

– Może być jeszcze za wcześnie, lecz jeśli się nam poszczęści, poznasz kogoś ważnego. Im szybciej to się stanie, tym prędzej się od tego uwolnisz.

– Max, przestań się zamartwiać.

Wziął mnie za rękę.

– Jamie martwi się o ciebie podobnie jak ja? – spytał mimowolnie.

– Wątpię – odparłam automatycznie.

– Nie mam ci tego za złe – odpowiedział z wahaniem – teraz gdy go już poznałem.

– Czego nie masz mi za złe, Max?

– Że... do niego wróciłaś. Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór...

– Nie waź się zań przeproszać.

– Słuchaj – powiedział, puszczając moją rękę – wiem, że go wciąż kochasz.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz.

– W takim razie, dlaczego ciągle z nim sypiasz?

Gdybym nie udręka w jego głosie, wymierzyłabym mu policzek.

Słuchałam, jak Max potwierdza rzecz, w którą nie chciałam uwierzyć, pomimo iż Kagan mnie przed nią ostrzegwał – inwigilację ze strony FBI. Jak Rees nalegał. Jak Max w końcu się zgodził, ze względu na potencjalne zagrożenie, na które mnie narażał. Jak to stanowiłam nudny, choć czasami wymykający się spod ochrony obiekt.

Aż do wieczora, kiedy pojechałam do domu i zaraz wyszłam (zdenerwowana manipulacjami Jamiego zapomniałam o ostrożności). Wieczora, gdy pojechałam do mieszkania Jamiego, żeby sobie wszystko wyjaśnić, zostałam na kolacji i... wyszłam następnego ranka. (Światła zgasły nie tylko na oczach informatorów Kagana.)

Odwołali swoich ludzi dopiero tej nocy, gdy razem z Claudią odgrywałyśmy dziwki, a Jamie zwabił Maxa do Brooklynu (dzięki Bogu!), bojąc się zaszkodzić mojej Misji.

– Nie korzystaliście dla odmiany z usług portiera? – spytałam chłodno. – Co jeszcze,

podsluch w telefonie?

– Na to nigdy bym nie zezwolił – odparł z taką miną, jakby przed chwilą kopnięto go w brzuch.

Czas na odwilż! Karen Newman, mistrzyni podwójnej gry oraz oszustwa, na swym wspaniałym rumaku. Szybko schowałam kolce.

– Nieważne, Max – oznajmiłam. – Robiłeś to, co było konieczne. Ale mylisz się, jeśli chodzi o tę noc spędzoną u Jamiego. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, nie kochankami.

– Więc dzisiejszy wieczór był... nasz?

Łzy w jego oczach sprawiły, że zapłakałam.

Przytuliłam się do niego.

W naszym uścisku nie było przerywającej tamy gwałtowności. Tym razem pochłoneła mnie jego czułość. Powolna, rozdzierająca słodycz jego dłoni. Sposób, w jaki pojękiwał, kiedy go pieściłam. Wyznania, niedopowiedziane, jak gdyby mówienie ich na głos mogło uczynić je nieodwołalnymi. Słowa pozostawione w zawieszeniu, jakby nazwanie naszych uczuć mogło na zawsze je pogrzebać.

W końcu powiedziałam sama do siebie:

– Jesteś pierwszy, jedyny, najukochańszy... nieunikniona kulminacja nie tylko tej jednej nocy.

Przytulił mnie mocno. Z siłą człowieka pozbawionego wątpliwości oraz wewnętrznych konfliktów.

Zapatrzyłam się w sufit wiedząc, iż pewnego dnia dostarczę mu zarówno jednych, jak i drugich.

## Część 5

### Przyczynowość

*Pomyśl tylko, o ile  
dotkliwsze są konsekwencje  
naszego gniewu niżli działania,  
które ten gniew wywołały.*

Marek Aureliusz  
*Rozmyślenia, Księga II*

## Rozdział 30

Claudia powitała mnie w progu taksującym spojrzeniem.

– Co się dzieje? Od lat nie wyglądałaś tak dobrze. Weszłam do środka i przejrzałam się w lustrze. Miała rację.

– A co powiesz o mnie? – spytała, krygując się.

– Co się stało z twoimi włosami? – Niegdyś gładkie i proste teraz zostały zastąpione przez rozczochraną płataninę opadającą na kark.

– Powrót do korzeni. Stan nazywał mnie kiedyś czarnym odpowiednikiem Sheeny, Królowej Dżungli. Co o nich sądzisz?

– Potargane i puszyste – odparłam. – Podobają mi się. Często widzisz Staną?

– Chodzi ci o to, czy wciąż wyciągam od niego informacje na temat grupy specjalnej? Ostatnio tylko same drobiazgi. Według Kagana to oznacza, że coś się szykuje. A jak idzie z McCannem? – Uśmiechnęła się. – To on jest powodem naturalnych rumieńców na twoich policzkach?

– Chyba nie spodziewasz się, że ci na to odpowiem. A jak z tobą i Stanem?

– Przyjęłabym go w każdej chwili, i on o tym doskonale wie.

– Niezły pasztet, on byłby oddanym policjantem, a ty mścicielką. Gotowa jesteś odejść ze Stowarzyszenia, CC? – spytałam, korzystając z okazji.

Zbyt długo wahała się z odpowiedzią, a to zły znak.

– Zdaje się, że bym musiała.

Zasiadłyśmy do stołu. Claudia przygotowała swoją specjalność – lasagnę ze szpinakiem oraz czosnkowe pieczywo. Popłynęło wspaniałe beaujolais nouveau. Powiedziałam, że z przykrością przyjąłabym wiadomość o rzuceniu przez nią szkoły. Poinformowała mnie, że to jedynie tymczasowo.

– Pewnie – odrzekłam – podobnie jak zamykanie sklepów w pobliżu supermarketu.

– Właściwie po co przyszłaś, pomijając jedzenie i towarzystwo?

– Organizuję spotkanie. Ty, ja, Angela i Rosa, Zack. Może Jamie. Już czas, byśmy podzielili się naszymi uwagami.

– A mamy jakieś?

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Chciałabym, żebyś wzięła w tym udział.

– Czemu nie? Tylko nie przed Świętem Pracy.

Przed następną Misją. Jej zapal kazał mi zapytać dlaczego.

– W trzech słowach? Czarnoskóre ofiary przestępstw. Podczas gdy my oczyszczamy rynsztoki w getcie, pewna nowojorska święta krowa ponownie je wypełnia.

– Naszym celem jest obrońca sądowy? – zdziwiłam się.

– Jeśli mam cokolwiek do powiedzenia, ta Misja będzie kulminacją wszelkich innych wymierzonych przeciwko Obojętnym. – Odchyliła się do tyłu. – A tak się składa, że mam...

Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Przypomniałam sobie wieczór, kiedy się poznałyśmy. „Bubki” – tak brzmiał pierwotny werdykt wydany przez Claudię podczas tamtego sylwestrowego przyjęcia. Ale Stan wprowadził ją do towarzystwa i Claudia zaczęła postrzegać adwokatów, przede wszystkim tych młodszych, jako członków uniwersalnego bractwa. Nazywała ich Wielkimi Obrońcami. Przypomniałam jej o tym.

– No więc zmieniłam się. Mój obecny stosunek do nich, gdyby ktokolwiek pytał, jest całkowicie Szekspirowski. Pozabijajmy wszystkich adwokatów.

– Sądząc po publikowanych w gazetach listach do redakcji, mogłabyś założyć klub.

– A jak myślisz, kto jest za to odpowiedzialny? Adwokaci, którzy dzięki nam ostatnio wiele stracili w sondażach popularności, a teraz robią wszystko, żeby odzyskać pozycję. Załatwimy ich podczas imprezy, którą urządzają w Święto Pracy – oznajmiła z ponurą satysfakcją, która zupełnie do niej nie pasowała. – Na twoim miejscu za nic nie chciałabym tego przegapić.

– A jak uniknę rozpoznania przez byłego męża?

– Coś wymyślisz. Więcej lasagni?

– A ty nie będziesz miała podobnego problemu? – spytałam.

– Żona Staną? Rzeczywiście, będzie tam. Z jej ust sączył się jad.

– Czarnoskóre ofiary przestępstw – zakpiłam – czy osobista wendeta? Claudio, to do ciebie niepodobne.

– Nie bądź głuptasem – powiedziała już normalnym głosem. – Pani adwokat jedynie pełni rolę lukru na cięcie. Jeszcze wina? – Podałam jej kieliszek. – Być może masz rację w sprawie przynależności do organizacji – oświadczyła, wpatrując się w płomień świecy. – Kiedyś miałyśmy wiele innych wspólnych tematów, a nie tylko narastającą falę przestępczości.

– Proponuję powrócić do dawnych zwyczajów.

Trąciłyśmy się kieliszkami w niemym toaście.

W jednej chwili zniknęło napięcie, gorycz i smutek. Na ich miejsce pojawiło się wspólne przekonanie, iż niektóre sprawy są ważniejsze niż zagadnienia praktyczne, a nawet związane z nimi niebezpieczeństwa. Byłyśmy głupie, że pozwoliłyśmy, by ta czy jakakolwiek inna sprawa przesłoniła nam prawdę, to jak wiele nawzajem dla siebie znaczymy.

Wyszłam przekonana, że udało nam się osiągnąć rzecz z pozoru niemożliwą. Z powrotem kontrolowałyśmy nasz własny los.

Zanim nadszedł dzień imprezy, utraciłam już nieco pewności siebie. Pragnęłam być pod ręką podczas tego ciekawie zapowiadającego się spektaklu (postarałam się, żeby Allan mnie zaprosił), lecz po namyśle zaczęłam trochę żałować, iż nie spędzę weekendu poprzedzającego święto razem z Maxem. Zaczęłam kartkować starą podkładówkę.

Pytanie: Co jest ulubionym zajęciem adwokatów? Odnotowywanie wyników. Zaznaczanie



„zwycięstw” za każdym razem, kiedy jakiś przepracowany sędzia da się nabrać na ich standardową śpiewkę („brak jakiegokolwiek kryminalnej przeszłości, Wysoki Sądzie”). Za każdym razem, gdy łobuz napadający ludzi na ulicach albo z bronią w ręku rabujący sklepy odchodzi wolny.

Za każdym razem jak w przypadku mojej córki, kiedy nieletni morderca przekazywany jest pod opiekę matki.

„Zbyt wielu adwokatów – napisałam – rozwija umiejętności zawodowe, a najważniejsza spośród nich nosi nazwę »racjonalizacji«. Uzbrojeni w nią, postrzegają samych siebie jako obrońców systemu”. Bez niej, moim zdaniem, nie przespaliłyby spokojnie ani jednej nocy.

Odłożyłam dokument. Przegrywasz, Max.

Przed nadejściem południa byłam w drodze do miejsca w Central Parku, które zapewne bardziej przywykło do koncertów rockowych niż podobnych imprez – drugi błąd Adwokatury. Pierwszy to sama decyzja zorganizowania czegoś podobnego. Dlaczego w tak jawny sposób przechodzić do obrony? Czemu nie opublikować raczej serii reklam, rozgłaszających niektóre osiągnięcia, by przyćmiły najbardziej rzucające się w oczy porażki?

Przynajmniej mieli szczęście do pogody – mnóstwo słońca, cudowne bezchmurne niebo, które nawet w najwierniejszych Manhattanowi mieszkańcach wzbudzało tęsknotę za dniem spędzonym na wsi zamiast w parku. W miarę jak gęstniał tłum, czułam się coraz bardziej nie na miejscu – kobieta w czarnym płóciennym kostiumie oraz jaskrawoczerwonej bluzce, kierująca się w stronę zarezerwowanego miejsca na podwyższeniu. Ostatnio zazwyczaj starałam się nie rzucać w oczy.

Allan pomachał ręką. Sprawiał wrażenie, jakby potrzebował moralnego wsparcia.

Ja natomiast ofiarowałam jemu i jego kolegom jedynie grzeczną pogawędkę, podczas gdy sama walczyłam z ogarniającym mnie zniecierpliwieniem. Kiedy ktoś zaczął narzekać na „przekłete statystyki dotyczące przestępczości, które kosztowały nas utratę społecznego poparcia”, pozwoliłam sobie na wyrzut. „Statystyki? To są prawdziwi ludzie padający ofiarą napadów dokonywanych przez łobuzów, których wypuszczacie”.

Bez komentarzy. Kilka osób wydawało się zaskoczonych...

Nie Allan. Już nie raz od czasu śmierci naszej córki słyszał moje gorzkie uwagi.

– Wygląda na to, że prawie wszystkie miejsca będą zajęte – oznajmił, patrząc na rzędy ławek. – Około ośmiuset osób.

Biorąc pod uwagę fakt, że dysponowali pięciuset adwokatami oraz dwa razy większą liczbą innych pracowników, prawdopodobnie rozmyślnie zapełnili wszystkie miejsca. Jednak nie do końca, Kagan czuwał w pobliżu. Z mojego narożnego krzesła roztaczał się zwodniczy widok – ludzie rozluźnieni, w dżinsach, szortach oraz jaskrawych bawełnianych koszulkach, wiele uśmiechniętych twarzy zwróconych ku słońcu. Cisza przed burzą? W końcu miała to być swego rodzaju Aktywacja zorganizowana przez Adwokaturę. Cokolwiek planował Kagan, chodziło na pewno o coś niszczycielskiego.

Parę pierwszych rzędów zarezerwowano dla wysokich rangą pracowników Adwokatury, którzy woleli ławki od krzeseł na podwyższeniu. Żona Stana, Jan, siedziała na jednym z nich, rozglądając się wokoło z widocznym podekscytowaniem. Jej wzrok spotkał się z moim, wymieniliśmy ukłony i uśmiechy.

W zasadzie nie spodziewałam się zobaczyć Stana – tego rodzaju imprezy nie były w jego stylu. A jednak proszę, kręcił się na uboczu. Na służbie czy już wolny od obowiązków?

– No cóż, nie wiedziałem, że tu będzie – odparł Allan, gdy pokazałam mu Stana. – Jan nic mi nie mówiła.

Na służbie. Dziwne, doświadczony detektyw wyznaczony do patrolowania Central Parku? A może Stan znalazł się tutaj jako dowódca nowojorskiej grupy specjalnej rozpracowującej Stowarzyszenie?

Przeniosłam wzrok na podwyższenie – nie zawracali sobie głowy mównicą.

– To zbyt sztywne – wyjaśnił mi Allan. Dyrektor przypominający popularne wyobrażenie Świętego Mikołaja podniósł się ze swojego ustawionego w centrum krzesła. Pocierając brodę, przez chwilę popatrzył na zebranych, po czym ujął pewnie za mikrofon. W czasie obowiązkowych powitań i publicznych podziękowań wszyscy grzecznie zachowywali ciszę. Kiedy przeszedł do przytaczania fragmentów z historii Adwokatury, osładzanych autoreklamą w postaci wybranych statystyk – słyszałam to już wcześniej – wyłączyłam się i zaczęłam wypatrywać w tłumie Stana.

Znalazłam go. Obserwator pod obserwacją. Nie zastanawiałam się, czy jego obecność spowodowana została szczęśliwym trafem i otrzymanym cynkiem. Policja również ma swoich informatorów.

Słodki głos poprosił o uwagę – moją zwrócił już w momencie, gdy zastąpił przy mikrofonie dyrektora. Allan rozsiadł się wygodnie z wyrazem twarzy zdradzającym, że spodziewa się czegoś dobrego.

Ten mówca rzeczywiście był dobry – otwarcie typowe dla organizowanych niegdyś przez Adwokatwę akcji zbierania funduszy, kilkakrotnie widziałam już, jak porusza publiczność. Jednak dzisiaj nie chodziło o zbiórkę pieniędzy, a on przemawiał nieco niepewnym tonem, przemieszczając po scenie swoją przypominającą Lincolna postać i raz po raz wykrzykując „w przeciwnym razie”.

– ...musimy porzucić prymitywną myśl o zemście – mówił – w przeciwnym razie utracimy status ludzi cywilizowanych.

– Musimy pogodzić odporność ze współczuciem, w przeciwnym razie staniemy się świadkami powolnego darcia na kawałki naszej największej świętości, Karty Swobód.

– Musimy przestać opierać budżet na karkach biednych! W przeciwnym razie powstaną przeciw nam i...

– Trzydzieści milionów dolców z naszych podatków nie wystarczy na Adwokatwę?

Stan gwałtownie odwrócił głowę – za późno. Po prostu rozwścieczony głos pośród tłumu.

Jeden z ludzi Kagana?

Mówca zagarnął dłonią swe zmierzwiłone ciemne włosy.

– W przeciwnym razie – kontynuował ze spokojem – zobaczymy, jak doświadczeni przez biedę mieszkańcy poderwą się w przerażającym buncie. Jeżeli chcemy uniknąć reperkusji związanych z narastającą przestępczością, panie i panowie, musimy zająć się poważnie...

– Pocałujcie biednych w dupę! – Inny głos, z innej strony tłumu. I kolejny.

– Biedni robotnicy? Przestańcie próżniaki zasłaniać się robotnikami.

– To nie oni są kryminalistami! – krzyknął ktoś jeszcze.

– Nie zapominajcie o Karcie Swobód! – odpowiedział mówca. – Twierdząc, że oskarżony nie ma praw.

– A co z prawami ofiar, ty kłamliwy gnoju – zabrzmiał ostrzej następny głos. Tłum wiwatował.

Mówca miał zbyt wielkie doświadczenie, by nie zorientować się, że stracił poparcie publiczności. Ukłonił się przekornie i opuścił scenę.

Moje oczy znowu natknęły się na Staną. Dostrzegłam skinienia głową, dawane po kryjomu znaki ręką, jednym słowem zasadzka. Ilu tajniaków kręciło się wśród zebranych... i po co? Ludzie Staną nie mieli najmniejszych szans zidentyfikować wszystkich podżegaczy. Krótki okrzyk, drwiący komentarz i zaraz usta się zamykają – niczym rozmowa telefoniczna zbyt krótka, aby ją wysłuchać.

Następnym mówcą okazała się pewna znajoma mi felietonistka, samozwańczy ekspert w dziedzinie przestępczości nieletnich. Kobieta oddana sprawie, która przyjechała tu aż z Bostonu. Spodziewałam się, że wyjdzie rozradowana.

Pojawiła się z uśmiechem na ustach, dziewczęco młoda, w płóciennym kostiumie płowym jak jej krótkie włosy.

Sądziłam, że zarzuci zebranych przerażającymi opowieściami o przepelnionych celach więziennych, homoseksualnych gwałtach, nieefektywności systemu sądowego, który uniemożliwia oskarżonym szybkie przejście przez rozprawę.

Znowu błąd. Powolutku zaczęła wciskać rozweselonemu tłumowi tę samą papkę, którą serwuje co tydzień swoim czytelnikom. Jak można aż tak pomylić się w ocenie publiczności! Więzienia degradują młodocianych, wołała do coraz bardziej niespokojnego zgromadzenia. Nie zamykajmy naszych dzieci w magazynach. Weźmy się razem do pracy, ramię w ramię, by pomóc naszym „poważnie zdeprawowanym nastolatkom”. Skoncentrujmy wysiłki na lepszych rozwiązaniach problemu przestępczości.

– Głosuję za tym, żeby mniej matek musiało pracować! – krzyknęła z entuzjazmem, który z pewnością uważała za zaraźliwy. – Jestem za zmniejszeniem ilości pokazywanej w telewizji przemocy oraz zwiększeniem dotacji federalnych na rzecz pomocy naszym dzieciom.

Akurat kiedy miała nabrać tchu, uderzył ją w policzek ogryzek i upadł, plamiąc płowy kostium. Allan przygryzł wargę.

– Matt idzie już z pomocą.

Matt zwłóknął się z krzesła niczym gigantyczny golem i ruszył w stronę podium – majestatyczna, dwumetrowa postać z gęstwiną jasnych włosów, o rysach tak ostrych, iż przywodziły na myśl Mount Rushmore. Wzniósł do góry wielkie ramiona, uciszając niesforny tłum. Przypominał mi kołyszącą się jodłę.

– Imponujące przedstawienie – odezwałam się do Allana. – Kto to?

– Nie należy do moich ulubieńców – szepnął Allan.

– Macie jakieś żale! – ryknął wielkolud niczym Mojżesz ze szczytu góry. – W porządku. Chcemy je usłyszeć. Mamy nadzieję, że zdołamy na nie odpowiedzieć. Ale na Boga, zróbmy to, jak przystało na ludzi rozsądnych. Proszę zadawać pytania po kolei.

Jakiś punk z Ogołoną do połowy głową podjął wyzwanie.

– Obrobiono mnie w pieprzonym parku, kiedy wracałem do domu po koncercie. Skurwiele ubrani byli w spodnie od Calvina Kleina i złote łańcuchy – zawołał, a w słońcu połyskiwał jego własny zbiór żelastwa.

– Jakie masz pytanie, kolego?

– To wy wypuściliście ich, żeby na mnie napadli, chłopie. To wasza robota, no nie?

Twardziel ukazujący muskuły spod podwiniętych rękawów poderwał się jak strzała po wypowiedzi poprzednika.

– Czytałem, że bronicie siedemdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu procent przestępców w tym mieście i połowę z nich wyciągacie na wolność. Prawda czy nie?

Ni mniej, ni więcej tylko dane Stowarzyszenia. Facet na podium ryknął do mikrofonu, płacząc się trochę wyjaśniał, a trochę usprawiedliwiał, dopóki pytający nie zajął z powrotem swojego miejsca. Nieco dalej, w pobliżu tego samego przejścia, podniosła się staruszka i zaczęła machać laską. Machała, aż zauważył ją przemawiający i poprosił o podejsie. Tłum wiwatował.

Punkty za grzeczność, Matt, ale strategiczny błąd. Publiczność utożsamia się teraz ze staruszką, jej każdym niepewnym krokiem. Popatrz, jak dużo czasu zajmuje jej dojście do ciebie.

Podano jej z szacunkiem mikrofon. Przyjęła go zdecydowanie. Miała siwe włosy, jej wolna ręka drżała. Słuchałam, jak opowiada znanymi już historię.

Nasi seniorzy stanowią łatwy cel. I to nie tylko dla napadających łobuzów. Również dla prawników, którzy nauczyli się wykorzystywać ludzką ułomność. Ludzie starsi, którzy noszą okulary i nie pamiętają szczegółów, są kiepskimi świadkami podczas przesłuchania.

Staruszka była zbyt dobra, żeby mogła być prawdziwa. Siedziałam wystarczająco blisko, by dostrzec subtelne znaki, iż to przedwczesna starość. Zobaczyłam pierwszorzędną makijaż i parę znajomych oczu. Jedna z nas.

Rozwścieczyło mnie to. Pragnęłam, żeby była prawdziwa. Poszkodowane starsze panie oraz przepełniony współczuciem tłum – to było prawdziwe poparcie. Po co udawać?

Mężczyzna nazywany Mattem z dyplomatycznym wdziękiem próbował zamknąć puszkę Pandory usuwając „staruszkę” z centrum uwagi. Jednak na jej miejsce zjawiała się inna starsza

pani w żółtej sukience – bezczelna, czarnoskóra kobieta o wielkim brzuchu i siwych włosach. Skargi, które wykrzykiwała ze środka czwartego rzędu, tryskały z niej, jakby dusiła je w sobie całymi latami.

– Tamta dziewczyna mnie skrzywdziła! – zawodziła, wskazując palcem w kierunku zarezerwowanej sekcji. – Nie ma sposobu, bym dowiedziała się, kto mnie pociął. Mam oczy, no nie? Mam blizny! Zmyliła mnie swymi wymyślnymi słówkami, ta sprzedajna, młoda czarnulka. – Staruszka obróciła się, słysząc zbiorowe westchnienie. – Dobrze słyszeliście! Zrobiła mi to jedna z czarnych sióstr!

Było wielu młodych czarnoskórych adwokatów płci żeńskiej, lecz tylko jedna z nich siedziała w pierwszym rzędzie. Dla Jan nastął moment gorzkiego wstydu.

W chwilę później w kierunku sceny, niczym dobrze wymierzone strzały, posypały się epitety.

Allan chwycił mnie za rękę, jakby został trafiony.

– To zaczyna wymykać się spod kontroli – wymamrotał.

Ale wielki Matt z zapalem uniósł ręce, i publiczność – nie stanowiła jeszcze bezładnej masy – uspokoiła się, pozwalając na kontynuację słownej potyczki. Zapowiadało się, iż nie będzie problemów. Na początku wszystko szło po myśli Kagana, lecz rzeczowe podejście mówcy stanowiło jedną z najlepszych metod kontrolowania tłumu. Zniewagi i uszczypliwe okrzyki ustąpiły miejsca trudnym pytaniom i rozmyślnym odpowiedziom.

Spytałam Allana, dlaczego ów Matt nie należał do jego ulubieńców.

– Zbyt zmienny – odparł, kiedy Matt przekazał mikrofon swojemu koledze, człowiekowi o rozsądnej twarzy.

Okazał się elokwentnym prawnikiem. Po nim wystąpił cały szereg jemu podobnych adwokatów.

Matt usiadł, opuścił ręce i wyprostował nogi, lecz w rzeczywistości nie był tak rozluźniony, jakby się mogło wydawać. Jego oczy zdradzały napięcie.

Na widowni podniosła się kobieta o niesamowicie rudych włosach.

– Ciekawa jestem, jak się czujecie po wybronieniu gwałciciela – zawołała – albo jakiegoś zbrodźcę, który rzuca się na dzieci. Czy moglibyście ustosunkować się do tego?

Choć pytanie zostało zadane w grzeczny sposób, wyczuwałam podstęp. Zmienny Matt wyskoczył z krzesła jak z procy. Złapał mikrofon jak człowiek, który stracił cierpliwość.

– Chce pani wiedzieć, czy mogę spać w nocy? – zawył. – Bez problemów. To mój zawód, proszę pani. Bronić oskarżonego, bez względu na to, jaką on...

Na podium spadł jakiś owoc, następnie butelka. Cała seria butelek. Zapanował szalony zamęt. Przekleństwa przeszły w krzyki, a te z kolei zagłuszały odgłosy bijatyki i tłuczonego szkła. Rzędy ławek pustoszały w mgnieniu oka. Ludzie chwyтали znajomych i uciekali we wszystkie strony. Siedzący dookoła mnie zamarli w bezruchu, nie dowierzając własnym oczom.

Pociągnęłam Allana za ramię.

– Musimy stąd uciekać.

Muszę odnaleźć Staną, dowiedzieć się, o co chodzi. Allan popatrzył na mnie oszołomiony.

– Tylnym zejściem – wskazał.

Opuściłam scenę i pobiegłam w kierunku, z którego dobiegały rozkazy.

Znalazłam Staną. Trzymał w ręku broń i krzychał na innych uzbrojonych mężczyzn. Bez rewolwerów sądziłabym, że należą do tłumu. Naliczyłam ich dziesięciu... nie, dwunastu.

Stan zbyt zajęty okrażaniem podżegaczy i ludzi, którzy zadawali pytania, nie zauważył mnie. Sprytnie. Może wyszczekany dzieciak z ogoloną do połowy głową oraz czarnoskóra babcia w żółtej sukience byli w porządku. Może twardziel oraz staruszka z laską – nie byli. Rozstrzygnąłby wszystko na posterunku.

Gdyby tam dotarł. Mały, lecz gęsty tłumek zbliżał się w stronę Staną i jego ludzi z malującą się na ich twarzach intencją – „kordon”. Cofnęłam się, kiedy jakieś czarne ramię wzniosło do góry tekturowy symbol, gdy biała pięść wystrzeliła w górę i armia głosów zaintonowała: „Lis, lis, nie pozwólcie im wziąć lisa. Lis, lis”.

Jakiś głos zawołał:

– Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar!

Kordon rozszerzył się w ogromny pierścień – sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt osób.

– Rozerwijcie go! – wrzeszczał Stan.

Jego ludzie krzyczeli, rozbiegali się, posługując się bronią niby batem. Próbowali przełamać krąg. Otoczeni podżegacze kręcili się wewnątrz koła niczym zwierzęta w zagrodzie próbujące sforsować bramę.

Jedna z nich – bezczelna czarnoskóra staruszka, odsunęła się od pozostałych... i czmychnęła.

Jęknęłam, kiedy w tłumie pojawiła się wyrwa, a ona rzuciła się w nią ze sprawnością młodej kobiety lub atletki. Podołałaby, gdyby jakiś facet nie podstawił jej umyślnie nogi. Z pewnością nie spojrziałabym na niego drugi raz – byłam zbyt skoncentrowana na kobiecie – gdyby nie uderzyło mnie coś w jego smukłej figurze i przechylonej pod dziwnym kątem głowie.

Kagan?

Czarnoskóra kobieta podniosła się i puściła biegiem.

To samo jednak zrobił Stan. Chwycił za długi żółty rękaw, zanim jeszcze krzyknęłam, by powstrzymać go przed jej ponownym przewróceniem.

Nie chciałam, by zobaczył, jak jej prawa ręka wystrzeliła do przodu, by zamortyzować upadek, ukazując jednocześnie złotą obrączkę wysadzaną zmysłowymi nefrytami.

– Claudia? – spytał lekko oszołomiony.

Wyrwała się niczym dzikie stworzenie z klatki i pomknęła przez środek zawodzącego tłumu.

Pięści, krzyki, butelki i kije. Podżegacze, naśladowując desperacki czyn Claudii, rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Popierający ich tłum łączył się, blokował i przesuwiał.

Kagan starał się odwrócić od czegoś uwagę.

Moje oko uchwyciło błysk promieni słonecznych odbitych od metalu. Zobaczył go również

Stan. Mężczyzna stojący na głazie, górujący odrobinę nad tłumem. Był szczupły, jasnowłosa, przypominał pastucha... przeładował broń... wycelował.

Stanowi zaświtała zapewne ta sama szalona myśl, która pojawiła się w mojej głowie.

Claudia na linii strzału?

Krzyknął. Przedarł się przez tłum. Zobaczyłam, jak ją przewraca.

Za mną rozległy się krzyki, odgłosy strzelaniny.

Chaos.

Świstały kule. Zbyt szybko, by je dostrzec. Zbyt groźnie. Tak łatwo jest strzelić. Tak łatwo zginąć.

Detektyw celujący w zabójcę, który mierzył do niego, zachwiał się, chybił celu raniony kulą w bark.

Stan poległ ugodzony w plecy kulą policjanta.

Claudia zniknęła.

Kagan wygrał mecz, nie tracąc ani jednego gracza.

Przestałam płakać jedynie na moment, by zrobić to, czego tak dobrze mnie nauczył. Poprzysięgam zemstę.

## Rozdział 31

– Kawa zimna, pączki są ciepłe – poczęstowała mnie Angela.

Potrząsnęłam głową.

– Spróbuj zadzwonić do niej jeszcze raz – polecił mi Zack.

Wybrałam numer w maleńkim gabinecie Angeli udekorowanym zgodnie z duchem sztuk walki.

– Nie było jej przez całą noc – oświadczyłam, odwieszając słuchawkę. – Dokąd mogła pójść?

– O której zaczęłaś dzwonić? – spytała Angela.

– Raczej kiedy skończyłam. Zrezygnowałam o północy i pojechałam taksówką, by czekać na nią. W ogóle nie wróciła do domu. Od której do niej dzwonimy?

– Od ósmej rano – odparł Zack. – Przynajmniej nie szuka jej policja. Policja poszukiwała czarnoskórej staruszki z wielkim brzuchem.

– Szkoda, że mnie tam nie było – oznajmił Zack, jak przystało na glinę.

– Bogu niech będą dzięki – powiedziała Angela. – Stan Cole nie dostał cynku, przynajmniej tyle się dowiedziałam. Sam do tego doszedł.

– Podobnie Kagan. – Zack zgniótł styropianowy kubek, rozlewając resztki kawy po stole. – Miał nadzieję, że pojawią się gliny, żeby mógł im zaprezentować huczny pokaz społecznego poparcia dla Stowarzyszenia. Czy Claudia zauważyła, kto ją podciął?

– Z mojego miejsca nie widziałam. A gdyby Stan nie zginął? Kiedy spostrzegł już obrączkę Claudii... musiałaby zniknąć.” – Sama odpowiedziałam na własne pytanie. – Kagan ją wykorzystał, niech go szlag! A teraz rzeczywiście zniknęła. Co on z nią zrobił?

– Sądzę, że sama się gdzieś schowała – oznajmiła Angela. – Myślę, że musimy odejść.

– Nie. – Zack odsunął krzesło. – To Kagan musi odejść. On i jego nowi kumple to psychole. Do cholery, Angie, jeśli teraz weźmiemy nogi za pas, wszystko zmarnujemy.

– Liczba trupów zaczyna rosnać – wtrąciłam. – Wczoraj zginął policjant.

– Cios poniżej pasa, Karen. – Podeszedł do okna zbyt brudnego, by przez nie wyjrzeć. – Tacy gliniarze jak Stan należą do rzadkości.

– Gliniarze jak Stan? – powtórzyłam, kiedy ciągle się nie odwracał.

– Był oddany pracy. Lubilem go – powiedział cicho Zack. – W innych okolicznościach.

– Nie tylko przyjaciół będziemy tracić – zwróciła się do niego Angela. – Zginie również wielu cywilów. Przemoc zawsze staje się w końcu ślepa. – Obracała w palcach odznakę Joego. W kieszeni spodni nosiła jeszcze króliczą łapkę na szczęście.

– Zack – odezwałam się – dużo rozmyślałam od czasu Misji przeciwko sędziemu Youngerowi. Wiesz, co jest słabym punktem Stowarzyszenia? Słabość. Ludzie, którzy zgorzkniali, kiedy system ich zawiódł. Osoby podatne na pochlebstwa. Szaleńcy szukających



wrażen. Nawet najlepszym z nas zdarza się czasem zbłądzić. Pragnęłam kiedyś, żeby ławy przysięgłych surowiej obchodziły się z bandytami i gwałcicielami, o których czytałam – orzeczenie winy, ciężki wyrok, następnym razem może jeszcze cięższy. Teraz już nie. Szybciej i łatwiej jest – a na dodatek daje większą satysfakcję – połamać kilka rąk i nóg. To nie tylko przerażające, lecz także... bezsensowne.

Zack wrócił do stołu.

– Cholera – zakłęła Angela – skończyły mi się cygaretki. – Czystym rzutem trafiła pudełkiem do kosza.

Poczęstowałam wszystkich papierosami, uroczyście, jakbym przekazywała im fajkę pokoju. Angela skrzywiła się. Zack z miną winnego wziął jednego.

– Muszę to rzucić.

– Tamto też.

– W porządku, co można zrobić? Czy zbieramy zabawki i idziemy do domu? Czy Karen ma zrezygnować ze swego stanowiska podwójnego agenta nawet bez pożegnalnego gestu w stronę McCanna i dwutygodniowego wypowiedzenia? Czy może czekamy, podczas gdy Stowarzyszenie będzie sobie radośnie szaleć.

– Albo pozostajemy – Angela podążyła za jego tokiem rozumowania – dopóki nie pomożemy McCannowi go zlikwidować?

– Czy doszliśmy do porozumienia? – spytałam ostrożnie.

– Nie tak szybko. Zbliża się twoje spotkanie – przypomniał mi Zack. – Zobaczmy, co Kagan chciał, żebyś dostarczyła McCannowi. Tymczasem ja... zastanowię się nad paroma sprawami.

– Kiedy tak będziesz dumał, wymyśl, w jaki sposób możemy się z tego wydostać bez uszczerbku. Szczególnie Karen – dodała Angela, mierząc mnie wzrokiem, jakby już sobie wyobrażała topór wiszący nad moją szyją. – Wracasz do swojego treningu samoobrony, złotko?

– Czy sugerujesz, że pokonam Kagana ciosami karate?

– Śmieszne. Sugeruję coś pewniejszego.

– Tak, pomyślałem o tym samym – odezwał się Zack. – Załatwię jej nie notowaną broń, żeby powiększyć nieco margines bezpieczeństwa.

– Wy gliniarze wszyscy jesteście podobni – psioczyłam. – Czy tam na posterunku macie jakąś wielką beczkę z bronią, do której wystarczy po prostu sięgnąć? Za każdym razem gdy czytam w gazetach... mój Boże – szepnęłam, przywołując wspomnienie.

„To mój gnat »na wszelki wypadek«. Nie martw się. Ta broń nie jest notowana, podarunek od mojego byłego”.

Zack pierwszy dobiegł do telefonu. Tym razem mu się poszczęściło. Odliczaliśmy minuty, Zack ze słuchawką przy uchu, Angela i ja pozwalając naszym papierosom zamieniać się w popiół. Zack uniósł do góry rękę i odetchnęliśmy z ulgą, ponieważ się uśmiechał.

Zauważono Claudię przy windach.

Daliśmy jej pięć minut na pokonanie trzech pięter. Kolejnych pięć na otwarcie całej baterii

zamków i zasuw Staną. Zack wykręcił numer i podał mi słuchawkę. Przygotowałam się na zmianę w jej głosie.

Lecz nie na ciszę...

– Jedziemy! – zawołał Zack. – Do mnie, nie do Angeli. W razie kłopotów nie ma sensu narażać Angie na zidentyfikowanie – dodał.

W samochodzie ustaliliśmy wspólny opis wydarzeń... na wszelki wypadek. Ja miałam być rozchisteryzowaną przyjaciółką, która próbowała się skontaktować z Claudią od chwili wczorajszej tragicznej śmierci jej byłego męża. Zack był policjantem, który przejeżdżał przypadkiem akurat w momencie, gdy wybiegłam z płaczem na ulicę. Stwierdził, że zachowuję godny podziwu spokój. Wyjaśniłam mu, że znajduję się właściwie na granicy hysterii.

– Chciałem tylko, żebyś zdawała sobie z tego sprawę – dodał. Zanim zdążył wyłączyć silnik, wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam.

Nacisnęłam guzik domofonu ułamek sekundy po tym, jak niedomknięte drzwi do budynku Claudii otwały się pod wpływem mojego impetu. Claudia, podnieś słu...

– Nie chce podejść do domofonu.

Obróciłam się właśnie w chwili, gdy Zack wpadł do przedsionka.

Tony stał przestraszony, wciśnięty w róg.

Wyjaśnił nam, że przyjechał za Claudią na jednym z motorowerów Kagana. Chciał mieć na nią oko – to jego własny pomysł. Kagan przywiózł ją po imprezie w parku.

Oczy Tony'ego rozszerzyły się.

– Jamie powiedział, że została uśpiona chloroformem.

Jamie przesiedział przy niej całą noc. Był z nią także przez cały ranek.

– W takim razie nic jej nie jest. – Zack odetchnął z ulgą. – Jamie nigdy by jej nie puścił, gdyby nie miał pewności, że się uspokoiła.

– Ale ona nie chce podejść do domofonu – przypomniał Tony. Nacisnęłam dzwonek.

– To nic nie da. – Zack wszedł do przedsionka z kartą kredytową. Drzwi otworzyły się.

Ruszyłam w stronę windy, lecz cofnęłam się. Zack i Tony pędzili już po schodach. Czekali na mnie przed drzwiami Claudii.

Zawołałam do niej. Nacisnęłam dzwonek. Nacisnęłam jeszcze raz. Po trzecim dzwonku zaczęłam wykrzykiwać jej imię. Zack przerwał mi spojrzeniem. Wykonał uspokajający gest.

– Claudia, to ja, Zack.

W jego głosie było coś... słyszałam to już wcześniej. Widywałam to już w telewizji. Policjanci próbujący udobruchać desperatów. „Proszę nie skakać”.

– Claudia, jest ze mną Tony. I oczywiście Karen. Wpuść nas, proszę. Claudia?

Kroki.

– Odejdźcie!

Zupełnie nie jej głos. Nie Claudia, lecz czysta udręka.

Wyraz twarzy Zacka był bardziej przerażający niż ta cisza. Z bólem popatrzył na zamki w

drzwiach. Zaczął od góry, przesuwał się powoli w dół, próbując, sondując, prowizoryczne narzędzia nie zdawały egzaminu. Wrócił do górnego zamka.

– Zasuwa – szepnął. – Przeklęta sztaba jest zablokowana. – Skinął, żebyśmy się odsunęli, i wyjął rewolwer.

Tony zakrył uszy. Ja zamknęłam oczy, przygotowując się na głośny huk wystrzału.

Usłyszałam stłumiony. Zack westchnął.

– Co? – szepnęłam, otwierając oczy, by poszukać wzrokiem roztrzaskanego zamka, dziury w drzwiach po pocisku, dymu wydobywającego się z lufy opuszczonej broni Zacka... czegokolwiek. – Claudia? – zawołałam nieśmiało. – Claudia, proszę, Claudia!

Kiedy ją znaleźliśmy, Zack pozwolił mi krzyknąć.

## Rozdział 32

Ostatni raz zerknęłam w lustro. Patrzyła zeń na mnie opanowana kobieta. Przez półtora tygodnia musiałam się doprowadzić do jakiego takiego wyglądu. Półtora tygodnia od chwili samobójstwa Claudii.

Wyszłam z mieszkania i natychmiast złapałam taksówkę. Powiedziałam kierowcy, dokąd ma jechać – zupełnie nie znałam tego adresu – i zajęłam się kontemplacją własnego stanu emocjonalnego.

Ból. Tkwił w zakończeniach nerwowych. Starannie ukryty za przyciemnianymi okularami. Lecz tak uchwytny, promieniejący dookoła, iż nie sposób było go dobrze schować.

Gniew nie był widoczny. Odłożony na inny dzień. „Nie pozwól im wygrać – przekonywał mnie Zack, kiedy ustąpiła pierwsza fala hysterii i pojawił się głęboki gniew. – Nie pokazuj Kaganowi, że wiemy. Nie pozwól mu wyczuć, jakie są nasze zamierzenia. Chcesz pomścić Claudię? Zaczynij od tego spotkania. Zapanuj nad sobą, powstrzymaj na krótko swoją wściekłość”.

Poczucie winy. Najtrudniejsze do zniesienia.

„Grupa Kagana to zła wróżba. I ty o tym wiesz”.

„Zła wróżba dla kogo?”

Dla nas wszystkich, CC, ale przede wszystkim dla ciebie.

Strach. Żadnych obaw o siebie. Neutralizuje poczucie winy.

Odraza. Zanika, lecz trochę jeszcze pozostało. Czy kiedykolwiek odejdzie?

Poczucie straty. Rozdzierające. Słowo – imię, którego przez następną godzinę nie wolno wypowiadać – Claudia! – albo wszystko pójdzie na marne.

Wyprostowałam się i skoncentrowałam na najtrudniejszym, na gniewie.

Budynek, do którego weszłam, był taki jak myślałam – nierzucający się w oczy. W gabinecie siedział człowiek, którego nigdy nie spotkałam, i zaprowadził mnie do miejsca zupełnie mi nieznanego.

„Proszę za mną... do pokoju przesłuchań”.

Panowała w nim ciemność. Na końcu długiego stołu stało pojedyncze krzesło. Zajęłam je. Kiedy zdjęłam okulary, oślepiło mnie jasne światło. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się pozbawione twarzy cienie.

Zapaliło się górne światło. Przy drzwiach stanął Kagan. Rozejrzałam się po pozostałych – Q’Neal, Bart, Lee, Jamie w swoim kostiumie Czarnobrodego.

– Co to ma znaczyć? – spytałam. Kagan wykonał krok do przodu.

– Malutkie przypomnienie, na wypadek gdybyś zapomniała o wigilijnym spotkaniu. Pomyślałem sobie, że będzie ci łatwiej zrekonstruować to dla McCanna. Opiszysz tylko Jamiego.

– Zrekonstruować co?

– Dokładne warunki, w jakich spotykamy się z obcymi lub osobami niepewnymi.

Sądziłam, że usiądzie obok mnie, lecz podszedł do pozostałych.

– A do której grupy należą ja?

– Do niepewnych – odparł O’Neal. – Szef sekcji śledczej FBI robi się niecierpliwy. McCann dostał dwa miesiące na osiągnięcie jakichś wyników. Jego czas dobiega końca.

– Jeżeli Rees wkrótce nie dostanie niczego na temat naszych przywódców, zmuszony będzie rozważyć inne rozwiązania – zauważył Kagan.

– Postanowiliśmy pójść mu na rękę – oznajmiła Lee. – Dzisiaj rozszerzamy Operację Weiskacz. Otrzymasz nowe informacje dla pana McCanna, wystarczającą ilość, by utrzymać go w grze. Zmieniły się jednak zasady.

Mówili na zmianę, podobnie jak za pierwszym razem.

– Rozumiem – warknęłam. – Nie będę widziała twarzy, jedynie słyszała głosy.

Kontynuowali bez komentarza. Nadeszła kolej Barta.

– Poinformujesz McCanna, że zostałaś spalona – stwierdził. – Gdyby się dopytywał, nie wiesz, w jaki sposób odkryliśmy, że jesteś wtyczką FBI. Więc z uczestnika narad taktycznych dotyczących walki o poparcie społeczne, przekształcamy cię w pośrednika.

– Koniec z zabawą w podwójnego agenta – przemówił Jamie. – To była moja propozycja.

Wydawał się zadowolony z siebie. Twarz Kagana pozostała obojętna. Jamie z powrotem w łaskach? W jakim świetle stawiało to mnie?

– FBI wielce nie doceniło rozmiarów i celów Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar – doszedł do wniosku Jamie. – Twoim zadaniem będzie uświadomienie im, jak powszechna jest nasza „ogólnokrajowa konspiracja”.

– W jaki sposób? – zapytałam.

– Wykorzystując moje uaktualnione dane – odrzekła Lee. – Przedstawisz panu McCannowi niezbite dowody działalności komórek Stowarzyszenia na terenie całego kraju, w małych miasteczkach, na przedmieściach, i jak to nazywam, w „wielkomiejskich” centrach. Dołączyłam informacje na temat szacunkowej liczby wszystkich naszych członków oraz liczby osób przewodzących lokalnym komórkom. Ponieważ FBI pragnie ująć jedynie ogólnokrajowych przywódców, możemy sobie pozwolić na nieścisłości.

– Dane Lee pokażą, jakimi wpływami dysponuje nasza organizacja – wyjaśnił Jamie. – Kiedy Max dowie się o istnieniu niezliczonych rzesz członków kontrolowanych przez nowojorską centralę, razem z Reesem zorientują się, iż pozostały im tylko dwie możliwości, z których jedna jest całkowicie nie do zrealizowania. Albo FBI spróbuje zdławić falę samosądów, wypełniając po brzegi wszystkie więzienia w kraju, albo podejmie z nami rozmowy. Z przywódcami.

– Tylko my możemy wszystko rozmontować, nikt inny – dodał Kagan. – Przekaż McCannowi, że jesteśmy gotowi zawrzeć ugodę.

Nawet w jego zdradzieckich ustach słowa te tchnęły nadzieją.

– Nasza propozycja składa się z dwóch części – kontynuował Jamie. – Powiedz Maxowi...

Pragnęłam, by przestał używać imienia „Max” w tym pomieszczeniu.

– ...i przede wszystkim, nasi ludzie nie zaprzestaną działalności dopóty, dopóki nie zostanie wypełniona lista naszych żądań. Podkreśl to. Lista proponowanych zmian. Sądzę, że Max zgodzi się, iż naszemu wymiarowi sprawiedliwości potrzebne są reformy?

Osobisty żart. Uśmiechnął się zza swej krzaczastej brody. Przypomniałam sobie jego słowa o okularach tworzących między ludźmi barierę. Natychmiast włożyłam swoje.

Zrobił minę, jakby otrzymał policzek.

– Po drugie – ciągnął dalej, teraz już oficjalnym tonem – sprawa najważniejsza. Nie będzie porozumienia bez pełnej amnestii dla wszystkich zawierających układ.

Nie potrafiłam się powstrzymać.

– Oszalałeś! – zawołałam.

– To McCann jest szalony, jeśli nie wyrazi zgody – odparł z przekonaniem Bart. – To on ciągle powtarza, że trzeba ze wszystkim jak najszybciej skończyć.

Prawda, pomyślałam, podczas gdy Lee podeszła, by podać mi teczkę.

– Dane – powiedziała. – Nie ma w nich niczego, co mogłoby kogokolwiek skompromitować.

– Ta zwięzłość była do niej niepodobna.

– Jesteś profesjonalistką, Karen – odezwał się Kagan, kiedy Lee się odsunęła. – Doceniamy, przez co musisz przechodzić.

Nie Kagan.

– Los, który spotkał Claudię, to coś więcej niż tylko tragedia. Nikt z nas nie mógł tego uniknąć. To przeznaczenie.

Po raz drugi w życiu poczułam ulgę, że włożyłam przyciemniane okulary oraz że nie miałam pod ręką broni.

– Podobnie jak ty, Claudia była profesjonalistką. Będzie nam jej brakować.

Wzięłam teczkę i wyszłam.

Trzymając się za brzuch, ledwo zdążyłam do toalety.

Kiedy wyszłam, Jamie czekał przy windzie.

Nie widziałam go od spotkania, które się odbyło jeszcze przed imprezą w parku. Drań nie odezwał się do mnie nawet po tym, jak Claudia... umarła. Przeszłabym obok niego obojętnie, gdybym tylko mogła.

Nie mogłam, ponieważ płakał. Przytuliliśmy się nawzajem.

Kiedy zjeżdżaliśmy na dół, spojrział na mnie bolesnym wzrokiem.

– Nie rozpoznałem wyraźnych oznak, Boże dopomóż – powiedział. – Puściłem ją samą zbyt wcześnie. Jakież ze mnie psychiatra?

– Jedyne, jaki może istnieć – odparłam. – Omylny.

– To była piekielna noc – ciągnął. – Claudia rozpaczła. Ale nad ranem, kiedy nalegałem, by

jeszcze została, dostrzegłem przyplływ pewności siebie, siły. Pomyślałem, że to coś, co pozwoli jej dalej żyć.

Bez trudu wyobrażałam sobie z najdrobniejszymi szczegółami, co mogło go zmylić. Typowa postawa Claudii – odważnie wyprostowana, gotowa do walki, wytrzymała i delikatna niczym młoda brzoza. Nie sposób jej złamać.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Nie miałeś najmniejszych szans.

– Źle rozpoznałem oznaki – powtórzył jak człowiek w transie. – Odkryła przede mną ogromną siłę. Tak niewielu z nas ją ma – mówił w zamyśleniu. – Siłę, by umrzeć.

Wkroczyłam do mieszkania, przyciskając do piersi teczkę z nieznanymi mi dokumentami. Nie spodziewałam się Maxa jeszcze przez najbliższą godzinę. Usiadłam, by przejrzeć dostarczone przez Lee dane, następnie przeczytałam listę „proponowanych reform” Jamiego albo raczej żądań Kagana.

Natychmiast zrozumiałam, dlaczego wszyscy uważali, że Max będzie pod wrażeniem Stowarzyszenia, jako organizacji na skalę narodową. Liczba komórek wzrosła dziesięciokrotnie, głównie na przedmieściach i w małych miasteczkach.

Ilość „wielkomiejskich” komórek Lee zwiększyła się zaledwie o pięćdziesiąt, lecz wszystkie dotychczas istniejące rozrosły się.

Zrozumiałam, na co wszyscy liczyli. FBI nie mogło zdusić organizacji w załączku, a tym bardziej zadziałać według planu Reesa, załatwić sprawy w pośpiechu – nasza komórkowa struktura była zbyt rozproszona i rozbudowana na takie rozwiązania – chyba że dogada się z nowojorskimi przywódcami.

Przeszłam do listy Jamiego. Airlnestia dla przywódców zajmowała pierwszą pozycję. Wiedziałam, że Max się nie zgodzi, i wątpiłam, by zrobił to Rees – albo niepełna amnestia, albo nie dla wszystkich. Przebiegłam wzrokiem pozostałe pozycje, omal nie dostając oczopląsu. Wypunktowano wszystkie wady naszego wymiaru sprawiedliwości, skomplikowane problemy, które napędzały nowych członków w szeregi Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar, ponieważ nie potrafili ich rozwiązać nawet wykazujący dobre intencje przedstawiciele władz. Nie oznaczało to jednak, że przedstawione propozycje były całkowicie nie z tej ziemi. Sprawiały wrażenie możliwych do przyjęcia przez FBI.

Wybrałam losowo jeden z postulatów – zlikwidować warunkowe zwolnienia. Doskonały pomysł. Kilka stanów już tak uczyniło i wydawało się, że więcej zamierza pójść w ich ślady. Ale w jaki sposób służby federalne miały zlikwidować je na skalę masową? Realnie podchodząc do sprawy, propozycja reformy wymaga właściwych środków – w przypadku zwolnień warunkowych odpowiednich legislacji w poszczególnych stanach – w przeciwnym razie od samego początku skazana jest na niepowodzenie.

Wybrałam inny. Nieletnich dopuszczających się aktów przemocy ścigać jak dorosłych. Byłoby miło, gdyby więcej stanów poszło za przykładem Nowego Jorku, lecz niewiele z nich jest

równie świątłych.

Westchnęłam i przeniosłam wzrok na dalsze punkty. Marzeniem ściętej głowy było oczekiwanie, iż FBI zaakceptuje wszystkie postulaty. Powstrzymać „skandaliczny pragmatyzm zawierania układów w sprawach kryminalnych”. Zrobić porządek w kwestii kaucji. Ustanowić federalny standard orzekania wyroków.

Jamie, Jamie, i co z tego, że Max rzeczywiście współczuje poszkodowanym. I co z tego, że uważa, iż komisje do spraw zwolnień warunkowych lubią na koszt podatników zabawiać się w Boga. Cóż on może na to poradzić?

Cisnęłam listę na bok i poszłam zaparzyć kawę.

Kiedy przyszedł Max, bez słowa podałam mu listę i podażyłam za nim do mojego gabinetu, dając mu dziesięć minut.

Wystarczyło pięć.

– Czytałeś to? – Skinęłam głową. – Talista... żądań – zaczął, nazywając ją zgodnie z rzeczywistością – Karen, oni chyba nie myślą poważnie, że w ciągu tygodnia otrzymają odpowiedź na te niedorzeczności. Prawda? Chyba że mamy do czynienia z bandą głupców. Nie uważałem ich za takich.

Wiedziałam, co naprawdę pomyślał – Jamie opisał ich zupełnie inaczej.

– Potrzebuję czasu – oznajmił, sięgając po kawę. – Gdybyś zdołała przekonać ich, że jestem otwarty na propozycję ugody, przepuszczę tę przesyłkę – ciekawe określenie – przez nasze komputery w Waszyngtonie. Dzięki tym nowym szczegółom...

Sprytne posunięcie. Narodowe Centrum Informacji o Przestępczości wchodzi do akcji.

Przyglądałam się Maxowi szperającemu w dostarczonych przez Lee najnowszych danych oraz szczegółach dotyczących naszej struktury. Mruczał pod nosem niczym człowiek przesiewający złoty pył.

– Dobrze, ten materiał świadczy o szeroko zakrojonej działalności komórek organizacji. Także o sile w wielkich miastach. Czy Bernie nie zdziwi się ich zasięgiem?

– Zostawię cię samego, żebyś mógł do niego zadzwonić – oznajmiłam. To nic, że okazała lista „postulowanych reform” leżała zapomniana na oparciu fotela.

Zostawiłam go samego, bym mogła się zastanowić. Jak Jamie i inni mogli pomyśleć, że Max zgodzi się choćby na część ich tak zwanych reform? Jak Jamie z osoby tak spostrzegawczej mógł przeistoczyć się w człowieka całkowicie oderwanego od rzeczywistości?

Mógł, jeśli postrzegał siebie jako doktora Frankensteina. To była jego szansa – jedyna nadzieja – by zniszczyć potwora.

Brak rozsądku Kagana to coś zupełnie innego. Powiedział, że są gotowi zawrzeć ugody, jakby rzeczywiście tak uważał. Czego nie dostrzegałam? Przekonywali mnie, że te postulaty nie są tak przesadzone, jakby się mogło wydawać. FBI może nam pomóc, stworzyć prawdziwe poparcie społeczne dla naszych reform, domagając się odpowiednich regulacji prawnych wiążących stany. Ale to był racjonalizujący głos Jamiego, a nie Kagana.



Wyobraziłam sobie Maxa McCanna naciskającego na federalne rozwiązania problemu lokalnej przestępczości. Czyż nie wyjaśniłam im tego już dawno, cytując nawet jego słowa? „Nie spoczna, dopóki nie zamienią FBI w narodową policję”. Kagan by nie zapomniał. On nie jest głupcem.

A więc z kogo próbował zrobić głupca?

Zrozumiałam – należy zacząć strzelać, zanim zastrzelą ciebie. Czekałam, aż Max zawoła mnie do gabinetu. Będzie chciał, żebym opisała mu spotkanie. W najdrobniejszych szczegółach.

Max wyszedł i ruszył w stronę kuchni, by zaparzyć świeżej kawy.

– Gotowa jesteś odtworzyć wygląd miejsca, gdzie popełniono przestępstwo? – spytał cicho.

– Gotowa i chętna – odparłam, naśladowując jego głos. – Jednak będziesz zapewne zawiedziony, gdyż wielu rzeczy nie pozwolili mi zobaczyć.

Kiedy skończyłam opisywać wszystko, jak tego chciał Kagan, Max wypowiedział słowa, których się spodziewałam.

– Musimy prowadzić z nimi rozmowy, przekonać ich, że jesteśmy otwarci na propozycje układu.

– Ludzie dają się łatwiej przekonać, jeśli mówi się im to, co pragną usłyszeć, Max – zwróciłam mu uwagę.

Zrozumiał moją sugestię, zanim jeszcze zdążyłam dokończyć, że będą oczekiwali określonego przebiegu negocjacji.

Kagan ułożył harmonogram. Za tydzień miałam złożyć raport, które z postulatów rozważali Max i jego szef oraz jakie mają kontrpropozycje. Pozostawało tylko zgodzić się na spotkanie.

Trzeba było jeszcze liczyć się z tym, że Max będzie naciskałbym mu dostarczyła nowych „szczegółów” dotyczących ludzi, których słyszałam, lecz nie widziałam. Delektowanie się chwilą, kiedy zobaczę wnikliwe spojrzenie i pewny siebie uśmiech Kagana, gdy prześlę mu niemą wiadomość. „Poznaj Karen Newman, potrójnego agenta, skurwielu”.

Max oczywiście naciskał.

– Mam pomysł! – zawołałam i poszłam otworzyć szufladę w biurku, lecz przypomniałam sobie, że przeniosłam szkicownik do ściennego sejfu, gdzie projekty dla Kemp & Carusone dzieliły teraz miejsce z różnymi pracami dla Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar. Wyjęłam blok i zabrałam się do pracy.

– Żadna ze mnie artystka – powiedziałam, biorąc się do szkicowania – ale kiedy jestem we właściwym nastroju, potrafię rysować całkiem niezłe karykatury. W ich tak zwanym pokoju przesłuchań nie było aż tak ciemno, jak sądzili.

Zaczęłam od portretu Kagana.

– Niezbyt przydatny – przeprosiłam, podając go Maxowi. – Kąt wygięcia szyi chyba jest prawidłowy. Szofer z pogrzebu mojej córki?

– Możliwe – odrzekł, oglądając go, podczas gdy ja kontynuowałam rysowanie.

– Ten bonzo – poinformowałam, kiedy Max pochylił się, by spojrzeć na bardziej

szczegółowy szkic Barta – miał nieszczęście wpaść na mnie w drodze do męskiej toalety, gdy ja wychodziłam z damskiej.

– Mógł być przypadkowym przechodniem.

– Owszem, ale gdyby nie był, to zapamiętałam jego sygnet – odparłam, opisując podarunek Lee.

Przekazałam mu także, że dostrzegłam „wyróżniającą się postać o kształtach trykającego barana”. Wystawiłam O’Neala. Jednak nie Lee ani Jamiego.

Odłożyłam szkicownik na bok, czując się doskonale. Max odsunął moją kawę i z powrotem podał mi blok.

– Narysuj faceta, którego przez moment zobaczyłaś w świetle lampy – nalegał.

Wzięłam do ręki kubek.

– No dalej. Dopóki obraz w twojej pamięci jest świeży. Nazwałaś go Czarnobrodym?

– Po co się wysilać? – oponowałam. – To jasne, że był ucharakteryzowany.

– Ale może nie najlepiej. Spróbuj.

– Czarna broda. – Narysowałam ją gładką. Jamie miał gęstą i krzaczastą. – Czarne włosy – powiedziałam, przedstawiając je jako proste i przylizane – i niebieskie oczy – pokolorowałam na niebiesko tęczęwki.

Max z uwagą obejrzał wszystkie cztery szkice, po czym starannie schował je do neseseru. – To początek – powiedział z taką miną, jakby pragnąłbym narysowała jeszcze cztery.

Nie cztery, pomyślałam. Jeden.

– Otwórz swój neseser, Max. Zapomniałam o facecie, który podał mi teczkę – oznajmiłam. – Widziałam go tylko przez ułamek sekundy, ale zapamiętałam sylwetkę drania i sposób, w jaki się poruszał. Zaczekaj chwilę.

Pełna postać, jak w przypadku O’Neala, tylko tego ustawiłam w przestrzeni (stał na głazie), w jednej dłoni trzymał teczkę zamiast broni. Zaczęłam przerabiać. Pogmiotłam. Naszkicowałam od nowa, tym razem właściwie.

Max wytrzeszczył oczy.

– Wygląda jak gwiazda rodeo. Wygląda jak protegowany Kagana.

– Hej, kocie, uważaj!

Pola wylądowała na rysunku. Obwąchiwała go z pogardą.

– Przyjmij moje przeprosiny, Pola – odezwał się Max, z uśmiechem wyciągając spod niej szkic. – Potrafię rozpoznać damę. Ach, przeprosiny nie zostały przyjęte! – zawołał, kiedy Pola zeskoczyła na podłogę i zaczęła biegać po kątach. Potrafiła dramatyzować. Jej brat Marco zaczął swoje conocne zawodzenie.

Nic tak nie rozluźnia napięcia jak przysłuchiwanie, się miauczeniu.

– Czas na drinka. – Max poprowadził mnie do salonowego barku i nalał brandy. – Po którym nastąpi gorąca kąpiel, bąbelki, perfumy i tym podobne. Odkręcę wodę.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie zadomawiaj się tak, Max. Nie jestem pewna, czybym to zniosła.  
– Czy dasz radę spędzić resztę nocy w moich ramionach?  
Bez pragnienia, by trwało to wiecznie? Wątpię: Max, kochanie, ja nie...  
Zabrał ode mnie nietkniętego drinka.  
Poprowadziłam go do sypialni.  
Kochaliśmy się z dzikim zapalem, który wstrząsnął nami obojgiem.

## Rozdział 33

Max udawał przesłuchującego, podczas gdy ja powtarzałam swoją kwestię i paliłam papierosy, jednego po drugim (powinnam się przecież denerwować). Bez przerwy zastanawiałam się, czym on się martwi. Albo mściciele dadzą się nabrać, albo nie.

– Chyba oszalałam, że puszczam cię dzisiaj samą... bez wsparcia. Podniósł Połę. Obserwowałam, jak głaszcząc kota, próbuje opanować własne nerwy.

– Rees ma rację – powiedziałam. – Nie możesz ryzykować zerwania kontaktów z tymi ludźmi. Są zbyt dobrzy w wyłapywaniu ogonów.

– Przykro mi, mała – zawołał, kiedy Pola postanowiła, że ma go dosyć, i z jego kolan wskoczyła na ulubiony parapet. – Wspaniałe miejsce na robienie toalety. – Zmarszczył brwi widząc, że wyprężyła się i zamierza czyścić jedną ze swych szaro-pomarańczowych łapek. – Czy naprawdę jest bezpieczna tak wysoko?

– Naprawdę nie masz się czym martwić.

– Ty się nie boisz?

– Dzisiejszy występ budzi we mnie znacznie mniejsze obawy niż ponowna wizyta w mieszkaniu Claudii. Upakowała tyle kolorów i życia w trzech pokojach, że zapomniałam, jak małe było naprawdę. Widok pustego... wywołuje klaustrofobię. Zbyt wiele duchów – szepnęłam.

Wziął mnie za rękę.

– Musisz tam iść?

Kagan twierdzi, że muszę. „Nie ukrywaj przed McCannem, skąd cię zabieramy – sprzed domu Claudii. To miejsce równie dobre jak każde inne. Najpierw użyj jakiejś wymówki, żeby tam pójść. Jeśli będzie próbował nas wykiwać, zauważymy ogon”.

– Tylko ten jeden raz – powiedziałam mu. – Ten portret Claudii obiecany mi przez jej kuzynkę to mój ulubiony.

– Przecież nie ty go malowałaś, prawda?

– Nie jestem aż tak dobra. Jakiś jej dawny przyjaciel stworzył niewiarygodną karykaturę. Jej myślą przewodnią jest wdzięk, a nie zniekształcenia. Te kości policzkowe – wspominałam – ta twarz wyrastająca z rozkwitłej lwiej paszczy.

Tak właśnie się pożegnaliśmy. Max szałowywał łyż z mych policzków.

Szkic mógł stanowić wymówkę, lecz Karla, kuzynka Claudii, naprawdę czekała, by mi go przekazać. Wsunęłam go do aktówki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będę mogła na niego spojrzeć, nie płacząc.

Przygnębiona, lecz bez łez w oczach stałam przed budynkiem Claudii, przyrzekając sobie, iż moja noga nigdy więcej nie postanie w tym domu ani na tej ulicy.

Podjechał samochód. Znajdujący się wewnątrz dwaj mężczyźni byli obcy, lecz wypowiedzieli magiczne słowa. Wsiadłam.

Zabrano mnie na przejażdżkę, opaska na oczach i tak dalej. Znowu wymogi bezpieczeństwa. Dokądkolwiek zdążaliśmy, zajęło nam to mniej więcej czterdzieści minut oraz dalsze pięć zabrało wejście do środka.

Zdjęli opaskę i wyszli.

Znajdowałam się w dwupokojowym domku, czarujący wystrój w stylu francuskiej prowincji. Ciekawe, czy widok za oknem był równie czarujący. Nie sposób wyjrzeć przez zamknięte okiennice. Rozejrzałam się po wnętrzu. Mnóstwo szczap drewna do wykładanego kafelkami kominka. W łazience mydło i ręczniki dla gości. Małutka kuchenka, lecz z dobrze zaopatrzoną spiżarnią. Duża ilość mojej ulubionej wody mineralnej w lodówce.

Na stoliku w pokoju papierosy. Jakże zawsze pałę?

O co tu do licha chodzi?

Zauważyłam właśnie brak telefonu, kiedy otworzyły się jedyne drzwi. Weszli Kagan, O'Neal i Bart. Ani jednego sprzymierzeńca.

– Podoba ci się? – spytał Kagan, wykonując szeroki gest. – Nasza kryjówka z dala od domu. Wypożyczona od pobratymca.

– Korzystamy z niego, gdy bezpieczeństwo stanowi najwyższy priorytet – wyjaśnił Bart, jak gdyby cokolwiek to tłumaczyło.

O'Neal wyciągnął cygaro, a następnie schował je z powrotem do kieszeni. Kagan wskazał na krzesło.

– No jak? McCann się zgodził?

– Masz na myśli wszystko?

Wyłożyłam jasno wymyślony przez Maxa i przeze mnie kompromis, mając nadzieję, że uwierzą w jego prawdziwość. Bart wyglądał na zmieszanego, O'Neal przyjął go sceptycznie.

Kagan jak zwykle pozostał nieodgadniony.

Pochylił się.

– McCann jest skłonny pójść aż tak daleko. Wzruszyłam ramionami. Wydawał się chętny do zawarcia układu.

– Udaje. Tacy jak on nie zawierają układów, oni czekają. McCann się do tego nie nadaje. Niewłaściwy człowiek, niewłaściwa frakcja w FBI. Próbowałam to Jamiemu wyjaśnić, ale on uparł się, by dać szansę McCannowi.

– Dlaczego Max nie był ze mną szczery? – spytałam, udając irytację.

– Żebyś była bardziej przekonująca.

Starłam się sprawiać wrażenie, jakbym mu wierzyła.

– Przydatność McCanna się skończyła. – Słowa Kagana brzmiały złowrogo. – Należy zdyskredytować go pośród jego własnych ludzi.

– W ten sposób przierzucimy piłkę na inne boisko – podsumował Bart. O'Neal wyciągnął

swoje grube hawańskie cygaro.

– Znajdziemy sobie jakichś federalnych, którzy pójda na gadkę o ogólnokrajowej ofensywie przeciwko przestępczości. Rozumiesz? – Wetknął cygaro w usta, lecz nie zapalił.

Dlaczego? Moja awersja do dymu z jego cygar nigdy mu wcześniej nie przeszkadzała. Sięgnęłam po leżące na stoliku papierosy, pozwalając im zobaczyć, jak spokojnie zapalam i wypuszczam dym w ich kierunku.

– Sądziłam, że potrzebowaliśmy Maxa McCanna, żeby powstrzymał swoich żądnych rozgłosu kolegów przed podjęciem szeroko zakrojonej ofensywy przeciwko nam – oświadczyłam głosem tak opanowanym, iż nawet Kagan nie mógł wyczuć narastającej we mnie paniki. Przypominałam sobie, co Bernard Rees powiedział mi o „pewnych frakcjach” w Biurze i do czego one dążyły.

„Jeżeli załatwimy z hukiem to Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar, obawiam się, że splodzimy ową narodową policję, której wedle wszelkich oznak powinniśmy się lękać”.

Ponieważ Kagan nie odpowiadał, odezwałam się.

– A jeśli federalni, których macie na myśli, nie postąpią według scenariusza Maxa? On i jego szef przez cały czas twierdzili, że chcą powstrzymać Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar, chwytając jego przywódców zamiast takich facetów jak dowodzący pięcioosobową komórką w Peorii.

Kagan przejrzał moją grę.

– Czego się boisz, Karen? Odpowiedziałam częściowo zgodnie z prawdą.

– Że jakaś nowa frakcja nie zatrzyma się na... na nas. Że będą wyciągać sprawy dla osobistej chwały i ścigać każdego, kto się nawinie.

– Nie, jeśli będą skłonni zawrzeć umowę. W przeciwieństwie do McCanna pomysł rozwiązań w skali federalnej może im odpowiadać.

– Max się nie podda – oceniłam. – Jeżeli zaborą mu tę sprawę, będzie ją prowadził dalej na własną rękę.

– M. McCann, człowiek oddany firmie, który cierpi z powodu nędznych przydziałów, mężnie znosząc to w ciszy niczym grzeczny chłopiec zjadający swój szpinak? Nie sądzę. Nie, widzę raczej starzejącego się agenta, który pozwala, by podprowadzono mu jego wtyczkę – powiedział Kagan.

– Wyjdzie na ostatniego frajera – wymamrotał z cygarem w zębach O’Neal.

– Innymi słowy – dodał z uśmiechem Bart – zostajesz porwana.

– Chyba kpisz – zawołałam, zrywając się.

– Siadaj – rozkazał Kagan.

– Jak długo tu zostanę? – wyjąkałam stojąc.

– Najwyżej parę tygodni. Nawet nie próbuj – ostrzegł, kiedy moje oczy zerknęły w stronę drzwi. – Wszystkie wygodny jak w domu – ciągnął rozglądając się dookoła. – Będziemy informowali cię na bieżąco.

Zanim znalazłam coś, by w nich rzucić, wyszli. Pudełko papierosów pękło odbijając się od dębowych drzwi zamykających się przed moim nosem.

Przekręcili klucz.

Usiadłam na dywanie, przeklinając własną głupotę i zbierając rozsypane papierosy. Niezapalone cygaro O'Neala powinno było wzbudzić moje podejrzenia. Zapewne ostrzegli drania, żeby nie zasmradzał dymem mojego nowego mieszkania.

Płomień z sykiem wystrzelił do góry i zgasł. Nie ma szans wygrać z mokrym drewnem. Trzeba mieć mojego pecha, żeby podczas sześciu dni takich przymusowych wakacji padało przez pięć. Chociaż deszcz dodawał nieco uroku memu więzieniu. Popatrzyłam dookoła na swoje miejsce „mimowolnego odosobnienia”. Jeszcze jeden dzień wpatrywania się w te mury i sufit przypominające odwrócony gigantyczny koszyk, a spalę tę budę na popiół. Spojrzałam na wbudowane w ściany ośmiokątnego pokoju półki z książkami, równie dobrze zaopatrzone jak spiżarnia. Słowa drukowane na papierze. Jak tu się skoncentrować, kiedy wokół tyle do czytania. Albo myśleć.

O ofiarach zbrodni. O uczciwych ludziach. Wielu z nich obecnie kipiało wewnętrznym gniewem. Czuli się zdradzeni przez „cywilizowane społeczeństwo”. Znałam to uczucie.

O rozwiązaniach nierozwiązywalnych problemów. Byłam osaczona wypowiedzianymi przez Maxa słowami, z jednej strony „Nie znam odpowiedzi na te pytania”, a z drugiej „Oni także nie znają”.

O swoim obecnym przekonaniu, iż uleganie gniewowi jest zdarzeniem prymitywnym.

Przede wszystkim o podziale pracy. Jest naprawdę cywilizowany. Zdyscyplinowani i doświadczeni funkcjonariusze – prawdziwi profesjonaliści, lecz najlepsi z nich ograniczani są przepisami prawa.

Ale kiedy profesjonaliści nie potrafią sobie poradzić, kiedy policjant wciśnięty jest pomiędzy błędne przepisy i regulacje, a oddany agent FBI przyznaje, iż nie zna odpowiedzi na trudne pytania, co ma uczynić ze swoim gniewem ofiara? Stłamsić go w sobie i doprowadzić się do samozniszczenia? Przekazać go mścicielom? Wstąpić do zakonu? Jakie są możliwości? Jaki miałam wybór jedenaście miesięcy temu?

Grupy pomocy, pomyślałam. Kliniki uczące sztuki radzenia sobie. Ale z czym, z urazem? Nieczułymi glinami? Problemami z opłaceniem rachunków za lekarza czy zakupem nowych zamków do drzwi frontowych? Ale jeśli miało się szczęście, jeżeli w przyszłości oczekiwała cię prawdziwa rozprawa sądowa, jedyną rzeczą, jakiej można się spodziewać od prowadzonych przez grupy pomocy gorących linii, jest trzeźwa rada: „nie spodziewaj się zbyt wiele po sędziach”.

Broń Boże nie oczekuj sprawiedliwości.

Przyłączyć się do straży sąsiedzkiej? Chodzić na patrole uzbrojona w krótkofalówkę? Nie najlepsze rozwiązanie dla wdów albo ofiar gwałtu.

Grupy protestacyjne? Raz po raz pojawiały się i znikwały z nagłówek prasowych razem z

najnowszymi doniesieniami o kolejnym morderstwie w parku.

Współpraca. Słyszałam o grupach seniorów regularnie odwiedzających sale sądowe. O prywatnych komisjach badania przestępczości w wielkich miastach, które gromadziły dane statystyczne i dopominały się zwiększenia liczby policjantów w określonych rejonach. Niezłe, lecz o lokalnym zasięgu. Na chybił trafił.

Nie tak jak Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar. Jesteśmy wielcy, działamy w całym kraju. Zrzeszenie prowadzone przez ludzi inteligentnych, którzy potrafią planować. Jesteśmy zorganizowani. Nie pojęłam głównej zasady, powiedział mi kiedyś Jamie.

Teraz już ją rozumiałam.

Drzwi otwały się, zaskakując mnie. Nie słyszałam nadjeżdżającego samochodu. Wszedł Tony zadowolony z mojego widoku. Dwukrotnie w ciągu minionych sześciu dni wpuszczano go do mojego więzienia. Chłopiec na posyłki Kagana. Mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

– Dobrze cię traktują? – spytał.

– Mam tu wszystko prócz świeżego powietrza i wolności.

– Potrzebujesz czegoś?

Kagan kazał zapytać.

– Twoich odwiedzin – odparłam żartobliwie, by nie zorientował się, jak bardzo ich pragnęłam. – Ale nie mów tego Kaganowi.

Szeroki uśmiech.

– Pewnie. Przestałby mnie przysyłać.

Uwielbiał opowiadać o tym, jak „obgaduje” mnie przy każdej okazji, jak Jamie, domowy psychiatra, zawsze go popiera twierdząc, że Tony ma „problem” ze mną z powodu swojej siostry, Marii. Uśmiechnęłam się. Fakt, iż Tony potrafił opowiadać tak wiele o swoim wewnętrznym konflikcie, zdradzał mi, że przestał już obwiniać mnie i co ważniejsze siebie.

– Nie zamierzasz spytać mnie o swojego faceta z FBI?

– Bałam się.

– Nikt nie powiedział mu o żadnym porwaniu. Jamie chce, ale nie może. Według Jamiego on uważa, że nie żyjesz.

– Niech cię diabli, Kagan! – Musiałam się odwrócić. – Wolałabym, żeby Max znał prawdę, do cholery! Muszę się stąd wydostać.

– Wydostanę cię, Karen.

Miał na myśli, że mnie obroni. Z trudem opanowałam łzy.

– Naprawdę – przyrzekł. – Coś wymyślę.

– Pewnie. – Pozwoliłam mu zobaczyć, że ze mną już wszystko w porządku. – Jakies inne wieści z frontu?

– Słyszałem coś o Misji. Zamierzają zapolować na jakiegoś sędziego. Oni, nie my. Alleluja!

– Kogo Kagan chce reedukować? Wzruszył ramionami.

– Nie słyszałem nazwiska. Ale chodzi o coś innego niż myślisz – dodał z odrobiną lęku w



głosie. – Zamierzają go zabić.

Przez myśl przemknęły mi dwa słowa – oskarżenie o morderstwo. Angela wyjaśniła mi, że nie trzeba pociągać za spust, by należeć do spisku.

Przesłuchałam go niczym adwokat, poszukując oznak typowego dla trzynastolatka koloryzowania, odrobiny niepewności w jego wypowiedzi. Ale w podsłuchiowaniu nie miał sobie równych.

Trzymał się swojej wersji. Misja zabicia sędziego federalnego co najmniej od tygodnia znajdowała się na etapie planowania.

Popatrzyłam na to półtorametrowe uosobienie uporu i determinacji w połatanych dżinsach oraz kurtce za dużej o jeden numer i poczułam się jak oficer werbunkowy posyłający dziecko na wojnę. Zaczęłam mu tłumaczyć.

Spoglądając na mnie uroczyście, powtórzył swoje zadanie – poznać nazwisko Celu, zdobyć dane o Misji: datę, godzinę i miejsce.

Kiedy wyszedł, wypełniłam ciszę niezmordowaną telewizyjną paplaniną. Głosy docierały do mojej świadomości i wypadały z niej. Ledwo tknęłam przygotowany posiłek. Przez godzinę słuchałam jednym uchem popularnego talk show, zakończonego jak zwykle radosnym ogłoszeniem listy jutrzejszych gości.

Położyłam się do łóżka, tęskniąc nie tylko za ramionami Maxa. Podobnie jak Angela nie rozstawała się nigdy z odznaką Joego, tak i ja zawsze nosiłam wspomnienie zapachu córki – perfumy Sarah. Ulotnił się już pierwszego dnia mojego pobytu w tym domu, kolejna wada rzekomo doskonałego więzienia. Szafeczka nocna drwiła ze mnie swoją popielniczką oraz nieczytanymi magazynami. Brakowało mi zdjęcia, które powinno na niej stać. Zasnęłam i śniłam o Sarah... lecz nie z Susie zaciśniętą w jej ramionach, tylko z Tonym.

Rozbudziłam się dopiero, gdy szłam do kuchni, przygotować śniadanie. Pod drzwiami leżała poranna gazeta.

Nagle rzuciłam się na podłogę, zaczęłam przewracać strony, następnie przeglądać program telewizyjny.

Lista gości zaproszonych do programu Dana Brudnika „Ludzie z nagłówków” przypominała kronikę towarzyską kręgów sądowych. Zawsze szczerzy prokurator okręgowy z Bronksu. Przewodniczący prestiżowej prywatnej komisji śledczej. Prawnik – specjalista w dziedzinie praw i wolności obywatelskich. Obecny na pierwszych stronach gazet całego kraju sędzieja Kelvin Reilly. Na żywo o ósmej.

Reilly.

Cofnęłam się do sekcji rozrywki. Popatrzyłam na zrobione z ukrycia ujęcie. Facet jakby rodem z reklamy. Gęste, jasne włosy, które wzbudzały zawiść w sercach mężczyzn w średnim wieku. Zawadiacki uśmiech na ustach często ustępujący miejsca nieprzyzwoitym żartom lub szelmowskim zaproszeniom „spotkajmy się przy piwie w pubie za rogiem, powiedzmy za piętnaście minut”.

Artykuł pod zdjęciem nie był wcale rozrywkowy. Sędzia Kevin Reilly cieszył się reputacją osoby nadużywającej swoich sędziowskich prerogatyw w sali sądowej, gdzie pełnił rolę prawdziwego króla. Im większy zamęt wzbudzały jego kontrowersyjne – niektórzy twierdzili, że skandaliczne – wyroki, tym bardziej był zadowolony. Miesiąc temu bohaterko – niektórzy uważają, że obłudnie – „zadał cios przepelnianiu aresztów”, zasądzając grupowe wypuszczenie za kaucją setek przestępców oczekujących na rozprawy w Nowym Jorku. Reporter podawał szacunkową liczbę tych spośród nich, którzy nie stawili się do sądu lub zostali ponownie aresztowani za nowe przestępstwa z użyciem przemocy.

Ostatnie linijki brzmiały niczym wyrok śmierci. „Od początku tego tygodnia organizowano pikety przeciwko planowanemu występowi sędziego w telewizji. Dziś wieczorem spodziewane jest nasilenie protestów”.

Owe trzy linijki sprawiły, że podbiegłam do zaślepiionych okien, jakbym nie miała jeszcze dosyć drzazg od badania ich centymetr po centymetrze. Nie zawracałam sobie głowy kolejnym przeszukiwaniem spiżarni, Kagan nie zostawił mi nawet ostrego noża.

Pozostało więc tylko przechadzać się wzdłuż i wszerz, popijając trzecią filiżankę kawy i jednocześnie wypełniając za Tony’ego luki. Nazwisko Celu – sędzia Kevin Reilly. Data – piętnasty września. Godzina – ósma. (Dziś wieczorem!) Miejsce – biurowiec, siedziba studia telewizyjnego na zachodnim Manhattanie.

Tym razem usłyszałam samochód, lecz wiedziałam, że nie mógł to być Tony. Nie dwa dni z rzędu. Poza tym jego obecność nie była konieczna.

Zewnętrzna zasława odsunęła się i wszedł Tony.

Z Rosą? Rosa, którą przez całe życie pomiatano, wchodzi teraz swym zmęczonym, posuwistym krokiem sprzątaczką, z pokornie przygarbionymi, wąskimi ramionami. Miała na sobie wielki, wyświechtany płaszcz, przyciemniane okulary oraz chustę na głowie. Swój strój lubiła określać stylem „babuszki”.

Zaczekałyśmy, aż drzwi się zamkną, i rzuciłyśmy się sobie w objęcia. Tony przyglądał się z niesmakiem tej demonstracji kobiecej nedorzecznosci.

– Powiedziałem facetowi na zewnątrz, że wczoraj narzekałaś – oznajmił – i Kagan przysłał mnie dzisiaj ze sprzątaczką.

– Genialne – zawołałam szczerze.

Rosa i ja zmierzyłyśmy się nawzajem. Podobnie jak ja była niska, ciemnowłosa oraz drobnej budowy. Miała co prawda większą nadwagę oraz biust, lecz to bez problemu można ukryć pod płaszczem. Kiedy pomyślałam, że różnica w odcieniach skóry stanowić będzie problem, wyjęła buteleczkę jakiegoś płynu. Zaśmiałam się, rozbawiona ironią losu.

Mogłabyś być Portorykanką. Tak, Kagan, rzeczywiście.

– Cel – odezwał się Tony – sędzia...

– Kevin Reilly, wiem. Dziś wieczorem. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Co powiesz o tej pani, Antonio? Zna odpowiedzi zanim jeszcze postawi pytanie. Karen –

dobry humor zniknął z jej twarzy – myślałam, że nienawidzę tego sędziego. Ale postępek, który oni planują, ustawia nas w piekle o jeden szczebel niżej od niego. Nie chcę brać udziału w zamordowaniu człowieka. Musisz coś z tym zrobić!

Wiedziałam, co powinnam uczynić. Kim musiałam się stać. Podczas drugiej wojny światowej ludzi tych nazywano kamikadze.

– Max McCann.

– Wie, że coś się święci – przerwała mi Rosa. – Został zaalarmowany.

– Zmylony – poprawił ją Tony. – Spodziewa się „wielkich kłopotów” przed Aresztem Brooklińskim.

– A nie na Manhattanie – podsumowałam, wyrzucając zawartość swojej torebki i sięgając po Rosy. – Kagan pamięta o wszystkim.

Rosa zdjęła swój płaszcz i zaczęła myszkować w schowku. Wyszła z odkurzaczem w rękę.

– Musimy zachowywać pozory – oznajmiła, pokazując głową w stronę drzwi, i włączyła go.

Hałas drażnił moje nerwy, gdy nakładałam na twarz warstwę fluidu. Kiedy zapinałam płaszcz Rosy na swym rozciągniętym swetrze, Tony ruszył dookoła ośmiokątnej sypialni, robiąc zdjęcia.

– Po co to? – spytałam.

– Zobaczysz. Facetowi na zewnątrz powiedziałem, że Kagan chciał fotografii.

Mężczyzna na zewnątrz z pewnością nie wygrałby żadnej nagrody za dociekliwość. Nasze szczęście odwracało się. Będziemy go potrzebowali, pomyślałam. Szczęścia, zgrania w czasie oraz chwili zastanowienia.

Godzina zero. Przeprowadziliśmy szeptem naradę. Tony zapukał w drzwi, krzyknął, cofnął się o krok.

Kiedy trzymający straż mężczyzna wetknął do środka głowę, flesz błysnął mu prosto w oczy. Tony przeproszał chwilowo oślepionego mężczyznę, podczas gdy „sprzątaczką” opuściła domek. Z kuchni, zagłuszając wiadomości telewizyjne, dobiegł narzekający głos.

– Powiedz temu cholernemu Kaganowi, że jeśli nie wyjdę stąd w ciągu dwóch dni, chcę mieć kucharkę i sprzątaczkę! Tony, słyszysz mnie?

Tony poinformował strażnika, że za kilka minut zabierze nas sprzed bramy taksówka. Jego twarz była mi nieznana, swoją trzymałam cały czas odwróconą.

„Sprzed bramy” oznaczało przemarsz umiarkowanym krokiem w dół stromego zbocza. Po obu stronach drogi rosły drzewa, ich liście zaczynały zmieniać kolor. Terenu wokół mego więzienia nie miałam okazji wcześniej zobaczyć, a teraz brakowało mi czasu, by go podziwiać.

– Najbliższy telefon oddalony jest o dziesięć minut drogi motorowerem – oznajmił Tony, rozgarniając przydrożne krzaki.

Z niedowierzaniem popatrzyłam na parę motorowerów.

– Ale przecież słyszałam samochód.

Kiedy Tony i Rosa chowali swoje pojazdy, przejeżdżała przypadkiem pusta taksówka. Jeśli

ma się akurat takie życzenie, za dziesięć doliców można podjechać sobie kawałek (na przykład na strome wzniesienie).

Motorowery. Znajdowaliśmy się o czterdzieści minut drogi od cywilizacji.

– Musimy wrócić, zanim Kagan spostrzeże ich brak – poinformował mnie Tony. – Umiesz jeździć? To nie jest trudne. Spytaj Rosy.

Rosa, przychylnie nastawiona do motorów dzięki pasji swojego syna, zdołała się szybko nauczyć. Dla mnie motorowery nie były niczym nowym.

– Wakacje na Bermudach – wyjaśniłam, żeby nie imponować mu zbytnio.

W Westchester południowy ruch zmierzających na południe samochodów kosztował nas dodatkowe dziesięć minut, więc kiedy dotarliśmy do telefonu, było już wpół do szóstej. Zadzwoiłam do manhattańskiego biura Maxa. Nie zastałam go. Nie było go również w pokoju hotelowym. Potrząsnęłam głową w stronę Tony'ego, który obserwował mnie z wnętrza przyległej budki telefonicznej.

Wybrałam kolejny numer, Jamiego zastałam w domu.

Przedstawienie sytuacji zajęło pięć minut. Kolejne pięć i pół Jamie nie mógł otrząsnąć się z szoku. Trzy minuty trwało jego sprawozdanie z wydarzeń. Minutę poświęciliśmy na ustalenie strategii działania. Spotkamy się przed budynkiem stacji telewizyjnej. Kiedy? Przed ósmą.

Jamie przez piętnaście sekund przyrzekał odnaleźć Maxa i zapobiec kolejnej bezsensownej pogoni po ulicach Brooklynu. Ja poświęciłam jeszcze dwie, by życzyć mu powodzenia.

Tony zawołał mnie do swej budki. Wykręcał numer.

– Jesteś agentem FBI? – usłyszałam jego głos, po czym bez słowa wetknął coś w zdrętwiałą kończynę, która powinna być moją ręką.

Odrętwienie minęło. Słuchawka drżała w mej dłoni, gdy podnosiłam ją do ust.

– Max?

Czy kiedykolwiek słyszeliście ciszę? Istnieje pewien jej rodzaj, którego nikomu nie polecam. Gdy raz się ją usłyszysz, ma się już dosyć na całe życie.

– Max – powtórzyłam – nic mi nie jest. Najdroższy, nic mi się nie stało. Ale komuś innemu wkrótce się stanie. Słuchaj. Proszę, posłuchaj mnie.

– O Boże, Karen.

Potem zaczął słuchać. Kiedy odezwał się, znowu przemawiał przez niego zawodowiec.

Teraz ja musiałam słuchać. Z wdzięcznością. Wydarzeń nie mógł już kontrolować amator.

– Domyśliłem się, że będzie w twoim mieszkaniu – chwalił się Tony, gdy odwiesiłam słuchawkę.

Uścisnęłam go.

Wróciliśmy do naszych motorowerów. Żadne z nas nie miało ochoty na długą podróż do domu.

– To potrwa całymi godzinami – utyskiwał Tony. – Spóźnimy się na akcję.

Jego stać było na spóźnienie. Mnie nie.

Inne rozwiązanie znalazło się samo. Odkryta ciężarówka – mnóstwo miejsca dla nas i dla motorowerów.

– Zamachaj! – zawołał Tony. – Zadrzyj do góry spódnicę! Zbaraniał, kiedy pokazałam, że jestem w dżinsach. Ciężarówka zatrzymała się mimo wszystko.

## Rozdział 34

Była siódma, kiedy dotarłam do mieszkania. Max nie wróci jeszcze długo. Tony odstawi motorowery. I dotrzyma obietnicy, że pójdzie stamtąd prosto do domu? Pewnie, że tak. Podobnie ja bym się zachowała, gdybym obiecała coś Maxowi.

Skrzypiały zawiasy drzwi do sypialni. To zapewne Marco. Protesty Poli przybrały nieco delikatniejszą formę nieustannego drapania. Z uśmiechem wybawiciela otworzyłam drzwi i niemal krzyknęłam, widząc, jak wyskakują uwalniając zakumulowaną energię. Dzięki opiece i karmieniu Maxa wcale nie wyglądały gorzej.

– Dziesięć minut na pobieganie po domu – ostrzegłam je.

Dziesięć minut na doprowadzenie mieszkania do porządku. Na opróżnienie sejfu z obciążających dokumentów oraz awaryjnej gotówki. Na napełnienie dużej torebki najpotrzebniejszymi rzeczami. Na złapanie kotów i ponowne zamknięcie.

Wyszłam za drzwi w obcisłych dżinsach, kurtce w groszki, ciemnych okularach i granatowej czapce z daszkiem. Dodatkowo płyn Rosy, wpływ przeżytego ostatnio koszmaru, ponure myśli oraz guma do żucia czyniły ze mnie prawdziwą mieszkankę getta.

Dotarłam na ulicę i poszczęściło mi się – trafiłam na taksówkarza, który radził sobie z gęstym ruchem niczym natchniony uczestnik rajdu. Przyjechałam za wcześnie.

Zaledwie kilku pikietujących? Kręcili się bezładnie tam i z powrotem zgodnie z nowojorskimi zwyczajami. Obiektem ich zainteresowań był dziesięciopiętrowy biurowiec położony na zachodnim krańcu Manhattanu, tuż nad Hudsonem. Za obrotowymi drzwiami ze szkła siedział na swoim posterunku znudzony strażnik, którego zadaniem było kierowanie ruchem wewnątrz budynku (niezbyt wielkim o tej porze). Rozejrzałam się po okolicy.

Zabudowa różnorodna. Skupisko salonów samochodowych, obecnie zamkniętych. Wysokie biurowce konkurujące z małymi ceglаныmi budynkami, których partery zajmowały pralnia, bar i kawiarnia. Dookoła liczne budowy obiecujące w przyszłości kolejne drapacze chmur, lecz na razie dostarczające okolicy jedynie kurzu i bałaganu. Ciemniejącemu niebu dramatyzmu dodawały dziwaczne sylwetki stalowych szkieletów oraz wielkich dźwigów.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu przyjaznych twarzy, wrogów, oznak niecných knowań. Niezbadane są drogi Kagana, lecz jak dotąd pozostawał niewidzialny. Jedyłą rzeczą przyciągającą uwagę był swojsko wyglądający bar. Po dokładniejszym obejrzeniu okazał się stary, ot taki jakich wiele. Znajdował się przy głównym trakcie – szerokiej alei ciągnącej się nad rzeką. Właśnie tam szukałby mnie Jamie.

Klienci baru oglądali telewizję. Potężni faceci o ramionach zdradzających dokerów zrobili mi miejsce raczej zdziwieni niż nieuprzejmi, po czym całkowicie o mnie zapomnieli. Zamówiłam piwo, z trudem powstrzymując się przed głaskaniem mahoniowego baru, którego rzeźba aż się

prosiła, by jej dotknąć.

Dwie rzeczy zmusiły mnie do podniesienia wzroku – zauważalne przycichnięcie panującego na sali gwaru oraz znajomy muzyczny wstęp programu Dana Brudnika „Ludzie z nagłówków”.

Dan Brudnik, którego jasnowłosi współpracownicy byli równie wiekowi jak jego markowe krawaty oraz którego sardoniczny uśmiech zdradzał, iż jest dumny ze swego tytułu „bąka”. Nie dla niego było perfekcyjne przedstawianie różnych gwiazd, Brudnik prezentował sprawy kontrowersyjne, aktualne i wzbudzające emocje. Zaczynało się jak zwykle. Krótkie ujęcie zgromadzonej publiczności. Kamera zatrzymuje się na głównym gościu wieczora – sędzi Kevinie Reillym. Szybko rzucone pytanie ustalające temat oraz charakter programu.

– Prawa więźniów a prawo społeczeństwa do własnego bezpieczeństwa. Czy o to właśnie chodzi w pańskiej „skandalicznej” decyzji, panie sędzio?

– Chodzi o skandal noszący nazwę przepełnionych aresztów.

Kamera przesunęła się z przepełnionej ironią twarzy sędziego na zaczerwienione oblicze prokuratora okręgowego z Bronksu.

– A czy nie jest skandalem dopuszczanie się na niewinnych...

– Co pan tu o niewinnych – wtrącił się znany adwokat, poprawiając okulary. Przerwanie innym było mile widziane w programie Dana Brudnika. – Mówimy tutaj o masowym łamaniu praw konstytucyjnych – kontynuował wykrzywiając usta. – Mówimy o ludzkim geście sędziego zwalniającego.

– Zatwardziałych kryminalistów – odezwał się siwowłosy rzecznik prywatnej komisji śledczej z ostrym jak brzytwa uśmiechem wymierzonym wprawdzie w adwokata, a następnie sędziego. – Jeśli się nie mylę, Norman, a wiem, że tak jest, większość z owych „porządnych obywateli” nie zdążyło nawet zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim dopuścili się nowych przestępstw.

Tłum w barze bił brawo, zagłuszając opozycję. Podobnie zachowywała się publiczność w studio. Hałas powoli ucichł.

– Zatwardziali, Tom? – spytał Brudnik. – Słyszałem, że wypuszczono osoby, które bezprawnie pobierały zasiłki, drobnych złodziejasków, ludzi podobnego pokroju.

– A co z recydywistami o kartotece grubszej niż sędzia Reilly? – zawołał podekscytowany prokurator okręgowy. – Społeczeństwo ma prawo...

– Na pewno nie ma prawa nakładać niebawale okrutnych kar na swych uwięzionych członków! – zaperzył się Reilly.

Tłum zareagował tłuczeniem butelek z wściekłości. Obrócono mnie na stolku.

– Nie powinno cię tu być, kochanie – zażartował Jamie, wyprowadzając mnie. – Ten bar to jedna z beczek prochu Kagana.

– Nie dogadaliśmy się, gdzie mamy się spotkać. Pomyślałam, że tu mnie znajdziesz. Po co ten kostium? – spytałam. Ubrany był w swój czarny piracki strój, łącznie z krzaczastą brodą oraz niebieskimi szklami kontaktowymi.

– Dobre pytanie – pochwalił, lecz nie raczył odpowiedzieć.

– Gdzie odbędzie się akcja? Ta pikieta wygląda nieco anemicznie.

Było ich teraz więcej – mężczyźni w wiatrówkach, kobiety w grubych swetrach i dzinsach. Wciąż paradowali przed jasno oświetlonym wejściem do budynku, nadal poruszali się jakby w letargu. To się zmieni, pomyślałam, kiedy skończy się program Brudnika – zerknęłam na zegarek – za trzy kwadransy. W tej chwili demonstrację ożywiały jedynie jaskrawe transparenty REILLY’EGO POSTAWIĆ PRZED SĄDEM!

– „Akcja” właśnie się zbliża – oznajmił Jamie, wskazując na rzekę. – Wycieczka statkiem dookoła Manhattanu sponsorowana przez Ligę Pomocy Ofiarom, pamiętasz ich z Wigilii? Zamierzają zrobić nieplanowany przystanek. Widzisz tamto nabrzeże?

– Przyłączą się do pikiety?

– Razem z przyjaciółmi, krewnymi, wszystkimi, których udało im się namówić na wzięcie udziału. Rozglądaj się za Biernymi i Aktywnymi. Kagan chciał mieć mnóstwo ludzi. Nasze nowojorskie komórki, dziesięć według ostatnich danych, stawia się na wezwanie. Zabawa zacznie się, gdy show Brudnika dobiegnie końca. Patrz!

Wynurzył się ciemny kształt statku kierującego się w stronę brzegu. Krzyżowały się na nim liczne światła. Zły omen.

– Czy ci wszyscy ludzie myślą, że są tu jedynie, by zaprotestować przeciwko decyzji sędziego Reilly’ego o masowym zwolnieniu za kaucją? – spytałam, marszcząc brwi.

– Dokładnie tak. Nie mają zielonego pojęcia o prawdziwych zamiarach Kagana.

– O zamachu – powiedziałam, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

– Kagan wcisnął mi tę samą historyjkę. Naszym celem jest stworzenie spontanicznego zrywu z symbolem Hsa w tle. Namierzono sędziego Reilly’ego, żebyśmy mogli wykorzystać związaną z jego osobą ogólnokrajową transmisję telewizyjną. To ma sens – zastanawiał się na głos, patrząc w stronę rzeki. – Wielki zwrot. Tłumy protestują przeciwko zwolnieniu bandy recydywistów, gdy narasta fala przestępczości. Jeśli Stowarzyszenie nie będzie się rzucać w oczy, to dzisiejsze szeroko nagłośnione wystąpienie postrzegane będzie jako Społeczny Protest, wezwanie do walki o reformę.

– O rozwiązaniu w skali narodowej. Woda na młyn przeciwnej Maxowi frakcji w FBI – oświadczyłam ponuro.

– Nie daję mi spokoju – powiedział Jamie, rozkładając szeroko ręce, jakby sam siebie chciał obejrzeć – dlaczego Kagan nalegał na to przebranie. Lee i ja jesteśmy członkami Ligi Pomocy Ofiarom. Jednak ona ma do nich przemawiać pod własną cudowną postacią, podczas gdy.

– Ty bierzesz udział w imprezie jako pirat. Może Kagan nie chce, by doktor James Coyne pokazywał się w pobliżu miejsca zamachu?

– A co z Lee? Oboje będziemy w centrum uwagi.

– Może Lee stała się... zbędna? Zastanawia mnie zdemaskowanie jej podczas tych zamiejskowych Misji, szczególnie w Atlancie. Stosunek Kagana był cholernie...



– Szarmancki – dokończył Jamie, wyglądając na zakłopotanego.

– Teraz kiedy ostrzeżliśmy Maxa, że Brooklyn to lipa – oznajmiłam, marszcząc brwi ze zmartwienia – będzie tutaj, żeby osobiście nadzorować ochronę sędziego federalnego. A jeśli dostrzeże Lee i skojarzy ją z „tajemniczą blondynką”, o której słyszał? A jeśli skojarzy ją z tobą? Musiałam narysować mu portret Czarnobrodego – szalejącego mściciela, na miłość boską! Na twoim miejscu nie stanęłabym na tej samej scenie co Lee.

Równie dobrze mogłabym mówić do ściany. Jamie uśmiechnął się tylko, pociągając za swoją sztuczną brodę.

– Najważniejsza sprawa to odkryć prawdziwe zamiary Kagana. Ten jego Społeczny Protest to doskonały sposób na zdobycie rozgłosu w całym kraju. Po co załatwiać sędziego?

– Statek przybija do brzegu – powiedziałam. Sięgnęłam do torebki. – Przyniosłam ci trochę dokumentów, materiały obciążające. Mógłbyś je schować razem ze swoimi kasetami?

– Zniszczyłem je. Swoje sekrety przekaz Tony’emu, kochanie. Przechowuje już część moich.

– Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się. – Popatrz tylko na to cudowne niebo – zawołał, biorąc mnie za rękę. – Zobaczyc księżyc i gwiazdy na Manhattanie! W ciemności napawać się zapachem rzeki!

– Niech noc będzie sobie wspaniała, Jamie. Ty bądź ostrożny.

– Cudowna, sprytna i mądra. – Spoglądał na mnie. – Wiedziałem to o tobie od samego początku. Wiedziałem tak wiele... a jakże mało. Czy wiesz, że cię kocham? – powiedział z dumą. – Tyle zdołałem osiągnąć. Nie martw się – dodał w pośpiechu na widok łez w moich oczach – jedyna rola, jakiej pragnę, to być aniołem stróżem. Twoim – dotknął mojej twarzy – i Maxa.

Straciłam go z oczu w szaleńczym tłoku. Ludzie przeciskali się za mną, obok mnie i niemal przeze mnie. W górę uniosły się prostokątne transparenty z hasłami wymierzonymi w sędziego Reilly’ego. Za moimi plecami otwarły się drzwi, z baru wylegli klienci. Szeroka aleja wypełniła się ludźmi. Spojrzałam na płynącą równoległe do niej rzekę. Od powierzchni wody odbijało się światło księżyca. Lekki wiaterek przesunął chmury nad naszymi głowami, nadając im zmysłowe kształty. Tak jak Jamie powiedział, wspaniałe niebo.

Dobry znak? Przynajmniej tak by się mogło wydawać. Tłum uspokajał się. Pojawił się wózek z hot dogami. Doskonale kontrolowano tłum, by... trzymać z daleka policję? Przyjechali konno – dwaj ubrani na niebiesko chłopcy w hełmach na głowach. Byli młodzi i sprawni, pewni siebie jak mężczyźni, którzy nie spodziewają się problemów, lecz potrafią sobie z nimi poradzić, gdyby zaistniała taka konieczność.

Skierowałam uwagę w stronę mężczyzn i kobiet wciąż gromadzących się w alei. Rozpoczęli marsz, ludzie z tablicami i transparentami wyrażającymi ich złość. „Złodzieje i mordercy za kratki! Nie zamieniamy naszych ulic w pola bitew! Zamknijmy wszystkich sędziów!”

Maszerujący kroczyli ramię w ramię przed wieżowcami, przed placami budów, pomiędzy nimi, nieubłaganie zmierzając w kierunku wejścia do biurowca mieszczącego studio telewizyjne. Ruszyłam za nimi.

Zewsząd otoczyły mnie DŹWIĘKI – RUCH – WOJOWNICZY ZAPAŁ. Ogarnęły mnie i pochłoneły, uczyniły częścią jednomyślnego potężnego tłumu! Widziałam obcych, którzy zdawali się znajomi, znane twarze zlewały się ze sobą.

Dostrzegłam przyjaciela. Z tej odległości oraz bez munduru trudno go było rozpoznać.

Sięgnij ponad wzburzenie maszerujących. Czy wyczuwasz nadzieję? Czy widzisz to samo, co ja, Zack? To nie jest tłum szykujący się do linczu. Nie musimy rezygnować – nie ze wszystkiego. Wymyśliłam sposób.

Zatrzymaliśmy się przy drewnianym podwyższeniu ustawionym przed placem budowy przyległym do interesującego nas biurowca. Wyrwałam się z ludzkiej cizby, cofnęłam, by uzyskać lepszy widok. Zapalono kilka przenośnych reflektorów. Pojawił się mikrofon.

Oraz Lee, której pomagano wspiąć się na podwyższenie. Lee w białym skórzanym trenczu, z powiewającym na wietrze szalikiem oraz aureolą złocistych włosów połyskujących w tak upragnionym przez nią świetle reflektorów.

Prawdziwa gwiazda, Lee. Jesteś cholerną idiotką.

Czarnoskóra kobieta, która przyłączyła się do niej, wymachiwała tablicą, lecz nie mogłam przeczytać napisanych na niej słów. Lee odwróciła się, zdekoncentrowana. Rozglądała się za swoim partnerem? Będzie przemawiać pierwsza. Prawdopodobnie sama tak ustaliła, gdyż po Jamiem trudno było cokolwiek powiedzieć.

Ludzie cisnęli się bliżej – zdyscyplinowany tłum. Obecnie zebrało się już kilkaset osób. Unikali stawania przed wejściem do biurowca, odległym zaledwie o kilkadziesiąt metrów na prawo od zaimprovizowanej sceny. Jeden z policjantów przesunął swego konia na lewo od wejścia – doskonale widać zgromadzenie, a jednocześnie stoi się na drodze każdej osobie, która wychodziłaby z budynku. Jego partner, zbytnio zadowolony z siebie, znajdował się bliżej mnie, na skraju grupy – dobry widok na podwyższenie. Pojawiła się trzyosobowa ekipa telewizyjna – kamerzysta, reporter oraz facet, który wygłupiał się z niepotrzebną lampą, gdyż Kagan pomyślał o właściwym oświetleniu.

Lee wzięła do ręki mikrofon i przedstawiła się słodkim głosem. Zaprezentowała także czarnoskórą kobietę.

– Ofiara, podobnie jak wiele z was! – zawołała do nadstawiającej uszu publiczności. – Przez ostatnią godzinę, panie i panowie, sędzia federalny, człowiek, który zdobył rozgłos kosztem ludzi takich jak ta biedna kobieta, próbował usprawiedliwić siebie na antenie telewizji ogólnokrajowej. Wypuścił na ulice naszego miasta niezliczone rzesze rabusiów, gwałcicieli oraz morderców. Nazwał to sprawiedliwością!

Krzyk i furia. Tylko na moment, jednak jakże kluczowy, pozwoliłam sobie na dekoncentrację podczas obserwowania wyjścia z biurowca. Właśnie dlatego najpierw usłyszałam zbiorowe jęknięcie, zanim zrozumiałam jego powód – zanim dostrzegłam sędziego Kevina Reilly'ego. Wychodził przez szklane drzwi, obrócony w naszą stronę, poprzedzany przez jednego mężczyznę oraz chroniony z tyłu przez innego.

Pierwszy z wychodzących mężczyzn... czy to Max? Może nie? Nie trzeba było dawać żadnego znaku zaparkowanej naprzeciwko limuzynie. Ryknął silnik, samochód zręcznie zawrócił i podjechał przed wyjście.

Równie zgrabnie Lee wyciągnęła swój oskarżycielski palec i zawołała:

– Sędzia Kevin Reilly!

Nie oddała mikrofonu, zabrano jej go. Czarnoskóra kobieta zawyła doń niczym zranione zwierzę.

– Zabiłeś mojego męża! Wpuściłeś na wolność jego mordercę, sędzio Reilly. Ty jesteś winny! – Kiedy przestała wymachiwać swoją tablicą i uniosła ją wysoko, nieruchomo niczym krzyż, zapadła cisza. *In nomine patri et filii*.

Tablica głosiła „Sędzia Reilly uczynił mnie wdową”.

Zniecierpliwione ręce popychały Reilly’ego w stronę limuzyny. Odtrącił je, zgarnął z czoła swoje gęste jasne włosy i odwrócił się w stronę swojej oskarżycielki. Czy jego złość mogła się równać gniewowi tej kobiety?

Max nie pozwolił nam poznać odpowiedzi, bezceremonialnie pozbawiając nas pierwszoplanowej postaci przedstawienia. Obrócił Reilly’ego i popchnął wprost w oczekujące ramiona mężczyzny, który wyskoczył z limuzyny. Kłapnięcie zamykanych drzwi oznaczało, że już po wszystkim.

Sędzia był bezpieczny.

W tym momencie zorientowałam się, że niekoniecznie, iż wciąż narażony był na atak strzelca wyborowego. Niemal jednocześnie ujrzałam Kaganą w wielkim kapeluszu. Kiedy mnie spostrzegł, wyraz jego twarzy zmroził mnie. To nie była zwyczajna obojętność, nie zauważyłam ani śladu zdziwienia.

– Przyszliśmy tutaj, by zaprotestować i zrobimy to! – Lee odgrywała swoją rolę przed kamerami. Próbowwała zwrócić na siebie uwagę zebranych.

Zwróciła uwagę Maxa. Nie widziałam dobrze jego twarzy, lecz zgadywałam, co myślał. Odezwał się do najbliższego gliny, a tamten odwrócił się i ruszył w stronę kobiety odpowiadającej opisowi FBI.

Policjant ryknął do megafonu.

– Proszę z tym kończyć i rozejść się do domów! – Za mną podobny wrzask podniósł jego partner.

Chciałam wyrwać mu z rąk urządzenie i ostrzec Lee. Pragnęłam uciec i się schować.

Krzyknęłam, kiedy ktoś – Jamie! – chwycił mnie za ramię.

– Popatrz – wskazałam – Lee niczym magnes przyciąga Maxa do podestu!

– Ale dlaczego ja? – Twarz Jamiego przeżywała agonię. – Dlaczego Kagan chciał, żebym ja też się tam znalazł?

Skierowałam wzrok z powrotem na podwyższenie – profil Maxa, dłoń na ramieniu kłaniającej się z ponurą grzecznością Lee. Max w ciemnozielonym płaszczu, Lee w białej skórze,

oboje skąpani w świetle na tle ziejącej ciemności oraz ledwo widocznych dziwacznie nieruchomych dźwigów i stalowych szkieletów.

Jednak nie całkiem nieruchomych.

– Jamie, czy coś się za nimi porusza? On także to spostrzegł.

– Rewolucja potrzebuje męczenników – powiedział cicho. – Kagan, ty niecofający się przed niczym skurwielu. SKURWIEL!

Wokół odwracały się głowy. Ludzie odsuwali się. Krzyk Jamiego wytworzył wolny korytarz. Rzucił się jego środkiem, biegnąc wprost do policjanta na koniu.

– Patrz! – wrzasnął, pokazując palcem w przestrzeń. W jednej chwili gliniarz spoglądał we wskazanym kierunku, w drugiej spadał już z siodła. Jamie dosiadł konia, wymanewrował zwierzęciem, by stworzyć sobie wolną drogę i pomknął w stronę podestu. Ludzie pierzchali na boki przed jego przeszywającym uszy krzykiem. – Hajaaaa! Hajaaaa!

Ściągnął lejce, by uniknąć kolizji. Koń stanął dęba.

Oświetlił go księżyc – odrzucona do tyłu głowa, potężny tors napięty i spocony z wysiłku, jedna ręka wzniesiona – niemal widać było trzymany w niej miecz albo sztandar.

Światło księżyca uczyniło z niego także doskonały cel. Na dźwięk szamotaniny obróciłam się akurat w porę, by zobaczyć pozbawionego konia glinę, który sięgnął po broń i po raz drugi wylądował na ziemi. Powstrzymał go czarnoskóry mężczyzna.

– Zack? – zawołał policjant, jego złość przemieniła się w pytanie.

Pobiegłam korytarzem wytyczonym przez Jamiego, widok podestu przesłaniały mi uniesione do góry transparenty. Biegłam, dopóki nie usłyszałam jęknięcia, które przetoczyło się przez resztki tłumu, aż zrównałam się ze sprzedawcą hot dogów, i zdesperowana wspierałam się na jego wózek, by zobaczyć podwyższenie.

Ujrzałam śmierć mknącą przez powietrze. Dostrzegłam ogromną kulę opadającą z nieba, zwisającą na morderczym haku.

W chwili gdy sądziłam, że zmiażdży obie oświetlone osoby niczym kruche kręgle, postać na koniu zmiotła je ze sceny, zrzucając na chodnik.

Myślałam, że przeżywam właśnie jakiś nierealny sen, kiedy usłyszałam potworny zgrzyt i zobaczyłam, jak ściana budynku otrzymuje cios pierwotnie wymierzony w ludzkie istoty. Rozpoznałam narzędzie śmierci, z kryminałów raczej niż ze snów – była nim stalowa kula wyburzająca.

Rewolucja potrzebuje męczenników... oraz zdrajców.

Nie dostałeś ich, Kagan – pomyślałam z satysfakcją. Lee już wstała. Jamie ją uratował. I Maxa. Nabrałam się na twoje lipne plany zamachu, ale dzięki aniołowi stróżowi nie poprowadziłam ukochanego mężczyzny na śmierć. Max jest...

Usłyszałam strzał, potem drugi.

Na białym skórzanym trenczu rozlała się plama czerwieni, rosła z sekundy na sekundę, Lee zachwiała się jak pijana, przestraszony koń stanął dęba i zrzucił Jamiego.

Zeskoczyłam z mego podwyższenia i pobiegłam.

Zobaczyłam ludzi pochylających się nad ciałami.

Lee zginęła od kuli snajpera.

Jamie zginął, łamiąc kark.

Leżał na plecach, miał zamknięte oczy, nie wyglądał na martwego. Raczej jakby spał. Potargane włosy... ręce i nogi rozrzucone. Chłopiec, który stracił z siebie kołdrę. Pragnęłam utulić go w ramionach.

Zrobiłabym to, gdyby nie Max.

Max pochylił się nad nim. Jego palce badały nie tylko skręcony kark Jamiego, dotykały także brody. Przesunęły się ku niebieskiemu szkiełku spoczywającemu na policzku niczym sztuczna łza.

Kiedy sięgnął po srebrny medalion w kształcie lisa, zrozumiałam, że pozbawiono mnie możliwości pożegnania się.

Jeszcze na chwilę zatrzymałam się w cieniu, by oddać Jamiemu hołd.

W końcu ją znalazłeś, drogi Jamie. Siłę, by umrzeć.

## Rozdział 35

Moja portmonetka pełna była ćwierćdolarówek. Korzystanie z automatów telefonicznych bez karty kredytowej weszło mi już w krew.

- Jak leci? – spytała Angela, rozpoznając mój głos.
- Wszystko skończone. Ostatnia, zamykająca sesja i zmywam się stąd.
- Dwa dni za wcześnie. – Jej głos zdradzał, że chciała informacji.

Zrelacjonowałam jej ostatnie dziesięć dni doświadczeń z kijem i marchewką, w większości dobre wiadomości. Dzięki wydobytej z sejfu liście, sporządzonej przez Lee na własną rękę podczas inspekcji na prowincji, a dotyczącej „prawdziwych talentów administracyjnych”, szybko wszystkich wyśledziłam. Spotkałam się z nimi.

„Szykowna blondynka”, która prowadziła komórkę w Baltimore. Kilka „odważnych” gospodyń domowych z Atlanty i Detroit. Przedstawicielka Houston lubiąca kraciaste zasłony oraz jabłecznik, która „strzela niczym rewolwerowiec”. „Łebska” Murzynka z Charlotte.

Przedstawiłam im, jakie mają możliwości. Jedna po drugiej zgodziły się przyłączyć, i to bez najmniejszych oporów.

– Pięć miast to wierzchołek góry lodowej – powiedziałam Angeli. – To właśnie zła wiadomość. Ale gdyby udało się nam zdobyć kartoteki Lee, te, które tworzyła, zanim ją zastąpiłam, gdybym zdołała wprowadzić tamte nazwiska do komputera, wtedy mogłabym pójść do Maxa.

- Zaczekaj – przerwała mi Angela. – Ktoś chciałby złożyć ci raport.
- Codziennie dostają świeżą wodę. Ich zęby wyglądają wspaniale. Krakersy dwa razy w tygodniu – poinformował z dumą w głosie Tony. – Pola nigdy nie dojada swojej kolacji, ale wygląda dobrze. Marco złapałmysz.

Och.

- Nie szczędzisz im uścisków i całusów?
- No pewnie. Wracasz do domu? Gdzie jesteś? Do domu. Do kogo i po co?
- Tak, pewnie – odparłam. – Dzwonię z baru na lotnisku w Charlotte, w Karolinie Północnej. Bądź grzeczny.

Odwiesiłam słuchawkę, w chwili gdy weszła... kobieta niepokojąco podobna do Claudii. Nie chodziło tylko o czarne jak smoła oczy, w jej figurze kryło się coś egzotycznego (nie wspominając już o imieniu – Sulette) oraz ten niemal niedostrzegalny grymas w kąciku ust. Poruszała się jednak z pewnością siebie osoby nieustępliwej.

Była moim pierwszym sprzymierzeńcem.

Zajęłyśmy stolik i poczekałyśmy na drinki, zanim złożyła mi raport. Jej doświadczenie z oddziałem Stowarzyszenia w Charlotte do złudzenia przypominało moje w innych miastach.

Początkowy szok. Demonstracja oporu, odrobina fałszywego bohaterstwa. Powolne uświadomienie sobie, że to jedyny sposób.

Następnie postanowienie, by wprowadzić w życie mój plan na własnym terytorium, zdobywając nowych sprzymierzeńców.

Zapewniało mi to potrzebną siłę przetargową.

Sulette dokonała identycznego jak ja odkrycia. Dla większości ludzi FBI było mityczną organizacją, albo lekceważoną, jak to często pokazują w serialach telewizyjnych, albo wzbudzającą natychmiastowy strach. Podobnie jak ja próbowała wykorzenić ten mit, uzmysłowić wszystkim, iż zagrożenie wiszące nad naszymi głowami dotyczy każdego, jest realne. Lecz niewszegarniające, jeszcze nie.

– W Charlotte dochodzimy już do tysiąca – oznajmiła radośnie. – Rozsądnym ludziom nie trzeba ciągle tłumaczyć, kiedy mają przed oczyma perspektywę więziennej celi... albo tygrysa pożerającego własny ogon. Widziałas już to?

– W Houston – potwierdziłam, dotykając gazety z oślimi rogami, zawierającej artykuł charakterem przypominający teksty Karen Newman. Było to wezwanie do broni, przesłanie do wszystkich komórek Stowarzyszenia. Wielkie kłamstwo w wydaniu Kagana.

Doktor James Coyne zdemaskowany jako męczeński Przywódca... znany psychiatra poświęca życie za Sprawę.

Lee Emerson, czarująca bohaterka, która zdołała utrzymać się o krok przed depreczającym jej po piętach FBI jedynie po to, by zginąć od kuli szaleńca.

Zobacz sama. Nadają to w ogólnokrajowej telewizji!

– Artykuł pojawił się w Houston, godzinę przed moim przyjazdem. Dał nam specjalny temat do rozmowy – powiedziałam Sulette, uśmiechając się na wspomnienie starej oraz na widok nowej przyjaciółki. „Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar samo kreuje męczenników? To scenariusz dla nieudaczników, złotko. Masz jakiś lepszy?”

– Zrobimy wszystko, żeby nam się powiodło. – Sulette uścisnęła moją dłoń.

Odprowadziła mnie do wyjścia dla odlatujących. Spoglądając na nią, nie mogłam nie wypowiedzieć cisnących mi się na usta słów.

– Twój widok sprawia, że widzę przed nami przyszłość.

– Więc jesteście kwita. Twój pozwala mi mniej się wstydzić przeszłości.

Odeszłam, zastanawiając się, czy ktoś mógłby uczynić coś podobnego dla mnie.

Dobrze jest wrócić do domu? A jeśli powrót przypomina wkładanie włosienicy... rodzi ból po stracie najukochańszej przyjaciółki? Wróciłam do mieszkania Claudii, nie swojego. Trzy wzbudzające klaustrofobię pokoje. Duchy, o których wspominałam Maxowi. Wszyscy zgodzili się, że jest to ostatnie miejsce, w którym by mnie szukał.

– Akt najmu jest na moje nazwisko? – spytałam.

– Przemysleliśmy to po twoim wyjeździe. – Angela wręczyła mi prawo jazdy, kartę

kredytową do supermarketu oraz umowę najmu.

– Pani Rosa Ramirez. – Potrząsnęłam głową, uśmiechając się. – Więc teraz hojność Rosy wzrosła do tego stopnia, że dzieli się ze mną tożsamością. Co jeszcze zostało?

– Jej meble. – Angela wskazała na kilka krzeseł. Spojrzałam na wersalkę.

– Dla Tony’ego – wyjaśniła. – Dzieciak, u którego sypiał, zawiózł go do Bronksu, żeby zabrał swoje rzeczy.

– To jego pomysł – powiedział Zack, częstując mnie papierosem. – Przyjrzyj się lepiej tej umowie.

Pierwszy października – dziesięć dni temu. Pani Rosa Ramirez z synem. Nie jest za późno, zapewniał mnie kiedyś Jamie. Za wcześnie.

– Wykorzystanie Rosy było szybsze i bezpieczniejsze niż załatwienie ci zupełnie nowej tożsamości – tłumaczył Zack udając, że nie dostrzega moich łez. – Grożą nam poważniejsze kłopoty, którym trzeba będzie szybko zaradzić.

– Na przykład rozpoznanie Zacka przez tamtego policjanta.

– Przestań, Angie, nie grozi mi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Ten chłopak jest niezwykle naiwny, jeśli chodzi o mnie. Nawet by mu nie przyszło na myśl, że mogłem skłamać.

– A co mu powiedziałeś? – spytałam.

– Że pracowałem potajemnie dla Stana Cole’a. Po tym jak Cole zginął podczas imprezy organizowanej przez Adwokaturę, chcieliśmy mieć... żywych świadków.

– Uratowałeś Jamiemu życie – przypominałam mu delikatnie.

Wykrzywił usta.

– Na jakieś pięć minut.

– Mielśmy rację, jeśli chodzi o O’Neala?

– Oczywiście – odparła Angela. – Nasz potentat budowlany sam obmyślił akcję ze stalową kulą do wyburzania.

– Żadnych problemów z moim szefem, Larrym?

– Nie, od przyjscia twojego listu. Na razie czeka. Twój komputer stoi w sypialni. Biurko to zasługa Zacka.

Czeka, podczas gdy ja „przechodzę rekonwalescencję”. Nie po tygodniowym porwaniu oraz kolejnych czternastu dniach spędzonych w podróży. Po nowej odmianie grypy.

– Gotowa na odrobinę dobrych wieści? – zapytał Zack. – Niezdecydowany o imieniu Hugh uległ swemu lepszemu ja. Jest z nami, w tej chwili duchowo, bo tak bezpieczniej.

– Biznesmen z zacięciem do uzyskiwania funduszków to doskonała wiadomość – orzekłam, opadając na wersalkę.

Dzwonek domofonu wywołał uśmiechy na wszystkich twarzach.

– Jedna sierota uratowana z zawieruchy – zażartowała Angela. Tony wszedł obładowany sprzętem fotograficznym, klatką, w której

Marco i Pola hałaśliwie protestowali przeciwko uwięzieniu. Zack poszedł po walizki. Angela



potargała Tony'emu włosy w przyjacielskim geście. Ja cieszyłam się z jego przepelnionych powagą, czujnych spojrzeń w moją stronę. Jamie twierdził, że w ten sam sposób patrzył na swoją siostrę Marię.

Pomogliśmy mu się rozpakować, ciesząc się, kiedy wyciągnął z kieszeni dowód tożsamości na nazwisko Tony Ramirez.

– Ja go podrobiłem – oznajmił w sposób, w jaki dzieci zazwyczaj mówią: „Dostałem piątkę z matematyki”.

– Upuściłeś coś, Antonio. – Zack podniósł złożoną kopertę, która wypadła z kieszeni Tony'ego.

Chłopiec poczerwieniał.

– Zapomniałem – podał mi ją. – Założę się, że od Kagana.

Znalazł ją pod swoimi drzwiami, zaadresowaną do mnie i noszącą prawdziwie Kaganowe znamię – „Do rąk własnych”. Otworzyłam ją w sposób, w jaki podchodzi się do nieznanego psa, z najwyższą ostrożnością.

No pewnie, Kagan mnie załatwił.

– Przeczytajcie sami – powiedziałam, ze spokojem podając list Zackowi, choć mój żołądek wywracał się na drugą stronę. Skupiliśmy się dookoła niego. Przeczytałam po raz drugi ponad ramieniem Zacka.

*Daruj sobie. Za późno na zmianę zdania czy wyrzuty sumienia. Porzuć plany przejęcia władzy. Jakiegokolwiek dalsze działania ze strony twojej lub twoich popleczników napotkają bolesną prawdę.*

*Pięć przedmiotów przesłanych agentowi FBI – wyobraź je sobie.*

*Jeden: fotografia. Kobieta strzelająca do mordercy swojej córki.*

*Dwa: pocisk. Pochodzi z tej samej broni.*

*Trzy: broń. Jej odciski palców wciąż się tam znajdują.*

*Cztery: jeszcze jeden pocisk. Ten pochodzi z karabinu z celownikiem optycznym, z którego strzelano do biednej Lee.*

*Pięć; jeszcze jedna fotografia. Co my tu mamy? Niska, ciemnoskóra osoba w granatowej czapce z daszkiem oraz kurtce w groszki, wysoko ponad tłumem, klęcząca na dachu ciężarówki. Celująca z karabinu?*

*A więc tak, FBI dostało cynk o tajemniczej blondynce – przywódczyni? Mając ją w zasięgu ręki, agent FBI traci zdobycz przez zamachowca. Bardzo wygodne, gdyby prawdziwa kierownik administracji Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar pragnęła odwrócić od siebie uwagę.*

*Dlatego powstrzymaj swoich przyjaciół – nie będę zawracał sobie głowy wymianianiem ich. Po prostu powiedz jednemu z nich, że odwlekana zemsta jest najslodsza. Zabójcy policjantów nie mogą ukrywać się wiecznie. Znam miejsce pobytu dwóch takich. Pozostań lojalna, A.*

*Co sprawia, że bajeczka staje się wiarygodna? W końcu, najlepsze potwierdzające zeznanie*

*można kupić za pieniądze – i wszystko gra, Z. Zrezygnuj albo dopilnuję, by mógł wyrzucić swój ukochany mundur do śmietnika.*

*Zaczekam na twoją odpowiedź, K. Ale niezbyt długo.*

Zack wyraził się za nas wszystkich.

– Skurwysyn.

Angela z odwróciła twarz i wsunęła dłoń do kieszeni. Obracała w palcach odznakę Joego?

– Widziałem cię na dachu ciężarówki – zwrócił się do mnie Tony, zaskakując nas wszystkich. – Sam omal tam nie wszedłem, tylko bałem się, że będziesz na mnie zła, bo nie poszedłem do domu. Ale kiedy...

– To nie byłem ja – odparłam cicho.

– Wiedziałem – wyglądał na zniecierpliwionego. – Nie potrafisz posługiwać się karabinem.

– Dzięki za zaufanie. Kagan czeka – zwróciłam się do Angeli i Zacka. – Chcecie poznać moją odpowiedź, a przynajmniej jej cenzuralną część? Ja nie zrezygnuję, ale wy dwoje musicie.

– Udać, że rezygnujemy... to masz na myśli? – spytał Zack.

– Może mieć swoją słodką zemstę – syknęła Angela – i...

– Przestańcie – warknęłam, pragnąc uściskać ich oboje. – Kagan jest sprytny. Wyczuje podstęp.

– Chwycił nas za jaja. Tyle właśnie wyczuje.

– Może. Nie chcę po prostu, żeby wasze nazwiska przesłano do FBI. – Angela zmierzyła mnie wzrokiem. – Nie staram się być szlachetna – wyjaśniłam z mizernym uśmiechem. – Po Operacji Koń Trojański, któż jest lepszy, by wskazać złoczyńców, kiedy ja spalę za nami mosty? Pytanie tylko, czy zdołamy zbudować cokolwiek na gruzach. Problem polega na tym – wyjaśniłam, popadając w melancholię – że nie mogę pójść do Maxa, przynajmniej nie w tym momencie. A teraz Kagan dotrze do niego pierwszy.

– Może nie – odezwał się Zack. – Jego szantaż ma bardziej kruche podstawy, niż to się może wydawać. Zeznanie naocznego świadka zakwalifikuje śmierć Indio jako „obronę konieczną”. Kagan wie, że złożyłbym je, gdyby postawił mnie w takiej sytuacji. Jeśli chodzi o zastrzelenie Lee, nie można być w tym samym czasie jednocześnie w dwóch miejscach. Gdzieś tam żyje sobie sprzedawca hot dogów, który widział cię na szczycie swojego wózka.

– Znajdziemy go – obiecała Angela. – Jak wygląda twój plan działań?

– Zależy, czy uda mi się wydobyć od Barta kartotekę Lee.

– Nielatwa sprawa – zastanawiał się głośno Zack. – Musimy przyjąć, że przełknął jakąś wyssaną z palca historię na temat morderstwa Lee.

– Przeżywa trudne chwile – powiedział uroczyście Tony. – Widziałem go płaczącego.

Wyobraziłam sobie siebie z karabinem w rękach, odstrzeliwującą łeb Kaganowi.

– Zanim zaczniecie Szukać sprzedawcy hot dogów – odezwałam się – może by tak zdobyć jakieś dowody na to, że na dachu tamtej ciężarówki znajdował się protegowany Kagana? Mogę

osobiście zaświadczyć o jego kwalifikacjach strzelca wyborowego.

– Zbyt wysoki i za bardzo jasnowłosa – podsumowała Angela. – Ale ma kumpla, który akurat przypadkiem jest niski, śniady i lubi strzelać.

Razem z Zackiem wymienili spojrzenia mówiące, iż dni snajpera są policzone.

– Więc zaczynamy – Zack zwrócił się do Angeli, a następnie do Tony’ego: – Słyszałem, że pewna pani Ramirez poszukuje osoby, która pełniłaby rolę ochroniarza, gońca i jednocześnie dobrego kumpla. Starasz się o tę posadę?

– No pewnie – odrzekł, starając się nie uśmiechać, był jednak zachwycony słowami Zacka.

– Trzymaj się zawsze o jeden krok przed Kaganem, dobrze? – powiedziała do Angeli.

– Do licha, siedzimy w tym interesie dłużej niż on, przynajmniej tak sędzę. Potrzeba nam teraz pomysłu na zneutralizowanie Operacji Koń Trojański, jakiejś symbolicznej nazwy naszego obecnego przedsięwzięcia... nadaj czemuś nazwę – uśmiechnęła się – a dasz mu przyszłość.

– Operacja Łazarz – szepnęłam.

Zack musiał wyjaśnić Tony’emu znaczenie. Z zadowoleniem uścisnęliśmy dłonie.

## Rozdział 36

- Nikt mnie nie śledził. Zgubiłem ich!
- Opowiedz mi jeszcze raz. Powoli, Tony.

Wiedziałam już jednak. Zaczynałam rozwijać w sobie szósty zmysł wyczuwający metody działania Kagana – trochę za późno, pomyślałam gorzko. Tony’ego zaalarmowała koperta znaleziona pod drzwiami jego mieszkania. W drodze do mnie zachował się na tyle przytomnie, by rozglądać się za ogonem, a nawet jeden zauważył – brązowego peugeota – i urwał się mu.

Ale jeżeli były dwa ogony – jeden przeznaczony na straty, a drugi pilnujący do samego końca?

To wyjaśniałoby pojawienie się przed chwilą na naszym progu Barta, na którego widok Tony omal nie upuścił torby z zakupami.

Kagan chciał zawrzeć rozejm. Natychmiast. Zack i Angie przekonali go, że razem moglibyśmy osiągnąć cel, który sobie wyznaczyłam. Przeobrażenie organizacji. Nie ma potrzeby, by kogokolwiek poświęcać.

Kagan nie chce nikogo spisywać na straty? Nie brzmiało to zbyt szczerze.

Wtedy zorientowałam się, że miał już swoją kartę przetargową. FBI chciało przywódców? Stowarzyszenie miało dwóch martwych na sprzedaż. Czy to załatwiało sprawę?

Sprawę marchewki, być może. Jeżeli chodzi o kij, wyjaśniłam Tony’emu, że czeka go perspektywa zapukania do drzwi Maxa.

Miałam pół godziny na podjęcie decyzji. Albo Bart dostarczy mnie do stołu rozmów, albo znajdziemy się w stanie „wojny totalnej”.

Nie zabrakło mi doradcy.

– To pułapka! Zack jest na służbie, więc przysłał Barta? Wierzysz w to?

– Tony, ta kartoteka jest mi potrzebna. Nawet jeśli Kagan prowadzi jakąś nową grę, będę miała okazję, by popracować nad Bartem. To gra warta świeczki.

Obrzucił mnie jednym ze swoich spojrzeń mówiących „jest beznadziejna”, po czym zanurzył dłoń w stojącej przy drzwiach wielkiej donicy.

– Lepiej więc zabierz ze sobą to.

Wydobył wczorajszy podarunek od Zacka – mój wypróbowany rewolwer kaliber .38.

– Nienotowany – powiedział Zack, zostawiając go.

Nie potrafiłam się zmusić, by dotknąć tego przeklętego narzędzia.

– Bart przeszuka moją torebkę – oznajmiłam z nadzieją w głosie.

– Włóż kozaki. Angie pokazała mi, jak przywiązywać go do kostki. Westchnęłam i poszłam przynieść buty.

Pozwoliłam Tony’emu przymocować mi rewolwer.

– Nie ruszaj się stąd – przykazałam mu i wyciągnęłam ramiona w jego stronę wiedząc, że zgodzi się na uścisk. Przyzwyczytał się, przytulając Marco i Połę.

Ruszyłam do windy, czując się jak chodząca bomba zegarowa, mimo iż Tony zapewniał mnie, że broń nie wystrzeli bez mojej pomocy. Zjechałam na dół żalując, że instynktu przetrwania nie można od kogoś dostać, tak jak amuletu na szczęście. Wyszłam z budynku, udając pewność siebie, która w rzeczywistości stanowiła swego rodzaju samoobronę. „Gdyby zwierzęta z tej dżungli wyczuły choćby cień strachu”.

Bart z ponurą miną oczekiwał przy brązowym peugeocie. Minimalnie skinął do mnie głową (co natychmiast odwzajemniłam), po czym otworzył przede mną drzwi od strony pasażera, naprawdę grzecznie. Jak dotąd bez problemów. Niemniej przewróciło mi się w żołądku, kiedy zobaczyłam, w jaki sposób ich dotyka – jak gdyby były z rozżarzonego metalu, jakby z największym wysiłkiem opierał się chęci przytrzaśnięcia mnie nimi!

Dochodziłam do siebie w ciszy, podczas gdy on pojechał na wschód przez Central Park i dalej autostradą w kierunku dzielnic mieszkalnych. Jest w żalobie, przypominałam sobie.

– Bart – odezwałam się – pragnę, żebyś wiedział, jak bardzo mi przykro, jak jestem przerażona tym, co spotkało Lee.

Dwie podświadome reakcje. Moja dłoń na jego ramieniu w geście szczerego współczucia. Jego ręka odskakująca od kierownicy, by strącić moją dłoń.

Wtedy zrozumiałam, jaką wyssaną z palca historyjkę wciśnięto Bartowi. To ja rzekomo strzelałam z dachu ciężarówki.

– Jesteś szalony – szepnęłam. – Nie miałam z tym nic wspólnego.

Cisza. Nic tylko zerkanie z ukosa, kiedy opowiadałam mu swoją teorię o protegowanym Kagana i jego niskim kumplu niewahającym się sięgnąć po broń.

– Do licha, Bart, ja przecież w życiu nie strzelałam z karabinu!

– Mogłaś się nauczyć. Kagan twierdzi, że jesteś cholernie sprytną damulką.

– Nie aż tak sprytną – odparłam cicho z za podniesionego kołnierza płaszcza. Spozstrzegłam, dokąd dojechaliśmy. Wałące się budynki i opustoszałe parkingi. Z powrotem w Bronksie.

Zapadał zmrok. Ruch na ulicach stawał się coraz mniejszy, widać było głównie taksówki. Wkrótce gotowi będą zrobić wszystko, opuścić cenę, jechać bez pasażera, byle tylko wydostać się z tej okolicy. Chyba że kierowca mieszkał akurat w Bronksie. Jeszcze od Manhattanu jechała za nami taksówka z zapalonym napisem „wolny”. Straciłam ją z oczu, kiedy skręciliśmy w boczną uliczkę.

Bart zatrzymał samochód, a ja sięgnęłam po torebkę. Złapał ją pierwszy.

– Strata czasu – powiedziałam, gdy ją otworzył. – Jest za mała, żeby pomieścić karabin.

Oddał mi ją.

– Czas iść.

Tym razem pozwolił mi samej otworzyć drzwi.

– Jeżeli czekają mnie negocjacje w sprawie rozejmu – oznajmiłam, przechodząc na jego

stronę samochodu – to Kagan wybrał niewłaściwego posłannika.

– Tak sądzisz? – odrzekł, chwytając mnie pod ramię. – Może nie będzie żadnego rozejmu. Może przyjechałaś tu, by ponieść ostateczną klęskę.

Zaśmiałam się, słysząc te słowa rodem z hollywoodzkiego filmu, gdyby nie lufa przyciśnięta do mego boku. Zdawało się, że była to broń tego samego kalibru co rewolwer przymocowany do mojej kostki, jednak Bart trzymał mnie na tyle mocno, że nie mogłam nawet marzyć o schyleniu się.

– Masz szczęście, że cię wcześniej nie zabiję. Wcześniej? Przed Kaganem?

Utykając, powtórzyłam sobie w pamięci podstawowe uderzenia, kopnięcia i uniki demonstrowane przez Angelę. Jednak jak się wyrwać, kiedy Bart chwycił mnie swoją wielką łapą i zaczął ciągnąć? Obok zdemolowanych budynków. Przez puste parkingi. W ciemne zaułki.

Oślepił mnie błysk. Barta też, wypuścił moje ramię i upadła mu broń.

Wyciągnęłam swoją.

– Bart, nie rób tego! Ona ma cię na muszce – odezwał się głos od strony błysku. Powiedział to chłopiec trzymający w ręku aparat fotograficzny.

Bart znieruchomiał z jedną ręką wyciągniętą w stronę broni leżącej u jego stóp, a twarzą skrytą w cieniu. Jaki wyraz malował się na niej teraz? Strach? Zraniona duma?

Schylił się po rewolwer.

Strzeliłam.

– Jezu Chryste! – Spocona twarz Barta wyłoniła się z cienia.

Ze zdumieniem spojrzałam na dziurę w koszuli odrobinę poniżej prawego przedramienia. Celowałam w udo.

– Spróbuj jeszcze raz, a wyceluję w ramię zamiast pod nim! – zawołałam.

– Nigdy nie strzelałaś z karabinu, co?

Wspaniale.

– Tony, jego broń. – poleciłam. Tony zdążył już ją podnieść.

– Dokąd mnie prowadziłeś, Bart?

– Do siedziby gangu gnoja zwanego Indio.

Nic dziwnego, że okolica wydawała się znajoma!

– Dlaczego tam? – naciskałam.

– Targana wyrzutami sumienia damulka wraca na miejsce zbrodni – odparł. – Władowałaś mu w plecy trzy kule, pamiętasz?

– Obrona konieczna. A co to ma wspólnego z rozejmem? Co knuje Kagan?

Wykrzywił usta w uśmiechu. Kryjąca się za nim powaga mroziła krew w żyłach. Nic była to wystarczająca odpowiedź... prawie, lecz nie do końca. Doszłam do wniosku, że gdybym wcisnęła mu lufę między zębra i zawołała: – Mów albo zgiń! – nazwałby to blefem. Stał, najwyraźniej mając złe zamiary.

Wtedy właśnie przypominałam sobie, z kim tak naprawdę miałam do czynienia –

człowiekiem, któremu w dłoniach drżała szklaneczka z whiskey.

Szeptem przeprowadziłam z Tonym konsultację. Wysłałam go na poszukiwania. Pierwszą potrzebną rzecz znalazł na stercie gruzu.

Natychmiast zrobił z niej użytek. Podczas gdy strzelec wyborowy Karen trzymała wroga na muszce, Tony kawałkiem drutu związał Bartowi ręce, a następnie nogi w kostkach („wystarczająco luźno, żeby mógł jakoś chodzić”).

Bez trudu znalazł również drugi potrzebny przedmiot – stary szyld, z mnóstwem miejsca do pisania na odwrocie. Wyciągnęłam z torebki ostatni rekwizyt w postaci szminki i z uśmiechem na ustach wzięłam się do pracy.

Wyraz twarzy Barta, kiedy pokazałam wykonaną przez siebie tablicę, udowodnił, że opłacił się wysiłek włożony w jej powstanie. Czerwone litery dziesięciocentymetrowej wysokości głośno – nie, wykrzykiwały – swoją wiadomość:

JESTEM KLAWISZEM Z WIĘZIENIA NA STATEN ISLAND. CHODŹCIE I  
SRÓBUJCIE MNIE DOSTAĆ, SKURWIELE!

Zapadła cisza, kiedy wszyscy troje wsłuchiwalismy się w jednoznacznie brzmiące odgłosy nocy.

– Słyszysz? – spytałam złowrogim głosem. – To prawdziwa dżungla. – Poczulałam się jak bohater powieści kryminalnych. – Przysięgam na Boga, Bart, jeśli natychmiast nie odpowiesz mi na kilka pytań, zostawię cię na pożarcie tym bestiom.

Pojawiła się pierwsza rysa na gładkiej dotąd skorupie – w kącikach ust czaiło się wahanie. Pochyliłam się nad nim, dając znak Tony’emu, by się oddalił.

– Nie pozwolisz mi odejść i zostawić cię w takim stanie – powiedziałam mu cicho. – Wiem, skąd się wywodzisz, Bart. Wiem, kim jesteś.

Tchórzem.

Niewypowiedziane słowo zawisło pomiędzy nami. W moich oczach zagościła dzikość.

Zapytałam go jeszcze raz. Odpowiedział.

Jako knebel wykorzystaliśmy jego chusteczkę do nosa. Kiedy tak we trójkę podążaliśmy w kierunku opuszczonego budynku (powoli, gdyż Bart nie szedł, tylko kuśtykał), tęskniłam za podnoszącą na duchu rozmową, słowami, które zagłuszyłyby usłyszane przed chwilą informacje. Bart nie był jedynym tchórzem w naszej grupie.

Tony spełnił moje życzenie, składając barwne sprawozdanie z Operacji Uchronić Karen Przed Nią Samą. Zbiegł na dół schodami, jak tylko dotarłam do windy, wyszedł przez piwnicę i jeszcze przede mną znalazł się na ulicy. Kiedy złapał taksówkę, kazał poczekać, aż przejedzie brązowy peugeot. Skorzystał z dawnej przyjacielskiej porady; dzięki ci, Zack.

„Następnym razem powiedz taksówkarzowi, żeby zapalił napis »wolny«, na wypadek gdyby śledzony obejrzał się przypadkiem”.

Żeby po cichu wspiąć się sześć piętér, musieliśmy rozwiązać Hartowi kostki. Tony ponownie owinał je drutem, gdy dotarliśmy na górę. Został razem z nim, podczas gdy ja ruszyłam w poszukiwaniu właściwych drzwi.

Pamiętałam je doskonale.

Nie musiałam udawać napięcia. Z odrobiną niepewności w głosie zapukałam i zawołałam Kagana po imieniu. Powiedziałam mu, że Hart miał problemy z samochodem, ale przyjdzie lada moment.

Drzwi otwarły się. Kagan powitał mnie swoim skrzywionym, delikatnym uśmiechem.

Ile to już razy przyrzekałam sobie, że zetrę go z tej twarzy?



## Rozdział 37

Wysoki, niezwykle szczupły i lakoniczny. A jednak inny – nauczyłam się dostrzegać napięcie w jego jakby przymglonych oczach. Przekręcając lekko swoją skrzywioną szyję, zaprosił mnie gestem do środka i zaproponowałbym się rozejrzała.

Zamiast nakrytych futrami łóżek i stert skradzionych urządzeń zobaczyłam biurka, szafki na akta, wykresy na ścianach, a nawet zasłony w oknach. Jediną pamiątkę po „siedzibie gangu” stanowiły rdzewiejący generator oraz sejf. Jaskinia zbójców przeistoczyła się w biuro.

– Każda tajna organizacja potrzebuje ukrytego centrum operacyjnego. Nigdy ci nie ufałem – powiedział. – Za szybko dostrzegasz różne rzeczy.

– I nazywam je zgodnie z prawdą. Jamie określał cię mianem rewolucjonisty. Ja widziałam w tobie mordercę. Czy możemy na tej podstawie zbudować rozejm?

Obserwował ostrożnie, jak rzucam na krzesło płaszcz i wieszam na nim torebkę.

– Proszę bardzo – powiedziałam – Bart nie omieszkał już zajrzeć. Zaśmiał się i poszedł usiąść za najdalszym biurkiem. Z zasłonami w tle przypominał biznesmena przed spotkaniem w interesach.

– Dlaczego tego nie przyznasz? Rozmowa o rozejmie stanowi jedynie pretekst dla nas obojga – oznajmił z rozbrajającą szczerością. – Jak moglibyśmy się oprzeć pokusie ostatecznej konfrontacji, ty i ja?

– W walce o co? – rzuciłam wyzwanie. – Z pewnością wiesz, że Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar jest skończone. Niepotrzebnie stworzyłeś kilku męczenników.

– Nigdy nie robię niczego na próżno. Jeszcze tego o mnie nie wiesz? To prawda, mam pewien udział w porażkach. Na przykład McCann.

– Zdradziecka koza, która prowadzi swe jagnię na rzeź. Muszę ci to przyznać, Kagan. Niemal ci się udało.

– Co jest łatwiejsze od tragicznego wypadku z kulą do wyburzania? – zapytał z mrozącą krew obojętnością. – Zdyskredytowanie agenta z tak niebywałym dorobkiem zawodowym jak McCann? To mój plan awaryjny. Nie przewidziałem bohaterkiego wystąpienia Jamiego na zakończenie. Które, na nieszczęście dla ciebie, zmusiło mnie do powrotu do pierwotnych zamysłów. – Uśmiechnął się. – Do zajęcia się tobą, Karen. W odpowiedzi zaprezentowałam wymuszone rozciągnięcie warg.

– Co masz na myśli, tym razem? – Bart zdradził mi jego zamierzenia. – Naprawdę sądzisz, że Max da się nabrać na te bzdury o strzelcu wyborowym?

– Czy uważam go za równie tępego jak Bart? Oboje wiemy, że nie. Jedynym zdjęciem przeznaczonym dla twojego przyjaciela McCanna jest fotografia zrobiona z ukrycia w tym pokoju w Sylwestra.

Przymknęłam oczy i jeszcze raz przeżyłam wydarzenia tamtej nocy.

– Po co upiększać to, co i tak już jest piękne? – dodał cicho. – To wystarczający dowód potwierdzający podejrzenia, do których ma wszelkie podstawy w świetle melodramatycznego zdemaskowania Jamiego. Przeczucia dotyczące twoich niezaprzeczalnych talentów w roli podwójnego agenta oraz Maty Hari.

Zastanawiałam się, czy może zakończyć już tę zabawę w kotka i myszkę. Wahałam się, czy nie sięgnąć po rewolwer w cholewie. Niemożliwe, by miał ukrytą gdzieś broń, nie w tak opiętych dzinsach. Ale kot wciąż wydawał się w nastroju do zabawy, rozmowny, podczas gdy mysz pragnęła dowiedzieć się więcej, jak najwięcej. Musiałam się zorientować, czy zdążył już podsunąć Maxowi swoje spreparowane, nasączone jadem informacje.

– Szczycisz się swoim praktycznym podejściem, a nie chęcią zemsty – powiedziałam. – Więc jaki sens mają twoje zamiary?

– Już myślałem, że nigdy nie spytasz – odparł radośnie.

Z kieszeni wyjął kawałek kredy i na podłodze zaczął rysować hipnotyzujące dzieło. Kontur, jakim policja obrysowuje zawsze znalezione ciało.

– Krok pierwszy – podniósł wzrok. – Czy dobrze go przedstawiłem? Zrobił to znakomicie. Popatrzyłam w dół na coś więcej niż tylko zaznaczony kredą kontur, zobaczyłam... Indio. Jedna ręka wyciągnięta w bok. Ciało ciśnięte do przodu impetem trzech kul wymierzonych w plecy.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak zimno było w tym pokoju. Pomimo ciepłego swetra i wełnianych spodni potrzebowałam płaszcza. Potrzebowałam jednak także swobody ruchu, dlatego powstrzymałam drżenie.

Kagan i tak je spostrzegł.

– Może włączyć słoneczko? Mam tu jedno przy biurku.

Usłużny gospodarz. Nie ma mowy, bym dała mu tę satysfakcję. Potrząsnęłam głową.

– W takim razie krok drugi – powiedział, podszedł do sejfu i wyjął kasetkę. – Moja czarna skrzyneczka, chyba tak ją nazwałaś. Jak zwykle celnie. – Sięgnął do środka po parę rękawiczek. Potem pistolet.

Zbyt długo czekałam, by wyciągnąć swój.

– Pistolet, z którego zastrzeliłam Indio – powiedziałam głosem twardym, a nieprzepełnionym ogarniającą mnie rozpaczą.

– Ten sam. Będziemy liczyć razem? Trzy dla zmarłego. Dwa dla znieawidzonego wspomnienia.

Wystrzelił dwukrotnie w narysowany przez siebie kontur!

– Pozostaje jeden dla samobójczyni... czyli ciebie. – Włożył rękawiczki i wytarł pistolet, potem kawałek kredy. – Uwaga!

Jak reagujesz, gdy ktoś rzuca coś w twoim kierunku? Jeżeli masz refleks, łapiesz to. Ja złapałam kredę.

I natychmiast przeklełam swój refleks, gdy Kagan wyrwał mi ją z powrotem. Teraz miał na

niej moje odciski palców.

Schował broń do kieszeni i zdjął rękawiczki.

– Podsumuję wszystko za ciebie – zdecydował. – Agent FBI Max McCann lada chwila wyjdzie na klasycznego idiotę. Facet poświęca swój zdrowy rozsądek dla namiętności. W pogoni za przywódcami mścicielskiej organizacji nierozmyślnie zatrudnia ich kierownika administracyjnego, czyli ciebie. Tego dnia, kiedy przyłapałaś mnie w gabinecie Jamiego...

– Robiłeś inwentaryzację, tak powiedziałaś.

– Falszowałem taśmy i robiłem własne kopie. Jamie nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami. To ułatwiało moje zadanie – wplątywanie ludzi, ujawnianie nazwisk. Dzięki Jamie, awansował w organizacji. Spróbujesz przewidzieć, jak McCann odbierze twój gest pokutny? Borykająca się z wyrzutami sumienia, rozdzierana sprzecznymi zobowiązaniami Karen Newman przesyła swojemu kochankowi taśmy odkrywające kulisy organizacji oraz zdjęcia obciążające ją samą. Wpierw jednak po raz ostatni daje upust swojej wściekłości – wskazał na wyrysowany kredą kontur – po czym... odbiera sobie życie.

Kagan zamierza mnie zabić i upozorować samobójstwo.

– Więc Max nadal nic nie wie. Jeszcze się z nim nie kontaktowałeś?

– Wkrótce. Czy coś przeoczyłem? – Jego miękki głos sprawiał, iż skóra cierpła mi nie tylko ze strachu. Ruszył w stronę drzwi, jedyne wyjście, nie licząc okien, za którymi czekała sześciopiętrowa przepaść.

– Gdy powiedziałam ci kiedyś, że żadne poświęcenie dla Sprawy nie jest zbyt wielkie, nie sądziłam, że odbierzesz moje słowa dosłownie – oznajmiłam. Kagan wciąż lubił humor nasycony ironią. Sięgnęłam w dół, by wygładzić zagniecenie na spodniach. – Rzeczywiście coś przeoczyłeś. Kontaktowałam się z komórkami Stowarzyszenia w pięciu miastach. Wiedzą o twoim zbrodniczym planie, mającym na celu wykreowanie męczenników. Domyśla się, jaki los mnie spotkał.

– A jaki los spotkał Barta? Oczarowałaś go czy rozbroiłaś?

– Zapomnij o Barcie. – Okręcałam na palcu pukiel włosów. – W jaki sposób się wytłumaczysz?

– Nawet nie będę próbował. – Opierał się o drzwi, napawając się moim zdenerwowaniem. – Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar zdobędzie nowego nominalnego przywódcę, wkrótce po moim rzekomym zniknięciu, padnę ofiarą wzmożonej aktywności FBI. Niezwykle ładnie z mojej strony, że godzę się zostać jednym z tych ludzi przeznaczonych na straty, nie sądzisz?

– Pomysłowe, jak zwykle. – Ponownie zaczęłam wygładzać spodnie, bawić się włosami, pozwalając mu cieszyć się tym przedstawieniem. Zdenerwowana Karen udająca, że w pełni kontroluje sytuację. – Kiedy osacza cię prawo, zacierasz ślady, przeznaczając kogoś do odstrzału. Nie zamierzasz zawrzeć ugody z FBI, nigdy nie zamierzałeś – oświadczyłam dobitnie, kiedy wreszcie dotarła do mnie cała prawda.

– Upozorowałam to całkiem nieźle, nie sądzisz?

– Dla kogo? – spytałam, pochylając się i w jednej chwili prostując z rewolwerem w dłoni, który przestał wydawać się czymś obcym.

Spostrzegłam jego zaskoczenie. Nie przeszkodziło mi to jednak postąpić jak należy, setki razy oglądałam to w telewizji. Wycelowałam w jego pierś, trzymając broń oburącz.

Wyśmiał mnie.

Miał powód. Zanim zorientowałam się w jego intencjach, dłoń Kagana śmignęła w kierunku wyłącznika światła i pograżyła nas w ciemnościach. Mój strzał przeszył nocną ciszę.

Tym razem śmiech dobiegał zza moich pleców. Odwróciłam się w mgnieniu oka i wystrzeliłam ponownie – rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Cisza, która nastąpiła, była równie drwiąca jak śmiech Kagana. Przerazona amatorka przeciwko zawodowemu mordercy? Zaczęłam cofać się w kierunku wyjścia.

Wpadłam wprost na niego. Ręka odmówiła mi posłuszeństwa, nie mogłam pociągnąć za spust.

Ścisnął mnie od tyłu.

– Czy liczyłaś pociski, jak przystało na grzeczną dziewczynkę? – naigrawał się do mego ucha.

Trzy. Wliczając Barta, wystrzeliłam trzy razy.

– Ile zostało, Karen? – Jego dłoń ścisnęła moją. Dwa? Trzy? Nie byłam pewna. Nie pamiętałam!

Wykonaliśmy jeszcze dwa strzały, Kagan i ja. „Stuknięcie”, jakie nastąpiło po nich zdradziło mi, że nie muszę już liczyć.

Powiedziałam mu, że może mnie puścić. Zapalił z powrotem światło. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nigdy ci nie ufałem, ponieważ wyczuwałem, komu podczas ostatecznej rozgrywki będę musiał stawić czoło. Godnemu przeciwnikowi.

Wątpliwy dowód uznania. Ale przynajmniej powstrzymał mnie przed załamaniem. Przed krzykiem wniebogłosy powstrzymywało mnie sąsiedztwo, a raczej jego brak. Wiedziałałam tylko, że muszę kontynuować rozmowę, jak długo się da, dopóki czegoś nie wymyślę.

– Kagan, człowiek z duszą rewolucjonisty wycedziłam, odkładając bezużyteczną broń. – Co Jamie miał na myśli?

Wydawało się, że postawione pytanie zaskoczyło go, choć tylko trochę, jakby słyszał je już wcześniej, lecz nigdy nic próbował na nie odpowiedzieć.

– Myślę o sobie – odezwał się w końcu – jako o zawodowym żołnierzu.

– Najemnik? Spełniasz wszystkie wymogi. Przyłączyć się do Sprawy, wkraść się w łaski przywódcy, pracować niezmordowanie i stać się niezbędnym. Ale każdy najemnik ma swoją cenę, Kagan. Jaka jest twoja? Do czego dążysz? Jeżeli odrzucimy rzeczy oczywiste, pieniądze i wizerunek twardego, co nam pozostanie? Czego oczekujesz od życia? – naprawdę chciałam się dowiedzieć.

Udało mi się przynajmniej jedno – przestał się uśmiechać. Wzruszył ramionami.

– Podobnie jak ty lubię zwierzęta.

– Ty nie jesteś miłośnikiem zwierząt – oświadczyłam pewna siebie. – Dobrze samopoczucie w ich towarzystwie to nie to samo. Zastanawia mnie mężczyzna bez przyjaciół, domu, kobiety – żadnych związków. Czy taki człowiek uważa ludzi za jakieś zagrożenie? Czy w ogóle czerpie przyjemność z walki o Sprawę? Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar przepełnione było szlachetnymi celami i dobrymi intencjami. Widziałeś, jak zaraźliwe bywało poczucie sprawiedliwości Jamiego. Kagan, czy obchodziło cię to chociaż odrobinę? Czy dbasz o cokolwiek, choćby trochę, teraz gdy wszystkie rzeczy, do których powstania się przyczyniłeś, za chwilę diabli wezmą i...

– Obchodzi mnie walka, ty idiotko! Ja naprawdę jestem rewolucjonistą.

– Dowolnej rewolucji?

– Tak długo jak sieje ona ferment. – Jego oczy rozszerzyły się, gdy sam rozważał swoją wypowiedź. – I działa przeciwko ustalonemu porządkowi – dodał, głęboko zamyślony, jak człowiek, który odkrywa własną osobowość.

– A jeśli rewolucja odniesie sukces? – naciskałam czując, że jestem bliska dokonania odkrycia.

– Masz na myśli, że Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar stanie się legalne i zdomowi się w Nowym Porządku? – Wzruszył ramionami. – Jak długo trzeba będzie czekać, zanim wszystko przemieni się w gorycz?

– Zanim co przemieni się w gorycz? Co próbujesz powiedzieć?

– Słuchaj, żadna rewolucja nigdy nie odnosi sukcesu, przynajmniej nie na długo. Zawsze pojawia się coś nowego, przeciwko czemu można się buntować. Właśnie tam działają ludzie podobni do mnie. Przybывamy na miejsce, organizujemy opór.

– Buntujesz się... dla samego buntu?

Mierzyliśmy się wzrokiem. Pomyślałam o człowieku, któremu brakuje anteny, by dostroić się do innych ludzi, nie licząc wykorzystywania ich do swoich celów. O mężczyźnie, którego interesował jedynie sposób działania innych ludzi. O człowieku, który ożywał tylko wtedy, gdy sam funkcjonował w pewien określony sposób.

– Jestem tym, co społeczeństwo wypłuwa po łakomym obżarstwie – podsumował, wciąż rozmyślając o idei buntu. – Człowiekiem, którego nie można strawić.

– Ale ciągle pozostajesz niewidoczny. – Próbowałam go zrozumieć. – Czy ani trochę nie pragniesz szczyć się swymi zasługami, zdobyć rozgłos.

– Działa się na wielką skalę i w ukryciu. Na tym polega tajemnica sukcesu. Zastrzel bandytę w metrze, załatw okolicznego łobuza i co uzyskasz? Mizerny, odizolowany „protest”. Ale poświęć trochę czasu, zorganizuj oddziały, i wszystko możesz rozwalić.

Wtedy go zrozumiałam. Żadnych dążeń prócz jednego – niszczyć wszelkie wytwory innych ludzi. Ma mroczne potrzeby. Nie wiedziałam jednak dlaczego.

– Urodziłeś się w złym stuleciu – powiedziałam mu. Plądrujące hordy, które niszczyły całe cywilizacje, zaspokajałyby twoje pragnienia o wiele lepiej niż żalosa mieszanina neurotyków i zdezorientowanych ofiar różnorodnych przestępstw. Upadek wymiaru sprawiedliwości.

– To powód równie dobry jak każdy inny. – Wydawał się rozbawiony.

– Nie grozi ci, że zabraknie powodów, zgadza się?

– Ani że zabraknie mi sił.

Co wiadomo o osobie, która zawsze działa według tego samego schematu? Pragnie coś udowodnić, bez końca, bo jest to niemożliwe? Niszczy wszystko, co wartościowe, bo odczuwa taką obsesyjną potrzebę. A jeżeli ten człowiek, który sam nie uznaje dostrzegalnych wartości, własną tożsamość buduje biorąc pod uwagę nie swoje cechy bądź pragnienia, lecz szkody wyrządzane wartościom innych?

Nie śmiałam powiedzieć tego na głos, bałam się, że zabije mnie z miejsca. Osoba, której dusza nie uznaje żadnych wartości, ledwo zasługuje na miano istoty ludzkiej. Człowiek przerażony własnym osądem samego siebie gotów jest spędzić życie na obalaniu go. *Me jestem bezwartościową istotą. Nie jestem bezwartościową istotą.*

– Więc – odważyłam się, ponieważ zabrakło mi innych pomysłów – Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar nigdy nie miało najmniejszych szans, prawda? Porządni obywatele nigdy nie mogą prowadzić interesów z łobuzami i wyjść z tego cało. Ludzie podobni do ciebie kalają wszystko, czego dotkną. Kagan, jesteś bezwartościowy. Brakuje ci nawet szlachetności zwierząt, do których miłość udajesz. Tacy jak ty – dodałam – właściwie nie są ludźmi.

Uderzenie wierzchem dłoni posłało mnie wprost na drzwi.

Osunęłam się na podłogę, niezamroczone aż tak bardzo, jakby to mogło wyglądać. Wiedziałam, że nie ryzykowałby strzału z takiej odległości, mając tylko jedną kulę, a na dodatek zamierzając upozorować samobójstwo. Odwróciłam się plecami do naładowanego pistoletu, otworzyłam drzwi i rzuciłam się w kierunku schodów. Po raz pierwszy zastanowiłam się, dlaczego Tony nie przybiegł, kiedy usłyszał strzały.

Nie miał szans. Bart, wciąż związany i zakneblowany, trzymał żelaznym chwytem milczącego i płonącego ze wstydu Tony’ego. Broń, którą mu odebraliśmy, leżała metr przed nimi.

Klasyczny błąd, ręce związane z przodu zamiast z tyłu, ponadto niewystarczająco mocno. Przynajmniej Tony zdołał dalej kopnąć rewolwer.

Teraz mogłam po niego sięgnąć.

Wyraz twarzy Kagana, kiedy wyłonił się zza drzwi, był wręcz komiczny. Człowiek, który całe życie był przesadnie ostrożny, dał się zaskoczyć.

Musiałam mu jednak przyznać, że w przeciwieństwie do Barta nie popełnił błędu, nie doceniając mnie. Natychmiast położył broń. Bart poszedł po rozum do głowy i rozluźnił uścisk. Tony wyrwał się po pistolet Kagana.

– Z powrotem do środka, wszyscy. – Skinęłam na Tony’ego, żeby rozwiązał nogi Barta,

jednocześnie próbując sobie przypomnieć, czy widziałam tam telefon.

Nie widziałam.

– Nie ma sposobu, by wezwać policję – oceniłam sytuację.

– Oczywiście, że jest – oznajmił Tony. – Wywołałam pożar. Gliny przyjadą razem ze strażą pożarną.

– Dzieciak wychowany na ulicy. Człowiek zastanawia nad jego przeszłością – zaczął przymilnie Kagan, patrząc na Barta, a nie Tony’ego. – Karen, czy ciebie ona nie zastanawia? – dokończył, kiedy Bart uśmiechnął się.

– Bart powinien pomyśleć o twojej – warknęłam. – Powiedz mu o Lee, Kagan. Powiedz mu – zawołałam, przypominając sobie o potrzebnej mi kartotece – albo przedziurawię ci to serce, którego właściwie nie masz. Z tej odległości nawet tak kiepski strzelec jak ja nie może spudłować.

– Naprawdę chcesz, bym mu powiedział? Stojąc tutaj?

Znajdowali się tuż obok siebie, w odległości umożliwiającej jednemu uduszenie drugiego. Z rękoma uniesionymi ponad głową, przeszedł za biurko i usiadł na krześle.

– Teraz mu powiem – odezwał się, przezornie trzymając dłonie na widoku.

Bart rzeczywiście by go udusił.

– Zdenerwowany, Kijanko? – zaczepił go Kagan ze stoickim spokojem. Zasłony za jego plecami nadawały mu dziwny wygląd. Ich część znajdująca się na lewo od niego poruszała się w podmuchach wiatru – docierającego przez dziurę po mojej kuli.

Tony obracał w palcach pasek aparatu wiszącego na szyi.

– Bardzo zdenerwowany – zauważył Kagan, sam również niespokojny, w nerwowym geście majstrował przy stojącym koło biurka elektrycznym słoneczku. – Dzieciak z ulicy, który nigdzie nie rusza się bez swojego aparatu – ciągnął – jest chłopcem ukrywającym straszną tajemnicę. Czy mogę zdradzić Karen twój sekret?

Pistolet Kagana zadrżał w dłoni Tony’ego. Nie widział moich ust otwierających się, by na niego wrzasnąć, opuścił broń z własnej inicjatywy.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy następnie położył pistolet na podłodze, tuż obok siebie i zrobił Kaganowi zdjęcie.

Śmiech Kagana brzmiał fałszywie. Zrozumiałam nagle, że gdyby nie pistolet z powrotem znajdujący się w ręku Tony’ego, Kagan wyrwałby mu aparat i roztrzaskał o podłogę.

– Tony, nasz mikroskopijny kooper – wycedził, spoglądając na mnie. – Jakżeż byłaś wdzięczna chłopcu, który ryzykował życie i pomógł zidentyfikować zabójców twojej córki. Druzgocące fotografie. Oszołomiły cię – powiedział zamyślony, obrócił się z krzesłem w jedną stronę, polem z powrotem, opuścił rękę pod biurko. – Nigdy nie zadałaś sobie kluczowego pytania, Karen. W jaki sposób Tony je zdobył? Jak to zrobił... nie będąc na miejscu zbrodni?

– Kagan! – krzyk Tony’ego zlał się ze śmiechem Kagana.

– Mały Tony alias Kijanka’ – kontynuował. – Wspaniale się przebrał w poprzednie

Halloween. Żaba Kermit z Muppetów, zgadza się? I osobiście zrobił te zdjęcia.

„Wyobraź sobie, że przed moimi drzwiami stoją duchy. Zaledwie odrobina współczesności. Cudowna żabka z Muppetów”.

Chłopiec zamarł w bezruchu.

Ja również.

Nie wiem, jak długo wpatrywałam się w niego, krzyczałam na niego, ani nawet kiedy zorientowałam się, że przed moimi oczyma pojawiły się płomienie... pożar, który sprowadzi strażaków. Ogień, który strawi ten przybytek strachu razem z całą jego zawartością.

Zasłony stanęły w płomieniach. Zajęły się od elektrycznego słoneczka, przy którym majstrował Kagan?

Wykrzyknęłam imię Tony’ego – za późno, by go ostrzec, by przeszkodzić Kaganowi wyrwać mu broń.

Mogłam powstrzymać Kagana przed zestrzeleniem lampy, mogłam strzelić mu w serce, którego nie miał, gdyby nie przydarzyło mi się to po raz drugi. Ręka odmówiła mi posłuszeństwa. Nie potrafiłam nacisnąć spustu.

Mogłam strzelić mu w plecy, kiedy wyskakiwał przez okno, gdybym nie była pewna, że się zabije. Gdybym tylko pamiętała jego słowa wypowiedziane tamtej nocy, gdy czekaliśmy za drzwiami siedziby gangu.

„Wszyscy wyszli schodami ewakuacyjnymi. Płatni gwałciciele wracają do melin, z których przyszli”.

Bart nie podążył w jego ślady, był zbyt zajęty gaszeniem pożaru.

Już po wszystkim przekonałam się, że elektryczne słoneczko rzeczywiście stanowiło źródło ognia. Kagan włączył je i przystawił do zasłon, jednocześnie wypowiadając rewelacje na temat Tony’ego. Wiatr docierający przez stłuczoną szybę dokonał reszty.

Podeszłam do okna. Doskonale wiedziałam, jaki czeka mnie widok.

Kagan stał z głową zadartą ku górze, jakby wypatrywał mojej twarzy. Jedną rękę opierał na metalowym szczeblu drabiny – najniższym. Było zbyt ciemno, żeby dostrzec jego uśmiech, lecz wyczuwałam go, kiedy Kagan wykrzykiwał swoje pożegnanie.

– Zawsze znajdzie się jakieś Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar!

Zawsze znajdzie się jakiś Kagan.

Kiedy się odwróciłam, po Tonym nie było śladu.



## Rozdział 38

– Nikogo nie ma w domu. – Zack się skrzywił. – Tony nie wrócił. Weszłam za nim do środka.

– Dobrze. Jutro zmienię zamki. Kiedy możesz zabrać stąd jego rzeczy?

– Karen, Karen, mogłabyś przynajmniej...

– Ani słowa więcej. Muszę spokojnie myśleć, żeby się z tym uporać. – Poszłam wprost do sypialni, by rzucić „to” na biurko obok komputera – kopię upragnionej listy członków sporządzonej przez Lee. Bart wykonał ją na wszelki wypadek.

Zack wszedł za mną.

– Jaki był decydujący czynnik?

– Zmiany nastawienia Barta? Z pewnością nie moje groźby oskarżenia go o porwanie oraz napaść.

– Na pewno wie, że nie zdołasz uchronić mu tyłka przed FBI.

– Ale dzięki tej liście mogę uchronić wiele innych osób. Być może zdołam uratować coś z pozogi. Jak sądzę, Bart właśnie tego pragnie. Uczynić coś, by śmierć Lee nie poszła na marne.

– Kiedy przedstawimy wszystko McCannowi?

Przyjrzałam mu się bliżej i zobaczyłam, że jest przemęczony. Oczekiwaniem? Nieuchronnością następstw? – Najdalej za tydzień – odparłam. – Nie śmiem przeciągać tego dłużej. Mamy teraz jednego, znanego przeciwnika. Dysponujemy wszystkimi atutami. Może się nam uda.

Popatrzyliśmy na siebie, udając, że w to wierzymy.

Uścisnęliśmy się przy drzwiach. – Już po północy – powiedział Zack. – Szczęśliwego piątku, trzynastego.

– Nie może być wiele gorszy niż czwartek, dwunastego.

Nieprawda, przyznałam sama, kiedy już poszedł. Przyjrzałam się siniakowi na swojej twarzy. Mogło się zdarzyć, że leżałabym teraz w zimnym pokoju. Max pędziłby do Bronksu, by zabrać ciało. Mój nowy szczęśliwy dzień, dwunasty.

W przeciwieństwie do piątku, trzynastego, który wzbudzał ponure wspomnienia. Noc, kiedy zamordowano siostrę Tony’ego. Dzień, kiedy poznałam powtarzający się koszmar Tony’ego. Dzięki Jamiemu. A Jamie wiedział od samego początku. Pozwolił mi zbliżyć się do chłopca – zachęcał mnie.

Zgasiałam papierosa. Im szybciej pozbieram rzeczy Tony’ego, tym prędzej Zack będzie mógł je zabrać. Znalazłam kilka tekturowych pudełek i wzięłam się do pracy. Chłopak zajmował szuflady komody stojącej w jadalni. Pierwsza z nich wypełniona była koszulkami, druga zawierała płataninę skarpetek, bielizny i wszelkich innych przedmiotów, które udało się tam

wepchnąć.

Niespodziankę stanowiła najniższa szuflada. Pomiedzy starannie złożonymi bluzami leżał dyktafon oraz kilka kaset. Kasetą z kopertą przypiętą gumką zaadresowana była do mnie.

*Swoje sekrety przekaz Tony'emu, kochanie. Przechowuje już część moich.*

Musiałam wypalić jeszcze papierosa, zanim otworzyłam sekret przeznaczony dla mnie. Zanim przeczytałam liścik od Jamiego.

*Miałem nadzieję, że nie będzie to konieczne, choć wiedziałem, iż pewnego dnia może się jednak takie stać. Przebacz mi te półprawdy oraz metodę, którą wybrałem do przeprowadzenia Cię przez zgorzknienie i ból.*

Zgasiałam papierosa, żeby nie zaproszyć ognia. Jeden pożar na noc to aż nadto. Kiedy nie pomogła również brandy, skończyły mi się wymówki. Drżącą ręką włączyłam kasetę.

*Wtorek, trzeci dzień miesiąca. Dzień po Święcie Pracy.*

Dzień, w którym Claudia odebrała sobie życie. W tym pokoju, Jamie.

*Tak wiele uległo zniszczeniu. Po ostatnich wydarzeniach nie śmiem odkładać tego dłużej. Ta kasetą jest dla ciebie, Karen, w nadziei, że Tony posłucha mnie ten ostatni raz i przekaże ją tobie. A teraz słuchaj. Tony nie był jednym z Barbarzyńców, którzy zgwałcili twoją Sarah.*

Pytanie zżerające mnie niczym kwas. Jak dobrze mnie znasz.

*Me poszedł tam nawet, by niszczyć i rabować. Słyszysz mnie?*

Nie chcę cię słuchać. Nie chcę mieć nadziei.

*Pamiętasz sylwestrową noc, i dlaczego nie oddałaś się w ręce policji? Ja ci to wyperswadowałem.*

Odebrać komuś życie, by uratować innego. Pamiętam.

*Prawo jest równie wyrozumiałe, jeśli w grę wchodzi przymusowe pozbawienie wolności. Kodeks mówi tu o bezprawnym przymuszaniu kogoś do czynów, których nie dopuściłby się z własnej woli. Nadążasz za mną? Czy rozumiesz, o co mi chodzi? Chłopiec, mały posturą, lecz wielki duchem, uwięziony w koszmarze stworzonym przez innych.*

*Teraz pozwól mi sprostować kilka półprawd dotyczących koszmaru, z którym przyszło mu żyć, któremu się przysłuchiwałaś. Pamiętasz, od czego się zaczyna? Dzwoniące talerze perkusyjne, zawodzące skrzypce, ludzie w mundurach – to uliczna przemoc, wyjaśniłem ci. W rzeczywistości Tony przeżywał na nowo przerażające zagrożenie – gang Indio przyparł go do muru, siłą zaciągnął go na swój zbójcki rajd w Halloween. Jeśli...*

Ale dlaczego Tony?

*...zadajesz sobie pytanie, dlaczego Tony, przypomnij sobie ów incydent z „tonięciem”, który następuje zaraz potem. Jest otoczony przez żabki przypominające robaki-kijanki. Indio, który miał swoją bandę ulicznych cwaniaków, ruszył w poszukiwaniu małego knypka, by ten włożył naprawdę rozbrajający kostium – otwierający wszystkie drzwi strój Kermita.*

Cudowna żabka z Muppetów, powiedziała Sarah.

*...kijanka żyjąca w wodzie jest larwalną postacią żaby. Właśnie tamtej nocy Tony'ego ochrzczono tym zniechęcającym przezwiskiem.*

Kijanka. W takim razie jak mogliście go ciągle przedrzeźniać?

*Chłopiec tonący w rzece słyszy wycie. Senne połączenie w jeden obraz kilku elementów – Indio wraz z pozostałymi zabawiający się w stado wilków. Potem jeszcze Sarah.*

Krzyk Sarah, kiedy odcięli jej palec.

*W samoobronie świadomość Tony'ego łagodzi szok i przerażenie dokonany okaleczeniem, wprowadzając zmianę otoczenia. Jest w cyrku, jego podświadomość ponownie zespala różne elementy. Maria, po części Madonna, a po części dziwka, siostra, którą uwielbia i której się wstydzi, tańczy z boku areny i rozrywa swoją bluzkę, by pokazać piersi. Ale jednocześnie – trzymaj się – jest twoją Sarah w pierwszym stadium gwałtu. Przykro mi, że muszę...*

Trzymaj się? Omal się nie rozpadnę, Jamie.

*...taniec z boku areny oddala się nagle. Odciągająca go siostra oznacza w rzeczywistości Tony'ego odwracającego się plecami do sceny, której nie może znieść, a jednocześnie nie ma siły zapobiec – zbiorowemu gwałtowi.*

Ja także nie mogłam mu zapobiec, Jamie, nie potrafię znieść jego odgłosów! Wycie... ryki.

*...przypominasz sobie kuglarza obrzucającego Tony'ego gradem drewnianych kul, które przeistaczały się w jabłka? Psychika chłopca odtwarzała wcześniejszą scenę – Sarah otwierająca drzwi z tacą kandyzowanych jabłek w dłoni. Wydarzenia wymykają się spod kontroli wraz z rozsypanymi owocami. Przejdź teraz do okrzyku – „Uważaj na parasolkę!” Oraz Tony'ego rzucającego się w stronę ogniska. Tłumaczenie – „Uwaga na żelazne szczytce!” Oraz Tony rzucający się na pomoc małej dziewczynce przy kominku – na ratunek Susie ubranej we własny kostium z Muppetów.*

Wiem. Słyszałam. „Hej, czy ktoś ma ochotę na pieczoną świnę?”

*Punkt kulminacyjny wyprowadził cię z równowagi... pamiętasz? Tony gwałtownie malejący, ucieka i kurczy się. Chciałaś wiedzieć, przed czym ucieka. Przed bezradnością i strachem, Karen. Przed poczuciem winy. Ponieważ – i to jest najgorszy z jego koszmarów na jawie – Tony obwinia siebie za fakt, że był po drugiej stronie pokoju, kiedy to się stało – śmiertelny cios. Uważa, że mógł mu w jakiś sposób zapobiec. Kiedy się poznaliście, kiedy cię pokochał, owo niezastużone poczucie winy stało się niemalże nie do zniesienia. Konflikt pomiędzy miłością do ciebie oraz do siostry nie stanowił prawdziwego źródła przerażenia. Była nim perspektywa, iż odkryjesz, w jaki sposób zdobył tamte zdjęcia. Karen ja...*

Czy prosisz mnie?

*...nie, żebyś mu wybaczyła. To jakby prosić wdowę po mężczyźnie, który został zatluczony na śmierć własnym lewarkiem, by mu wybaczyła, ponieważ zapomniał zamknąć bagażnika. Tony jest dzieckiem. Jemu wolno mylić związek przyczynowo-skutkowy z moralną odpowiedzialnością. Tobie nie. Powtarzający się koszmar można wytłumić albo całkowicie wypełnić. Tony przetrwa*

*bez ciebie, Karen, lecz nie pozostanie już sobą. Jest za młody, by umiał przebaczyć sam sobie – słyszysz mnie? Ty musisz pokazać mu, jak tego dokonać.*

Wielkiego wysiłku wymagało wstanie i sięgnięcie po tę kasetę.

*Zaczekaj. Na koniec pozostawiłem wyjaśnienie, dlaczego skorzystałem z dyktafonu.*

*Patrzeć w twoje oczy, kiedy nie mam odwagi spojrzeć we własne? Nie sposób tego znieść. Przyjąłem na siebie odpowiedzialność za Tony'ego, pomogłem mu. Bóg jeden wie, że próbowałem. Lecz także wykorzystałem go. Fotografie, które mi przekazał, poprowadziły mnie wprost do ciebie. Och, oczywiście, wystarczająco chętnie współpracował w zamian za samo schronienie, które oferowało mu Stowarzyszenie Anonimowych Ofiar. Ale kiedy ze sceny zniknął Indio, stał się chłopcem, który zbyt wiele wiedział. Ja... wykorzystałem jego rosnące przywiązanie do ciebie. Nazywałem go Kijanką w twojej obecności, dając mu do zrozumienia, iż mamy wspólne sekrety, których powinniśmy strzec. Utrzymałem go w szeregach i... był to szantaż. Boże przebacz mi. Nie miał mi tego za złe. Nawet zanim jeszcze go przeprosiłem. A więc widzisz, chodzi tu o moją moralną odpowiedzialność, a nie Tony'ego. Mój postępek był...*

Niewybaczalny.

*...czalny. Niemniej pozostało mi wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by uznać waszą wspólną potrzebę, by wyczuć, jak wiele moglibyście dla siebie znaczyć. Pielęgnowałem tworzące się więzy – swego rodzaju osiągnięcie. Każde z nas ma swój koszmar. To kończy mój. Ty dopomogłaś zakończyć zmorę Tony'ego, godząc się wysłuchać jego opowieści tego wieczora, gdy dopuściliśmy się małego triku na jego psychice – daliśmy mu złudzenie, że nie odrzuciłaś go, mimo że poznałaś jego sekret.*

*Poprawa jest tymczasowa. Uczyni ją trwałą. Nakłoń go, by opisał swoje myśli, kiedy podążył w stronę Westchester ujęty w szpony tamtych młodych drapieźników. Żeby opowiedział, jak przemienił aparat, który kazali mu zabrać, w narzędzie odwracające uwagę. Jak wykorzystał je, by pomóc Sarah. Jak siebie obwinia, że nie opierał się mocniej. Wcześniej. Że nie uciekł, zanim Sarah otworzyła drzwi. Przekonaj go, że to nie była jego wina. Chyba że rzeczywiście wierzysz, iż przerażony chłopiec, zupełnie sam ze swoim aparatem oraz protestami mógł powstrzymać tę rzeź:*

*„Zostawcie je w spokoju! Nie róbcie im krzywdy!”*

*Karen, Karen, to, czego Tony tak strasznie potrzebuje – ja potrzebuję także. Czy możesz mi przebaczyć?*

– Wszystko, prócz tego, że umarłeś. Kasetą dobiegła końca.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Angela.

– Nie ma sprawy. Kolacja czeka w piekarniku, nie na stole. Zack przygotowuje drinki.

– Wspaniale zastawiłaś stół. Może by tak postawić jeszcze jeden talerz?

– Tony?

Od ponad tygodnia nie dawał znaku życia.

– Zjawił się dziś po południu – wyjaśniła Angela. – Akurat w środku lekcji samoobrony. Co się stało z tymi pudłami, które spakowałeś? spytała, rozglądając się niedbale.

– Wciąż leżą w schowku. Angela, ja nie wiem, czy...

– Tony Montes alias Ramirez. – Usiadła na krześle, jakby wiedziała, że czuję się przytłoczona jej wzrostem. – Zbiegły dzieciak, który czeka, by go odnaleziono. Czy odnaleźliśmy go?

Przymknęłam oczy.

– Gdzie on jest?

– Na klatce schodowej. Może zdołasz namówić go do wejścia. Na klatce schodowej.

Wyszłam na zewnątrz w fartuchu. Za moimi plecami zamknęły się drzwi. Dostrzegłam tylko oczy – duże, czarne, niezwykle poważne. Czułam w sobie pustkę. Ale tylko przez chwilę. Kiedy wyciągnęłam do niego ramiona, rzucił się w nie.

## Rozdział 39

Przeszłam przez pokoje swojego mieszkania nieopodal Central Parku, nie jak właścicielka, której nie było tam przez miesiąc. Czułam się raczej, jakbym już tam nie mieszkała. Dla Marco i Poli był to prawdziwy powrót do domu – więcej miejsca do biegania, więcej kryjówek.

Dla mnie nadszedł koniec ukrywania się. Max powinien tu być za dwadzieścia minut.

Zerknęłam w lustro. Ogromny błąd. On lubił moje długie włosy. Tydzień temu ścięłam je w sposób, jaki pewno nie przypadnie mu do gustu. Makijaż okazał się właściwie stratą czasu – nie wynaleziono jeszcze cieni, które mogłyby zatuszować worki pod oczyma. Włożyłam lawendową sukienkę, tę, w której byłam na naszej pierwszej wspólnej kolacji. W opresji człowiek chwyta się wszystkiego.

Na przykład łapie kota i zmusza go do mruczenia, byle tylko obniżyć własne ciśnienie. Marco zgodził się spełnić moje życzenie. Pola ospale przeciągała się na parapecie. Cisza przed burzą.

Kiedy Marco wyrwał się z moich ramion, przyszło mi do głowy, że dzwonek do drzwi przypomina poniekąd lustro. Odbijają się w nim uczucia. Może być radosny, denerwujący, spięty, bądź ekscytujący. Ten wydawał się gwałtowny, ruszyłam do drzwi przygotowana na burzę uczuć.

Przywitała mnie jednak pustka, brak jakiegokolwiek reakcji prócz rozpoznania mojej twarzy.

Wypowiedziałam jego imię. Skinął głową.

– Wejdzmy do salonu. – Ruszył za mną, zachowując dystans. Wskazałam ręką na kanapę i poprosiłam, by usiadł. Przysiadł na oparciu fotela i rozpiął płaszcz, jak gdyby pragnął powiedzieć: „Pozwolę pani złożyć wyjaśnienia, lecz bez długich wywodów, bo nie mam czasu”. Kiedy zaproponowałam mu drinka, również obeszło się bez niespodzianek. Odmówił.

Zajęłam kanapę, którą wzgardził, lecz nie zapaliłam papierosa, by się odprężyć.

– Przykro mi – odezwałam się. – Max, przepraszam. – W tych okolicznościach moje słowa pozbawione były wszelkiego znaczenia, lecz starałam się zawrzeć w nich cały miniony rok.

Dalsze wyjaśnienia zajęły dziesięć, może piętnaście minut. Musiałam przeprosić za tak wiele. Od tego właśnie zaczęłam. Miał prawo złościć się na mnie, czuć się zraniony, miał prawo do wielu innych rzeczy. Mówiłam powoli, by część mnie mogła wypatrywać jakiegoś znaku od tej myślącej maszyny w zgniłozielonym płaszczu.

Po chwili zapominałam o swojej obserwacji. Zawsze tak jest, kiedy człowiek zanurza się w prawdziwe piekło. W pewnym momencie przestaje wyjaśniać zdarzenia, przez które przeszedł, a zaczyna na nowo je przeżywać.

Wróciłam z powrotem na ziemię, słysząc w jego głosie pogardę.

– Doktor James Coyne – powiedział Max. – Mój przyjaciel, Jamie.

– On naprawdę był twoim przyjacielem. Próbuje ci właśnie wytłumaczyć.

– Dobrze się bawiliście moim kosztem, zgadza się? Ty razem ze swoim kochankiem, para mścicieli?

Poczucie winy powoduje, że zaczynasz się bronić. Jednak złość doprowadza cię do wybuchu. Sięgnęłam po leżącą na stoliku kopertę (jeszcze jeden sekret wyłowiony z dolnej szuflady Tony’ego) i rzuciłam mu w twarz.

– Masz, udław się, McCann! – zawołałam. – Śmiało, otwórz. Jest do ciebie.

– Od kogo? – zapytał z typową dla siebie podejrzliwością.

– Od człowieka, który zginął, ratując ci życie.

Ponownie zajęłam się obserwowaniem go. Biedny Max. To była z góry przegrana bitwa. Nawet z za grobu, z nieba czy z piekła, Jamie potrafił użyć swojej magii. Tym razem posłużył się jednak nie urokiem osobistym, ale żarliwą prawdą o naszym związku, poczawszy od swych wysiłków w celu zwerbowania mnie, a skończywszy na mojej rzeczywistej roli w Stowarzyszeniu Anonimowych Ofiar i ostatnich „dzielnych” próbach pokrzyżowania planów Kaganowi i jego poplecznikom.

Perfekcyjny w formie, Jamie kończył dramatycznym określeniem, które znałam już na pamięć. „Max, nigdy z nią nie spałem, ona mnie nigdy nie kochała. Ale oboje kochamy ciebie”.

Pola wybrała najmniej stosowny moment, by przerwać swoją toaletę. Zeskoczyła z parapetu i zaczęła upominać się o należyte powitanie. Max nigdy nie potrafił się jej oprzeć, podobnie jak Jamiemu. Kiedy się tak łąsiła do jego nóg, ponury grymas ustępował z jego twarzy. Zrozumiałam, że osiągnęła więcej, niż ja mogłabym kiedykolwiek.

Kiedy Marco, pładrujący akurat półkę z książkami, potracił jaskrawożółtego plastikowego ptaszka, wstrzymałam oddech, opanowując pokusę, by go nakręcić i patrzeć, jak skacze po całej podłodze. „Drobiazg, który ma przywrócić ci uśmiech”. Spojrzałam na Masa.

– Noś go ze sobą wszędzie, powiedziałeś mi kiedyś. – Wzruszył ramionami.

Dałam za wygraną.

– Akty zemsty przetoczyły się przez kraj zacytowałam jeden z ostatnich nagłówków. – Chciałeś zamknąć tę sprawę jak najszybciej?

– A tak, nasz układ. – Podniósł się z oparcia fotela.

– Ignorujmy plotki, zajmijmy się przywódcami. Jeżeli Rees mówił szczerze, przekaż mu, że odcięłam głowę smokowi. Potrzebujecie przywódców? Lee Emerson to jedna z nich.

– Doktor James Coyne to kolejny.

– Tak, Jamie.

– A może jacyś żywi?

– Francis Xavier O’Neal, firma budowlana. Earl „Czarny Bart” Bartholemew, strażnik więzienny. Kagan, imię nieznane. Herszt – powiedziałam i podałam mu fotografię Tony’ego. Jedyne znane nam, istniejące zdjęcie – zwyczajny człowiek wreszcie uchwycony przez obiektyw.

– Dowody? – zapytał.

– Dotyczące Bartholemew oraz O’Neala. A także faceta, o którym powiedziałaś, że wygląda jak gwiazda rodeo. To on przekształcił imprezę zorganizowaną przez Adwokaturę w strzelnicę. Kilku innych. Proszę. – Podałam mu dowody wzięte wprost z czarnej skrzyneczki Kagana.

– A cała reszta? Po prostu płotki? – W jego głosie słychać było niedowierzanie.

– Niezupełnie. Ale nic więcej nie dostaniesz, Max.

– Rozumiem. – Wyciągnął notes. – Coś dla nas, coś dla was. – Zrobił notatkę. – To nie wystarczy.

– Wiem. Jestem w stanie zidentyfikować każdą komórkę Stowarzyszenia w całym kraju. Posiadam kompletną listę członków. – Nie śpiesząc się, zapaliłam papierosa. – Ponieważ w zasadzie nie spodziewamy się, by FBI zaufało bandzie przestępców i spiskowców, zostałam upoważniona do zaoferowania ci tej listy.

W jego oczach dostrzegłam błysk mówiący: „Wreszcie jakieś konkrety!”

– Ponieważ nie widzę jej pośród przekazanych dowodów – powiedział – domyślam się, że dochodzimy do sedna sprawy. Lista w zamian za co?

– Pełna amnestia dla wszystkich członków, wszystkich porządnych, którzy chcą odejść. Ich liczba jest dosyć znaczna.

Zapisał w notatniku.

– Jak znaczna?

– Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi przywódcami komórek, z niektórymi osobiście, z pozostałymi telefonicznie. Znakomita większość, być może siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt procent, gotowa jest porzucić swoją działalność mściwską na rzecz funkcjonowania w ramach prawa. Z pewnością pozostaną jacyś twardogłowi, szczególnie że Kagan wciąż gdzieś tam krąży. Ale niezbyt wielu.

– A lista...

– Umożliwi wam obserwowanie wszystkich, którzy nie zechcą się wycofać, oraz będziecie się mogli upewnić, czy reszta wywiązuje się z umowy. Nikt nie lubi żyć pod lupą, lecz przypomniałam im, że długotrwała inwigilacja zakrojona na szeroką skalę wymaga wiele pieniędzy i ludzi. FBI nie może ciągnąć jej bez końca.

– To wszystko?

– Niezupełnie. Zanim skontaktujesz się z Reesem, powinieneś wiedzieć, że podjęliśmy środki ostrożności. Każda komórka ma materiały obciążające. Fotografie członków „wyrównujących rachunki”. Do tej pory każdy przywódca komórki zdążył już zniszczyć owe dowody. Nie będziecie w stanie niczego udowodnić żadnej z płotek.

– A bez listy nie będziemy nawet mogli prowadzić nadzoru. – Znowu coś notował. – A gdybym ci powiedział, że nie będzie układu?

– Musiałabym ci powiedzieć, że nie wiem nic o żadnej liście.

– Ktoś poszedł po radę do sprytnego adwokata. Ktoś o imieniu Zack.

Odłożył notatnik.



– Płatki. Dobrzy mściciele oraz źli. Ciekawy eufemizm.

– Tak się składa, że to prawda. Zaledwie niewielki procent ludzi, których poznałam, lubi przemoc. Reszta to ofiary... Zemsta przenika twoje życie. Potrafi zepchnąć na bok wszelkie ludzkie cechy. – *Ja też jestem ofiarą, Max.*

– Wydobywa z człowieka wszystko, co najgorsze? – Zabrzmiało to jak frazes, którym rzeczywiście było.

– Niszczy najlepszych. Zmyj z rąk krew zbrojcy i wracaj do domu piec ciasto, tulić dzieci do snu.

– Podlewać kwiaty.

Nasze myśli się spotkały. Czy był już gotów na resztę?

– Jest jeszcze coś, o czym Rees powinien wiedzieć. Dziewięćdziesiąt procent przestępstw rozpracowywanych jest przez lokalne służby, powiedział kiedyś. Ale przy każdej większej wpadce policji, każdym niedociągnięciu w systemie słyszemy krzyki domagające się rozwiązań w skali narodowej. Może jedyną odpowiedzią byłoby stworzenie ogólnokrajowej organizacji, która pomagałaby załatwiać sprawy lokalnie, wiesz, dostarczała ludziom statystyk, oferowała im strategie oraz umiejętności niezbędne do walki z komisjami do spraw zwolnień warunkowych oraz z politykami. – Pochyliłam się, by dalej rozwijać temat. – Moglibyśmy skupić te indywidualne, chaotyczne wysiłki w jednorodną całość, struktura jest już gotowa. Moglibyśmy wznieść budowlę na ruinach Stowarzyszenia Anonimowych Ofiar z komórkami, nazwijmy je oddziałami, w każdym większym mieście. Moglibyśmy...

– My?

A więc tak. Max, człowiek oddany firmie, który nigdy nie pójdzie na skróty. Nawet dla mnie, twierdził Jamie. Szczególnie dla mnie.

– Takie wyrażenie – odparłam. – Podstawy już istnieją. Każdy może na nich budować. Chcesz jeszcze jednej głowy pod topór, Mas? Czy wyłączenie mnie spod amnestii ułatwi zawarcie układu? To chciałeś usłyszeć?

Właśnie to chciał usłyszeć. Dostrzegłam to w jego oczach.

– Odezwę się. – Wstał.

– Kiedy?

– W ciągu tygodnia.

Odprowadziłam go do drzwi. Patrzyłam, jak klamka obraca się w jego dłoni.

Zobaczyłam, że się zatrzymuje. Powinno to być wystarczającym sygnałem dla mnie. Dawał mi czas, bym zamknęła oczy lub odwróciła się... uciekła do pokoju. Wskoczyła przez okno.

Wszystko, bylebym nie widziała, co działo się z jego twarzą – ohydną układanką rozpadającą się na kawałki.

– Czy nie wiesz, co oznacza twój układ? Na jakie męki naraża mnie ta decyzja? Kochałem cię!

Byłam zadowolona, że się mimo wszystko nie odwróciłam. Zadowolona, że pozwolił mi

zobaczyć, co mu zrobiłam.

Ułatwiło to nieco resztę spraw, które na mnie jeszcze czekały.

## Rozdział 40

Właściwie nigdy nie lubiłam Halloween. W najlepszym wypadku to chorobliwe święto. W najgorszym... powtarzający się wciąż koszmar.

Niemniej stanowi doskonałą wymówkę, by urządzić przyjęcie. Niektórzy z nas mieli sporo do świętowania.

Wszystko trwało tydzień, dokładnie jak obiecał Max. Wiadomość dostarczona pięć dni temu do mojego mieszkania informowała: „Oferta zaakceptowana”.

Nie było to jednak wszystko. Kwestia, czy Karen Newman włączona będzie do układu, czy też nie, pozostawała nadal „do dyskusji”.

Męki braku decyzji trwały dalej.

Dla Maxa, nie dla mnie.

– Tak bardzo cię nienawidzi? – zastanawiał się na głos Zack, kiedy dostarczono wiadomość.

Spojrzałam na Angelę. Ona rozumiała to lepiej.

– Max tak bardzo mnie kocha – odpowiedziałam mu. – Gdybym znaczyła dla niego mniej...

– Nie rozumiem.

– Z jego strony byłoby to jak ratowanie własnej skóry. Czy teraz rozumiesz?

Chociaż sami nie mieliśmy pewności, podnosiliśmy na duchu innych. Szczególnie Tony’ego. Pragnęliśmy, by tego wieczora mogli pić szampana z nieskrępowaną radością, wychwalać pod niebiosa szefa kuchni oraz niczym prezenty rozdawać przy stole uściski i pocałunki.

Jedynie Zack został wcześniej wtajemniczony w treść mego starannie przygotowanego toastu. Podobnie jak inni nie unikałam oddziaływania na emocje związane z okazją, dla której się spotkaliśmy. Jednak w przeciwieństwie do nich wyliczałam wszystkich przyjaciół, zarówno zmarłych, jak i żywych.

Jedynie patrząc wstecz, dostrzec można, iż raczej nie był to hołd złożony towarzyszom, lecz pożegnanie.

Oczywiście Angela nie protestowała, z radością zabierając na noc Tony’ego i koty, żeby mogła zająć się sobą.

Zack nalegał na odwiezienie mnie do domu. Jedno spojrzenie na niebo sprawiło, że chciałam pójść piechotą.

Rozmawialiśmy o Claudii. I Jamiem... o wspaniałym niebie owej nocy, kiedy zginął. Zastanawialiśmy się, co mogło się jeszcze stać.

– Przeciwno mnie prowadzone jest śledztwo – wyrzucił z siebie.

– Przykro mi, Zack. Ten młody policjant z konnego patrolu?

– Okazał się mniej naiwny, niż sądziłem. Nie martw się. Kiedy nadejdzie czas, departament policji uda, że nic nie widzi. Nie potrzebują rozgłosu.

– Kiedy na co nadejdzie czas?

– Moją rezygnację. Przypomina ona wyrok śmierci.

Zdawałam sobie sprawę, iż wolałby, bym na niego nie patrzyła. Jednak nie mogłam się odwrócić. Z jaką dumą nosił swój mundur!

– Przepraszam – powiedział, gdyż nie potrafił ukryć łez. – Nie chciałem składać tego na twoje barki. Zapłaciłaś największą cenę z nas wszystkich.

– Jednak nie teraz, tylko w poprzednie Halloween.

– Jedyną rzeczą, jaką podziwiam bardziej od umysłu – szepnął – jest odwaga.

Wzruszyłam ramionami.

– Odwaga wynikająca z przekonań?

– Do licha, nie. Tego oczekuje się od wszystkich porządnych ludzi. Jak zmieniać je? To jest o wiele trudniejsze.

Zostawił mnie pod drzwiami mieszkania, mówiąc tylko na pożegnanie: – Odwagi.

Czyżby wyczuł, jak bardzo jej potrzebowałam?

W domu czułam obecność Jamiego. Czułam ją przez cały wieczór. Nic dziwnego, Jamie uwielbiał symbole.

– Mamy Halloween. Zamknęłam cały krąg, drogi Jamie – szepnęłam. Zabrałam go ze sobą na ostatnie sprawdzenie salonu... sypialni... gabinetu.

Straciłam go, kiedy zasiadłam przy biurku i słowami „Drogi Maksie” rozpoczęłam list. W pierwszej linii napisałam „przebacz mi”. Zakończyłam wierszem.

Pomiędzy nimi zwołałam go z przerażającej odpowiedzialności – z okropnego wyboru, którego ja powinnam dokonać, a nie on. Prosiłam go, by nie rozpaczął ani nie obwinił się za... konsekwencje moich czynów. Wyjaśniłam mu dlaczego.

*Myślę, że wiedziałam od samego początku, iż nie przeżyję kolejnego Halloween. Poznanie Ciebie podczas tego otrzymanego na kredyt roku oraz fakt, że odnaleźliśmy się nawzajem, to znacznie więcej niż sobie zasłużyłam. Czytając ten wiersz, najdroższy, pomyśl o mnie, tak jak ja będę myśleć o Tobie.*

*Before our lives divide forever,  
While time is with us and hands are free,  
(Time swift to fasten and swift to sever  
Hand from hand, as we stand by the sea)  
I will say no word that a man might say  
Whose whole life's love goes down in a day;  
For this could never have been; and never,  
Though the gods and the years relent, Shall be.*

Jamie odszedł już na dobre. Lecz Max... Maxa musiałam odepchnąć. Nie było już miejsca na nic... pozostały jedynie te małe drażetki.

Lekkie, pewne, dokładne. Czas wziąć lekarstwo, Karen... i odejść.

Gotowe. Gdzie odstawić pustą buteleczkę? Na widoczne miejsce na nocnej szafeczce, tam gdzie lekarz zauważy ją bez trudu.

Wybacz mi, Roger, lecz propozycja to propozycja. Postanowiłam z niej skorzystać. Czy Max będzie ciebie pamiętał? Mężczyznę, którego poznał kiedyś na pogrzebie? Lekarza należącego do klubu strzeleckiego.

Zbyt wiele pogrzebów.

Rzeczywiście? Niezupełnie. Nie, dopóki tapeta nie zacznie się rozmazywać.

Rozmazuje się.

Nie czekaj zbyt długo. Podnieś słuchawkę i... wybierz numer. Gdybyś przypadkiem... potrzebowała mojej pomocy, dzwoń. Dzwonię do ciebie, Roger, dzwonię.

– Roger? Szybko! Ja... potrzebuję cię. O Boże, potrzeb... potrzebuję Maxa.

Wszystko umykało w dal... telefon... tapeta.

Ja.

## Część 6

### **Katharsis**

*Pokrop mnie hizopem, a stanę się czysty,  
obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję.*

Psalm 51, 9

## Epilog

Narodowy Tydzień Praw Ofiar rozpoczął się w środku kwietnia pięknym poniedziałkowym porankiem. Wtajemniczeni twierdzili, że zapowiadał się nawet lepiej niż zeszłoroczny. Spośród wielu różnych grup, które zjawily się tego dnia na scenie, zaproszonych przez skłonnego do pomocy gubernatora lub burmistrza osaczonego statystykami na temat przestępczości, tylko jedna organizacja rozesłała przedstawicieli po całym kraju i ci pragnęli zająć jak najlepsze miejsce.

Oddział z Houston wywołał największe poruszenie. Licznie przybyłe zgromadzenie zasiadło przed ogromnym ekranem telewizyjnym, gwar oczekiwania mieszał się z szumem klimatyzatorów. Flesze aparatów fotograficznych rozblysnęły, kiedy na scenę władcym krokiem weszła pewna siebie kobieta.

– Niektórzy rozpoczynają strzelaniny zamiast kampanii reklamowych! – zawołała bezceremonialnie. – Lecz podobnie jak nasi dobrzy sąsiedzi z Pensylwanii, my Teksaszczycy podzielamy pogląd, iż samoobrona zaczyna się we własnym domu. – Rozległ się huczny aplauz. – Dziękujemy ciału legislacyjnemu Pensylwanii za dobry przykład. Dziękujemy tym wszystkim, których osobisty wkład zaowocował osiągnięciem, jakie za moment będziecie mogli obejrzeć. Prosimy o dalsze wsparcie. To dopiero początek tworzenia bezwzględnej prawa w Teksasie!

Na ekranie pojawiła się sylwetka uzbrojonego oprycha zaskoczonego głośnym ostrzeżeniem.

„Śmiało. Pozbądź się pięciu lat swojego życia... pięciu lat! Dopuszcz się kolejnego przestępstwa z bronią w ręku”.

Nazywali ją piękną blondynką z Baltimore. Drugi rok z rzędu przewodniczyła Operacji Zastraszenie.

Szybko przypomniwała dziennikarzom, że doroczna dawka narodowego uświadamiania to interesująca sprawa, lecz powinni zwrócić uwagę, iż podobna działalność ma miejsce przez okrągły rok.

– Naszym zadaniem jest – powiedziała z figlarnym uśmiechem – uprzykrzać im życie. Waszym obserwować i relacjonować.

Prasa starała się, jak mogła. Radio w całym stanie Maryland organizowało audycje z udziałem słuchaczy. Na biurkach burmistrzów, radnych, prokuratorów i gubernatora lądowały liczne petycje. Odbywały się marsze poparcia oraz czuwania przy świecach.

– Przekażcie wszystkim nasze wezwanie – nalegała.

Wezwanie wszędzie brzmiało jednakowo „Walczcie z przestępczością”.

– I nie zapominajcie o poszczególnych żądaniach.

Lista postulatów była niezwykle długa. Zapewnić ofiarom oraz ich rodzinom prawo przemawiania przed ławami przysięgłych oraz komisjami rozpatrującymi zwolnienia warunkowe.

Szczególnie niebezpiecznych nieletnich kierowców do zakładów zamkniętych na z góry ustalony czas. Prowadzić komputerowe bazy danych dotyczące recydywistów. Przestępców aresztowanych nie po raz pierwszy utrzymywać z dala od ulic, zakazując sędziom ustalania niskich kaucji. Stworzyć stałe patrole osiedlowe z kadetów policji oraz specjalnie przygotowanych cywilów.

Zjazd stanu Pensylwania zebrał tłum tylko niewiele mniejszy niż w Houston – po zakończeniu show nie było bankietu. „Kampania wyborcza w kwietniu, na miłość boską?” – zachnął się młody reporter kryminalny dziennika „Philadelphia Inquirer”. Niemniej jego sceptycyzmu nie podzielali bardziej doświadczeni koledzy, którzy z daleka wyczuwali dobry polityczny manewr. „Zaczyna się wiosenna prezentacja” – żartował ktoś inny. Kadencje kilku sędziów zbliżały się do końca. Na jesieni czekała ich nieuchronnie kampania przed reelekcją. Co prawda, do walki przedwyborczej zostało jeszcze trochę czasu, mogli jednak rozumieć ostrzeżenie. Pensylwański oddział starał się o to, jak mógł.

Na członków organów prawodawczych naciskano, by uchwalili ujednolicenie orzekanych wyroków. Sędziowie skłonni orzekać łagodne wyroki w sprawach dotyczących ohydnych przestępstw mogli liczyć na znalezienie się w centrum uwagi Operacji Uczciwość. „Skoro Amerykańska Akcja dla Demokracji może oceniać kongresmanów za ich stosunek do środowiska naturalnego – odezwał się do młodego reportera facet o twarzy przypominającej mopsa – możesz mi powiedzieć, dlaczego nie mielibyśmy oceniać sędziów za ich stosunek do przestępczości?” Nie mógł.

Naciski na prawodawców w Lansing zamiast sceptycyzmu wywołały prawdziwą lawinę komentarzy prasowych. Nic dziwnego, jeśli się przejrzy poranne nagłówki. PIERWSZA DAMA MICHIGAN OTWARCIE SPRZECIWIA SIĘ GUBERNATOROWI W SPRAWIE KARY ŚMIERCI!

Jak można było przewidzieć, dziennikarze natychmiast przeobrazili się w żądne sensacji sępy, kiedy mówczyni pojawiła się przed ratuszem. Chłodna, pewna siebie rudowłosa kobieta poprzysięgła wierność narodowemu ruchowi na rzecz praw należnych ofiarom, a także własnemu sumieniu, podczas gdy jej mąż rok po roku przeciwstawiał się głosowi ludu oraz legislatywie. Jej krótkie, choć zaprezentowane w natchniony sposób oświadczenie, streścić można było w jednym zdaniu: „Odrzućcie weto”.

W Karolinie Północnej rozmawiano o „pierwszym razie” w ich stanie. Gromadzono się wokół wysokiej, czarnoskórej kobiety o idealnej figurze oraz pięknych oczach.

– Widzicie tamtego faceta? – zawołała. – Tego z brodą. – Wskazała na jednego ze swoich kolegów. – On przedstawi wam szczegóły, bo ja spieszę się na samolot.

Jednak prasa nękała ją przez całą drogę na lotnisko. Mając dwadzieścia minut do odlotu, dała się ubłagać i zaprezentowała im podsumowanie Operacji Pies Łańcuchowy.

– Pomysł polega na tym, by wprowadzić naszych obserwatorów do sal sądowych oraz izb ciał ustawodawczych, głównie ofiary przestępczości, chociaż ostatnio sytuacja ulega



gwałtownym zmianom. Zgłasza się coraz więcej ochotników, ponieważ nie chcą oni stać się ofiarami. Zamierzamy nadzorować każde działanie związane z wymiarem sprawiedliwości na terenie całego stanu... Ostatnia uwaga? Najważniejszym problemem są zawierane ugody... Dlaczego? Ponieważ kryje się za nimi odpowiedzialność... w równym stopniu adwokata, jak i przestępcy. I to właśnie możecie przekazać sędziom.

Samolot Sulette przyleciał o czasie. Nowojorskie korki na ulicach (szczególnie ten przed tunelem łączącym Queens z centrum) spowodowały, że spóźniła się na swoje popołudniowe spotkanie na Manhattanie.

Pokręciła głową na widok skromnego budynku z lat trzydziestych, w którym tak wiele czyniono dla dobra tak wielu. Nie oznacza to, że organizacji brakowało funduszy na bardziej wystawną siedzibę usytuowaną w odpowiedniejszej dzielnicy, po prostu istniały lepsze sposoby spożytkowania pieniędzy, albo przynajmniej tak uważał Hugh.

No, ale zarząd to ma klasę, pomyślała, wchodząc do środka. Czterej stali członkowie oraz zmieniający się kierownicy oddziałów (do których należała ona szczęśliwie) tworzyli prawdziwie miłą grupkę.

– ...odzew przekroczył moje oczekiwania. Do licha, moje najśmielsze oczekiwania – ekscytował się Hugh. – To oznacza brak jakichkolwiek problemów finansowych w przyszłym roku.

– Tobie niech będą dzięki. Sulette, kawa wciąż jest gorąca.

Sulette uśmiechnęła się do pani Prezes.

– Następną kwestia to werbunek. Lydia?

– Poprawione wydanie zestawu szkoleniowego zostało rozesłane. Przydałoby nam się kilku oddanych działaczy w oddziałach na Południowym Zachodzie. Liczba nowych członków w dużych miastach niezwykle wzrosła – część z nich ściąga na siebie mnóstwo uwagi. Weźmy na przykład pierwszą damę z Lansing!

– Toast za żony polityków, które wzniosły się ponad działalność swych mężów!

– Kawa nie jest wcale gorąca – oznajmiła Sulette.

Rosa Ramirez zaproponowała, że przygotuje świeży dzbanek.

– Raport w sprawie recydywistów. Jakież dodające otuchy wieści, Zack?

– Programy pilotujące w Nowym Jorku oraz Bostonie przynoszą dobre rezultaty. Szybkie rozprawy. Surowe wyroki dla zatwardziałych kryminalistów.

– W jaki sposób moglibyśmy włączyć więcej stanów? – spytała Angela, marszcząc brwi.

– Zasypać ich statystykami – odparł z ironią Zack. – Siedem procent przestępców popełnia jedną czwartą wszystkich występków.

– Piekło statystyki – odezwała się Prezes. – Będzie z tego wspaniały slogan. Wykorzystamy go. Czy są jakieś sprzeciwy, by przejść do planowania przyszłorocznej działalności? Muszę stąd wyjść za dziesięć minut. Spieszę się na pociąg do Denver.

– Ujednolicone orzekanie wyroków – odezwał się Zack.

– Tak, o co chodzi?

– Umieść ten problem w pierwszym punkcie. Tuzin stanów wypracowało pewne jego formy. Tylko tuzin. Proponuję podążyć śladem Pensylwanii i wprowadzić Operację Uczciwość na szeroką skalę.

– Orzekanie wyroków nie stanowi naszego największego problemu – odrzekła Angela. – Powiedzmy, że sędziowie pójda po rozum do głowy i posprzątaj swoje podwórko. Co wtedy?

– Miejsce w więzieniach. Najtrudniejszy orzech do zgryzienia – wymamrotał Zack, przyznając jej rację.

– Część rozwiązań stanowią mogą prywatne przedsięwzięcia – wtrąciła Sulette. – Redukują one koszty w tak dużym stopniu, że aż trudno uwierzyć.

– Na dodatek nie stanowią jedynej możliwości. Włącz do porządku dziennego sprawę poparcia armii – zwrócił się Zack do pani Prezes – a ja popracuję nad tym po godzinach. Pomyślcie tylko o celach więziennych, które można stworzyć w opuszczonych obiektach wojskowych.

– Czy przypadkiem jakaś komisja rządowa nie zaproponowała ostatnio, żeby zamknąć sporą liczbę baz? – zapytała Rosa. – Czyż pracownicy więziennictwa w tym kraju nie oszaleliby z radości na widok tych wszystkich opustoszałych koszar!

– W porządku, orzekanie wyroków i miejsca w więzieniach wchodzi na listę. Coś jeszcze?

– Może tak toast, zanim wyjdiesz? – spytał z uśmiechem Zack. – Tym razem wzniesmy go brandy. Za nami wspaniałe półtora roku, następne będzie jeszcze lepsze.

Sulette poszła po brandy.

Angela naląla wszystkim.

– Za Wartę Ofiar!

Zabrzmiały zgodne głosy. Doskonała brandy. Jej smak skłonił do kolejnego toastu.

– Za naprawdę oddany zarząd! – zawołała Sulette. – Tak oddany, że staliście się prawie niewidzialni. Czy nie czas wyjść z ukrycia i pokierować narodem?

– Mam nadzieję, że taki czas nie nadejdzie nigdy – odparła Prezes.

– Dlaczego? Przywódcy inspirują. W każdym razie ci dobrzy.

– Silne jednostki mogą w innych wywołać poczucie słabości. Przypomnij mi, żeby pokazać d jeden z moich ulubionych filmów, kiedy odwiedzisz nas następnym razem. Uciskani meksykańscy wieśniacy zostają wyzwoleni przez charyzmatycznego przywódcę. Jednak dopiero gdy ginie z rąk wroga, uczą się, jak walczyć we własnej obronie. To jedyna trwała siła.

– Przyjmuję to do wiadomości, pani Ramirez, ale pod warunkiem, że będę mogła ponownie wznieść mój toast. Za umysł, serce i duszę tej organizacji. Za ciebie, droga przyjaciółko.

– Na zdrowie!

Jedenaście kieliszków uniesionych ku górze. Jedenaście osób podniosło się zza stołu.

– Cholera – zawołała pani Prezes. – Rozmazałam sobie makijaż. Sulette zaśmiała się.

– Dobrze, że lubisz nosić ciemne okulary.

Przewodniczenie pozostawiła Zackowi, Sulette uczyniła jego zastępczynią, a sama popędziła do mieszkania – jedyny rodzaj ćwiczeń, jakie ostatnio uprawiała. Przeznaczyła pięć minut na pakowanie – jeśli rzeczywiście wymagały tego okoliczności, potrafiła uwinąć się w trzy. Wychodząc przypomniała sobie, by przesłuchać automatyczną sekretarkę.

Ostatni dzwoniący nie krył zniecierpliwienia, kiedy zostawiał zaszyfowaną wiadomość. „Przyjedź do biura. Natychmiast”.

Zerknęła na zegarek i dokonała w pamięci szybkiej kalkulacji. „Natychmiast” oznaczać musi zaraz za Penn Station.

Dotarła tam akurat, kiedy wjechał jego pociąg. W ten sposób spotykali się. Na peronie lub na lotnisku przy wyjściu dla odlatujących.

Zachował się jak typowy nastolatek, pomyślała rozradowana widokiem, który wywołał u niej łzy. W ciągu ostatniego półrocza wyrósł jak na drożdżach. Nie rośnij zbyt szybko, proszę.

Podeszli do siebie.

– Pani Ramirez – rytualne powitanie. Szeroki uśmiech.

– Oraz syn.

Ruszyli ramię w ramię, nie zważając na tłoczących się dookoła przechodniów.

– Jak było w Waszyngtonie?

– Mnóstwo fascynujących rzeczy i brak czasu, żeby je robić.

– Czy żałujesz, że poświęciłeś wakacje, by działać na rzecz Warty?

– Gdzie tam. Nie codziennie zostaje się gwiazdą. Zaśmiała się.

– Rozumiem, że wszystko poszło świetnie. Opowiedz mi jak było. No, Tony, przecież obiecałeś.

Opisał swoje zeznanie przed komisją kongresową. Późniejszą konferencję prasową. Dzieci, które poznał, z oddziałów tak odległych jak Portland czy San Diego.

– Pododdziałów – poprawił się, promieniejąc dumą przewodniczącego nowo założonego Wydziału Młodocianych przy Warcie Ofiar.

– Odprowadzić cię na lotnisko? – spytał, zatrzymując taksówkę.

– Nie zawracaj sobie głowy. Po drodze muszę jeszcze gdzieś wpaść. Wrócę.

– Karen, widziałem go. Był na konferencji prasowej.

Szybko zamknęła oczy. Zobaczyła to samo co zwykle. Jego jasnoniebieskie, patrzące z ukosa oczy.

– Wygląda tak samo? – spytała. – Starzej? – nalegała, gdy Tony się zawahał.

– Jest zmęczony. Pytał mnie o Wartę. Przekazałem mu nieco materiałów.

Tony otworzył drzwi taksówki i pomógł jej wsiąść.

– Zadzwoń do ciebie z Denver – powiedziała i przesłała mu buziaka.

Podążyła kierowcy adres Rogera. I nie otwierała oczu, dopóki nie dojechała do centrum.

W głosie Rogera usłyszała zniecierpliwienie, kiedy ignorując pomruki niezadowolonia docierające z pełnej poczekalni, kazał pielęgniarce natychmiast wprowadzić ją do gabinetu.

Roger zrezygnował ze swego zwyczajowego niedźwiedziego uścisku, zasypując ją w zamian gradem pytań.

– Dlaczegoż miałby dzwonić do mnie? Po co, minęło. Ile, prawie dwa lata? Dlaczego ni stąd, ni zowąd przychodzi do mnie, żeby porozmawiać? O czym?

– Kto? – sapnęła. – Kiedy? – Panika potrafi być zaraźliwa.

– Max McCann, a któż by inny? Dziś po południu ma tutaj przyjść! Karen, ja podpisałem twój akt zgonu. A jeśli wpadniecie na siebie na ulicy?

– Dzisiaj to niemożliwe – odparła siadając. – Wyjeżdżam do Denver.

– Co teraz zrobimy? O czym myślisz?

Pomyślała, że Zack i Angela mylili się, było gorzej, a nie lepiej. Wyobrażać go sobie w Waszyngtonie to jedno, ale siedzącego tutaj, na tym krześle to coś zupełnie innego.

– Roger, nie panikuj. On niczego nie podejrzewa, niemożliwe.

– Czy moglibyśmy jeszcze raz powtórzyć naszą wspólną wersję? Na wszelki wypadek?

Podskubując brodę, razem z Karen przypomniał sobie przebieg wydarzeń tamtej nocy podczas Halloween.

Telefon (zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami) do lekarza i przyjaciela –zmiana zdania w ostatniej chwili. „Połknęłam proszki nasenne, całą butelkę. Pomóż mi! Zadzwoń do mojego ukochanego, zadzwoń do Maxa!”

Doktor Roger Stern popędził na miejsce. Sprawdzał wszystko osobiście i ledwo zdążył przed przybyciem Maxa McCanna.

Pełen taktu zaprowadził go do sypialni, żeby sam zobaczył. Na nocnej szafce stała pusta buteleczka (jej zawartość wylądowała w ubikacji).

Żeby sam sprawdził. Brak tętna, brak oddechu. Wstrzyknij sobie morfinę i śpij jak umarły.

List samobójcy – podczas czytania pewna ręka, nieugięte spojrzenie. Następnie kilka niepotrzebnych słów – nie można pocieszyć człowieka, który jest w szoku.

„Oficjalna” wizyta pewnego policjanta, Zachary’ego Graya, ciągle jeszcze w mundurze.

Akt zgonu, przygotowania do pogrzebu.

Obciążona trumna otoczona kręgiem prawdziwych żałobników – z wyjątkiem lekarza oraz policjanta. Nawet przedstawiciele FBI.

Od tamtego dnia zeszła do podziemia. Bezustannie się ukrywała.

Na duchu podtrzymywał ją jedynie Tony oraz praca.

Roger przerwał jej zadumę.

– Bałem się, że z tego nie wyjdiesz.

– To ryzykowna sprawa wstrzyknąć sobie... ile miligramów morfiny?

– Dwadzieścia. Nawet kiedy w mojej kieszeni leżało najlepsze istniejące antidotum na takie przedawkowanie narkotyku. Naprawdę się bałem – wspominał.

– Mając co najmniej dwie godziny na zneutralizowanie morfiny?

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem bojaźliwy.

– W tym momencie ja również. Roger, ja muszę pozostać dla niego martwa.

– Jedź do Denver. – Poklepał ją po rękę, oboje odzyskali spokój. – Zajmę się naszym przyjacielem z FBI.

Całą drogę na lotnisko przejechała w zamyśleniu, powtarzając sobie te same wersy co zazwyczaj.

*For this could never have been; and never,  
Though the gods and the years relent  
Shall be.*

– Wypij do końca, McCann! Kiedy Biuro pozwala sobie na Dom Perignon, to musi być prawdziwa okazja.

– Nawet jeśli tą okazją są urodziny niemłodego już agenta, zgadza się, Maksie?

Nawet pijany dureń potrafi trafić w sedno, pomyślał McCann. Spędzał czas w ich towarzystwie, a właściwie chciał jak najprędzej uciec.

Pojechać do Nowego Jorku.

Wyłączył się z bezsensownej pogawędki, koncentrując myśli na konferencji prasowej. Poszedł na nią nie z ciekawości, ale raczej z powodu dręczącego go nieokreślonego poczucia lojalności. Warta Ofiar przeżywała swój rozkwit... a stanowiła przecież ucieleśnienie pomysłu Karen. Jednak widok tego dziecka o dużych, ciemnych oczach wywołał prawdziwy szok. Czy kiedykolwiek wymaże z pamięci tamten pogrzeb? Czy kiedykolwiek zapomni tę rozpacz malującą się na twarzy chłopca?

Podszedł do niego z czystej ciekawości. I wyczuł coś więcej niż tylko grzeczność, kiedy dzieciak obładował go stertą materiałów reklamowych, nie było to usilne wciskanie kitu.

Teraz już wiedział, że miał do czynienia z celowym działaniem. Zrozumiał to w chwili, gdy zaczął przeglądać broszurki, które dostał.

Przeglądać? Przeczytał je do ostatniego słowa. Jeden raz, potem drugi, aż z wysiłku i od drobnego druku rozboleły go oczy.

Ona żyła.

Widać to było na każdej stronie, w każdej linijce – owoc pracy jej umysłu, jej sposób ujmowania rzeczy, jej niepowtarzalny...

Oto trzymał w rękę niepodważalny dowód własnej niepoczytalności.

Ale jakże mógł zaprzeczyć przekonaniu wykrzykiwanemu przez każde najdrobniejsze włókno jego ciała?

Wykonał cały szereg gestów, pożegnania w większości pozbawione wszelkiego znaczenia. W większości, lecz nie wszystkie. Bernie Rees czekał przy drzwiach.

– Opuszczasz nas, zgadza się? Najwyższy czas, nie sądzisz?

– Czy to twój sposób na zwrócenie mi uwagi, że jubilaci powinni wychodzić ostatni?

– To mój sposób na powiedzenie ci, że widzę inne przyjęcie czekające cię w przyszłości, na którym z dumą pełniłbym rolę honorowego gospodarza.

– Moje przejście na emeryturę – odparł z gorzkim uśmiechem. – Dostrzegłeś, że się zbliża, no nie?

– Wczorajsza konferencja prasowa. Wiesz, co zobaczyłem, kiedy przyszedłeś po niej do mojego gabinetu? Nadzieję, Max. A może nawet przebaczenie. Chciałem ci tylko powiedzieć, zanim wyjedziesz spędzić swój... krótki urlop na Manhattanie, że życzę ci jak najlepiej.

Musiał odwrócić wzrok.

– Jedź i odpoczywaj w pokoju, przyjacielu – powiedział jak ksiądz udzielający błogosławieństwa. – Cokolwiek uczynisz, z kimkolwiek to zrobisz... – Wzruszył nieznacznie ramionami. – To przecież twój romans, nieprawdaż?

Rozmyślał o tym w samolocie. Bernard Rees, człowiek, który nigdy nic dał się nabrać. Powinien był się domyślić, że stary wyga wyniucha prawdę z raportu, w którym starał się zatuszować swój błąd... A potem zakopie wszystkie niepostawione pytania niczym stertę starych kości.

W taksówce wiozącej go do gabinetu doktora Rogera Sterna myślał o Jamiem. Czas odejść na emeryturę, powiedział Rees.

„Czas znaleźć sobie nowy dom”, powiedział mężczyźnie, który uratował mu życie, przyjacielowi, który pozostawił po sobie pustkę niemożliwą do zapelnienia.

Doktor Stern wydawał się mniej podenerwowany, niż kiedy rozmawiali przez telefon. Był jednak zbyt błyskotliwy w odpowiedziach na starannie dobierane pytania.

W końcu dostrzegł pęknięcia na tej politurze – facet za bardzo się denerwował, żeby mówić prawdę. A może nie?

Chłopiec stanowił żywy dowód, pomyślał sobie. Tony Ramirez przekazał mu więcej niż tylko pakiet materiałów dotyczących praw ofiar. Sięgnął do kieszeni i wyjął adres dzieciaka.

Razem z kawałkiem papieru wydobył coś jeszcze – starego krakersa. „Waszyngtońska populacja bezdomnych kotów zaciągnęła u ciebie dług”, powiedział, coraz bardziej odczuwał fizyczną obecność Karen.

Przyjrzał się odrapanej fasadzie brunatnego budynku, budzącej litość karykaturze drzewa z kilkoma żalonymi pąkami oraz ławeczce, na której siadywali mieszkańcy, kiedy letni upał wypędzał ich z domu.

Nacisnął dzwonek domofonu. Z każdą upływającą sekundą czuł, że jej obecność mu umyka.

Zdesperowany zadzwonił pod inny numer. Mieszkanie trzy A, okna od frontu, poinformował go jakiś głos. Dzieciak wyszedł. Matka tak samo. Bogata Portorykanka. Dużo podróżuje.

Matka.

Szukając w kieszeni chusteczki, odwrócił się zamroczony zakończonym przed chwilą, pozbawionym nadziei snem.

Pod wpływem impulsu obejrzał się raz jeszcze. Czy to przez wiersz tkwiący w jego pamięci?

Czy przez pragnienie spojrzenia po raz ostatni na utracone szczęście?

Trzy A, od frontu. „Czytając ten wiersz, najdroższy, pomyśl o mnie, tak jak ja będę myśleć o Tobie”. Jak... ja... będę... myśleć?

Wtedy ujrzał Polę, wyciągniętą na parapecie ogrzany promieniami popołudniowego słońca, jedna szaro-pomarańczowa łapka, uniesiona do góry, poddawana była rutynowej toalecie.

Wiedział już wszystko.

Usiadł na ławeczce, by czekać.